
3 1761 06635478 8

STAROSTA WARSZAWSKI.

CIEKAWE POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 6 ▭ Czerwiec 1914

Starosta warszawski. Tom I.

Redaktor: ARTUR OPPMAN (Or-Ot). ☐ Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

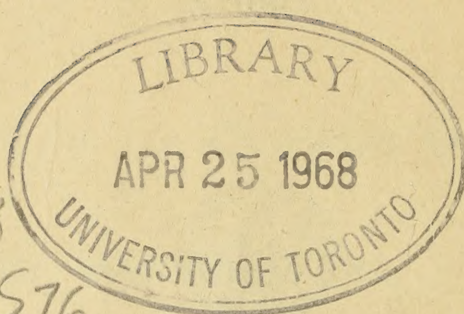
STAROSTA WARSZAWSKI

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

Tom I



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. 1914



DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

PROLOG.

I.

Piękny był wieczór jesienny, chociaż ludzie, co w chmurach, niebiosach, powietrzu, głosach ptasich, znakach rozmaitych, pospolitemu oku obojętnych czytać umieli — kręcąc głowami, nic zeń nie wróżyli dobrego.

Pan podkomorzy Laskowski, który się w Haura wczytywał i z innemi księgami uczonemi miewał do czynienia, znaki na niebiesiech obserwować i one aplikować umiał do spraw gospodarskich — z tego zbytniego ciepła, dnia pierwszego września, z zarumienionych obłoków, kierunku wiatru i różnych innych sygnałów, prędką aury zmianę prorokował, zimę bodaj rychłą i nie daj Boże srogą a przeciągniętą.

Tuż przy bramie Krakowskiej naprzeciw zamku, gdzie wówczas (a było to roku Pańskiego 1750) niejaki Peszel winiarnię trzymał, dla ciepłego tego wieczoru, kilku ichmościów, między którymi i pan Laskowski się znajdował, kazało chłopcu ławę wynieść ze stolikiem w ulicę przed dom i, używając tu świeższego powietrza, gawędką się zabawiali.

Z Laskowskim, który tu rej wodził, ba i wszędzie, gdzie się okazał, bo był człek wymowny, głowacz i bywalec, zeszli się u Peszla na lampeczkę: Ocieski, ubogi szlachcic z Poznańskiego, Kostrzewa i Babiński.

— Nic to, mospanie, dobrego nie jest—mówił, rozglądając się, Laskowski—kiedy natura ze swych praw i obyczajów się wyłamuje. Wprawdzie ja tu na tym horyzoncie warszawskim tak swego nie jestem pewien, jak doma w mojej Górce... bo tam wiem, co lada obłoczek znaczy; jednakże takie ciepło pierwszego septembris... źle wróży!!

Ptactwo na południe dawno odleciało, a ono ma nos lepszy od najrozumniejszego astronoma. Nagle, mości panie, ścisną mrozy i zima się da we znaki!...

— E! e! — rzekł, popijając, Ocieski — bywa różnica... Czasem wszystkie omina chybiają. Dał Bóg ciepło, cieszyć się niem, a w łasce Jego ufać, że nam za to płacić nie każe.

— A ja z panem podkomorzym trzymam — odezwał się Kostrzewa, który, prawdę rzekłszy, trzymał zawsze z tym, z kim pił, i miał po części słuszność.

Babiński milczał, tylko czapki trochę uchylił, jakby chciał łysinę ostudzić, i westchnął. Stało to za aprobatę.

Laskowski wciąż po niebiesiech się rozglądał, choć ich stąd niewiele widać było, lecz uczyły go chmurki przeciągające, skąd wiatr dął, i kolor ich, co się na niebie działo.

— O tak! tak — dodał jakby sam do siebie — zimę będziemy mieli ostrą... Daj Boże, aby nieco wybujałe zboża mróz schwycił, nim śniegi na nie padną, boby to wyprzało z kretesem...

Wszyscyśmy siali zawczasu... a tu jesień taka, że żyta szczególniej, aż strach.

— To je spasać — odparł Ocieski — i kwita. Tyleby biedy...

— Spasać!... więcej bydło wydepcze, niż zje — dodał Kostrzewa — na to przymrozków trzeba czekać.

Babiński znowu głowę ostudził i westchnął, ale tym razem tak, że wszyscy nań spojrzeli, bo czuli, że prosił o głos.

— Ja, mości brdzieju — rzekł — ja, co się tyczy mnie, mam taki system. Na Bartłomieja, mości brdzieju, sieję, rola musi być zrobiona ut sic, zabronowana, jak należy, ziarno czyste, pośladu na siew nie dopuszczam, jak drudzy, słowem, robię, co mogę, a gdym spełnił moją powinność, przeżegnam rolę i, czapkę zdjąwszy, Panu Bogu ją polecam... Reszta do mnie nie należy, umywam ręce.

— Waszmość jesteś, jak ten, bodajże go! zapomniałem, co w procesie Trójcy Świętej dawał plenipotencyę i adwokata nawet nie bierał.

Rozśmiali się wszyscy, gdy Kostrzewa to rzekł, a pan Laskowski kontynuował:

— Nie jestem ja też z tych, którzy o Bogu zapominają — mówił — choć pod te czasy siła się ich namnożyło, ale znaki niebieskie Bóg, nie kto inny też pisze, tylko się ich czytać nauczyć potrzeba...

— Tandem — odezwał się Babiński — ad vocem znaków, co nam pan podkomorzy wróży w innych konjunkturach, a zwłaszcza w sprawach Rzeczypospolitej? Boć to i na ziemi osobliwe jakieś widzimy symptomata czasów... Więc ku złemu, czy dobremu idzie... tu sęk!

Kostrzewa ramionami ruszył.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła! Zimę zgadywać jeszcze jako tako się udaje, ba i tym, co kalendarze piszą, ale w politycznych rzeczach... i dyabeł jutra nie zgadnie.

— Ja najgorzej wróżę — począł, rozgadując się, Babiński. — Od czasu, jakeśmy Sasów sobie na kark posadzili, coraz ku ruinie idzie Rzeczpospolita... Prawdę rzekłszy, już gdyśmy ich brali, nie było dobrze... a co teraz!

Machnął ręką i umilkł.

Ocieski westchnął i obejrzał się.

Laskowski, rękę za pas włożywszy, choć jeszcze w niebo patrzał, już snadź na ziemię myśl sprowadził, bo natychmiast głos zabrał.

— Że źle się dzieje, nie przeczę — rzekł — ażeby temu sami Sasi winni byli, nego. Uderzmy się w piersi... mądrej głowie dość na słowie...

Chrząknął Babiński. Rozmowa tak zagajona nie szła jakoś raźnie... oglądali się wszyscy, bo ulicą ten i ów przechodził, a wolno ciągnąc, słyszeć rozmawiających było łatwo. Najwięcej też może na zamknięcie ust wpłynęło to, iż nieznajoma figura, która też przesuwała się tędy ku zamkowi, wstrzymywała się w pochodzie i zdawała przysłuchiwać.

Był to szlachcic ze staroświecka i dziwacznie odziany, w krótkim żupaniku i kontuszu, w długich butach, w czapce z futrem, z ogromną szablą na wyszarzanych przednicznych rapciach wiszącą, z kijem w ręku, obuszkiem zakończonym. Suknie jego z nieposledniego materyału snadź długie lata w kufrach przeleżały, i więcej od tego snu ucierpiały, niż od używania. On też sam, jakby z puzdra go wyjęto, wyglądał — twarz miał żółtą,

wywiędłą, zaschłą, pomarszczoną, policzki zapadłe, oczy zblakłe... a mimo zawiędnienia ruchy żywe i niecierpliwe wiele w nim fantazyi i gorącości krwi zdradzały.

Stanąwszy w pewnej odległości od stoliczka, nie oczyma, ale uszami czegoś zdał się szukać, jakby niedowidział. Lecz jeśli głosu czekał, zawiódł się, bo i podkomorzy i inni zamilkli, przypatrując mu się. Postawszy tedy chwilę, zwolna ku Laskowskiemu podszedł.

Podkomorzy dopiero, lepiej się przypatrzywszy, zawołał:

— Zagłoba! jak Bóg miły.

— A no, a juściż! — odparł podchodzący. — Ja waści po głosie poznałem, bo pod wieczór tyle tylko widzę, że czasem drzewo od człowieka rozpoznam i Niemca od Polaka... I to nie zawsze...

Więc się sobie rzucili na szyję serdecznie bardzo.

— Cóż ty tu robisz! skarbniku!... ty, coś na domatorstwo poprzysiągł? jakżeś się ty z domu wywlókł? Czy proces masz? czy się o urząd starasz? czy ci spokój niemiły?

— Otóż widzisz — począł skarbnik — nie zgadłeś.

Żartobliwym, dziwnym, niby szyderskim mówił głosem, tak, że wszyscy umilkli, ciekawie bardzo nastawiając ucha, bo człowieka i głos i ton zdradza, a rozum się i w dźwięku mowy wydaje. Poczuli tedy panowie Kostrzewa, Ocieski i Babiński, że znajomy podkomorzego musiał być człek nielada, któremu ucha dać było warto.

— Ale naprzód — przerwał Laskowski — na ławie miejsce jest, panie Skarbniku, a u Peszla butelka druga zamówiona... lampeczka wakująca, czyściutka stoi, bo mnie tu znają. Mam taki zwyczaj, od dziadów jeszcze,

że u mnie w domu zawsze u stołu jednem nakryciem więcej jest, niż gości, i do butelki lampek więcej jedną, niż gąb.

To mówiąc, nalewał, a skarbnik się nie bronił i siadł, ale wprzódy czapki uniósł i submitował się panom braci, którzy mu też wszyscy po imieniu i nazwisku się opowiedzieli.

— Więc, gdym nie zgadł — ciągnął Laskowski — mów, co cię tu sprowadziło?

Skarbnik z lampki trochę pociągnął, jakby tylko usta sobie chciał odwilżyć. Twarz owa pomarszczona, gdy ją podniósł, oczy zbielałe, usta wpadłe, jakimś ogniem wewnętrznym rozjaśnione, zapłonęły.

— Co, Boże miłosierny — począł — co!? mirabilia fecit Deus! na cudam tu przybył patrzeć. Albo to nie widzicie, że cuda się dzieją... i że niema tak błogosławionego kraju, jak nasz... nad którymby opieka Wszechmogącego wyraźniejsza była!!

Wszyscy po sobie spojrzeli, a skarbnik, żartobliwie zawsze, ciągnął dalej, spozierając na swych słuchaczów:

— I com rzekł, dowiodę — mówił. — Jest-li na świecie kraj, któryby nierządem tak wyśmienicie stał, jak nasz? w którymby próżniakom się lepiej działo? gdzieby wina więcej było, a przedniejszego, choć winnic nie mamy? gdzieby jedwabiów więcej schadzano, choć jedwabników nie hodujemy? gdzieby złotem sypano hojniej, choć go nie kopiemy? i naostatek, gdzieby dwunastoletnie chłopaki jednego dnia pełnoletność za łaską pańską uzyskać mogli??

Laskowski głową pokiwał, a Babiński obejrzał się bojaźliwie. Ruszył się nawet nieco i, gdyby nie wstyd, byłby się wyniósł może.

Nastąpiło milczenie. Choć niedowidział twarzy skarbnik, poczuł i zrozumiał, że się słuchacze jego języka zlękli.

— Co to o tem gadać! — bąknął Laskowski — na co?

— A o czem-że? O kobietach, jak to u nas zwyczaj, pod rezon, jam za stary, o pobożnych rzeczach nie mam zwyczaju rozprawiać, bo respekt dla nich czuję. Jeśli szlachcicowi de publicis nie wolno, cóż już? chyba gębę zamalować, albo ją na kłódkę zamknąć...

— Ale bo, mój skarbniku — szepnął Laskowski — słyszeliście w Saksonii o tym... o tym starym zamku na górze... Kat go wie, Koenigstein się zowie...

— To pudełko do chowania Sasów — odezwał się skarbnik.

— Tak, ale w niem i kilku naszych zakonserwowano — szepnął Babiński.

Nie zmieszał się stary i popił.

— Ja bo — rzekł — gdy mi język świerzbi... wytrzymać nie mogę. Dyabeł nie tak straszny, jak go malują, a gdyby wszystkich, co się śmieją i stękają, chcieli chować tam, miejsca-by nie stało...

Machnął ręką i rozśmiał się.

— Jak mi Bóg miły, zabawna rzecz — mówił, nie zważając na otaczających. — Ichmość panowie, co w mieście częściej bywacie, z damamiście się oswoili; ja, domator... admiruję...

Wtem zwrócił się do Ocieskiego, który głowę miał nad lampką zwieszoną.

— Wszakże mnie uszy nie mylą, JMPan Ocieski?

— Tak jest, do usług.

— Jastrzębiec?

— Niema innych, tylko tego herbu.

— Czyby z Ocieszyna? — pytał uparcie skarbnik, choć odpowiedzi szły leniwo i niechętnie.

— Pisaliśmy się z Ocieszyna — cicho wymówił zagadnięty.

— A no! to któż lepiej o cudach dzisiejszych czasów wiedzieć może nad waćpana dobrodzieja?

Stał się cud, iż graf Brühl, pierwszy minister najjaśniejszego pana, który rodził się kędyś w Turyngii, a żył w Saksonii, nagle znalazł się polskim szlachcicem, Jastrzębczykiem i Ocieskim... tak jak waszmość pan! a toż nie mirabilia?

Ocieski tylko głową kiwnął.

— Gdyby nagle sowa, ptak Minerwy — dodał skarbnik — stała się z dnia na dzień jastrzębiem... naturaliści-by z całego świata się zbiegli! Nieprawdaż?...

A no, to rodzina jakaś od Boga uprzywilejowana... Ten sam Brühl z Ocieszyna... ma synka. Synkowi jest lat dwanaście... jeszcze mleko ma pod nosem... Tymczasem Warszawie osieroconej ze starosty grodowego, przez rezygnacyę wojewody ruskiego, brak głowy i dłoni. W całej Rzeczypospolitej niema człowieka na tę godność, dwunastoletniemu chłopięciu król jegomość łaską swą dodaje lat dziesiątek... dzieciak budzi się dojrzałym, i oto go jutro będziemy widzieli wjazd uroczysty odprawującego na swą stolicę...

Alboż nie cuda? mirabilia!

I śmiać się począł.

Podkomorzy Laskowski po niebie spojrzał.

— Wiecie acaństwo co? Ciepło było, ale zawsze to wieczór wrześniowy, a kto ma w kościach łamanie, temu o tem zapominać nie potrzeba; wotuję więc, aby-

śmy się razem z butelką i lampeczkami pod sklepienie do izby zacisznej przenieśli. Padająca rosa nigdy nie jest zdrowa.

Wszyscy wstali, jakby uradowani wnioskiem; skarbnik się rozśmiał i poszedł za ich przykładem.

— Na czyim wózku jadę, tego piosnkę śpiewam— rzekł — z lampeczką podkomorzego idę za moim winodawcą. Macie słuszność, pod dachem zawsze zaciszniej, a nuż co padać zacznie?

Przez okno otwarte Laskowski zawołał chłopaka, który w koszuli i fartuchu zwijał się po izbie, i kazał mu szkło zabierać. Poszli tedy processionaliter, gęsiego, dla niezbyt szerokich drzwi, jedni za drugimi, skarbnik przodem, Laskowski, Kostrzewa, Babiński, tylko się Ocieski coś ociągał.

— No, a waszmość? — pytał Babiński.

— Nie bardzo mi się chce — szepnął Ocieski — to jakiś, mocidzieju, wyszczekany kawał konfederata... i już mi łatki przypinać zaczął.

— Ale chodź! Co bo znowu! — fuknął Babiński, i popchnął — a to pomyśli, żeś się go zląkł!

— I to racya — rzekł Ocieski.

Poszli tedy, ale nie zatrzymali się w pierwszej izbie, gdzie kilka osób w warcaby grało, a po kątach sączono z kuflów. Podkomorzy, który u Peszla był, jak w domu, zaprowadził do bokówki, gdzie nikogo nie było. Tu chłopak stołki prędko fartuchem pościerał, stół zdmuchnął, butelkę na nim ustawił, a sam po świecę poszedł, bo w izbie się ściemniało.

— A toż to nie cud? — ozwał się, dalej ciągnąc, skarbnik, któremu jego myśl snadź w głowie tkwiła — toż nie cud, że szlachta polska tak się stała w ręku

saskiego ministra potulną, iż ją jak wosk miękki ugniata i czyni z niej, co mu się żywnie podoba??

Ocieski, w izbie śmielszy, siedział bardzo nadęty. Ledwie tych słów dokończył Zagłoba, rzucił się z impetem wielkim.

— Bóg widzi — począł, wybuchając — że ja zwady nie szukam, jestem człek spokojny, ale znów nie mogę ścierpieć, by mi docinano.

Skarbnik spojrzał nań bardzo zdumiony.

— Albo co?

— Bo, że Ocieski jestem, i że Brühlowi szlachectwa i herbu nie przeczę... to mi pono za złe macie?

— Albom mówił?

— No, nie, a samo z siebie to wyszło — począł Ocieski — a gdy raz o to się potrąciło... clara facta, trzeba się tłómaczyć.

Skarbnik oczy nań zwrócił, szlachcic wstał i wziął się pod boki.

— Powiem wszystko, bo się nie sromam i nie taję tego, com uczynił. Szlachcic jestem i byłem, ale nas różne vicissitudines do mizernej substancyi przywiodły. Miałem chłopów piętnastu, a dzieci pięcioro. Jejmość i ja jużeśmy niemal kochać się bardzo obawiali, żeby błogosławieństwa bożego więcej nie przybyło... Tandem, deus ex machina, jawi mi się jednego dnia, poszóstno, urzędnik koronny, którego nie wymienię. W bramę z karocą zajechać nie mógł, bo ta tylko dla fur z gnojem i dla bryczki była zbudowana.

We dworze popłoch, dzieci do ogrodu pouciekały, a starszy się nawet w pokrzywach poparzył, jejmość na strych drapnęła... zostałem ja w kitlu płóciennym, przy-

muszony stawić czoło jaśnie wielmożnemu, ba, nie zdradzając tajemnicy, jaśnie oświeconemu.

Ten, u bramy wysiadłszy, dwom dworzanom psy podwórzowe przykazawszy trzymać w respekcie, wprost do mnie do ganku.

Byłem pewien, że albo koło mu się w drodze złamało, albo oś pękła, bo coby u mnie taki dygnitarz robił? A no, wola boża, o kowalu tylko myślałem.

Wita mnie, ja mu się submituję.

— Szanowny panie bracie — rzecze — ja tu do waszmości w pilnej sprawie, więc się wpraszam gdzie na ustęp, abyśmy swobodnie pogadać mogli.

Myślałem tedy, ani chybi! sejmikowa sprawa; ale skąd mu z tem do mnie, hreczkosieja i domatora? Idziemy tedy. Łbem się o uszak wyciął w progu i, śmiejąc się jeszcze, a trąc czoło, rzekł: wysokie progi. W izbie gościnnej, gdzie dzieci harce wyprawiały, nieład był, choć płacz, ale oświecony na to nie zważał. Siadł. Jam, kitla zapiąwszy, stał, co też to będzie.

— Widzę u waszeci pana brata skromny domek — rzekł — po staroświecku.

— Tak, panie wojewodo: Maciek zrobił, Maciek zjadł.

— A dziatki Bóg dał?

— Pięcioro! — westchnąłem.

— Chwałaż Bogu! to największa pociecha; hodują się zdrowo?

— Nienajgorzej.

Czekam aż o sprawie zacznie, a ten wciąż kołuje, gdyby kałużę objeżdżał. Patrzę mu w oczy, dławi się, idzie mu nieraźno. Pyta o familię, spowiadam mu się

z dziada i pradziada, słucha. Dowiaduje się, czy nas więcej jest, mówię mu, żem sam.

Wodził mnie tak z pół godziny, naostatek powiada:

— Dziwnie to losy ludźmi rzucają, a gdy Pan Bóg komu chce poszczęścić, osobliwszych do tego środków zażywa. Muszę waszmości powiedzieć, o czem pewnie nie wiesz, że ów Jan Brühl, na Ocieszynie, podkomorzy poznański, za Kazimirza Jagiellończyka, od którego się wywodzicie, miał rodzoniuteńkiego brata, który się wyniósł do Niemiec.

Tum krzyknął: — Chowaj Boże! — a ten znak ręką dał: — Wysłuchajcież. — Słucham tedy. Jął prawić, że grafowie Brühlowie są jego potomkami i że się chcą szlachtą polską wywodzić... Jeszcze dobrze nie rozumiałem, co z tego ma być, gdy głos zniżywszy dodał: — Dziesięć tysięcy czerwonych złotych przywiozłem z sobą. Chcesz je mieć, krótka sprawa! Grafa Brühla do herbu i familii przyjmiecie...

Dopiero mi się wyjaśniło.

Skłoniłem się oświeconemu do kolan. — Łaskawco, rzekłem, dawniej szlachta do herbów, z pozwoleniem, zasłużonych chamów przyjmowała, nic za to nie biorąc; a jabym grafowi za dziesięć tysięcy czerwonych złotych miał tej satysfakcyi odmówić? Toćbym głupi był.

— Masz słuszność — odparł przybyły dygnitarz. — Cyrograf mi podpiszesz, worki ci oddam i rzecz skończona. A teraz daj co zjeść i czem gardło popłókać, bom jak pies głodny.

— No — kończąc historyę, dodał Ocieski — tyle powiem, żem wódki i miodu kazał przynieść, jejmość na prędce jajecznicę zrobiła i bigos się znalazł; wioskę

zaraz kupiłem, i w rok mi szóste dziecię na świat przyszło.

A mam tego za cztery litery, kto myśli, żem źle zrobił.

Dano brawo Ocieskiemu, Babiński go pocałował.

— Ja i bez czterech liter — odezwał się skarbnik — pochwaliłbym wasze postępowanie. Z szołdry zrobić szlachcica polskiego, toć to i sztuka i zasługa!... Ale czyś waszmość dał przynajmniej na mszę na tę intencyę, żeby mu Bóg zesłał gratiam status, i żeby mu ze szlachectwem sentymenta się zlały, które nobilitati są właściwe?

— To nie moja rzecz — odparł Ocieski — niech on się o to stara!

Wypił jednym tchem szlachcic lampeczkę i drugą sobie nalał.

— Stało się — począł skarbnik — i oto jutro dwunastoletni synalek nowo odkopanego szlachcica wjeżdża na gród warszawski.

— To się nie chwali! — mruknął Ocieski — boć to drwiny albo z nas, albo z całego świata.

— A, tego asindziej nie mów — z przybraną powagą odezwał się skarbnik. — Ażeby o tem sądzić, głębiej trzeba zajrzeć w misteria pewne, i oto te gratiae status, o których tylko co wspomniałem. Wiadomo światu, że gdy małoletni pozostanie dynastą... lat mu dodają i panuje tak dobrze, jakby wąsy miał. Brühlowie tak blizko stoją tronu (tu odchrząknął znacząco), iż przywileje monarchiczne na nich spływają.

Szlachta nie odpowiadała.

— Ale co bo tam o tej materyi, tak łaskotliwej, prawić mamy! — odezwał się Laskowski — ot raczej

powiedzcie, panie skarbniku, co tam na prowincyi słychać? Jak się obiecują urodzaje? jakie ceny? co z Gdańska? Czy omłotna pszenica?

— Wszystko najwyborniej—odparł szydersko skarbnik — raj, błogosławieństwo boże... jedz, pij i popuszczaj pasa! Bo, proszę was, wszyscy wiecie, że naszej ziemi tylko pognoju brakło. Król JMść saski umyślnie nam wojsk nasłał cudzoziemskiego autoramentu, i tak nam pola ugnoili, że gdzie kapucyna posiał, kozak się rodzi!

Na prowincyi wszyscy szczęśliwi tak, że im słów braknie, aby to szczęście opisać, i dlatego milczą Z Gdańska najlepsze wieści, powiadają nawet, że dlatego, aby się ceny w porcie podniosły, oddamy go Prusakowi. To gospodarny człek... zaraz pszenica podrożeje Cóż tedy chcecie?

Hulanka u nas taka, szlachta się roztańcowała, że chłop nosa boi się wytknąć. Słowem, mirabilia!

Wszyscy umilkli; podkomorzy Laskowski, człowiek stateczny i poważny, uczuł, że skarbnika więcej pytać nie wypadało, bo się za daleko puszczał. Zagadano i o innych rzeczach i butelczynę trzecią dano na stół.

Babiński się jednak milczkiem wyniósł, Kostrzewa w kąt zaszył, a Ocieski, nadrabiając fantazyą, podparł się, łokcie na stole położywszy, i wprost w oczy patrzał wyzywająco na skarbnika. Ten, Bogu ducha winien, powiek też nie zmrużył, a Laskowski zwrócił konwersacyę na ową jesień i prognostyki przyszłej zimy.

Ze skarbnikiem było przytrudno, bo on i mrozy umiał wykładać po swojemu, aby z obecnych spraw, ludzi i toku wypadków przedrwiwać.

Tak się to do nocy prawie przeciągnęło, aż nareszcie Ocieski, posłyszawszy późną godzinę bijącą na

zegarze, do odwrotu się zabrał. Zostali tylko Laskowski i Zagłoba.

Klapnął po kolanie przyjaciela podkomorzy.

— Niepoprawny waszmość jesteś — rzekł cicho. — Dobrze to sobie postękać i pobiedować we cztery oczy, ale tam, gdzie osób więcej, bezpieczniej milczeć. Uczciwić ludzie wszyscy, ale języki świerzbią, po co sobie robić nieprzyjaciół?

— Ja bo, widzisz — cicho szepnął skarbnik — tych, co mi nieprzyjaciółmi być mogą, gdyby przyjaciółmi być chcieli, gorzejbym się obawiał jeszcze. Bóg z nimi! W sumieniu spokojny... non curo verba malorum!... Prawdy się nie zaprę. Verbum nobile powinno być nietylko stabile, ale i świętemu przekonaniu stać na świadectwo. Jak milczę—znoszę wszystko; gdy usta otworzę — kłamstwa przez nie nie przepuszczę, bobym sobie nietylko usta, ale i duszę powalał. — Machnął ręką — Bóg z waszecią! — I poszedł.

II.

Ruch cały i życie skupiało się naówczas w stolicy nie około zamku, który stał niemal pustkami i tylko czasu sejmu lub wielkich uroczystości służył swemi obszernemi komnatami na przyjęcie licznych zgromadzeń — ale około saskiego brühlowskiego pałacu, gdzie król przebywał i wszechmocny jego minister, Saksonią i Polską władający.

Obaj królowie ostatni wprawdzie nawiedzali War-

szawę, a z musu niekiedy jakiś czas w niej spędzali, lecz pobyt w tej stolicy mniej im daleko smakował, niż w Dreznie, gdzie, jako dziedziczni monarchowie, władzę mieli nieograniczoną i wszystko pod ręką, co życie uprzyjemniać mogło. Do Polski, oprócz zwierzyny, w którą obfitowały lasy, wszystko z sobą przywozić było potrzeba; szły muzyki za obozem, jechali aktorowie i teatra, wiozły karety piękne panie, ciągnęły gwardye, wieziono wina i puhary; słowem, cały świat Augustów przenosił się z nimi chwilowo nad Wisłę.

Tu jakoś rządy szły dziwnym kierowane sposobem. Na pozór nikt się nimi nie zajmował, puszczano je na łaskę bożą, przecież działo się tylko to, czego sobie życzono. Przyjaciele i nieprzyjaciele, jedni chętnie, drudzy mimowoli przyczyniali się do tego. Nici i sprężyny wszystkiego skryte były głęboko; ręce, co niemi władały, nie wychodziły na wierzch, a maryonetki skakały przecie, jak im muzyka z Saskiego pałacu zagrała. Kapelmistrz był doskonały... Od lat ostatnich panowania Augusta II, ważne to stanowisko zajmował hrabia Brühl, z malutkiego pazia i niezamożnego szlachcica wyrosły na wszechmogącego władcę. W Saksonii protestant, katolik w Polsce, tam się wywodził z Gangloffsömmernu, tu z Ocieszyna — nad Łabą panował z pomocą Koenigsteinu i Pleissenburga — nad Wisłą sztuką nadzwyczajną zyskiwania sobie ludzi, których do spółki przypuszczał.

Przy królu Auguście Mocnym był najpierwszym sługą, u następcy potrafił być panem w całem tego wyrazu znaczeniu, trzymając malowanego króla pod najściślejszą strażą w przyjemnem więzieniu, które rozrywało myśliwstwo, teatr, sztuki piękne i gnuśny spokój u niedostępnego domowego ogniska.

Brühl był niezaprzeczenie jednym z najzręczniejszych i najśmielszych kuglarzy, jacy pod imieniem ministrów bawili się naówczas losami Europy. Wiedział on, jakim do kogo mówić tonem i jak osnuć przędzę, aby się we wzory pożądane utkała. Szczęście służyło mu nadzwyczajne, a ile razy zawiódł go los, nigdy głowy i przytomności nie stracił. W domowem pożyciu też był równie zręcznym i zuchwałym, wiodło mu się dziwnie, a ludzie zazdrościli, zdumiewali się i uśmiechali. Jedna z najpiękniejszych kobiet dworu królowej, dziecię znakomitej rodziny, oddała mu rękę swoją, aby z nim podzielić losy.

Z sercem czy bez niego oddana, piękna ta rączka, silniej niżby się zdawało, podpierała ministra. Hrabina Brühl miała wolę swoją i fantazye, minister, wielbiąc ją, nie krył się z pobocznymi stosunkami, wzajemnie pobłażano słabościom, a oboje rodzice, choć zajęci i państwem i światem i zabawami i intrygami, nie zapominali o dzieciach.

Najulubieńszem dziecięciem był ich pierworodny. Ale bo też, jeśli są na świecie cudowne istoty, Alojzy z pewnością do nich należał. Przyszedł na świat z uśmiechem na ustach i szeroko otwartemi oczyma, silny, zdrów, piękny, na uwielbienie tych, co mieli szczęście tego aniołka widzieć w kolebce.

Zdawało się, że mu było pilno rosnąć, by żyć i używać... Nie miał czasu być dziecięciem. Zaledwie chodzić się nauczył, gdy go w atłasy i koronki ubrano, przypięto mu szpadkę drewnianą z rączką porcelanową, włożono na korkach trzewiki i w peruczce złotowłosej wyprowadzono na pokoje. Mały bęben odrazu chwycił trójgraniasty kapelusz pod pachę, jak gdyby go całe

wieki już nosił — i nie pośliznął się ani razu na woskowanych posadzkach. Chwytała go królowa na kolana, brał chętnie król jegomość, czasem na żart dym mu z fajki w nos puszczając. Mały Alojzy dawał naówczas klapsa swemu dostojnemu ojcu chrzestnemu, ale nigdy się nie rozpłakał. Kochali się z sobą okrutnie.

August III wystrzygał dla niego rybki i ptaszki papierowe, i obaj nieraz stawiali z kart domki, z równym zapałem, z tą różnicą tylko, że monarcha uroczyściej się tą architekturą zajmował, gdy chłopię często jednym zamachem piramidy jego obracało w gruzy.

Dano malcowi nauczycieli najrozmaitszych, ale matka była najpierwszym. Jej wejrzenie, słowo, rzekłbyś oddech wlewał w dziecię jakimś cudownym sposobem rozum, wiedzę i instynkty.

Ojciec się nim mniej zajmował, ale kochał na równi z matką. Alojzy nie wiedział sam, kiedy się czytać i pisać, ani jak nauczył. Mówił od kolebki po niemiecku, po francusku, po włosku i wcale mu to się w głowie nie mieszało. W wolnych chwilach węglem po ścianie, kredą na tablicy rysował takie rzeczy, iż starzy, patrząc, tylko głowami kiwali. Klawicymbału trochę nauczyła matka, trochę Włoch, najwięcej on sam siebie... ale to mu nie starczyło, musiano się postarać o skrzypce. W dziesiątym roku konno jeździł i pływał lepiej od tych, co go uczyli.

W ciągłym ruchu myślą i ciałem, rozwinął się na silnego chłopca, tak, że rówieśnik żaden mu nie dotrzymał. Nic dlań trudnego nie było — aleć wszystko ciekawe. Nienasycona żądza uczenia się i łamania z trudnościami paliła go od dzieciństwa. W kuźni u kowala zachciewało mu się nauczyć władać młotem, gdy sły-

szał kapelę, pragnął zaraz grać — a książka w obcym języku niepokoiła go, póki sobie nauczyciela do niego nie wyprosił. A że ojciec był wszechmogący, że matka była rozkochana w tym cudzie, nazajutrz znajdowano nauczyciela... w tydzień Alojzy szwargotał, a gdy raz przedarł się przez pierwsze trudności, dalej szedł już sam, nie pytając.

Nigdy bardziej rozbudzonego nie widziano umysłu. Strwożeni starzy radzili powstrzymywać młodego szaleńca, obawiając się, aby tak wcześnie rozwijające się władze nie spaliły wątłego stworzenia. Lecz któżby był mógł już naówczas pieszczone dziecię, rozkołysane, wybujałe zmusić do spoczynku?

Dziwna rzecz, całusy i uściski, pochlebstwa jednych, miłość drugich, admiracye i oklaski, co go popsuć mogły, uczyniły tylko rozumnym przed czasem. Poznał ludzi, nim się miał czas w nich rozpatrzyć. Dwór Brühla, jak królewski, dawał mu gotowe próbki wszelkiego rodzaju.

Chłopak wkrótce zdumiewać począł nadzwyczajną trafnością w poznawaniu ludzi.

Słowem, było to istotne cud-dziecię. Na dworze saskim już się z tem oswojono, ale w Warszawie nikt przyszłego pana starosty grodowego nie znał i nie domyślał się. Śmiano się z tego... bębna, przewidując, że chyba z niańką razem na grodzie zasiędzie.

Alojzy miał lat dwanaście. Król reskryptem swym dodał mu wieku, aby mógł rozpocząć urzędowanie. Niepraktykowana to była rzecz naówczas, śmieszna zdala, lecz dla młodego Brühla niemal usprawiedliwiona.

W istocie chłopiec ten i na oko i zblizka mu się

przypatrzywszy, a badając, starszy był daleko od swojej metryki.

Tego wieczoru właśnie, gdy pan podkomorzy Laskowski u Peszla swych znajomych i przyjaciół traktował, w pałacu Saskim, na sali od ogrodu, rzęsiście oświeconej, było u ministra przyjęcie i narada.

Pan wojewoda ruski, mąż powagi wielkiej, ale polityk nie mniejszy, który był się zrzekł warszawskiego starostwa, dla dogodzenia Brühlowi, bo ten na nie zawczasu syna chciał instalować, aby się w łaski obywatelskie wkupił, pan wojewoda mazowiecki Stanisław Poniatowski, całe grono kontuszowych i frakowych panów, wygolonych głów i peruk fryzowanych otaczało ministra, na ten wieczór wystrojonego ze smakiem sobie właściwym. Sala zamkowa na wzór komnat pałacu drezdeńskiego urządzona, acz z daleko mniejszym przepychem, połyskiwała od mnogich świec jarzących, snopami u ścian pozapalanych w bronzowych świecznikach. Jasno-cytrynowe obicie jej jedwabne, w ramach białych i złoconych, odbijało jeszcze blask ten obficie się rozlewający dokoła i łamiący w kilku weneckich zwierciadłach, umieszczonych między oknami. W dwóch kończynach sali, w ramach misternie giętych i przeplatanych złocistymi kwiatów wieńcami, stały dwa wielkie wizerunki Augusta II w płaszczyku królewskim, z buławą w dłoni, i syna jego, za którym ulubiony murzynek niósł szyszak... jakiego on pono nigdy nie włożył na głowę. Szlafmyca była mu upodobaną.

W jednym końcu sali właśnie Brühl, dwaj wojewodowie, kilku Sasów i daleko większa liczba kontuszowych przyjaciół ministra, otaczali młodego pana Alojzego, któremu dawano nauki, jak się dnia jutrzejszego miał znaj-

dować. Dwunastoletni starosta, który jutro, z mocy nadanej mu pełnoletności, miał uroczystą składać przysięgę, acz wzrostem nie dochodził żadnego z tych rozrosłych i barczystych panów, którzy nań z góry osłupiałemi niemal poglądali oczyma, acz w nim dziecko widać było, ze swobodą osobliwszą się poruszał.

Ładna ta laleczka, wyprostowana, z podniesioną główką, z oczyma jasnemi, stała z taką raźnością, rozpatrując się i słuchając, co jej mówiono, tak się uśmiechała rozumnie, iż ci, co ją po raz pierwszy widzieli, ze zdumienia do siebie przyjść nie mogli.

Szatan zdał się siedzieć w chłopcu. Ojciec z tryumfem spozierał na niego, niektórzy z pewnem niedowierzaniem, jakby własnym nie ufali oczom i lękali się, by to widzenie osobliwsze lada chwila nie prysło.

Obraz był do malowania, godzien pędzla Silwestra. Otaczająca młodziuchnego pana starostę grupa na pół ze wschodnim przepychem jaśniejących strojów, w pół z francuskich elegantów złożona, łączyła w sobie jakby dwa światy, które się tu zetknęły i zlały.

Coś jeszcze rycersko-pańskiego widać było na rozlanych już i zmiękłych obliczach szlachty mazowieckiej, zgnuśniałej pod ostatniemi panowaniami; w rysach Brühlów, Flemingów i Vitztumów czuć było cywilizacyę wybujałą i nadwątloną zbytkiem a wytworem. Na czołach podgolonych jakaś zaduma ospała spoczywała, po tamtych igrał dowcip łatwy, myśl żwawa, ale płocha... lekceważenie wszystkiego.

Dwa światy stały tu pojednane z sobą i zgodne, a mimo to jakby do walki gotowe. Tym razem tylko walka nie na pospolity oręż odbyć się miała, choć równie jak od żelaza mogła być krwawą.

W uśmiechu Brühla i jego spojrzeniu widać było pewność zwycięstwa, które miał dać rozum i przebiegłość — na czole wojewody ruskiego, przedstawiającego owo najpotężniejsze w kraju stronnictwo, familię — rzekłbyś, że przy powadze i majestacie zakradła się wiara w rachubę, która umyślnie prostotą i szczerością się okryła. Niktby w nim nie odgadł, że o lepszą walczył z Brühlem i czuł się na siłach pokonać ministra, przecież czasem bystre spojrzenie bodło, jak żelezce, gdy niepostrzeżone poleciało. Gdy w oko patrzali sobie, Brühl był słodyczą samą, pan wojewoda samą prostotą i otwartością. Czy sobie wierzyli, któż odgadnie! ale tego wieczoru byli tak serdeczni, jakby się braćmi rodzili i zbratać jeszcze ściślej żądali. Minister zdawał się nie mieć tajemnic, książę wojewoda dozwalał sobie do dna serca zaglądać. I co chwila książę ściskał hrabiego, hrabia rzucał się w objęcia wojewody.

Radość i wesele panowało powszechne, mówiono otwarcie. Na pokojach też nie było nikogo, oprócz przyjaciół ministra i tych, co mu tu służyli.

Młody chłopak wytrzymał egzamina ojca i przyjaciół jego z aplauzem wielkim. Kazano mu odezwać się po polsku. Choć nieco zarywał z cudzoziemska, nie zmieszany pozdrowił jaśnie oświeconych, wielmożnych i miłościwych panów a braci.

Wojewoda mazowiecki aż go ucałował, a Brühl zapłacił zaraz Poniatowskiemu za syna i do piersi go swej przycisnął. W tej chwili dwóch kamerlokajów w kanarkowej liberyi ze srebrem otwarło drzwi drugiej sali, muzyka na galeryi zabrzmiała marszem i całe towarzystwo do jadalni ruszyło.

Przyjęcie u króla było też królewskie, choć sam

monarcha nie znajdował się w Warszawie i prawa ręka pańska go zastępowała. Było naówczas zwyczajem chwili biesiadowania i miejscu, w którem do uczty przystępowano, nadawać jak największą świetność, jak najwytworniejszą fizyognomię. Zasiadający do jedzenia pasł najprzód oczy widokiem sreber i kryształów, kwiatów i łakoci, które czekały na ostatnie danie, muzyka czarowała uszy, woń napawała powonienie, wszystkie zmysły używały, cała istota ubłogosławiała się rozkoszą i zapominała niemal, że była śmiertelną.

Z takiej uczty wychodził, kto mógł wyjść o swej sile, dziwiąc się, iż na świecie czarno było i smutno, a chłodno. Wielu wśród snu sardanapalowego traciło pamięć początku i końca, pomnąc tylko błogie wrażenia owego raju, z którego wynieśli go hajducy do lektyki lub karocy.

Tego wieczoru kobiet, czarodziejek, któreby urok biesiady podniosły czarnemi oczyma — nie było, za to tem większa panowała swoboda.

A że przyjęcie już szło niemal na rachunek przyszłego starosty, młody Brühl, wedle obyczaju polskiego, nie siadł do stołu i, obchodząc gości, każdemu się z kolei submitował, do każdego coś innym przemówił językiem, wszystkim umiał grzecznością wypłacić za ich uprzejmość.

— Przyznać trzeba — szepnął na ucho książę wojewoda panu Poniatowskiemu — że chłopak istotnie osobliwy. Nowego Mirandola wydała na świat żona ministra. Jeśli pożyje, dojdzie wysoko.

Wojewoda mazowiecki piękną swą twarz zwrócił ku szwagrowi milczący, i ruchem głowy potakiwać się zdawał, ale co oczy mówiły, zgadnąć było trudno.

Po pierwszych kielichach począł się szmer wesoły, niby pszczół w ulu modlitwa, gdy z obfitym zbiorem powrócą; za drugimi śmiechy gdzieniegdzie strzeliły, jak salwy radosne; dalej huk głuchy się rozległ i hałas taki, iż niemal przygrywającą muzykę zagłuszył; wreszcie po pierwszym toaście krzyczeć jęli kontuszowi na całe gardło.

Wtem, jakby mak siał, oczy się zwróciły wszystkie w jedną stronę: śliczna lalka w aksamitach i koronkach wskoczyła zręcznie na krzesło, z kielichem w ręku. Tylko mu było przypiąć skrzydełka, aby do jednego z tych cherubinków był podobny, których z saskiej porcelany kunsztownie lepiono.

— Toast wdzięczności! — zawołał chłopak — łaskawych nad miarę serc panów a braci, którzy nas zaszczycić raczyli.

Reszty usłyszeć nie było podobna, tak huknęli wszyscy, kielichy w górę wznosząc a wołając:

— Starosty naszego zdrowie, wiwat! wiwat in aeternum!

Ogromny szlachcic, jak olbrzym zbudowany, wypił najprzód wino, kielich cisnął o ziemię, potem pochwyciwszy wyrywającego się małego Alojzego, podniósł go w górę, wołając na zabój:

— Wiwat! wiwat!

A że mu się już dobrze kurzyło z czupryny, minister się zląkł, żeby mu i syna o ziemię nie rzucił. Wycałowanego jednak starostę puścił wielbiciel, pomiąwszy go tylko trochę.

Po tym epizodzie uczta się miała ku końcowi, bo nazajutrz siły były potrzebne. Jutro dopiero uroczystością wspaniałą i biesiadą lukullusowską dla całego woje-

wództwa Mazowieckiego odznaczyć się miało. Zapiwszy więc ostatnie „kochajmy się“, zwolna żegnać się zaczęli goście. Dostojniejszych minister, zawsze grzeczny do zbytku, aż do przedpokoju i ganku wyprowadzał.

Starosta też, jak wytrawny gospodarz, nie chybił nikomu, i powagę umiał przybrać taką, iż się jej dziwić było potrzeba.

Po odjeździe wojewody ruskiego, minister wprost z antykamery przeszedł do swoich pokojów. Alojzy, pocałowawszy go w rękę i skłoniwszy się, w drugą stronę wysunął się w towarzystwie mentora, nad którym tak przewodził, iż raczej on się jego uczniem mógł wydawać, niż pan Alojzy jego wychowańcem.

Służba gasiła światło w żółtej sali i wypijała resztki z kielichów zapomnianych na stole, gdy minister szybko wbiegł do gabinetu.

Tu wszystko gotowe było na jego przyjęcie; dwóch lokajów zdjęło suknie, obuwie, wdzieli nań atłasowy szlafrok, uwolnili od peruki, którą lekka zastąpiła czapeczka, fotel znalazł się też, i Brühl, w mgnieniu oka rozebrany, siedział u stolika.

Ruchem ręki dał znać... i znowu na milczące to skinienie posłuszne otwarły się drzwiczki, a w nich pokazała się jedna z tych postaci, które, jak nietoperze, w nocy dopiero na świat wychodzą.

Dla obcych zestawienie z sobą pełnego elegancyi i wdzięku ministra z tym zeschłym człowiekiem niepocześnie ubranym, do jakiegoś świata niezrozumiałego należącym, mogło być niepojęte.

Co Brühl chcieć od niego i mieć z nim mógł wspólnego?

Wchodzący miał lat około pięćdziesięciu, lub mo-

że ich nie miał nad trzydzieści kilka: wieku trudno się było dobadać z twarzy, która nigdy świeżą nie była, a może nigdy młodą, i dlatego też starą nigdy być nie mogła. Jedno ramię wyższe od drugiego głowę z prawej strony zasłaniało. Z bladego oblicza, na którem nie bardzo wydatnie poplątały się nos i usta, marszczki, fałdy i plamy żółciowe, tylko ogromne wypukłe oczy czarne naprzód się i najdobitniej przedstawiały. Zdawało się, jakby nic nie miał prócz oczu i żył tylko niemi. Strój niby polski, szary, skromny, trzymał środek między europejskim a narodowym. Ani szabli, ani szpady nie miał przy boku. Wszedłszy we drzwi, począł się do stolika zbliżać tak cicho, tak nieznacznie, iż go za widmo wziąć było można. Brühl podniósł ku niemu oczy i uśmiechnął się. Gość mu się skłonił, ale bez zbytniej uniżoności.

— Siadaj, panie starosto — rzekł po francusku — bardzo proszę, musimy pomówić z sobą, choć jestem dniem dzisiejszym zmęczony śmiertelnie, choć jeszcze pocztę odprawić muszę, choć mi głowa pęka.

Nazwany starostą wziął krzesło, odsunął je nieco i przysiadł na brzeżku, ale ust nie otworzył.

— Przyjacielu — odezwał się Brühl z gorączkowym pośpiechem — przyjacielu, bo ci to imię należy, mów, mów mi otwarcie. Nie wiem jak rzeczy stoją. Na oko wszystko idzie jak z płatka, lecz właśnie, gdy się tak dzieje, najwięcej się trwożę. Nie dowierzam nikomu.

F a m i l i a jest mi zupełnie oddana. Widzicie, co książę wojewoda uczynił dla Alojzego, on i Poniatowski na rękach go noszą, służą mi... słowem...

— Słowem — odezwał się cichym bardzo, ale wyraźnym głosem starosta, który rękę z palcami suchymi

podniósł i w powietrzu trzymał zawieszoną — słowem chcą Waszą Ekscelencyę wziąć, pozyskać, związać wdzięcznością i panować w Rzeczypospolitej.

Familia jest potężna, a każda potęga straszna.

Brühl zamilkł chwilę.

— Sądzicież, iż ja tego nie widzę i nie rozumiem? Lecz oni mnie, ja ich potrzebuję, służymy sobie wzajemnie, bronić się musimy i popierać, pakt jest obustronny.

— A tak — odrzekł starosta — z tą tylko różnicą na niekorzyść Waszej Ekscelencyi, że oni są w domu, a hrabia, obcy zawsze, zajęty Saksonią, musisz być na ich łasce.

— Nie zapominajcie o tem, że ja i król, pan mój najmiłościwszy, jesteśmy jednem, i że, gdybym w obronie praw moich potrzebował sprzymierzeńców, znajdę ich zawsze... w nieprzyjaciołach familii.

— Na tych nie zbywa — szepnął starosta — ale któż ich zbije pod jedną chorągiew? to trudnoby było Waszej Ekscelencyi. W tym kraju, który ja, jako z Prus doń należący, swoim nazywać muszę... jest niemal tyle obozów, ilu ludzi... Zowiemy się braćmi, ale jemy, jak wilcy...

Brühl nie zdawał się słuchać z wielką uwagą.

— Powiedzcież mi, co szlachta prawi na to, co się jutro odbywać będzie?

— Mam prawdę rzec? nieprzyjemne rzeczy... Pryskają strasznie, ale bo też niewidziana się stanie osobliwość, tam, gdzie pod wąsem młodzież od ojców batogi bierze, by dwunastoletni chłopak starej szlachcie przewodził. Nie w smak to naturalnie.

Brühl dumnie jakoś podniósł głowę.

— Mój starosto — rzekł — jedno na moją ekskuzę mogę powiedzieć: chłopiec dojrzalszy jest, niż niejeden wasz zadomowiony szlachcic. Zobaczycie go jutro, ani chybi. Mazury go na ręku nosić będą.

— A, wróciwszy do domu, dziwy prawić i wymyślać.

— Cóż mi to szkodzi? — dodał Brühl. — Chłopak powoli dorobi się miłości u ludzi. Sprytu ma dosyć, puszczę go w świat jeszcze, aby się uczył i przecierał, tu go podstarości i urzędnicy zastąpią. Bądź co bądź, stosunki w Polsce utrwalić muszę, z Alojzego zrobię szlachcica i pana polskiego, córki wydam za magnatów. W złym razie, gdyby Saksonię choć chwilowo losy ciężkie spotkać miały, znajdziemy tu przytułek i ojczyznę.

Spojrzał na starostę, który rękę na poręczy krzesła coś wygrywał palcami.

— Niepewny grunt, trzęsawisko — odezwał się zcicha — radzę ostrożność... a familii nie zawierzać i jej się nie spowiadać z niczego. Jeśli się nie mylę, a nie sądzę, bym mógł się mylić, zamiary jej i plany sięgają daleko... wysoko. Któż wie? aż do tronu może. Oni potrzebują tu ładu, rygoru, porządku, którego niema... Waszemi rękami anarchię pogrzebią, a gdy wy im do tego dzieła pomożecie, dla was wpływu wszelkiego zaparta zostanie droga. Naówczas oni panować tu będą.

Brühl się rozśmiał.

— I wy myślicie, że ja w Rzeczypospolitej ten ład zaprowadzić dozwolę? Bardzo dobrze rozumiecie, czego chce familia, muszę jej do czasu ulegać i iść z nią razem... lecz... nie przejdę granicy... Idąc razem, wiem drogę...

Starosta spojrzał ironicznie.

— Myślicie, że oni się wam z niej wyspowiadają, albo pójdą tak prosto, aby ją było można odgadnąć?

— Mój starosto — dodał Brühl — wiedzcie jedno: ja nikomu nie ufam, nikomu nie wierzę i niczem się nie wiążę. Kajdan nigdy nie nakładam sobie; polityka moja, znacie ją, tak prosta, jak tylko być może. Patrzę, skąd wiatr wieje, co dzień każdy przynosi, i z dniem każdym ster i żagiel odmieniam... Ja w żadne systemy nie wierzę.

To mówiąc, wstał Brühl.

— Jak wy jesteście u familii?

— Ja, mały, nieznaczny człeczek? ja? nikt tam na mnie nie patrzy. Głupiego udaję, z tem mi najlepiej... Ale familia szlachtę choćby pruską i inflancką... zna tak całą, że jej koligacye na pamięć umie, więcem nie obcy. Z tradycyi jesteśmy dobrze... w teraźniejszych czasach neutralnie...

— Nie zaniedbuj ich! — szepnął Brühl. — A z Potockimi i Radziwiłłami...

— Wsunę się ja wszędzie, gdzie potrzeba — rzekł starosta.

Brühl mu rękę podał.

— Bądźcie mi przyjacielem, nie zawiedziecie się — rzekł cicho. — Jużbym wam o to teraz, gdy koło Elbląga coś zawakowało, służył, a nie mogę! nie mogę! Zdradzę siebie i was, gdy przywilej otrzymacie, a nam się z sobą znać nie trzeba, abyście mi byli użyteczni...

Oczy starosty zrobiły wyraziste pytanie, jakimżeby sposobem nawzajem minister przyjacielowi chciał być użyteczny? Brühl to zrozumiał.

— Co do mnie — rzekł — będę się wam wywdzię-

czał nie honorami, ale brzęczącą monetą. Za starostwo, którego nie daję, zapłacę.

Skłonił się gość dosyć nizko.

— A teraz — począł Brühl, zbliżając się do niego — jutro... starajcie się mojemu chłopcu pomódz, gdyby szlachta mruczała. Wy to potraficie. Mam was uczyć? A! tego nie potrzebujecie. Koligacye macie na Mazurach, wmieszajcie się w tłum i narzekajcie najprzód na taką egzorbitancyę, na nadużycie, na eksces prepotencyi. Zwolna może was młody chłopak skonfiskować, nawrócić. Za wami pójdą drudzy.

Rozśmiał się Brühl.

— Chcąc dobrze zrobić, nie dosyć gardłować, trzeba umieć do przekonań trafić, a któż to lepiej, niż wy, potrafi?

— Hm! — szepnął starosta — nawróci najlepiej wiecie co? Pieczeń dobra i wina w bród... to argumenta, którym się mało kto oprzeć może. U nas do przekonań droga najpewniejsza przez żołądki...

— O! o to bądźcie spokojni — przerwał Brühl — na jutro są wydane rozkazy. Nie zabraknie wina, choćby się kąpać w niem chcieli... Chłopak mój dobrze wystylizowany, do serc obywatelskich też przemówić i insynuować się potrafi. Mówię wam, panie starosto, takiego dziecka drugiego na świecie niema, nie dlatego, że ono moje, ale że istotnie cudowne!!

— Niechże mu pan Bóg da długie życie i sukcesa — zamknął, kłaniając się, skrzywiony starosta. Brühl podał mu rękę. Prawie niedosłyszane drgnienie dzwonka przywołało sługę, który gościowi drzwi otworzył. Postać ta dziwna, cicho znowu stąpając, prześliznęła się przez pokoje już ciemne, okryła w antykamerze opoń-

czą, szwajcar drzwi jej otworzył... i znikła w ciemnościach nocy, jakby one ją pochłonęły. W tejże chwili drugie drzwi gabinetu Brühla otwarły się, i saski sekretarz, z uśmiechem na ustach, z teką pod pachą wszedł z listami z Drezna. Nocnych ptaków i przyjaciół niewidomych, jak ów starosta, Brühl miał całe poczty na usługi, nie znał ich nikt oprócz niego, a na pokojach ledwie im głową skinął zdala minister, jakby sobie postaci ni nazwiska nie przypominał.

III.

Dzień drugi września 1750 r. był jeszcze tak piękny, słoneczny i ciepły, iż przyjaciele pana podkomorzego Laskowskiego, przed którymi rychłą zmianę aury prorokował, spotkawszy go rano, wracającego ze mszy od reformatów, z fałszywego prognostyku głośno acz grzecznie się naśmiewali.

— Czekajcie acaństwo do zmiany lunacyi — odparł spokojnie Laskowski — zobaczycie, co ta powie. Tertia, quarta qualis, tota lunatio talis... to nie chybi. Tandem, proszę o cierpliwość, czas okaże, czyje będzie na wierzchu!!

Z tego pięknego dnia korzystała Warszawa, bo miał być uroczystym, a niemałą obudzał ciekawość. Od rana roiły się ulice, szczególniej po drodze od Saskiego pałacu do królewskiego zamku, którędy młody starosta wjazd swój miał odbywać. Obrząd ten nie był żadną osobliwością, gdyż ktokolwiek wysokie zasiadł krzesło,

wjeżdżał zawsze pompatycznie na swą stolicę. Odbywali wjazdy wojewodowie, kasztelani, starostowie, wjeżdżał prymas i biskupi. Kawalkata i dwór wedle przemożności i dostojeństwa się składały, mniej więcej licznie, bogato, strojno i złocisto. Nie szło o przepych, którego się ludzie napatrzyli, ale o ten pierwszy wypadek, jakiego ludzie nie zapamiętali, o jakim nikt nigdy nie słyszał, ażeby dwanaście lat mające chłopię, przez osobliwą fikcyę uznane pełnoletniem, urząd tak znaczny, od którego mianowanie starościńskich urzędników zależało, funkcyę tak ważną miało sobie powierzoną. Gdy po raz pierwszy o tem mówić zaczęto, nikt wierzyć nie chciał, śmiano się, jak z plotki i potwarzy, aż rzecz, z ust do ust szydersko podawana, jakby cudem się sprawdziła. Przyjaciele dworu i Brühla byli w niemałym kłopocie, jak ten krok wytłómaczyć, niby na wypróbowanie cierpliwości i na urągowisko postawiony. Dnia też tego, gdy napewno już po królewskim dekrecie wjazd się miał odbyć uroczysty, co żyło, chciało być jego świadkiem.

Kto nie mógł na salę do zamku się docisnąć, bo tam i na dole i na galeryach miejsc zabrakło, ten choć w ulicy wcześnie starał się w pierwszym stanąć rzędzie, aby na oczy widział... uprzywilejowanego — b e r b e c i a. Tak szlachta niechętna przezwała swojego starostę. Rozumniejsi i ostrożniejsi nie śmieli ust otworzyć, bezczelniejsi bronili zręcznie ministra, ogół śmiał się i sarkał, aż uszy więdły.

Przyjaciele ministra, rozsiani umyślnie pomiędzy tłumami, aby opinię publiczną sondowali, stali kwaśni i zafrasowani, nie szły argumenta na obronę. Ludzie, do

pana skarbnika Zagłoby podobni, mieli wątek doskonały do wyśmiewania się z Sasów i ich regimentu.

Dzień był na przekorę przepowiedniom piękny, ciepły, słoneczny, niebo nawet sprzyjające ministrowi w godową się szatę przybrało. Na drzewach, choć pożółkłe, jeszcze przymrozkami nie zwarzone trzymały się liście zielone. Można się jeszcze było jakby przedłużonem łudzić latem.

Z województwa Mazowieckiego szlachta de jure dostała się na zamek, wcisnęło się i suciej poubieranych z różnych innych kraju części sporo. Dziedzińce były nabite, schody i korytarze pełne, plac przed zamkiem napchany. Mieszczaństwo zalegało ulice, w oknach pootwieranych kamienic widać było postrojone kobiet głowy i piętrzące się twarzyczki. Wszystkim wesoło z oczu patrzało, jakby się śmiać chcieli.

Już tłum zalegał wszystkie przejścia, gdy z Krakowskiego Przedmieścia ukazał się z trudnością przedzierający powóz poszóstny. Ludzie, znający się na ceremoniale, łatwo odgadli, iż nie należał do orszaku starosty, który jeszcze był z Saskiego pałacu nie wyruszył. Domyślano się, iż jeden z panów dążył snadź na zamek, aby być świadkiem uroczystego aktu. Woźnicy szło trudno, palił z bata, krzyczał: — z drogi! — a gęsta ciżba jakoś mu się nie ustępowała.

Nie miano poszanowania dla możnego pana, choć kareta, konie i ludzie przy niej świetnie wyglądali. Chomąta lśniły od srebra, kareta od pozłoty, liberya od galonów. Przez tafle szklane karety, malowanej jaskrawo, widać było w środku mężczyznę, młodego jeszcze, w peruce fryzowanej misternie i orderze Orła Białego, piękną kobietę z głową wysoko w loki i sznury pereł

ubraną, a pomiędzy niemi dwojgiem dzieweczyneczkę śliczną, we włosach długo na ramiona puszczonych, z twarzyczką wdzięczną, uśmiechniętą, uradowaną... do aniołka podobną.

Dziewczę mogło mieć ledwie lat osiem, ale miłość rodzicielska ustroiła je już na wielką panią, a szczęście rozwinęło nad lata. Rączkami w rękawiczkach pozapinanych aż po łokcie klaskała z radości, na wszystkie strony zwracając główkę. Kto z tłumu zobaczył tę śliczną twarzyczkę, uśmiechnął się jej i pokłonił, ona też uśmiechem, główką i pocałunkiem od ust paluszkami odpowiadała. Rodzice patrzyli z rozrzewnieniem na swą pieszczoszkę. Kareta sunęła się tak zwolna, że dziewczę mogło się i napatrzyć, i nakłaniać.

Na drzwiczkach powozu i na uprzęży widać było krzyż Potockich, ale pomiędzy mieszczaństwem mało tam kto pamiętał herbu, choć ich na liberyi prymasa Teodora napatrzyć się mogli, więc pytali jedni drugich, co było za państwo i czyja śliczna dziecina?

Właśnie kareta sunęła się około gromady szlachty, w której pan skarbnik Zagłoba przewodził i po swojemu przedrwiwał, gdy ktoś mu huknął w ucho:

— A toż kto taki? kto taki?

Skarbnik, któremu łatwo się na żart zbierało, zobaczywszy w karecie główkę wdzięczną dzieciny, zawołał głośno:

— Czapki w górę! czyż nie widzicie? To pani starościna warszawska! Czyście ślepi? Starosta, którego pełnoletnim uczyniono, wnet z tego będzie korzystał, więc mu żonę wiozą, do wieku jego właściwą. Huknijmyż jej wiwat!

I sam pierwszy stary skarbnik rękę z czapką futrem okładaną wysoko wyciągnął w górę, wołając:

— Wiwat pani starościna!

A za nim drudzy, choć nie rozumieli dlaczego i po co, poczęli krzyczeć:

— Wiwat starościna warszawska!!

Ze śmiechem rozległo się wołanie. Siedzący w karecie zdziwili się i zmieszali. Mężczyzna poczerwieniał i pobladł, rzucił się, żona go powstrzymała, bo się rwał do tafli, i byłby się może na słowa rozprawił z wesołą gawiedzią. Kobieta cofnęła się w głąb powozu, unikając oczu, ale dziewczę, które to bawiło, klaskając w rączki, okrutnie uradowane — dziękowało.

Nieprzyjemna ta scena uliczna byłaby się może nad miarę przeciągnęła, gdyby w tej chwili stangret nie smagnął koni i tłum się szerzej nie rozbił na dwie strony, tak, że kareta, szybko podążając ku zamkowi, z oczu ciekawych znikła. Ścigały ją wszakże okrzyki jeszcze i nie prędko się uciszyły, a mieszczanie, którym się po mianowaniu dwunastoletniego starosty zaślubienie go z ośmioletnią panną nie zdawało już niczem nadzwyczajnem, święcie nawet uwierzyli, iż starostę żenić miano.

— Komedya, mosterdzieju! — wołali niektórzy.— Historye! — mówili drudzy. — Dziwowisko — krzyczeli inni. Skarbnik, który się znalazł tak dowcipnie, usta wykrzywiwszy, tryumfował.

— Panie skarbniku — trącając go w ramię, ozwał się Laskowski, który niedaleko stał — a czy się to godziło pana cześnika koronnego podawać w pośmiewisko! A czy się godziło! Wszak to wnuk Stefana i prymasa...

— A cóż mu się stało? — bąknął skarbnik —

z takimiśmy go honorami przyjęli, jakich się ani spodziewał.

— Zabawna fikcya wasza — dodał Laskowski — pójdzie z ust do ust... i dojdzie do uszu Potockiego, a miłą mu nie będzie, choćby dlatego, że żona, którą widzieliście właśnie, jest córką księcia Sułkowskiego z Rydzyny, onego to, co go Brühl wygryzł z łaski króla JMci.

— Albom ja o tem wiedział! — rzekł skarbnik pół żartem, pół seryo. — Przyznacie mi, że za domysłem moim wszelkie było prawdopodobieństwo. Dla starosty berbecia... żonę jakby ulał... A śliczne dziewczę...

— I rozniesie się to — szepnął Laskowski. — Ktoś się wygada, żeście to wy sobie tak zadrwili.

— Wyjdę jeszcze na dowcipnisia na starość! — ręką potrząsając i kończąc rozmowę, dodał skarbnik — w istocie klęska to, bo mi się dowcipu ludzie będą dopominali, a jam go i niewiele miał, i, jak rak, dawnom się z niego wyszeptał.

Tu się wszelkie przerwać musiały rozmowy... w tłumie poszedł szmer jakiś i wszystkie głowy zwróciły się ku pałacowi Saskiemu. Starościńska kawalkata właśnie z bram jego się wysuwała. A było na co patrzeć... tembardziej, że nie po polsku to wyglądało, ale zupełnie z niemiecka i cudacznie.

Szła tedy najprzód muzyka królewska, przed którą ogromny drab kijem sążnistym wywijał; dalej jechali całym pocztem w liberyi galonowanej dworzanie, z kitami piór u kapeluszów, za nimi dopiero poczynał się szereg nieskończony karet dworskich, pańskich, przyjacielskich... wśród których jedna pozłocista cała, otwarta, niosła wystrojonego niebiesko, w peruczce i kape-

lusiku pana starostę warszawskiego. Tę otaczała straż starościńska nanowo uformowana i przybrana kanarkowo z niebieskiem, w kapeluszach czarnych z galonkami srebrnymi, w ładownicach czarnych, pasach białych, przy szablach, z karabinami i bagnetami. Po drodze mieszczanie poznawali w tych zniemczałych żołnierzach starościńskich swych dobrych towarzyszów, i śmiali się im w oczy z ich stroju. Ci, zmuszeni do powagi, bo pod bronią parsknąć nie śmieli, wielką mając ochotę sami drwić z siebie, dziwnie gęby kręcili, aby się nie dać spokusić do śmiechu.

Oddział gwardyi saskiej, w której młody Brühl już był pułkownikiem (a oprócz tego i szambelanem ojca chrzestnego), oficerowie, drabanci, hajducy i różne tałałajstwo saskie ogonem długim za paniczem się ciągnęło.

Nigdy wspanialszego ale zarazem dziwaczniejszego wjazdu nie widziano.

Stojący na kupie kamieni pan skarbnik patrzał cum debita reverentia na to wszystko, a że mu Laskowski drwić zakazywał, mówił z powagą:

— Co teraz, to już wierzę, iż Brühle z Ocieszyna pochodzą... zaraz to widać z kroju i stroju... Niema wątpliwości. Boć to wiadomo, że szlachcic polski strój chętliwie zmieniał dla przypodobania się. Za Walezego po francusku, za Batorego po węgiersku, za tureckich i tatarskich wojen nosiliśmy się z turecka i z tatarska, logicznie tedy dziś trzeba było wdziać żółte fraki i trupie włosy na głowę, kiedy Sasi to czynią. Peruka zresztą zdrowa rzecz, zwłaszcza zimą w kościele od kataru...

Gdy się to działo w ulicy, na zamku witano pana

starostę. Chciano się śmiać z wyrostka, a trudno było. Szalony chłopak tak raźno i z gęstą miną wszedł na salę natłoczoną, i z taką swobodą stanął przed panem wojewodą mazowieckim Stanisławem Poniatowskim, tak się umiał cale nie zmieszać ani ironicznymi twarzy otaczających wyrazami, ani szmerem dwuznacznym, iż — spoważnieli wszyscy. Ciekawość wypiętnowała się na obliczach.

Chłopak stanął do przysięgi, ale onego czasu bez mowy nie obeszło się nic, a wojewoda też stał przy tem, aby przytomnym panom a braci wyłożyć tę tajemnicę łaski pańskiej, przez jaką młody Brühl — nagle lat doścignął... choć ich nie miał...

Mowa pana wojewody była arcydziełem kunsztu... nic z niej naprawdę zrozumieć nie było podobna, oprócz tego, że wielkie zasługi ojca, spadając na syna jak słoneczne promienie... dojrzałym go czyniły... że szlachcie wypadało czuć się wielce zaszczyconą, iż syn takiego męża zawczasu zasługiwać się jej pragnął i t. p.

Argumentów potężniejszych nie było, ale wymowa nie na nich się zasadza. Logika mała rzecz, rozsądek pośledni, leży wszystko w deklamacyi i entuzyazmie. Największą niedorzeczność gdy orator subtelny wyrzecze kunsztownie, gorąco, ogniście, a huknie, a stuknie, a oczy wywróci, a westchnie — tłum się mu da porwać i zanieść, kędy zapragnie.

Wprawdzie, gdyby nastąpiła replika równie rozżarzona i nie mniej wydeklamowana, ręczyć nie można, aby i jej nie przyklaśnięto, a raczej można być pewnym, iż pogrzebłaby poprzedniczkę... ale — bodaj to umieć mówić!...

Dlatego Cycero i Demostenes takich dokazywali

cudów, mieli czy nie mieli słuszność, i dlatego dawniej po szkołach taką do retoryki wagę przywiązywano. Wielkim mówcą nie mógł się nazwać wojewoda mazowiecki, lecz go uroczystość dnia tego, miłość dla Brühla i wyraźne instrukcye familii inspirowały... Nie zważano wiele na słowa, z dala po sali takie rozchodziło się echo... tak falował głos, to się podnosząc, to zniżając dramatycznie, że szlachta jakby po węgrzynie czuła się upojoną... Aplaudowano...

Młody starosta głosem jasnym i dźwięcznym złożył przysięgę naprzód... Zdumiano się, jak gładko i ślicznie to dopełnił, a nawet z niewidzianą przy juramentach elegancyą.

— Kawaler co się zowie! — szeptały Mazury.

Lecz — po przysiędze dopiero czekał nań szkopuł, o który się wszystko rozbić mogło — i złośliwsi sądzili, że rozbije... Komu się jednak szczęści, temu wszystko na dobre wychodzi.

Starosta, dziękując, musiał palnąć mowę. Tu był sęk... Nastawiono uszu. Spodziewano się jej jak z seksterniczka... z cudzoziemska i nie do rzeczy...

Nieprzyjaciele cieszyli się zawczasu. Elegancya w juramencie uchodziła, w mowie do szlachty trzeba było zrozumiałego dla niej użyć języka, zwrotów, tradycyjnych niemal frazesów, na które jak się mógł zebrać paniczyk?

Stał się cud — Brühl obrócił się twarzą ku publice i począł... Szatan mu chyba szeptał... bo mówił z pamięci, ze swobodą największą i takiemi słowy, że wprost za serce chwytały... Począł od podziękowania Majestawi, dalej panu wojewodzie, następnie wszystkim przy-

tomnym a łaskawym panom a braci, skarbiąc sobie miłość ich i względy.

Jak musztardą posypana była mowa łaciną, wyglądały z niej znane owe a ulubione dicta, mądrość wieków i tradycye Rzeczypospolitej szlacheckiej. Starzy się aż popłakali...

Przyszło do nominacyi urzędników grodzkich, których wybór był szczęśliwy i umiejętny.

Rosła w Mazurach miłość do pana starosty, rósł i on sam w ich oczach... Cóż dopiero, gdy, konkludując szczęśliwym zwrotem swą oracyę i polecając z pokorą służby powolne szlachcie, ozwał się z zaproszeniem obecnych wszystkich na „ów chleb przyjacielski“, o którym już nie wątpiono, że suchy nie będzie...

Gdy skończył, uniesienie nie znało granic; żartownisie i niechętni umilknąć musieli, a na złeby było wyszło każdemu, ktoby naówczas lekceważąco o panu staroście się odezwał.

Wnet go, winszując, obstąpiono, ściskał pan wojewoda Poniatowski, całował wojewoda ruski, z kolei ściskali i obejmowali kto żył i dostąpił, tak, że mu koronki pomięto, suknie pognieciono, fryzurę poplątano, a dobrze jeszcze, iż go na barkach nie wyniesiono z sali. Szlachta, wiedząc, iż w takich razach do stołów docisnąć się niełatwo, natychmiast rzuciła się ku otwartym salom, w których sześć ogromnych na nią czekało podków.

Honoratiores pozostali trochę, otaczając młodego i starego Brühla... Naówczas to ktoś, spostrzegłszy państwa cześnikostwa Potockich na galeryi, rozpowiedział na ucho aż tu doszły żarcik czyjś z powodu ukazania się pięknej Maryni. Podniosły się ku niej oczy; mini-

ster, który dla Sułkowskiej grzeczniejszym chciał być, niż dla kogokolwiekbądź innego, bo dla jej ojca był niegdyś zbytecznie grzecznym także, z żartu biorąc asumpt, starostę posłał prosić państwa cześnikostwa koronnych do stołu.

Młody Brühl, poprawiwszy stroju, z właściwą sobie zręcznością i swobodą pobiegł na galeryę, spełniając ojca rozkazy. W dwunastym roku był już takim dla kobiet galantem, jakby od urodzenia ćwiczył się w tej sztuce. Państwo cześnikostwo siedzieli, czekając aż się tłum rozpłynie... gdy ładny chłopak stanął przed nimi...

Oczka małej Maryni, ciekawe i po dziecięcemu śmiałe, spotkały się z jego wejrzeniem...

Dziecinny ten wzrok miał jakąś siłę cudowną... oczy przemówiły i dwie dusze się zrozumiały...

Brühl się uśmiechnął do Maryni, mała Potocka dygnęła mu, jak poważna dama. Starosta zapomniał o swem dostojeństwie i o tem, z czem przyszedł — dopiero po chwili, gdy ten urok ominął, zwrócił się ku państu cześnikostwu.

Z panem Ignacym Potockim łatwiejszaby może była sprawa, ale Sułkowska wychowała się, wyrosła w nienawiści do Brühlów, brzydziła się nimi, nie cierpiała ich. Znalazła się tu tylko, aby wyszydzić scenę śmieszną.

Na widok chłopaka, który z największą uniżonością, komplementem francuskim zapraszał państwo cześnikostwo, aby mu zaszczyt uczynili i raczyli przyjąć udział w uczcie, twarz pani pobladła, brwi się zmarszczyły, usta wydęły, a że mała Marynia wciąż się do starosty uśmiechała, chwyciła ją matka za rękę i zmu-

siła ustąpić. Suchym i zimnym głosem podziękowano i odmówiono.

Maryni w oczkach łzy stanęły.

Brühl westchnął, rękę położył na piersiach, skłonił się nizko, nalegać nie śmiał. Na drodze stała zasmucona Marynia, chłopak pochwycił jej maluśką rączynę i pocałował. Matka się zarumieniła. Starosta zniknął, państwo Potoccy natychmiast odjechali do miasta.

Są w życiu chwile, które się na zawsze w pamięć wrażają, są wejrzenia, które w ciemnościach świecą, są sympatye, których nie zrywają lata, są może istoty dla siebie stworzone. Któż to zbada? Mały Brühl zbiegł ze schodów z obrazem Maryni, a dziewczę zadumało się dziwnie, myśląc o ładnym, maleńkim staroście, który tak ślicznie ją w łapkę pocałował.

Ministrowi wszakże przykro się zrobiło, iż państwo cześnikostwo odmówili. Ktoby był zajrzał w jego duszę w tej chwili, znalazłby w niej może myśl, z której się sam sobie spowiadał: — Znajdę ja kiedyś drogę do Sułkowskich i Potockich...

Tymczasem na salach zamkowych brzmiała królewska muzyka i szlachta tłumnie obsiadała stoły pozastawiane w podkowy, grupując się wedle ziem, powiatów, koleżeństwa, pokrewieństwa i rozmaitego powinowactwa z ducha i ciała. Przyjęcie było królewskie i Brühlowskie, to dosyć powiedzieć, obrachowane tak, aby zadziwić, natchnąć poszanowaniem, rozrzewnić, nakarmić i upoić. Kamerlokaje cytrynowi, fioletowi, piaskowi, karmazynowi, w srebrze i złocie. Hajducy, służba wszelka, murzyni, turcy, nieśli wysoko ponad głową, podnosząc ogromne misy srebrne, z których się woń rozchodziła szeroko. Na białych, jak śnieg, obrusach

świeciły wazony porcelanowe, kryształy, zwierciadła, szeregi całe figur srebrnych, zdających się przed gośćmi tańce zawodzić. Kielichy wszelkich rozmiarów napełniały kredensy, na których srebrne oksefty czekały tylko, aby im złoty nektar strugą puścić kazano. Przepych był niezmierny, a kilku przyjaciół i dworaków Brühla, pełniących funkcye wicegospodarzy, od pierwszej chwili rozpoczęło pielgrzymkę do koła stołów, rozsadzając szlachtę, nalewając kielichy, animując, aby każdy o sobie i o sąsiedzie pamiętał.

Co większa, sam Brühl ojciec i syn, nie siadając do stołu, poczęli też zaraz obchodzić biesiadników, co kilka krzeseł czyniąc stacyę, podając ręce, submitując się, posługując i zyskując sobie uprzejmością niezmierną serca obywatelskie.

Nie pilnowano wcale w przyjęciu, czy kto do województwa należał, kto był i skąd pochodził, jak na ucztę ewangeliczną ściągano niemal z ulicy, byle kto na szlachcica wyglądał. U stołu dopiero wielu ojcu i synowi się przedstawiało.

Obiad był obmyślony z kunsztem i znajomością wielką charakteru i żołądka narodowego. Dać było ichmościom pulpety delikatne, do których poufałości nie mieli, ani znajomości z nimi, byłoby może wywołało przycinki. Kucharz więc pomieszał półmiski szlacheckie z pańskimi, bigosy z pasztetami, zrazy z siekanemi wątróbkami, zamorskie delikatesy z rodzimą strawą. Była i sztuka mięsa z kwiatkiem, i flaki z imbierem, i pieczone bażanty z królewskich łowów, i jelenie, i jarząbki... ogórki i pomarańcze. Każdemu więc smakowi stało się zadość, wszelkiej ciekawości i fantazyi.

Nalewano też tak troskliwie, że kieliszek żaden

przez jedną sekundę nie stał próżny. Czatowali nań opatrzeni w gąsiory słudzy, a skoro któremu zabrakło w nich cieczy, wnet na dany znak od beczki leciała w pomoc zapaśna brygada. Gdy pierwszy toast za zdrowie króla jegomości, a potem duchowieństwa i senatorów wypito, sypnęły się jedne po drugich wiwaty, którym za każdym razem trąby wtórowały. A że stoły nie wszystkie z sobą były w związku, pito u jednych inne, u drugich różne zdrowia, jak komu fantazya przyszła. Z rozkazu ojca, młody starosta z kieliszkiem w ręku, mając za sobą piwniczego, który zafarbowaną nalewał go wodą, szedł od jednej do drugiej gromady, z każdą z nich trącając się, ściskając, wzajem grzecznościami obsypując i pijąc ochoczo.

To mu pono najwięcej serca zjednało.

— Wielkich nadziei młodzieniec! — mówili starzy, tak się już dziś akomodować umie! ho! ho! pójdzie wysoko w obywatelstwie!

Pana podkomorzego Laskowskiego wciągnął Mazur mu pokrewny; Laskowski niemal gwałtem zmusił skarbnika, aby mu towarzyszył. Wzdragał się stary zrazu, aż złośliwa ciekawość przemogła.

Siedli więc jakoś razem: podkomorzy, skarbnik, Kostrzewa, Ocieski i Babiński.

Zagłoba po cichu drwić począł, ale rozpatrzywszy się po ludziach, rozsłuchawszy w mowach, ustał prędko. Nie jadł wprawdzie i kieliszka swojego nie ruszył, bo mu się ni jeść ni pić tego chleba i wina nie chciało. Twarz jego wyrażała politowanie jakieś i smutek. Ręce założywszy na piersi, poglądał na sąsiadów, a wzrok jego ziębił, na kogo padł.

Laskowski mu aż szepnął:

— Z waćpana turbator chori, drugim odejmujesz humor i apetyt. Juściż kto w gościnę idzie, ten wszystkie jej następstwa akceptuje.

— Hm, jam tu raczej spektatorem, niż gościem — rzekł Zagłoba — a z rana z mojej faski bigosu zjadłem i wodym się napił. Dosyć mam.

— Co mu jest? — pytali drudzy — malkontent jakiś.

— On taki zawsze był i jest — szepnął podkomorzy — dać mu pokój, powoli się wysapie.

Uczta była w połowie już, a pan skarbnik postępowania swojego nie zmienił wcale; przestano też i zważać na niego w końcu, gdy się humory coraz poprawiać zaczęły, a kielichy wypróżniać. Zagłoba należał, jeśli nie dostojeństwem to wiekiem i powagą charakteru do najwydatniejszych osobistości. Nie pokazywał się on często w stolicy, nigdy na dworze, u możnych na pokojach, kędy o łaski żebrano, nie zjawiał się też nigdy, ale gdy szło o to, aby kogo na posła prowadzić, umysłami pokierować, kłaniali mu się i panowie, jednając go sobie. Znał go też niejeden z tych, co u wyższego końca siedzieli.

Jak się to stało, wypadkiem czy z rachuby, nie wiadomo, dosyć, że znany dobrze skarbnikowi pan Żebrzyński, podżyły człek, powinowaty mu nawet przez babkę, niegdyś z nim zażyły, dziś do dworu nowego starosty należący przez jakąś osobliwszą konjunkturę, stanął nagle przed nim, i to nie sam, ale poza sobą wiodąc młodego Brühla z nalanym kielichem.

— Panie skarbniku — zawołał, klepiąc go po ramieniu — oto solenizant nasz dzisiejszy, spes magna, młodzieniec, na którego ojczyzna rachuje, umiejący szanować zasługi i dostojeństwo charakterów, których le-

piej niż w osobie twej uczcić nie może, chce wasze wychylić zdrowie. Jakkolwiek widzę, że nie pijesz, dziś się mu odmówić nie godzi.

Skarbnik odwrócił się: za nim stał galante uśmiechnięty, ze swą wesołą i dowcipną twarzyczką młody Brühl, z oczyma jasnemi, z kieliszkiem w ręku, który ku skarbnikowi wyciągnął.

Wnet i jemu nalano. Rad nie rad stary drżącą ręką musiał ująć szkło, a Brühl, zbliżywszy się doń, zawołał, jakby stary wyjadacz, co dziwnie od młodej jego twarzy i postaci odbijało:

— Szczęśliwym się poczytuję, że tak powszechnie szanowany i wielbiony z cnót swych obywatel raczył mnie zaszczycić, przyjmując miejsce u przyjacielskiego stołu. Radbym na jego łaski zasłużyć, i wpraszając się w nie, niechaj mi wolno będzie wychylić ten kielich za zdrowie i sukcesa, za powodzenie wszelkie pana skarbnika dobrodzieja i całej jego rodziny.

— Wiwat! — krzyknięto dokoła. — Wiwat! — Brühl podał rękę, gracko kielich spełniając; skarbnik nie wiedział już sam, jak kielich dziękczynny do dna wysączył.

— Proszę być łaskawym na mnie — dodał, kłaniając się, starosta i odszedł.

Skarbnik stał, jak słup.

— Ot to go z mańki zażyli! — rozśmiał się Laskowski — byłby z kamienia, gdyby go to nie poruszyło.

Rzeczywiście, jak nań podziałała ta grzeczność, nie wiadomo, ale Zagłoba się rozruszał i, zobaczywszy kielich przed sobą nalany, drugi wypił z roztargnienia. Przyniesiono właśnie sarninę, obudzony winem znalazł się apetyt, wziął dobry zraz i powtórzył.

Ze złego humoru zostało tylko zafrasowane milczenie.

— To ten furfant Żebrzyński, co się całe życie wszystkich klamek czepia, tego mi piwa i konfuzyi nawarzył — w duchu rzekł skarbnik — gdybym go we cztery oczy pochwycił, dałbym mu dopiero.

Niedługo na to czekać potrzebował, bo młodego Brühla o kilka kroków odprowadziwszy, Żebrzyński się zawrócił nazad i sam nastręczył skarbnikowi.

— Słuchaj, ty, Judaszu — szepnął mu stary — coś to mi ty za figla wypłatał? Albom to ja potrzebował takiej kompromitacyi? Coś ty oszalał!

Żebrzyński obie ręce jak przed Sakramentem do góry podniósł.

— Skarbniku — zawołał — czyś oszalał? klnę ci się, bodajbym dzieci moich nie oglądał, żem ja tu passive spełnił, co mi kazano.

— A skądże mnie on mógł znać? — zawołał Zagłoba.

— Albo ja wiem! — ramionami dźwigając, dodał Żebrzyński. — Jeszcze raz ci powiadam, żem się ja do tego nie przyczynił. Rzecz się tak miała. Starosta, który nad wiek swój jest rozumny, dobył kartki z kieszeni. Stało na niej nazwisk kilka ołówkiem nakreślonych, a waszecine było oznaczone notabeną zamaszystą. Wskazał mi je palcem. Nie możecie mi tego oto obywatela wskazać, bym jego zdrowie wypił? Com miał czynić? przywiodłem ci go. Tak mi Boże dopomóż i krwawa Męko Jego, prawdę mówię.

Skarbnik siadł.

Żebrzyński mu rękę podał, a że dużo do czynienia miał, zaraz go odciągnięto.

— Nie mówiłem ja ci — szepnął mu Laskowski — że z głośnem gadaniem ostrożnym być trzeba? Musiał już ktoś donieść, żeś starostę swatał proprio motu.

Skarbnik nic nie rzekł, głowę tylko spuścił; siedział markotny. Ucztowanie, jak się tego było można spodziewać, ogromnie się przeciągnęło. Noc już była a u stołów i po kątach sal zapijano jeszcze i gości nie wypuszczano. Najchmurniejsze twarze powoli się rozjaśniały i do ogólnej zastosowały pogody.

Skarbnik miał się wysunąć, zostawiając Laskowskiego, gdy z głębi sali począł się ku niemu gwałtownie przeciskać Żebrzyński, rękami w górze gestykulując, aby się dlań zatrzymał.

Gdy się w końcu dobił do skarbnika, po drodze kilka kielichów potrąciwszy i parę libacyi otrzymawszy na kontusz, chwycił go za rękę i uprowadził nieco na stronę.

Czy skarbnik masz w lasach dyferencyę z królewszczyzną? — zapytał.

— Któż ci o tem powiedział? pendet sprawa od lat piętnastu, dotąd nie rozstrzygnięta — odparł Zagłoba zdumiony — jam już o tem prawie zapomniał.

— Jego ekscelencya, minister Brühl, kazał mi wam oznajmić, iż dnia wczorajszego podpisał rozkaz komisyi zjechać na grunt i słuszną dać wam satysfakcyę.

Ścisnął go znacząco za rękę.

Skarbnik zbladł i stanął milczący.

— Bóg zapłać — rzekł sucho — ja jego ekscelencyi nie mam szczęścia znać, ani wiem, skąd na mnie to szczęście spada. Podziękujcież mu za mnie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Hm — szepnął Żebrzyński po cichu — czyś

ty mu się czem naraził, czyliś mu na co potrzebny? Mów prawdę.

— Nic nie wiem — rzekł skarbnik, oprócz, żem niespokojny w sumieniu, bo timeo Danaos et dona ferentes — najbardziej!

Ścisnęli się za ręce.

— Gdybym Sasem był — rzekł do siebie skarbnik — poszedłbym do Pleissenburga, a żem szlachcicem polskim, dostanę kawał królewszczyzny i milczeć muszę, bom... wziął!!

Z rozpaczą potarł czuprynę. Żebrzyński nań spojrzał, niewiele rozumiejąc.

— Co ci jest?

— A nic, taki jestem szczęśliwy! — rzekł, uśmiechając się skarbnik, ścisnął jego rękę i wyszedł.

Gdy ciemności nocne nadeszły, zamek, pałac Saski i ulica wiodąca od jednego do drugiego zajaśniała mnogiemi lampami. Bawiono się do późna.

Takie było pierwsze wystąpienie na scenę pana starosty warszawskiego, Alojzego Brühla, pierwsze jego ukazanie się na scenie Rzeczypospolitej, której był przybranym obywatelem, a miał zostać jej wiernem dziecięciem. Dzień ten w duszy chłopięcia zostawił niezatartą pamięć po sobie, związał go, można powiedzieć, z miastem, ziemią i krajem, zalecił obywatelstwu, uczynił fenomenalną istotą obudzającą powszechne zajęcie, zgotował przyszłość. A piękne oczka Maryni Potockiej, wśród widziadeł tłumnych dnia tego, zostały w pamięci młodego chłopca, jak dwie jasne gwiazdki na niebie.

IV.

Od pierwszego ukazania się na scenie młodego starosty warszawskiego lat dziesiątek upływał. Od tego czasu zmieniło się znacznie położenie, okoliczności, stosunki osób i rodziny, ojca Brühla rachuby i postępowanie; lecz to, co obiecywał dwunastoletni chłopak owego pamiętnego dnia, gdy go łaska królewska i ojcowska potęga dziecięciem upełnoletniły i na taką godność wyniosły, dotrzymały lata następujące.

Nigdy nadzwyczajne dary natury świetniej się w nikim nie rozwinęły. Nie popsuło go to, że był, jakby królewicz jaki, kołysanym na rękach pochlebców, że miał do trwonienia krocie, że życie zdawało się miękkim kobiercem rozkładać pod jego stopami.

Młody Brühl był w istocie wyjątkowem zjawiskiem: okoliczności składały się na to, ażeby z niego pospolitego uczynić panicza, ładną lalkę z głową pustą; on sam wychował się na człowieka niepospolitego.

Uwielbiająca go matka, ojciec próżności pełen, który dla swojego najstarszego i przyszłego spadkobiercy nic nie żałował, król, który go kochał i psuł, jak własne dziecię, zdawali się go popychać na drogę szału, lekkomyślności, rozmiłowania w świecie, w rozrywkach, zapomnienia o poważnym życia celu. Młody Brühl miał w sobie coś tak samoistnego, energicznego, że się zwichnąć nie dawał. Umysł przedwcześnie dojrzały, bo zawczasu rozbudzony, wskazywał mu drogę własną, niezmierna żądza wiedzy i nauki ocalała go od pragnień zawczesnych innego rodzaju. Otoczony królewskim dwo-

rem, młody Alojzy wysłany został najprzód na uniwersytet do Lipska. Z Drezna mogli rodzice śledzić tu każdy krok jego; nie napędzano go zbytnio do nauki, on sam jej pragnął, tak, że go wstrzymywać musiano. Ojciec sądził, że przebieży tylko audytorya i w tajniki nauki zbyt się głęboko zapuszczać nie będzie. Stało się całkiem przeciwnie: młody panek zapalił się do nauk, rozkochał w nich, przylgnął. Matka zaczęła się obawiać pedanteryi, lecz gdy na ferye przybywał do domu, tak umiał z siebie otrząsnąć pył książkowy, tak się stawał salonowym roztrzepańcem, dowcipnisiem, dosiadał konia tak śmiało, dworował przy paniach z takim wdziękiem, iż w nim trudno było studenta odgadnąć. Zmieniał z nadzwyczajną łatwością zajęcia, twarz, mowę i zastosowywał do tego, co go otaczało. Sztukę tę wysoko oceniał ojciec.

— Uniwersalny będzie człowiek! — mówili wszyscy, i proroctwo to nie zawiodło w istocie.

Z Lipska posłano go do Lejdy. Tam, choć go zawsze taż sama pańskość i przepych otaczał, profesorowie mniej mieli powodów akomodowania się synowi ministra i pobłażania obcemu paniczykowi, i tu wszakże za cudo uchodził.

Mentorowie jego i nauczyciele prywatni, poważne głowy w perukach, nawykłe do powolnego trawienia, których on żywością umysłu prześcigał, wlekli się za nim raczej, niż go prowadzili. Młody Alojzy nie stał się nawet przez to zarozumiałym, nie okazywał nigdy swej wyższości, aby nią drugich upokarzać, zdawał się do tego zbyt wielkiej nie przywiązywać wagi, co inni cenili bardzo wysoko.

Zdaje się, iż w tej główce, takiemi siły obda-

rzonej, już naówczas zdobytą świeciła prawda, że cała mądrość ludzka, wielce względna, jest wartości bardzo wątpliwej, a ten, kto sądzi, że ją zdobył, nigdy posiadać nie będzie ani odrobiny. Jedno wybitne znamię go odznaczało — był niesłychanie ciekawy, pragnął się wtajemniczać we wszystko, a gdy się dobił do celu, zdobyte niemal lekceważył. W tej pogoni za wiedzą, niemal chorobliwej, niekoniecznie dobierał się do wierzchołków i niedostępnych szczytów—uczył się z chciwością filozofii, lecz z równą namiętnością badał historyę sztuki i wszystkie drobne tajemnice najpospolitszego rzemiosła.

Podobne to było do ścigania prawdy, chowającej się przed nim po kątach, które wszystkie przeglądać musiał, azali jej tam nie znajdzie gdzie przyczajonej.

W tym czasie, gdy się jeszcze w Lejdzie znajdował, trafiło się, iż pewnego pięknego poranku znikł swym mentorom i dozorcom, wyśliznął się im z rąk, ulotnił. W pierwszej chwili przerażenie całego dworu, obawa odpowiedzialności przed rodzicami była niewysłowiona. Zaalarmowano miasto i okolicę. Szczęściem dopatrzono w czas kartki na stoliku, w której uspokajając tych panów, zapewniał ich, że wkrótce powróci, i prosił, by go nie szukano daremnie.

Chociaż chłopak młody był bardzo, ulękli się mentorowie, aby się w jakie przedwczesne, niebezpieczne uwikłać nie dał miłostki, na wsze strony rozesłano gońce i szpiegi—nigdzie nie znaleziono ani śladu. Domyślać się nawet nie umiano, co mogło spowodować i ułatwić ucieczkę.

Gdy się to w Lejdzie działo, o mil kilkanaście stamtąd, w słynnej naówczas lejarni dział, zjawił się

młody parobczak, dosyć niepocześnie ubrany, wyglądający ubogo, ale zdrowy i silny, wpraszając się za prostego w fabryce robotnika. Poszedł przyjęty pracować z innymi około pieców i form, parzyć się i smolić przy ogniu, spełniać najtwardsze roboty i podzielać życie najbiedniejszych wyrobników. Zbytnie jakoś białe, choć nadzwyczaj krzepkie i silne dłonie zwracały nań uwagę, ale więcej jeszcze niepospolita pojętność, z jaką chwytał i uczył się wszystkiego.

Po kilku tygodniach z prostego robotnika nieznajomy chłopak postąpił na dozorcę, wzięto go do kierowania innymi; zrodziła się stąd zazdrość, spory, odgróżki, prześladowanie. Towarzysze dawniejsi, których wyprzedził, zasadzili się nań, aby mu dać naukę, jak niebezpiecznie jest być od innych bystrzejszym. Nieznajomy robotnik napadnięty, wyzwany, dwóch napastników obalił, zgniótł, wyszedł z tryumfem spokojny i nikomu się na to nie poskarżył. W kilka dni potem inni spiskowi z grobli go w kanał rzucili, a z niego wypłynął, dawszy nurka tak swobodnie, jakby się na majtka urodził i w wodzie wychował. I tę napaść pokrył milczeniem. Dano mu pokój, lecz o niewiele szło, by go za ubielonego dyabła nie miano, zwłaszcza, gdy wkrótce potem jednego z synów dyrektora koń obalił na ziemię, a młody robotnik, chwyciwszy go i dosiadłszy, jak dziecię poprowadził.

Odtąd byli dlań wszyscy z poszanowaniem wielkiem, i już mu bardzo korzystne czyniono propozycye, gdy pewnego poranka ów uczeń tajemniczy, zostawując dla dawnych towarzyszów sumę dosyć znaczną, znikł, nie wyjawiając nazwiska, a współcześnie zjawił się w Lejdzie młody Brühl i siadł na ławce słuchaczów.

Wybryków takich dla nauki rzemiosł, drugim wcale nieponętnych, popełnił Brühl wiele. Przestano się im dziwić w końcu i fantazye te płazem puszczano. Kto go znał bliżej i dłużej, każdy w nim, rad nie rad, wyższość niezmierną nad pospolitych ludzi uznawał, chociaż pokryta była pozorem lekkości, powierzchownością światową i dowcipem a wesołością, niedającą się domyślać, iż coś poważniejszego w nim mieszkało. Rzadko kogo natura wyposaża tak szczodrze, bo siły i zdrowie miał niezwyczajne, nie chorował nigdy, i cielesna ta moc rozwijaniu się ducha nie przeszkadzała.

Wychowując się za granicą, młody Brühl nie zapominał Polski i węzłów, które go z nią łączyły. Do starostwa warszawskiego w lat kilka przybyła mu, po Szołdrskim wojewodzie inowrocławskim, chorągiew pancerna, a razem prawie order Ś-go Aleksandra.

W rok potem szlachta w Zakroczymiu obrała go posłem na sejm, który nie doszedł tak jak inne.

Tymczasem świetna gwiazda ministra przyćmiewać się zaczynała. Saksonię zagarnięto, król i Brühl uchodzili do Polski przed gburowatym Fryderykiem, który teatr wojny przenosił na obcą ziemię i, głosząc się przyjacielem, nic poszanować nie chciał, a do przemocy dodawał szyderstwo.

Zawrzała ta siedmioletnia wojna, której szczęśliwy koniec winny były Prusy raczej jakiemuś nadzwyczajnemu zrządzeniu Opatrzności, cudem ocalającej je od zagłady, niż geniuszowi Fryderyka, który już z rozpaczy życie sobie chciał odebrać.

Młody Brühl, w którym się obok innych rycerskie obudziły instynkty, wyprosił u ojca, aby z wojskami austryackiemi i tym jedynym pułkiem saskim, któ-

ry z Polski uratowany poszedł na pole bitwy walczyć przeciw Prusom.

I tu młody Alojzy nie okazał się pośledniejszym od innych, nie zbywało mu na zapamiętałej odwadze. Dodani przez ojca aniołowie stróże musieli go hamować, zatrzymywać, prosić, oszukiwać, aby wielkiego domu nadzieja nie stała się łupem zbłąkanej kuli jakiego ciury Fryderyka. Kilka razy wymknął się im młody Brühl, jak w Lejdzie, nabawił ich strachu, powrócił posiekany, zakrwawiony, śmiejący się i szczęśliwy.

Wojna ta go kusiła, jak wszystko, czego się dotknął, lecz, pomimo chwilowego zapału, nie roznamiętnił się do niej tak, aby z niej zadanie życia uczynić. Z doniesień, jakie szły do ojca o rycerskiej gorączce, Brühl wniósł, że bezpieczniej było syna powołać nazad do Polski, niż go narażać na niepewne tej walki losy. Obawiał się tego rozognienia, z jakiem Alojzy rwał się do wszystkiego, czego się dotknął. Kazano więc powracać, a pan starosta z równą obojętnością, z jaką rzucał inne zawody, zaledwie rozpoczęte, rozstał się z tym. Pożegnał wesoło swych towarzyszów, zwinął obozik i posłuszny udał się nazad do Polski.

Tu dawne brühlowskie stosunki zupełnemu uległy przewrotowi.

Przymierze z familią, która pragnęła instytucyami nowemi, trwałemi, silnemi kraj zamieszany i rozbity długim nieładem odrodzić, przymierze nieodpowiadające interesom i planom ministra, pragnącego jak najdłużej łowić ryby w mętnej wodzie, zostało nadwerężone a nakoniec zerwane.

W miejsce przyjaźni gotowała się, zapowiadała wojna nieubłagana. Ci sami, co niegdyś prowadzili młodego

Brühla na starostwo, wojewoda ruski, książę kanclerz, wojewoda mazowiecki, zmienili się w zajadłych nieprzyjaciół wszechmocnego ministra, jego syna i dworu.

Starego Brühla ten zwrot nieszczęśliwy równie mało obszedł, jak wojna siedmioletnia. Tu, jak tam, nie było mu trudno o sprzymierzeńców, tak się przynajmniej zdawało. Stosunkowo nagłe dźwignięcie się familii do znaczenia w kraju i potęgi, która możniejszym i nawykłym do przewodzenia przynależeć się zdawała, zrodziło nieprzyjaciół, współzawodników, zazdrosnych. Umiano liczbę ich przymnożyć ze sztuką wielką. Z drobnych i rozbitych sił, sklejając je w jedno, można było łatwo, do przeciwważenia familii, ulepić partyę, która z ministrem na czele do boju wystąpić mogła.

Brühl znał dobrze wielkie syna talenta, w którym także widział narzędzie, potrzebniejsze mu daleko w zawichrzonej Polsce, niż w zawojowanej Saksonii. Tak samo, jak przed laty dziesięciu poświęcił córkę, oddając ją Mniszchowi, teraz postanowił syna oddać na pastwę swej polityce. Gotów był nań zlać dostojeństwa i siłę, jaką mu w kraju dawały ogromne posiadłości, w nagrodę za straty w Saksonii ofiarowane w Polsce przez króla. Syn za niego mógł być czynny tam, gdzie minister sam występować nie mógł lub nie chciał.

Król August, chcąc mu zapłacić za to, co pochłonęła siedmioletnia wojna, za spalone zamki i splondrowane pałace, zniszczone skarbce, złupione kontrybucye, osypywał go starostwy, a Brühl je przelewał na syna. Tak nań zaczęły przechodzić po jednemu z kolei Lipnickie w Krakowskiem, Bolimów w Rawskiem, Błonie pod Warszawą na Mazurach, a nawet Spiż po śmier-

ci królowej, oddany Brühlowi, przelany być miał na jego syna.

Szło o to, aby on silne stanowisko zajął w polskiem obywatelstwie i mógł być głową stronnictwa, któreby wszelką reformę hamowało. Czy dobór syna był trafny — jest rzeczą wątpliwą; ale ojciec nawykły był do biernego posłuszeństwa, nie przypuszczał oporu, rachował na to, że Alojzy bronić musi interesów rodziny.

Ofiary czyniono z obu stron. Gdy familia ofiarą jednego ze swych najdroższych klejnotów, pięknej wojewodzianki Izabelli Poniatowskiej, sądziła, iż potrafi sobie pozyskać hetmana Branickiego, Brühl najstarszą córkę, najmilszą, równie znakomicie jak Alojzy obdarzoną, piękną, wychowaną do świetnienia na największej scenie, Maryę Amelię, przyjaciółkę Winckelmanna, oddawał Mniszchowi, marszałkowi nadwornemu.

Tak samo chciał syna polityce swej poświęcić, dzieci były dlań narzędziami, które wchodziły w rachunek. Starosta warszawski miał naówczas lat dwadzieścia jeden, lecz z pewnością umysłem od rówienników swych był starszy, choć tak się umiał trzpiotać, jak oni. W chwilach wolnych zwiedził już był całą niemal Europę. Podróż ta królewiczowska kosztowała miliony. Jedna fantazya służenia jakiejś angielskiej lady, którą Alojzy na drodze spotkał, chwilowo się nią zająwszy, opłacona została 80,000 funtów sterlingów.

Czas było może pomyśleć o ożenieniu pięknego kawalera, którego serce, jak umysł, żywo się zajmowało spotykanymi przedmiotami i równie rychło rozczarowywało. Z nauką i z miłością starosta warszawski postępował sobie jednakowo, ciekawy był serc i wiedzy,

ale oboje zaspokoić nie mogło. Szukał ciągle czegoś nowego.

Nie miał też nadziei, aby w małżeństwie serce jego udział jaki mieć mogło. Znał nadto swe położenie i plany ojcowskie, by nie wiedział, iż go ożenią dla polityki, tak jak siostrę temuż poświęcono, choć ta daleko energiczniej ojcu opierać się umiała. Z tem przeznaczeniem Brühl, dosyć obojętny na wszystko, zgodzić się musiał, wyzwolić się było mu niepodobna.

Dotąd projekta ministra osłonione były tajemnicą, być może, iż się nie zdradzano z nimi zawczasu, bo pierwsze jakieś spełzły na niczem i wiele żółci napsuły. Domyślać się łatwo było, iż wybór padnie na rodzinę przedstawiającą wielką siłę, mającą wpływy przeważne. Na Litwie ponętni byli dla Brühla w położeniu jego tylko Radziwiłłowie, w Polsce i na Rusi — Potoccy.

Ostatnia z tych rodzin, już od kilku pokoleń rosła w majętności i coraz większe znaczenie. Brühlowi zresztą nie szło o samo imię i koligacyę, lecz zarazem o związek z taką rodu gałęzią, w którejby się cała jego potęga i żywotność skupiała.

Szeptano o Potockich. Dukla niedaleko leżała Krystynopola, a pani Mniszchowa mogła łatwo usłużyć ojcu i bratu.

Brühl młody, zasłyszawszy to imię, mimowolnie przypomniał sobie ową małą, śliczną Marynię, której oczy jeszcze mu gdzieś na dnie duszy świeciły. Miałoż to być jego przeznaczeniem? Nie badał... ojciec dotąd milczał.

Stary Brühl, kochając swe dzieci, był dla nich bez litości; minister w nim zawsze ojca zwyciężał. Je-

dną z najdroższych była mu ta marszałkowa Mniszchowa, której sercem rozporządził, nie pytając o nie, którą później w listach zmuszał do przypodobywania się tym, których przez nią dla siebie chciał pozyskać. Istota zupełnie innego świata, żyjąca sztuką, pieśnią, marzeniem, czcią piękna — córka Brühla musiała jechać do Polski, która kobiecie obcej wydawała się pustynią przerażającą. Wzdychała do Florencyi i Rzymu, wysłano ją do Dukli. Nie mogła tu znaleźć tych uczonych, z którymi lubiła rozprawiać o sztuce greckiej, o kunszcie u Rzymian. Ojciec słał jej w listach instrukcye, ocukrowane prośbami i pochlebstwy, ucząc, jak się ma uśmiechać do wąsatych wojewodów i rozmiłowanych kasztelanów, aby ich spętać, upoić i popchnąć, gdzie on każe. Taki sam los, twardszy może, miał spotkać młodego Brühla, bo dla córki nieubłagany ojciec miał jeszcze pewne względy i wyrozumiałość, których z mężczyzną zachowywać nie potrzebował. W życiu niewiasty uczucie było usprawiedliwionem — polityk i statysta winien był, w przekonaniu ministra, wszystko umieć poświęcić temu celowi, który się dlań najwyższym nazywał. Celem tym była potęga okupiona bodaj najdroższemi ofiarami sumienia, obowiązków, godności własnej. Dla władzy godziło się złożyć i święcić wszystko, aby od niej potem wymagać wszystkiego, co ona dać mogła.

W tych zasadach stary Brühl wychowywać pragnął syna, nie głosząc ich jednak jawnie, lecz praktycznie raczej na sobie poznać mu je dając. Zbyt wielkim był znawcą serca ludzkiego, by nie wiedział, że nagie i suche wypowiedzenie prawdy absolutnej daleko mniej jest skuteczne, niż wpajanie jej zwolna w żyły sączącą się ucizną. Z lekkością i dowcipem sobie właściwym sta-

ry polityk wpół żartem, pół seryo próbował zaszczepiać w synu pryncypia, których się trzymał.

Alojzy słuchał cierpliwie, nie dając znaku życia, nie przecząc im, nie dziwiąc się, nie unosząc niemi, a czasem pozwalając sobie w żart je obracać. Przyjmować się je zdawał, jako smutne konieczności położenia. Ojcu ten chłód wydawał się dobrą wróżbą.

Miał on jednak wcale inne znaczenie, niż stary Brühl sądził. Starosta z rodzajem rezygnacyi patrzał i słuchał tych smutnych prawideł, ale duszą i sercem był gdzieindziej. Wszystko to, co minister miał za najważniejsze, dla niego było prawie obojętne. Natura, jakby na urągowisko losowi, co go uczynił synem ministra, stworzyła marzycielem i poetą, jednym z tych ludzi, których blask nie bawi, których kłamstwo dławi, którzy wkładają szyte suknie wzdychając, a zrzucają je z radością. Młody Brühl znosił to, ale tęsknił ku czemu innemu. Pragnął nauki, a kazano mu uczyć się intrygi, lubił sztukę a musiał się bawić polityką ojcowską, był poetą w duszy, a po szyję wkopano go w brudy i zawikłana. Targać te więzy, którymi go pętano od młodości, ani mógł, ani chciał, szanował władzę ojcowską, brał więc życie, jak się bierze lekarstwo, non tam libenter, quam reverenter, z pogodną twarzą umiejąc się zastosować do swojego położenia, a zamiast rozpaczać, uśmiechał się wśród bólu, którego poznać nie dawał. Uśmiech ten i szyderstwo samego z samego siebie stało się dlań koniecznością, nałogiem. Był to ten powiew chłodny, co trochę ranę ostudza.

Rok 1759 się poczynał. Król August III, wygnany siedmioletnią wojną, siedział znudzony w Warszawie. Pewnego dnia szambelan dał mu znać, że nań na,

jaśniejszy pan oczekuje i kazał wezwać do siebie. Bywał on codziennie prawie na dworze, wezwanie nic w sobie nie miało nadzwyczajnego, oprócz oznaczonej godziny, która domyślać się kazała lub szczególnego polecenia, albo jakiejś nagłej sprawy.

Pieszczoszek królewski, ile razy do chrzestnego ojca przychodził, przynosić musiał wesołość z sobą. Samo spojrzenie na tę wdzięczną, rozjaśnioną, różową twarzyczkę króla JMci rozpromieniało. A były to czasy, w których i taki promyk radości wielce się stał dla króla pożądanym. Wojna niszczyła Saksonię, Fryderyk nielitościwie nękał państwo jego dziedziczne, biedna królowa zmarła, patrząc na to na zamku drezdeńskim. August w Polsce czuł się gościem i wygnańcem.

Szczędził mu wprawdzie Brühl zmartwień, nie dopuszczając doń innych nad pomyślne wiadomości, w potrzebie tworząc je. Starano się o rozrywki. Gdy nie było zwierzyny, ściągano pod mur psy miejskie, aby król mógł do nich strzelać. Mimo to wzdychał do swych starych lasów bukowych około Moritzburga i Hubertsburga, do swego zamku, teatru, baletu, bażantarni i ogrodów, miejsc, do których przyrósł nałogowo.

Godzina była przedwieczorna i światła właśnie zapalić miano, gdy młody Brühl, który jako szambelan miał zawsze prawo wchodzić na pokoje, oznajmił się przez pazia i natychmiast został wpuszczony.

August od obiadu siedział napół drzemiąc w fotelu u komina, na którym palił się ogień ogromny. Część jego przysłaniał ekran z blachy srebrnej, z czasów lepszych Augusta Mocnego. Szklanka jakiegoś napoju stała przed nim. Dowiedziawszy się o Brühlu, obrócił ku wchodzącemu twarz, jak zwykle, rozpromienioną. Gdy mło-

dy szambelan przystępował do ucałowania ręki pańskiej, poklepał go po twarzy przyjacielsko i poufale.

— A co? — spytał lakonicznie — zimno!

— Najjaśniejszy Pan raczył kazać mi przybyć. Stawię się na rozkazy.

— Tak, tak — prawda! coś ci miałem powiedzieć — zawołał August, i długo patrzał mu w oczy, namyślając się.

— Tak — dodał — mam ci coś powiedzieć... nie domyślasz się.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, oprócz, że co mi W. Kr. Mość rozkażesz, spełnię, i będę z tego szczęśliwy.

— Ty dobry jesteś, mój Alojzy! tak — począł, namyślając się, August III — a ja cię kocham.

Brühl się skłonił. Nastąpiła pauza. Gdy trzeba było mówić o poważniejszych sprawach, król się nudził i zapominał.

— Masz lat...

— Dwadzieścia jeden, Najjaśniejszy Panie.

— A tak! dwudziesty i drugi!

Piękny wiek!...

Westchnął. — Młody jesteś... co to za dobra rzecz ta młodość! ale wszystko ma koniec, młodość, swoboda, rozumiesz? Nie chciałbyś ty się już ożenić?

Spojrzał mu w oczy. Brühl się uśmiechał milczący.

— Nie?? — zapytał król — mów mi śmiało, mów.

— Najjaśniejszy Panie — odparł żartobliwie Alojzy. — chociaż polskie przysłowie mówi, że kto się wcześnie ożenił, nie żałował, ja tak bardzo nie radbym się śpieszyć...

— I ja tak myślałem — mruknął król, fajkę paląc, aby nie zgasła — ale widzisz, czasem bo trzeba się

ożenić dla... wypada tak z okoliczności. Tacy ludzie, jak ty, ulegają pewnym koniecznościom.

— Wiem to, Najjaśniejszy Panie — rzekł Brühl cicho — nie jesteśmy panami naszego losu.

— A tak — odparł król — ojciec twój jest mądry człowiek, on ci to powie. Masz wielkie szczęście, że jesteś synem takiego ojca... potrzeba go słuchać!

— Nigdy mu się nie sprzeciwiam.

— Bo ty jesteś dobrym chłopcem — dodał August III. — Ojciec twój myśli cię żenić...

Brühl ani się zdziwił, ani wymawiał, stał milczący; królowi niedogodnie było mówić wiele, ale musiał.

— Myśli cię żenić — powtórzył. — Ja wiem, tybyś wolał pewnie poczekać, ja ciebie znam, lubisz swobodę, życie wesołe, podróże... (na nosie pogroził) twarzyczki ładne!! A widzisz...

Brühl odparł:

— A któż ich nie lubi?

— To kochaj się w malowanych — rzekł August seryo — żywych lepiej unikać, a jedną wziąć, jaką ojciec naznaczy i wybierze. Ty nam potrzebny jesteś na to, żebyś się ożenił — dodał poważnie. — Ojciec ci to wytłómaczy... Cóż chcesz! ta nieszczęsna polityka wszystkich nas kuje w kajdany. A nie wolałbym ja za te pieniądze, które mi król pruski wydziera, kupić sobie obrazów do galeryi? Widzisz, widzisz! Myślisz, że mnie, co królem jestem, lepiej??...

Siedzieć tu, w tej Warszawie? Co tu za opera? jakie polowanie? Lasy daleko! Obrazów nigdzie niema... ja się męczę, a cóż robić? co robić?...

Sięgnął król ręką po kufel, napił się trochę, splu-

nął, pociągnął z fajki, zaopatrzył się w ogień i nagle zapytał:

— Jak ty myślisz? będzie ponowa? Hm! zapolowałoby się?

Nagłe przejście do innego przedmiotu zmieszało Brühla, choć do tego był przywykły.

— Ponowa? — powtórzył. — Wątpię.

Wstał August i, ręką się zasłaniając, wyjrzał oknem.

— Ehe! — bąknął — szyby marzną, wątpię, żeby śnieg padał. Gdzie to tu, w tej Polsce! albo tu śniegi padają jak należy?

Westchnął, zamyślił się, głowę spuścił, zapomniał już widocznie, że rozpoczętej nie dosnuł rozmowy. Dopiero po chwili podniósłszy oczy na Brühla, popatrzywszy nań, dobrodusznie mu się zaczął uśmiechać.

— Wszak ci mówiłem — rzekł — gotuj się do tego, że cię ożenią... Ale co ci to szkodzi? Nie jest to tak straszna rzecz, przyzwyczaisz się, jesteś młody...

Starosta warszawski miał od dzieciństwa poufałość do króla, tak, że ośmielił się go zapytać:

— Najjaśniejszy Panie! a nie wolnoby wiedzieć, z kim mnie swatać mają? Dobrzeby się zawczasu z tą myślą oswajać.

Nie podnosząc oczu, August począł kiwać głową.

— Ale kto to może wiedzieć? — rzekł — jak się złoży i wypadnie!... Ojciec pewnie z lada kim cię nie poswata, zatem osoba będzie zacna, pięknie wychowana i familii dobrej. O to możesz być spokojny.

Spojrzał zwolna na Brühla.

— Hm! tobie-by się chciało ładnej — rzekł cicho i poważnie — tak? A widzisz! A to najgorzej. Ładna ci zbrzydnie, a gdy weźmiesz niepiękną, przyzwyczaisz

się i wyładnieje. Mówię ci, przyzwyczaisz się i wyładnieje. Mówię ci, przyzwyczaisz się...

Co robić! Polityka! Ta nieszczęśliwa polityka wszędzie się wciska nieproszona. Akomodować się trzeba.

Brühl stał, uśmiechając się posłusznie, a August zamyślił się o czem innem.

— Nie — rzekł, jakby sam do siebie — ponowy nie będzie.

Starosta wyprostowany milczał.

— Nie będzie...

Po chwili podniósł król oczy.

— Żal mi cię, mój Alojzy, ale co chcesz? to nasza dola. Gdybyś się nie urodził synem ministra, byłoby co innego. Ojciec mnie prosił, abym cię przygotował i nakłonił do ślepego posłuszeństwa, ale ty dobrym jesteś chłopcem i... będziesz się akomodował, prawda? wszak tak?

— Nigdym nie czynił inaczej, Najjaśniejszy Panie — rzekł Brühl — zapewne wolałbym się ożenić sam, niżby mnie żeniono, ale...

— Widzisz! — zawołał król — ale ty jesteś synem ministra, to nie może być. Darmo! Co ci dadzą, trzeba wziąć.

Tu król obejrzał się dokoła, zniżył głos, kiwnął na Alojzego, a gdy ten się zbliżył, szepnął mu bardzo seryo:

— Wszystkie one jednakowe. Słowo daję, przyzwyczaisz się. Polityka! rozumiesz? Trzeba się akomodować.

Tak zbywszy się swej misyi, westchnął August, jakby mu ciężar spadł z ramion.

— Ponowy nie będzie — rzekł innym tonem — a do tych psów strzelać nudna rzecz. Powiadam ci, nu-

dna. Trzeba czekać wieczoru? Do jednego wypalić, wszystkie się rozlecą, i skowyczą nieprzyjemnie. Co to warto!

Przeszedł się po pokoju. Brühl stał, August mu położył rękę na ramieniu.

— Już się nie bój — szepnął — ojciec ci wybierze dobrze, spuść się na niego, ja się na niego we wszystkiem spuszczam. Bądź spokojny, posłuszny, i żebyś nie wierzgał.

— Niema posłuszniejszego dziecka nade mnie, nie chwaląc się, Najjaśniejszy Panie — rzekł starosta.

— Ja to wiem, mój Brühl, i dlatego cię wszyscy kochamy, ja szczególniej. Jak tylko się dowiem, kogo ci wybiorą, powiem w sekrecie.

— A dotąd niewiadomo, Najjaśniejszy Panie?

— Niepewne — odparł król, rękę pulchną obracając na różne strony — są próby, traktowania... targi... Słyszałem coś o Potockiej... ale nie wiem! i sza! cicho! nie wiem!!

Starosta drgnął: na myśl mu przyszło owo zjawisko młodości, ta Marynia, której dziecięce wejrzenie jeszcze za nim goniło. Posądził na chwilę los, że mu może niespodziankę uczyni.

Poruszenie i żywy rumieniec, który na twarz wytrysnął, nie uszły baczności króla, który się uśmiechnął.

— Nie wydaj mnie! — rzekł. — Znasz jaką Potocką?

— Nie wiem, o jakiej mowa, przypominam sobie jedną... widzianą przed laty... dzieckiem... Cześnika córkę.

Król potrząsnął głową gwałtownie.

— Ale nie, nie — rzekł. — Cześnikówna! to sierota! uboga! co ci po niej? Ojciec wybierze pewnie inną. Jest bogatych Potockich dosyć... mnie i ojcu koli-

gacye potrzebne, bo nam tu „familia“ bróździ. Tacy ludzie niewdzięczni! On ci wybierze dobrą, skromną... a zresztą...

Ręką machnął.

— Powiadam ci, przyzwyczaisz się! Co to tam!!...

Pierwsze dygnitarstwo, jakie zawakuje, dam ci na podarek ślubny, a bądź grzeczny. Niech ci Bóg błogosławi!

Brühl schylił się do ręki, August go w głowę pocałował.

— Wszystko będzie dobrze, tylko ojca słuchaj, to głowa!

Uderzył się po czole.

Szambelan wszedł, oznajmiając dwóch biskupów. August fajkę położył, szlafrok ściągnął, a Brühl usunął się na bok i tak się to posłuchanie skończyło.

* *

*

Tegoż wieczoru czekał nań ojciec. Stosunki ich były czułe, ale zewnętrzne oznaki poszanowania z jednej, przywiązania z drugiej strony — kryły rzeczywistą oziębłość. Wzajem się obserwowano. Gdy starosta wszedł, badając go oczyma, rzucił się uścisnąć minister.

— Byłeś u króla?

— Wracam od niego!

Spojrzeli sobie w oczy. Minister postąpił parę kroków.

— Cóż ty na to? — spytał.

— Kochany ojcze — odezwał się starosta z tą

smutną wesołością, która była zwykłym tonem jego rozmowy z ojcem — zdaje się, że ja tu głosu nie mam.

— Mój drogi! to tylko dlatego — zawołał minister — że my starzy daleko się lepiej znamy na tem, co szczęście dać może, co konieczne, co pożyteczne. Zresztą, mój Alojzy, królowie i my, co jak ja i ty, stoimy wysoko i do wyższych jesteśmy przeznaczeni losów, nie mamy swobody rozporządzania sobą. Więc...

— Więc, mój ojcze — odparł starosta — jestem na usługi tej wszechwładnej pani.

— Tegom się spodziewał po twoim rozumie. Siadaj.

Starosta usiadł, ojciec jakby z obcym, począł od przymilań i uśmiechów.

— Nie masz się czego lękać — mówił, zniżając głos — ja i siostra twoja zrobiliśmy ewentualny wybór dla ciebie, który mojej polityce jest na rękę, a raczej, powiem, niezbędny.

Będę to winien tej nieoszacowanej Maryi Amelii, która jest moją prawą ręką, która, gdyby nie była zachwycającą kobietą, powinna-by była zostać ministrem...

Jej to rozum, jej niezmierna ludzi znajomość.

Spojrzał synowi w oczy.

— Domyślasz się już?

— Tak — rzekł starosta — Dukla niedaleko od Krystynopola, a siostra często bywała u wojewodziny.

— I podbiła ją; zawojowała, oczarowała tę despotyczną chimeryczkę — rzekł stary z zapałem. — Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że swaty do starszej córki się powiodą, byleś ty chciał, umiał, poszedł za radami Amelii i trochę dołożył starania. Siostra ci tam wszystko przygotuje, da instrukcye.

Starosta westchnął.

— Bardzo brzydka? — spytał ojca, uśmiechając się.

— Nic a nic — pośpieszył Brühl z odpowiedzią. — Pięknością nie jest, bo córce pana wojewody kijowskiego piękność niepotrzebna, ale młodziuchna, nieszpetna, a co największa, pobożnie i surowo wychowana. Przyniesiesz jej z sobą wyzwolenie z pod okrutnego despotyzmu mamy, i będzie ci niewymownie wdzięczna.

— Więc to już postanowiono? — spytał starosta.

— Z mojej strony jest to jedyne pragnienie. Wiesz, co znaczy dla nas alians z Potockimi? Wiesz, co są Potoccy? Wojewoda jest najbogatszym panem w Koronie. Lecz, entendons nous, tego szczęścia dostąpić nie łatwo.

— Cóż stoi na przeszkodzie?

— Zapytaj siostry — mówił minister. — W domu panuje na pozór wojewoda, w istocie sama pani, a z nią cała klika faworytów i cały milion jej chimer. Będzie nas ściskała rano, a odpychała wieczorem. Ktoś przyniesie głupią plotkę i jedno słowo może zerwać wszystko. Karlica jej coś podszepnie, ksiądz zrobi minę, nie podoba się krój fraka...

Ruszył ramionami.

— To staranie — rzekł szydersko starosta — wymagać będzie studyów.

— Siostra ci je ułatwi... a ty! ty, gdy zechcesz, podobać się potrafisz...

Smutnie uśmiechnął się pan Alojzy. Ojciec go za rękę chwycił.

— Dla mnie to ożenienie — rzekł — jest to sprawa życia lub śmierci! rozumiesz? Familia czyha na mnie i grozi, muszę przeciw niej stawić mur, któregoby ona złamać nie mogła. Tyś moją nadzieją całą!!

— Niezmiernie się lękam... oby ona nie okazała się zbyt wątłą...

— Tu idzie — ciągnął dalej minister — nietylko o mnie, o moją politykę, ale o twoją przyszłość, o wzmocnienie położenia twego, o siły! Z Potockimi ręka w rękę, jesteśmy pewni zwycięstwa!

— A raczej oni z nami są go pewni! — poprawił Brühl. — Familia także była niegdyś nasza.

Brühl stary brwi zmarszczył.

— Oni nas chcieli użyć za narzędzie — to było trochę za śmiało. Zresztą, wystawiłem ich na próbę, dawałem im alians—odrzucili go, obrażając mnie osobiście. Plany ich odkryte, czyhali na to, aby mnie obalić. Lada chwila walka wybuchnąć może, trzeba do niej być gotowym.

Cóż ty na to?

— Jako żołnierz stanę z tobą do boju — rzekł starosta — na partyzanta przydam się może, na wodza nie mam ani doświadczenia, ani geniuszu.

— Nadto jesteś skromny.

— Znam siebie — odparł starosta.

— A zatem — zakończył minister — słowo, rachuję na ciebie.

Kroki się słyszeć dały. Brühl zmienił twarz. Rozmowa była skończona.

V.

W Krystynopolu nad Bugiem, dziedzictwie jednego z najmożniejszych panów polskich, Franciszka Saleze-

go Potockiego, wojewody kijowskiego, starosty bełzkiego, rubieszowskiego, robczyckiego, dobrzyckiego, i t. d., i t. d., stary, obszerny pałac, rezydencya głowy domu, nie wyglądał wspaniale. Były to zlepione z sobą obszerne domostwa, kilku podwórcami otoczone, ocienione staremi drzewy, więcej imponujące obszernością niż pięknością budowy. Przepych zjawiał się tu tylko, gdy się z nim popisać było potrzeba; na powszednie dni nie kuszono się o zbytek, a największym pono mógł się nazwać liczny dwór, który wojewodę otaczał. Jego gwardye, wojsko nadworne, urzędnicy pańscy, dworzanie, służba mnoga, acz z wielką utrzymywana oszczędnością i rygorem, tak kosztowały magnata, jakby był małym królikiem.

Zwano go też na Rusi tem imieniem, bo posiadłości dziedziczne, starostwa, osady, ogromne kraju przestrzenie zajmowały. Nad znaczną częścią jego w istocie panował. W owych czasach bezpieczeństwo własne i tak wielkich posiadłości zmuszało do ciągłego czuwania. Wewnętrzne urządzenia nie zapewniały ich dostatecznie. Musiał więc wojewoda utrzymywać pułki, miał na swym żołdzie dragonię, ułanów, kozaków, piechotę i służba w tem wojsku nadwornem liczyła się na równi z koronną. Fortragowanie zawisło niby od hetmańskiej władzy, ta się jednak niewiele mieszała do wojsk nadwornych takich jak pan Potocki i Radziwiłł magnatów, oni sami rozporządzali się tu podług własnego widzi-mi-się.

Wojska w części u boku pana, częścią po dobrach ukrainnych rozstawione były. Oprócz milicyi liczny dwór wojewody utrzymywany był z rygorem nadzwyczajnym, w karności daleko większej, niż wojska Rzeczypospolitej. Charakter dumnego pana odbijał się i odzwierciedlał w jego otoczeniu. Dostojność, potrzeba obrony i przewo-

dzenia nad drugimi, zmuszały do trzymania na żołdzie służby bardzo licznej; liczono ją w Krystynopolu na tysiące. Nie wyglądała ona zbyt świetnie, karmiona była skromnie; sam wojewoda, który w danych razach krociami sypał, o tynfa się czasem targował, a rachował szczelnie z każdym groszem. Na wielkie uroczystości mógł przypiąć wielkie guzy z soliterów, ale na codzień chadzał w szaraczku i butach kozłowych, a gospodarstwem dóbr swych zajmował się tak pilnie, iż żaden korzec jagieł extra bez kwitu jego nie był wydany.

Kradziono mu ich pewnie stami, lecz rachować je musiano co do garnca. Nie wiem, czy na tem gospodarstwie drobnostkowem, trochę śmiesznem, dobrze wychodził pan wojewoda, bo mu często na większe sprawy czasu zabrakło, ale chciał o wszystkiem sam wiedzieć i na nikogo spuszczać się nie lubił. W każdej ważniejszej okoliczności panowie gubernatorowie (tak zwano naówczas rządców) odnosili się do jaśnie wielmożnego pana, listów od nich codzień przybywało mnóstwo, na wszystkie odpowiedzi sam pan wojewoda albo dyktował, lub choć po kilka słów odpisywał.

Osobliwa mieszanina przepychu azyatyckiego i skąpstwa, a raczej oszczędności maluczkiej cechowała dwór i gospodarstwo pana wojewody. Umiał być wielkim panem, ale stare szlacheckie tradycye brały nad nim górę co chwila. Szczególniej na dzień powszedni powierzchowność jego odpowiadała zupełnie temu charakterowi, w którym niepomierna duma, marzeniami wzbijająca się do tronu, mieszała się z zabiegliwością i skrzętnością chciwego dorobku szlachetki. Miał to sobie z tradycyi podane pan wojewoda, że szlachcic a bodaj pan starać się powinien nietylko fortunę utrzymać, ale ją

zwiększać i dorabiać koniecznie. Zbytek a marnotrawstwo były mu w ohydzie i wzgardzie, lecz tam, gdzie szło o podniesienie powagi domu, okazanie potęgi jego i możności, sił, jakiemi rozporządzał, tam miliona rzucić nie żałował.

Surowy dla siebie i dla wszystkich, życie domowe wiódł wedle najściślejszych prawideł, jakie prastare tradycye przyniosły. Nie godziło się od nich ani na włos odstąpić. Więc najprzód wszystko, co z wiarą i religią stało w związku, poszanowane było i uświęcone. Obserwowano praktyki, zachowywano posty, odprawiano pielgrzymki, nie opuszczano nigdy żadnego nabożeństwa, a dzieci pod dozorem duchownym i w bojaźni bożej chowano, i dwór musiał iść w ślady pańskie, boby mu najmniejszego zwolnienia nie przebaczono. Oboje państwo sami byli przykładem. Nikt tam w piątek, wigilię i suche dni na stole nietylko mięsa, ale nawet nabiału nie zobaczył. Dzień się rozpoczynał od modlitwy, mszy św., pieśni pobożnych, i na modlitwie kończył. Trzaskający mróz nie zwalniał od kościoła, a dwór pana i fraucymer pani chyba obłożna choroba, poświadczona przez doktora Macpherlana, od Gorzkich Żalów i Nieszporów uwalniała.

Zatem szło ślepe posłuszeństwo rozkazom pańskim, które spełniał każdy, nie wchodząc ani w ich następstwa, ani w trudności, jakie miały go w tem spotkać. Nie było odpowiedzi, gdy dyspozycya wydaną została, chociażby wojewoda coś najdziwaczniejszego nakazał. Spełnienie pańskiej woli nie obciążało sumienia podwładnych, a ktoby się wahał, ten na dworze nie długo popasał. Rygor był niesłychany. W szarej kapocie, z głową podgoloną i podstrzyżoną, wojewoda z twarzą

swą zwiędłą, zżółkłą, rzadko kiedy uśmiechem w życiu wyjaśnioną, nie obudzał sympatyi, ale umiał wrażać uszanowanie i trwogę. Powierzchowność jego, na pozór niczem nie zdradzająca pańskości (bo wszyscy oficyaliści pokaźniej od niego chadzali nawet na dzień powszedni), samą tą prostotą i zaniedbaniem odbijała od tłumu; a wpatrzywszy się w tę twarz niby pospolitą i nie odznaczającą się rysami bardzo wybitnymi, czuł każdy, iż w człowieku mieszka wola silna i energia niezłomna. Wojewoda nie mawiał wiele, zwłaszcza do niższych, rzadko się w dłuższą wdawał rozmowę, objawiał rozkazy, zadawał pytania, nie dopuszczał dyskusyi. Nie cierpiał też szczebiotania, musiano mu odpowiadać krótko a węzłowato, inaczej brwi chmurzył, a gdy nogą tupnął, ten, kto go do tego zmusił, tracił łaski na długo, jeśli nie na zawsze.

Zwano go despotą, może sam to znał do siebie, lecz znajdował, że w swem położeniu innym być nie powinien, i nie mógł. Na barkach pańskich spoczywała odpowiedzialność za wszystkie te tysiące bożego ludu, którymi władał. Wprawdzie płacił za to tem, że go los wszystkich, co go otaczali, niemal jak własnej rodziny obchodził. Władza pańska daleko się szerzej rozciągała, niżby domyślić się można. Tak naprzykład kto był choćby gubernatorem w majątku wojewody, szlachcic często możny i niezależny, jak skoro w służbę wstąpił, już w niczem sobą bez wiedzy pańskiej nie rozporządzał. Chciał się naprzykład ożenić, musiał się wprzód w Krystynopolu submitować i wziąć błogosławieństwo, wojewoda pisał się opiekuńczo do intercyzy i datkiem to sowitym opłacał. Dzieci trzymano do chrztu, panny z fraucymeru wojewodzina wydawała i potrosze wyposażała. Sieroty wy-

chowywano, ale niemi rozporządzano wszechwładnie. Posagi, dary nie były znaczne, wyprawy skromne, ale tyle ich się do roku zbierało, że tylko Potocki mógł na nie starczyć. Cokolwiek na ziemiach jego mieszkało, musiało niemal poddaństwu ulegać.

Pani wojewodzina Anna, Potocka z domu, wojewody poznańskiego córka, która wniosła ogromny spadek po matce, ostatniej z Łaszczów, z charakteru i przez pożycie z mężem tak mu była podobna, iż nigdy może zgodniejszego małżeństwa świat nie widział. Niemniej surowa, może w tem męża przechodząca, podejrzliwa, kapryśna, wojewodzina tak ostro trzymała swój fraucymer, iż rzadki dzień się w nim obszedł bez rózeg, a pomniejsze kary spotykały dziewczęta co chwila. Klęczenie na grochu było chlebem powszednim. Liczny dwór żeński wojewodziny Anny, tuż obok jeszcze większego męskiego pana wojewody, trzeba było w istocie nadzwyczaj trzymać surowo, aby się gorąca młodzież nazbyt nie kumała z sobą. To też nawet chodzenie pod oknami panien najmocniej było wzbronione, a ochmistrzyni pani Wałowska oczy i wejrzenia śledziła. Nie zbywało i na innych szpiegach. Trzydziestu dworzan zawsze stało na usługi gotowych; marszałkiem dworu, d e n o m i n e, od uroczystości, był ubogi książę Włodzimierz Światopełk Czetwertyński, któremu za to wojewoda starostwo Ułajkowskie wyrobił, a trzymał go i płacił, aby sam żadnego nie używając tytułu rodowego, mógł się tem przed gośćmi pochwalić, iż mu posługiwali książęta. Oprócz tego na starostach we dworze nie zbywało. Zastępował Czetwertyńskiego niemniej dobrego rodu starosta zawidecki, a łowczy pan Sadowski tytułował się Ropczyckim. Na tych łowczych, podłowczych, szlachcie posesyonatach,

ludziach poważnych, jak na królewskim nie zbywało dworze. Ci, dla miłości „wysokiej protekcyi“ pana wojewody, przy małych po większej części pensyjkach obowiązki lekkie pełnili.

Zwłaszcza przy obcych na dni uroczyste etykieta dworu niemal była monarchiczna. Zaledwie się ukazał wojewoda, na odwachu bito w bęben, występowało wojsko, prezentowano broń i oddawano honory dowódcy. Nie było też wiele więcej roboty przy wspaniałej wjazdowej bramie, od samego pałacu okazalszej, gdzie straż czuwała dzień i noc, świadcząc o potędze pana.

Życie w Krystynopolu zwykłymi czasy było dość jednostajne i nudne; uprzyjemniały je plotki, których wojewodzina była niezmiernie łakoma. Porządek dnia i godzin, przeznaczonych na zatrudnienia, był ściśle oznaczony. Straże zaciągały, mieniały się, wybijano capstrzyki, szyldwachy chodziły zaspane, a żołnierz nie o wiele więcej miał do czynienia nad to, że powozów w dziedziniec nie puszczał, chybaby kobiety jechały. Panowie wysiadali przed bramą i, w jakąkolwiekbądź porę, szli z rewerencyą do pałacu piechotą. Ekwipaże dam, wysadziwszy je, natychmiast za bramę powracać musiały, dziedziniec był w poszanowaniu.

Zgwałcił go raz tylko pan starosta kaniowski, gdy, Żyda jakiegoś krystynopolskiego poturbowawszy tak, że umarł, na skargę wojewody odpowiedział, posyłając mu całą furę własnego chowu Izraelitów, których pod samym gankiem wyrzucić kazał.

Ani pan, ani pani nie próżnowali. Wojewodzina miała do utrzymania swój fraucymer, do wychowania córek cztery, faworytów i donosicieli mnogo, ploteczek do słuchania obfitość; wojewoda majątek do rządzenia

olbrzymi, politykę dla zabawy i nadzór daleki nad wychowaniem syna jedynaka.

Zblizka się wpatrując w tajemnice pałacowe, dostrzegł łatwo każdy, iż tu, jak w większej części polskich stadeł, nie ten był w istocie panem wszechwładnym, kto się nim wydawał. Wojewodzina rządziła mężem i wszystkiem, bez jej porady nie stało się nic, woli jej ani mógł, ani się myślał sprzeciwiać. Kochał ją i był dla niej słabym. Pani Anna z tą siłą swą nie występowała nigdv nazbyt jawnie, owszem, gotowa była z uszanowaniem uledz mężowi, lecz pan wojewoda myśli zgadywał, płaszczył się i słuchał, aby uniknąć chimer spazmów i historyi, które domem całym wstrząsały.

Ich dwoje w końcu stanowiło jakby jedną istotę, umysły się spoiły, nastroiły, uczucia zrównoważyły, natury obie łączyły tak ściśle, iż różnica zdań nie była możliwa. Było to jakby dwa zegary z jednymi kurantami, które co innego nad nie grać nie mogły. Ten fenomen małżeńskiego pożycia, po długich latach nieprzerwanego związku, trafia się często, a dawniej był może niż dziś pospolitszy, gdy ludzie więcej z sobą żyli, od innych wpływów odosobnieni. Skutkiem jedności tej uczuć i myśli, twarze nawet stawały się do siebie bratersko podobne wyrazem. Państwo Potoccy ruchy jedne, sposoby mówienia, jedne smaki, humor ten sam mieli oboje.

Panowanie wojewodziny było dla innych widoczne, dla wojewody prawie się ono czuć nie dawało, ulegał dobrowolnie, przybierało ono formy usługi, pomocy, współczucia, podziału pracy. Wojewoda mógł się czasem mniemać panem, ale w istocie nigdy nim nie był, chyba mu dopuszczono i pofolgowano względem obcych się nim okazać.

W wychowaniu dzieci matka naturalnie pierwszy

głos miała i kierowała niem wyłącznie; ona dobierała ludzi, odprawiała ich i z doniesień faworytów dawała o nich wyroki. Surowość, z jaką trzymano dwór, aby się nie śmiał rozpasać, jeszcze większa może była względem dzieci, nieustannie mianych na oku. Wojewodzina była w zasadzie tego przekonania, iż rygor jeden kształci, że jest konieczny, że nadeń innego środka wychowawczego niema. Drżały one wszystkie na widok matki, chociaż je kochała, ale pokazać im tę miłość nazywało się słabością, strzegła się tego wojewodzina, za jej przykładem mąż iść musiał.

Nie pieszczono więc ani dziedzica jedynaka, który miał być spadkobiercą tej potęgi, ani dziewcząt, jakby do najtwardszego usposabiając je życia. Były to istoty zahukane, drżące, nieśmiałe, zmęczone, ledwie ważące się podnieść oczy, a przez sługi trochę psute po kątach. Nigdy pono wojewoda nie pomyślał o tem, że syn, który od dziecka żadnej nie miał woli, kiedyś prawie nieograniczoną miał dostać i mógł jej nie umieć użyć lub nadużywać.

Wśród tych trosk o rodzinę, o znaczenie w kraju, zdobycie sobie stanowiska odpowiedniego swej potędze, o utrzymanie i rozrost majątków, nie miała pani wojewodzina innej rozrywki, nad komeraże swych faworytów, nad plotki, któremi je karmiono, i nieustanne jakieś drobne sprawy domowe do olbrzymich podnoszone rozmiarów.

Jątrzono ją, uspokajano, głupota jednych, złość drugich, próżniactwo, chęć zasłużenia się, nie dawały jej pokoju i zrodziły nałóg tego karmienia się niezdrowym pokarmem. Wojewodzina była uległością męża popsuta, chimeryczna, dziwaczna, łatwowierna, a życie z nią prawdziwą męczarnią dla otaczających. Wiedziała o tem,

że ją chimeryczką zwano, i gniewała się za to na ludzi. Najmniejsze sprzeciwieństwo wywoływało gniew, omdlenia, płacze, narzekania, choroby, po których następowały błagania, pochlebstwa, tłómaczenia, przejednywania, i pokój wracał na kilka godzin, dopóki go nowa plotka nie naruszyła.

Kilka osób szczególniej miało poważny wpływ na panią wojewodzinę, a największy kapelan i dyrektor sumienia ks. Russyan. Był to zakonnik skromny, cichy, dosyć energiczny, znający doskonale wszystkie wady swej pani, i umiejący sam wpływać na nią i poskramiać je. Jemu wiele było wolno, czegoby nikt inny pozwolić sobie nie mógł. Nudził się biedny ksiądz ciągle niepokojony, aby łatał, co drudzy popsuli, nieustannie napastowany o jakieś pośrednictwo i protekcyę, i dlatego, skoro mógł tylko, z Krystynopola wytchnąć do klasztoru uciekał. Wpływ ks. Russyana był tak wielki, że często i pan wojewoda się do niego w ważnych razach uciekał; nie podnosiło go to w pychę, upokarzało prawie. Czynił dobrego wiele, a męczył się swem położeniem okrutnie, lecz świadczono klasztorowi, był potrzebny wszystkim, nie puszczano go ze stanowiska.

Ktokolwiek miał sprawę w Krystynopolu, o radę go musiał prosić i protekcyę. Poczciwy Bernardyn nie nadużył nigdy swej potęgi; ale w twarzy, ruchach, obejściu widać było brzemię, które nosił, i znużenie, jakiego doznawał.

Po ks. Russyanie szła panna Terlecka, wielka pani faworyta, konfidentka, zręczna, przebiegła, umiejąca się przypochlebić, padająca do nóg, grająca miłość dla pani niezmierną, a po cichu frymarcząca swą siłą i umiejąca ją na korzyść obrócić. Wojewodzina nałogowo do niej przywykła. Nie najpierwszej młodości, ale jeszcze

świeża i dosyć przystojna, uboga wychowanica pani, miała mnogich starających się, którzy czuli, że wyposażenie mieć będzie znaczne z łaski dobrodziejki, odrzuciła ich jednak wszystkich, nie chcąc postradać stanowiska zdobytego. Przed panią zdawało się to miłością i ofiarą dla niej. Wojewodzina chwaliła się tem, że ją tak kocha Terlesia, iż dla jej miłości kawalerów, i to co się zowie powabnych, a dobrze sytuowanych, odrzuca. Terlesia dobrze wiedziała dlaczego to czyniła. Po mału zbierały się podarki, sumki, oszczędności, a potem, w ostatku pewne było dożywocie i posażek.

Panna Terlecka, której we dworze lękali się wszyscy, w sekrecie donosiła, nie szczędząc nikogo, i głównem była źródłem plotek z całego świata. Zwykle po wieczerzy, gdy się wszyscy porozchodzili, ona i kilka osób zaufanych ściągało się do wojewodziny, gdzie z całego dnia sprawę zdawano, co kto powiedział, zrobił i t. p. Na tej radzie tajemnej w garderobie pani rozstrzygały się nieraz losy ludzi i rodzin całych.

Terlecka miała głos pierwszy i największą wiarę, wojewodzina patrzała na nią, a panna umiała zawsze przewidzieć, co najmilszem pani być mogło. Terlesię, jak ks. Russyana, znali wszyscy, co byli zmuszeni dotykać Krystynopola, księdza zyskiwano dobrem słowem, faworytę prezencikami, które bardzo lubiła. Dawała ona rady, przyrzekała protekcyę, lecz trzeba było umieć do serca jej przemówić.

Obok panny, ale w innej zupełnie roli stała matka jej, pani Katarzyna z Giedrojciów Terlecka, postać osobliwa, oryginalna, coś pomiędzy dewotką a waryatką pośredniego, osóbka mała, krzywa, gadatliwa, niedorzeczna, pyszna ze swego pochodzenia od Giedrojciów, natrętna, napastliwa, nieznośna, ale w łaskach u państwa,

którzy w niej nabożeństwo dziwaczne i krew pańską szanowali Staruszka umiała z tego korzystać.

Funkcyą starej Terleckiej były modlitwy skuteczne; ona za wszystkich i na różne intencye modlić się, pościć, odprawiać nowenny umiała najlepiej, ona jedna aplikować trafnie nabożeństwo mogła do potrzeby; wiedziała, kiedy należało się udać do Św. Antoniego, a kiedy do Św. Mikołaja, w jakim wypadku ten a ten patron był najlepszy, i jaki rodzaj ofiary mógł go zjednać. Udawano się do niej na pewne.

Stara Terlecka przybierała wówczas poważną postać, zamyślała się i upewniała, że znajdzie drogi. Sekrety nowenn, postów, leżenia krzyżem, praktyk dziwnych były jej tylko wiadome. Niekiedy unosiła się aż do pewnego rodzaju prorokowania ekstazy. Naówczas mówiła zupełnie bez sensu, ale z takim zapałem, że nie można było jej nie admirować. Oboje państwo bardzo pobożni, szanowali starą Terlecką. Sam jej pozór w sali pałacu dla obcych osobliwem być musiał wrażeniem. Staruszka wychodziła wykrygowana, z głową podniesioną, sztywna, nie uraniając ani na chwilę powagi, a im więcej było obcych, tem się stawała dziwaczniejszą. Ogromny biały czepiec ze wstęgami, worek na ręku wypchany, różaniec u pasa nieodstępny, wielka głowa na małej skrzywionej figurce... czyniły ją doskonale śmieszną, nikt się tu jednak nie ważył inaczej do niej zbliżyć, niż z największem poszanowaniem. W kościele stara Terlecka, w zakrystyi, na nabożeństwie formalny rej wodziła... porywała świece, kierowała księżmi, intonowała pieśni, a pobożność jej objawiała się taką mimiką gwałtowną, że trudno było pojąć, jak na dość podeszłe lata mogła jej podołać.

Ręce wyciągnięte do góry czasem trzymała godzinami, biła się w piersi straszliwie, całując ziemię,

stukała czołem, że się o czaszkę lękać przychodziło. Za to potem jadła z apetytem wybornym i piła ze smakiem. Terlecka często ale nie zawsze siadywała w Krystynopolu, korzystając z łask wojewodziny, odwiedzała inne dwory, gdzie ją z tego powodu dobrze przyjmowano i obdarzano. Stara łakoma była niesłychanie i wcale z wyciąganiem datków nie czyniła ceremonii, przymawiała się do nich. A że uboga była, dawano jej chętnie suknie, pieniądze, łakocie i t. p. Córce zawadzała nieco ta żebranina, lecz matka nie dała się skłonić, aby spokojnie siadła na dewocyi przy kościele, i żyła z ordynaryi. Nawykła do ruchu Terlecka długo w jednem miejscu usiedzieć nie mogła.

Wpadała z okrzykiem do domów:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka Boska, nasza Królowa. Aniołowie święci niech ten domek okryją skrzydełkami. Na intencyę państwa moich dobrodziejstwa osobliwych odprawiłam Nowennę, że skuteczną, czuję to w sercu mojem uspokojonem. Miałam widzenie w czasie mszy świętej, wszystko będzie dobrze! tak mi Boże dopomóż, bo państwo dobrodziejstwo o biednych i łaknących nie zapominacie. Duch święty podał to do serca mego. Czas się zbliża ukontentowania.

W dalszej rozmowie umiała się przymówić i o sztuczkę atłasu, i „o wina antałeczek na mój żołądeczek“. Pobożność ta nie przeszkadzała pani Katarzynie z Giedrojciów Terleckiej znosić do Krystynopola ploteczek z okolicy. Wojewodzina miała słabość do niej, ona też, nogi osobliwszej dobrodziejki całując, niedorzecznościami i pochlebstwy uszy napychała. Córka naówczas milczeć musiała, bo matka jej się nie dawała powodować. Nie licząc pomniejszej gawiedzi, która panią wojewodzinę otaczała, mniejszemi lub większemi jej ciesząc się

łaskami, naostatek trzeba tu jeszcze zapisać ulubionych jej karłów dwoje — Bebusia i Bebę.

Bez tych dwóch istot wojewodzina równie jak bez Terlesi obejść się nie mogła. Popsute, rozpieszczone, dziecinne, odgrywały one role, jaką gdzieindziej pieski fawory ty mają, z tą różnicą, że gryźliwy ich i niespokojny charakter nieustanne wywoływał wojny i swary. Bebuś i Beba kłócili się z sobą, szpiegowali fraucymer i sługi, donosili, co podpatrzyli przez okno, co podsłuchali u drzwi, zasługiwali się pani, a zarabiali na nienawiść całego dworu. Wojewodzina jednak, mimo słabości dla karłów, trzymała ich niekiedy tak surowo, jak i innych. Bebuś, wziąwszy rózgą, do nóg padał, przepraszał, dostawał sucharek i szedł się mścić nad towarzyszką wierną, nad którą się znęcał bez litości. Nie cierpiano Bebusia i Beby, ale i im musiano się czasem przypochlebiać, zyskiwać ich sobie, aby nie pletli niepotrzebnych rzeczy i nie poddawali złych myśli. Bebuś był plotkarz i łgarz okrutny; ile razy dowiedziono mu długojęzyczność grzeszną, wojewodzina kazała mu wieszać na szyi czerwony sukienny język, z którym czasem chodził po kilka godzin za karę.

W wielkiej sali pałacu w Krystynopolu Bebuś i Beba mieli swój apartament osobny. Słuszny mężczyzna mógł mu się przyglądać z góry, gdyż nie okryty był dachem. Składał się on z parawanów, papierem oklejanych, na którym poprzylepiano wystrzygane figurki dziwaczne zwierząt i ptaków. Stanowiły one tych starych dzieci zabawkę. W pośrodku mieli salonik ze stołowymi lilipuckimi meblami i całe niby gospodarstwo.

Nieszczęśliwe to małżeństwo, z babiemi twarzyczkami gębczastemi i obwisłemi, żyło z sobą, jak pies z kotem, ale to na opak, Bebuś był tyranem i władcą, a bie-

dna Beba ofiarą. Obawiała się ona męża okrutnie, a ten, że o cal od niej był wyższy, znęcał się nad słabą towarzyszką. Przytem, co mu dowiedzione zostało i za co był karany, stary, paskudny Bebuś bałamut był i kochał się w pannach respektowych, dobierając zawsze dla efektów swych najsłuszniejsze wzrostem.

Gdy za parawanami rozpoczęła się wojna i wrzawa, bo karły miały charakter niespokojny, wojewodzina dobywała z szufladki stoliczka małą dyscyplinę i szła własnoręcznie sprawiedliwość wymierzać. Niestety, miała dla Bebusia pewną słabość, z której on korzystać umiał; zawsze więc prawie nieszczęśliwa Beba, choć rączki składała, zaklinała się i przysięgała, że była niewinna, musiała za grzechy męża pokutować. Bebusia ubierano po polsku, i mimo że szlachectwo jego było wielce problematyczne, chodził przy szabelce; Bebę strojono w czepce, fryzury, robrony, i trzeba przyznać, że im na sukienki nie żałowano. Kobiecina bardzo się stroić lubiła, a Bebuś próżny był, elegant śmieszny i lusterko w kieszeni nosił. Trapiło go to niezmiernie, iż mu wąsy rosnąć nie chciały; choć pokryjomu golić się kazał cyrulikowi, nic to nie pomogło.

Wojewoda, słaby we wszystkiem dla żony, cierpiał to nieznośne stadło, do którego towarzystwa należał mops otyły i kaszlący i papuga zachrypła. Beba pilnowała ptaka, Bebuś chorego przyjaciela, który cierpiał na wątrobę—chodził go przewietrzać na ganku. Pan wojewoda, tolerując parawany, zdala się jednak od nich trzymał i krzywił czasami, gdy kakadu nadto wrzeszczała, a mops wyć z niecierpliwości zaczynał. Rzadko się to jednak zdarzało.

Bebuś i Beba nie próżnowali, odprawiali nabożeństwo z całym dworem, jejmość robiła pończochy i pod-

wiązki, a on sam używany był do posyłek, roznosił rozkazy, a proprio motu oboje się z za parawanów wyrywali w świat ze szczególnem zamiłowaniem oddając szpiegowaniu ludzi wyższych wzrostem, których za nieprzyjaciół rodu swego uważali.

Wojewodzina nie zawsze mogła dopilnować tego, co się działo za parawanami. Gdy długa panowała cisza, domyślała się dezercyi, naówczas albo sama się puszczała, lub wysyłała w pogoń jednego z dworzan, a zbiegi bezpaszportowe za powrotem, jeśli się od dyscyplin wykupiły, musiały klęczeć, albo u stołu być pozbawione najmilszej potrawy.

Wyliczyć główne postaci dworu pana wojewody byłoby trudno; faworytów nie miał, pochlebców nie lubił, preferował jednak tych, co jak koniuszy Wilczek najgoręcej spełniali jego rozkazy. W otoczeniu wojewody ludzi się liczyło seciny; najpokorniejsi i pochlebcy i tu szli górą, uniżoność bowiem i adoracyę ceniono ze wszystkich przymiotów najwyżej. Kto umiał się zalecać submisyą niezmierną, kłaniał do ziemi, za kolana ściskał, oczu nie śmiał podnosić, olśniony blaskiem majestatu pańskiego, ten dał sobie rady. Najmniejszy tonik niewczesny pani wojewodzina w dworzanach karała na prędce ręką szybką, która wymierzała policzek. Nie krzywdziło to szlachcica, gdy od jaśnie wielmożnej pani w papę dostał, ale nazbyt przyjemnem nie było. Miłości też wielkiej ani wojewoda, ani ona nie zjednali u dworu, szanować się kazali, i — drżało wszystko przed nimi. Rygor zresztą był więcej pozorny, niż rzeczywisty. Wyjąwszy nieznośne karły, cały dwór wzajem sobie rad był ulżyć tej niewoli. Na oko szło wszystko sprężyście, pilnie, posłusznie, lecz umiano sobie folgować po cichu.

Mówiono o panu staroście zawideckim, który był

mężczyzną ślicznym i galantem wielkim, że nawet w późnej po capstrzyku godzinie ośmielał się oddawać wizyty fraucymerowi. Było to zuchwalstwo tak straszne i niebezpieczne, iż na nie chyba miłość prawdziwa zdobyć się mogła. Udawało się to czas jakiś, ale karły coś przewąchiwały. Bebuś o cały fraucymer był zazdrosny. Wojewodzina, coś podejrzewając, wyszła raz późną godziną na korytarz, śledząc właśnie, gdy starosta z pokoju panien się wymykał. Schwytany na uczynku, że było ciemno, nie widział innego ratunku nad udawanie duszy z czyśćca na padół płaczu przybyłej, znikąd ratunku nie mającej. Jął więc zawodzić, jęczeć, stękać, chrapać; wojewodzina, przestraszona upiorem, uciekła a za duszę starosty nazajutrz uroczyste odprawiono nabożeństwo. Na drugi raz pewnie był ostrożniejszy.

Podobnych wybryków działo się pewnie i więcej, lecz jedni drugich jak mogli zasłaniali i bronili, a życie się wlokło. Kobiety, które w świat wychodziły z fraucymeru wojewodziny, trzymane w takiej ryzie, rzeczywiście na niej zyskiwały, i co później życie im przyniosło, przyjemnem wydawać się musiało po surowej klauzurze. W żadnym klasztorze reguła nie była tak ścisła, jak tutaj.

Podlegał jej i sam wojewoda, któremu żona najmniejszego wyłamania się z godzin i trybów życia nie przebaczała. Po wyekspedyowaniu kresów i listów, wieczerzy i modlitwie, gdy na odwachu capstrzyk wybito, a konferencya jejmości z faworytami była skończona, wojewoda z kancelaryi swej, pozamykawszy wszystko, ze świecą woskową w maleńkim lichtarzyku, szedł przez pokoje do sypialni, do jejmości. Tu zwykle jeszcze odbywała się narada poufna, pod wpływem wrażeń z konferencyi wyniesionych, spowiedź z dnia całego, i wo-

jewodzina dawała instrukcye małżonkowi w sprawach wątpliwych.

Przez jeden pokój, w którym zwykle sypiała panna Młądanowiczówna, lub inna z młodszych panien respektowych, oddzielony był tylko korytarz, wiodący od fraucymeru i pokoju córek. Tam, gdy w tej porze powszechnego milczenia najmniejszy szmer dał się słyszeć, wojewodzina wstawała sama ze stoczkiem lub bez stoczka i, narzuciwszy pudermantel, szła troskliwą rewizyę odbywać.

Niekiedy pannę w przedpokoju budził żwawy spór między małżeństwem wynikły, bo, choć się pan wojewoda akomodował we wszystkiem, nie bez tego, żeby mu czasem mucha na nos nie siadła. Naówczas, ażeby prejudykatu nie zyskał, jejmość śpieszyła z poskromieniem swawoli, i nigdy się nie trafiało, ażeby pokój przed spoczynkiem nie został zawarty, po zwycięstwie odniesionem nad wojewodą.

Wychowanie jedynego syna wojewody, na którym rodu spoczywały nadzieje, powierzone było czcigodnemu Pijarowi ks. Wolffowi. Dodawano mu metrów, był dla języka Francuz kamerdyner przy paniczu, ale pieczę i nadzór główny dzierżył ów uczony a pobożny księżyna, człek najlepszych chęci, mający tylko tę wadę, że radby wszystkim dogodził, nie wyjmując ucznia swego. Sam sobie zostawiony byłby pewnie energiczniejszym i lepszym mentorem, ale matka mieszała się do wszystkiego, wtrącał potrosze ojciec, uczeń miewał wstręty i popędy różne a ksiądz Wolff, nikomu się nie chcąc narażać, na ciągłych był torturach. Spokojny człeczyna, łagodny do zbytku, surowość obojga rodziców starał się chłopięciu nagrodzić. Na pociechę w tej biedzie przychodził doń ks.

Russyan na maryasza, a Feliś z kamerdynerem Francuzem baraszkował w przedpokoju.

Do panienek wojewodzina zmuszona była wziąć najprzód bonę Francuzkę, bo już naówczas francuzczyzna była warunkiem wyższego wychowania. Po bonie przyjęto madame.

Tę jej nastręczyli Potoccy, u których już wychowaniem się zajmowała. Madame, pomimo posłuszeństwa i uległości, nie miała u wojewodziny tyle swobody, co ksiądz Wolff, którego suknia duchowna po części od zbytniego despotyzmu osłaniała.

Wojewodzina wglądała we wszystko, a co do kształcenia charakteru, układu, wpajania zasad pewnych, sama córkami kierowała.

Madame Dumont odrazu, gdy ją to szczęście spotkało, że do Krystynopola przywiezioną została i cztery dorastające panienki pod jej dozór i naukę oddano, pierwszego wieczoru pojęła swe położenie, a zarazem starać się zaczęła zbadać usposobienie panienek, aby wiedzieć, jak ma postępować z niemi.

Wszystkie one ostro trzymane, onieśmielone były i biedne, gdy na ustach dobrej, ale płochej dosyć Francuzicy ujrzały uśmiech miły a poczuły w niej trochę serca, rzuciły się na nią, jak na pastwę. Dumont była dobrą i słabą do zbytku, znalazła się więc w tem fałszywem położeniu, że panienkom chcąc ulżyć losu, musiała je uczyć kłamać.

System był przyjęty taki, że za najmniejszym w korytarzu szelestem, i w godzinach, w których wojewodzina przychodzić zwykła, wszystko leżało w miejscu, zajęcia odbywały się wedle przepisów. Wcale jednak szło inaczej, gdy panny same z panią Dumont pozostały. Wówczas trzpiotały się i robiły, co się im podo-

bało, oddychając swobodnie. Madame nazywała się u nich zawojowaną prowincyą. Francuzka lubiła czytać, nie trudna była w wyborze, zajmowały ją szczególniej romanse, a wiadomo, jak różne one bywały w końcu XVIII wieku. Książki te zakazane najsrożej potępiono, nigdy się w pokoju madamy ani panien nie nastręczały oku surowej matki, jednakże nie zaręczylibyśmy, żeby ich najstarsza, panna Marya, po kryjomu nie czytywała.

Siostry młodsze, żywszych temperamentów, bardzo jeszcze dziecinnie bawiły się lalkami; ona była nad wiek dojrzała. Niezbyt piękna, nie bardzo słusznej, ale zręcznej postaci, ciemnych oczu, włosy miała prześliczne, rączkę i nóżkę, jak utoczone, wiele dystynkcyi i powagi, ale zarazem coś tak smutnego i zbolałego w sobie, iż, patrząc na nią, zdawało się widzieć istotę na męczeństwo przeznaczoną. Nie skarżyła się jednak nigdy, ale dzieckiem jeszcze nie znała wesołości, chodziła zadumana, a rzecz najmniejsza ją trwożyła. Cerę miała bladą, wyglądała mizernie; niekiedy kaszelek suchy i rumieniec wypalony doktorowi Macperlanowi dawały do myślenia. Naówczas jednak systemem było temperamenta delikatne hartować, a pani wojewodzina mocno wierzyła w to, iż chorób wszystkich pozbywa się, walcząc z naturą. Dzieci więc w ogólności to najwięcej jadać musiały, do czego wstręt miały najmocniejszy, a narażano je na wszystkie życia nieprzyjemności, aby się z niemi oswajały. Sukienki zimą dawano umyślnie bardzo lekkie, pościółki twarde, futra żadnego, stół prosty, zimna woda w użyciu, czasem chleb razowy i boso spacerowanie po rosie.

Doktór Macperlan, tak samo, jak niemal wszyscy na dworze, poznawszy charaktery państwa, miał sobie za najpierwszy obowiązek wcale się im nie sprzeciwiać.

Kłaniał się nizko przed wojewodziną, i co ona za dobre uznawała, teoryą swą naukową podpierał. Tak mu było wygodnie. Dzieci wyglądały dosyć mizernie, z tego jednak miały później wyrosnąć. To wyrastanie należało do zasad pani wojewodziny, hartowano je tymczasem.

Madame Dumont, której pobyt w Krystynopolu przykrzył się wielce, bo nie miała do kogo poufale przemówić ani słowa, już to dla języka, już z obawy plotek, przywiązała się do starszej swej wychowanicy Maryi, bo ta jej chętnie słuchała, rozumiała najlepiej, a zdradzić nie mogła nigdy. Przed nią czasem nawet, bardzo po cichu, na tę klauzurę, klasztor, niewolę i uroczyste nudy, na te plotki i humory wojewodziny narzekać się warzyła. Wzdychały obie. Marya nie odpowiadała nic, bo wogóle mało była mówiącą, ale słuchała chętnie, wzdychała sympatycznie. Panienka już była dorosła, ale zamknięcie w domu, sposób wychowania, rygor matki, przed którą szczerze nigdy się z niczego wyspowiadać nie było można, czyniły ją nieśmiałą i dziecinną.

Tak stały rzeczy na krystynopolskim dworze, gdy jednego wieczoru Bebuś przybiegł od wojewodziny do madamy, prosząc ją na rozmowę.

Wezwanie to miało w sobie coś tak nadzwyczajnego, że madame Dumont, która, zobaczywszy karła, prędko książkę czytaną schowała, przelękła się niemało. W Krystynopolu szło tak wszystko wedle zegaru, a widzenia się z wojewodziną tak ściśle miały oznaczone godziny, iż się chyba czegoś straszliwego można było spodziewać. Dobre rzeczy nader się tu rzadko trafiały. Do nich liczyły się podarki na Nowy Rok i imieniny, a w pewne święta spodziewane niespodzianki, w czasie których bawiono się systematycznie pod okiem matki, w czte-

ry kąty, cenzurowanego, ciuciubabkę, kotka i myszkę, posilając migdałami, rodzynkami i figami.

Madame Dumont, drżąc cała, poszła do zwierciadła poprawić peruczkę, panienki strwożone otoczyły ją, patrząc w oczy, jakby się już obawiały utracić. Francuzka westchnęła na intencyę, żeby jakiej bury nie dostać — Bebuś czekał — wyszła.

VI.

Dla zrozumienia tego, coby Francuzkę spotkać miało, cofnąć się nieco musimy w opowiadaniu. Już od dwóch miesięcy często przybywała do Krystynopola pani Mniszchowa z Dukli, przesiadywała tu razem z panią Cetnerową po dni kilka i nadskakiwała wojewodzinie. Po każdem widzeniu się następowały narady z ks. Russyanem i panną Terlecką, konferencye wieczorne burzliwe, naprzemiany usposobienia wesołe i frasobliwe, irytacye, mdłości i uszczęśliwienia. Widocznie coś tu ważnego się gotowało. Wojewoda, wzywany, to mitygował, koił, to sam nie wiedząc, co poczynać, wysuwał się milczący. Niekiedy szeptano i sprzeczano się żywo.

Panna Terlecka podsłuchała raz wojewodzinę wołającą:

— Nie chcę! nie chcę za nic w świecie!

Potem przybyła znowu Mniszchowa, uśmiech powrócił na usta, dobry humor rozjaśniał twarze wszystkich, pan wojewoda ręce jejmości czule całował. W kilka dni wróciły fochy, a po nich jeszcze raz pokój i zgoda. Trwało to dosyć długo, dopóki wreszcie nie ustaliła się na horyzoncie krystynopolskim pogoda, i wojewo-

dzina nie stała się łagodnie zamyślona tylko. Wzywano często jegomościa na ciche narady, zawsze ucałowaniem rączek się kończące i sakramentalnem:

— Zrobisz, co zechcesz, moja duszko, nikt nie zmusza.

Po tych wszystkich przejściach i niepewnościach, których przyczyny domyślała się tylko panna Terlecka, a wiedział o niej jeden tylko ks. Russyan, który milczeć umiał, pewnego dnia po wieczerzy dwór wojewodziny cały zebrał się u niej w garderobie na zwykłą konferencyę.

Oprócz starej i młodej Terleckiej była pani Wałowska, były dwie niemłode jejmoście; wojewodzina siedziała w fotelu i wzdychała zamyślona, na noc każąc sobie pod czepek włosy układać.

— Już dłużej niema co tego w bawełnę obwijać — odezwała się cicho do starej Terleckiej, ze swym workiem i różańcem siedzącej na nizkim stołeczku u nóg pani.

— Proszę cię, moja Terlesiu, o nowennę na intencyę Maryni.

Stara dewotka w r ce plasnęła.

— Tak mi panie Boże dopomóż — poczęła, szepleniąc żywo — tak się nade mną ulituj, Matko Najświętsza, opiekunko moja osobliwa, że już mnie Duch Święty dawno to do serca podał, iż o pannę Maryannę chodzi... względem wiekuistego, a daj Boże sukcesów pełnego postanowienia. Co w niebie napisano, nie minie. Nowenneczkę z suchotami odposzczę i odprawię na intencyę całego splendoru domu moich dobrodziejów.

Plotła tak, świecąc małemi oczyma i całując z uniesieniem rąbek szaty swej pani, gdy wojewodzina dodała:

— Albo co będzie, lub nie. Zobaczymy. Kawaler rodu pięknego, cóż, kiedy, słyszę, trochę bałamut... piękny, bogaty.

— Za łaską Pańską... do Przemienienia koronkę mówić będę sześć niedziel, wszystko się to inaczej obróci, a trzpiot ustatkuje. Byle łaska boża, Duch Święty natchnie.

Panna Terlecka stała, nadsłuchując także.

— Różnie ludzie prawią — poczęła wojewodzina — siostra za nim przemawia, osoba poważna i stateczna, ręczy... z Warszawy inne wieści płyną.

— Nie trza zważać — szepnęła panna — zazdrośni je wymyślają.

— Ale masz racyę — rzekła pani.

— O! już to moja — odezwała się Terlecka, uśmiechając się do córki i uderzając po czole — jej rozumek dał Pan Bóg, kiedym ją za młodu do Św. Józefa ofiarowała!... Wymodliłam jej i wypościłam główkę nie makówkę, serduszko złote i błogosławieństwo aniołów.

— To też — ciągnęła, na szczebiotanie uwagi nie zwracając, wojewodzina — postanowiliśmy pozwolić kawalerowi przybyć.

— Nowenneczkę pocznę jutro! — zawołała stara — świeczki dwie zapalę i zaposzczę.

— Ojcowie się już porozumieli — szepnęła jejmość — ale o tem nie trzeba mówić jeszcze nikomu.

— Kłódką usta zamknę dla miłości moich dobrodziejów, których Bóg niech obsypuje... Najświętsza Opatrzność — Patryarchowie, Patronowie i wszyscy święci Pańscy... Ora pro nobis! — plotła Terlecka.

— Jak myślicie? — odezwała się wojewodzina — lada dzień przybędzie; należałoby Marynię przygotować, żeby wiedziała, jak się znaleźć, a starała podobać...

— Przy łasce Pańskiej, bo ja powiadam to zawsze... w miłosierdziu bożem... — przerwała stara Terlecka — a rany Jezusowe pomogą!

Westchnęła, w piersi się bijąc.

— Jeśli mi pani słówko wtrącić pozwoli — szepnęła panna.

— Mów, proszę cię.

— Główka nie makówka! — mruknęła matka, nie mogąc powstrzymać języka.

— Panience nawet nie trzebaby mówić, iż rzeczy niepewne — ciągnęła dalej panna Terlecka — bo to, proszę jaśnie pani, czy na jedną, czy na drugą stronę padnie, lepiej odrazu objawić postanowienie; panna Maryanna, nie wiedząc, że rzeczy pewne i stateczne, myśleć może tak i owak, a jak się dowie, że to ma być niezawodnie (co przy łasce bożej niechybnie nastąpi), zastosuje się do woli rodziców i będzie dobrze.

Stara Terlecka, słuchając córki, tylko głową kiwała, dziwiąc się jej rozumowi, i dłonią się biła po twarzy.

Wojewodzina mocno była zadumana.

— Już to jegomości nie widziałam nigdy tak czegoś pożądającego, jak tego małżeństwa, które mu potrzebne być musi — rzekła cicho — a jak oni co postanowią, zawsze na swojem postawią.

— E! — odezwała się panna śmiało, całując rękę wojewodziny — co to mówić! jak jaśnie pani nie zechce, to się wszystko w nic obróci. Ale dlaczegoż nie chcieć, gdy, dzięki Bogu, partya, jakiej tylko można żądać?

— Pewnie, pewnie, ale to młode i trzpiot, bałamut... tak z Warszawy donoszą — mruknęła jejmość.

— Bo chcieliby jaśnie państwa zdysgustować, a sami go chwycić — dodała panna Terlecka.

— Ale, wracając do rzeczy — zaczęła wojewodzina — trzebaby Marynię przygotować. Mnie nie wypada, przestraszy się dziewczyna.

Spojrzała na pannę Terlecką.

— A tybyś tego nie potrafiła? hę?

— Co mnie pani rozkaże, na wszystko jestem gotowa — poczęła panna — jednakże ja tam tej poufałości nie mam. Mnie się zdaje, że do tego...

— Któż, myślisz? kto?...

Stara Terlecka, mrucząc coś, jakby się modliła, ciągle klepała się po twarzy. Był to wyraz podziwienia nad córki rozumem.

— A gdyby madame, proszę jaśnie pani? — szepnęła panna—i to niechby nie mówiła, że z dyspozycyi, tylko pod sekretem... Panna Maryanna byłaby przygotowana...

— Słowo daję, niema do rady jak ty, Terlesiu, masz słuszność, tak najlepiej.

Lice matki-staruszki rozjaśniło się, ręce złożyła i, nie wytrzymawszy dłużej, dodała:

— A ja nowenneczkę zapocznę... i do moich świętych się udam, których wiem, aby się maryażem opiekowali — i Opatrzność Boska, a Patronowie i Anioły Stróże. Zobaczysz pani, pójdzie wszystko jak z płatka.

Narada przeszła w opowiadanie o Brühlach, ich stosunkach i charakterze. Panna Terlecka, snadź dobrze przygotowana, miała w tym względzie obfite wiadomości, i widocznie była za związkiem. Wojewodzina nie zdawała się też od tego, konwinkowała ją i ta okoliczność, że po królowej JMci, niedawno zmarłej, starostwo spiskie spadło na Brühla, a syn je miał od niego otrzymać. Liczono też inne mnogie posiadłości już nadane lub przyobiecane.

— Przy pomocy bożej — konkludowała Terlecka— pójdzie wszystko jak z płateczka, a po weselu okroi się i mnie ubogiej słudze, a bogomodlnicy... jaki płateczek...

Na radzie tajnej postanowiono, w myśl panny Terleckiej, użyć madamy do przygotowania wojewodzianki. Nazajutrz miała z nią mówić o tem sama pani, i dlatego ją do siebie wezwała.

Gdy Dumont weszła drżąca, wojewodzina siedziała w swoim pokoju, przytykającym do sypialni i dzielącym ją od wielkiej sali. Jak w charakterze obojga państwa, tak w urządzeniu tego mieszkania osobliwsza panowała mieszanina pańskości i skrzętnej gospodarności.

Staroświecki zegar przepyszny stał na kominie między dwoma chińskimi wazonami, było zwierciadło weneckie z herbem Potockich u góry, biuro bronzami złoconymi ozdobne, ogromna szafa gdańska rzeźbiona, któràby w muzeum godziło się postawić, ale obok tego leżały cienkie motki niebielone, kilka wianków grzybów, próbka suszonego rumianku, na oknie stały gąsiory tajemnicze, w których pod okiem wojewodziny naciągały spirytusy pączki brzozowe, jarzębina i różne sławione produkty. Tych rozmaitych specyfików wyrobu sama pani Anna doglądała, nie spuszczając się na nikogo. Niezmiernie czynna, choć miała się zaprawdę kim wyręczyć, nie chciała uwolnić się od pracy. Kilka pokoleń składało się na książkę straszliwymi charakterami pisaną, w której były i przepisy pieczenia ciast wielkanocnych, i lekarstwo skuteczne od robaków, i smarowania przeciw rwaniu w kościach, i recepty wódek a likworów doskonałych...

Zmierzchało już, gdy z bijącem sercem wsunęła się madame do pokoju wojewodziny. Bebuś ciekawy a złośliwy, rad coś podsłuchać, wśliznął się za nią, lecz baczne oko pani postrzegło go, tupnęła nogą i zawołała ostro:

— Bebuś! czego tu? swojeś zrobił! A do budy mi! nogi za pas! Słyszysz?

Karzeł, trochę zmieszany, uciekł.

Wojewodzina siadła w krześle, podparta na ręku i chmurna, spojrzała na Francuzkę.

— Siadaj, moja Dumont — odezwała się nieosobliwą francuzczyzną — siadaj proszę, mamy z sobą do pomówienia.

W głosie nie było nic przerażającego, Dumont się uspokoiła i na dosyć oddalonego krzesła rożku przysiadła nader skromnie.

Wojewodzina zamyślona milczała trochę, potem coś sobie snadź przypomnieć musiała, dała jakiś znak madamie, a sama po cichuteńku na palcach skradła się do drzwi wchodowych i otworzyła je nagle. Złapany na uczynku Bebuś chciał pierzchnąć, nogą się o coś zaczepił i padł.

— Łajdak jakiś! paskudztwo! — krzyknęła pani, nogą tupiąc — idź mi zaraz, niech ci, nie kto inny, tylko ochmistrzyni, da rózeg piętnaście, i żebyś mi kwitek przyniósł na to.

Bebuś coś bełkotał, ale drzwi się nielitościwie zamknęły, wojewodzina bez najmniejszego wzruszenia powróciła do krzesła.

— Przysuń się tu, moja Dumont — odezwała się po cichu.

Posłuszna Francuzka przyniosła krzesło i siadła. Jejmość nie wiedziała od czego począć. Westchnęła, pierścionek na palcu obracając machinalnie.

— Mam ci to oznajmić, moja Dumont — rzekła wreszcie — że stracisz jedną z wychowanek... Marysia młoda, bardzo młoda jeszcze, mogłaby poczekać, delikatna jest i wątła... wcalebym sobie nie życzyła już za mąż jej wydawać, ale cóż chcesz? Składają się tak polityczne okoliczności i rachuby Jegomości pana wojewody.

— Ach! — westchnęła Francuzka mimowolnie, łamiąc ręce, bo wiedziała, jaką ta nowina przykrość zrobi wojewodziance.

— Niema o tem co mówić — ciągnęła dalej pani — że co się postanowiło, to spełnić się musi. Dzięki Bogu, dzieci nasze tak wychowane, że zrobią, co im każą. Nasza to rzecz im szczęście obmyślać. Przytem świetny los czeka Marynię, a i konkurent, jak mówią, kawaler co się zowie edukowany wysoko, rozumny, piękny, młody i stanowisko mający znakomite. Już to tam o podobanie się nie idzie, bo rzeczy między panami ojcami zawczasu ułożone... Otóż moja Dumont, choć ja dzieci nie pieszczę, i u mnie, choćbym kazała tej chwili stanąć na kobiercu, każda z nich musi, ale biednego dziecka mi żal, aby się nie strwożyło, aby wiedziało, jak się ma znajdować.

Francuzka cała pochylona słuchała, nie odpowiadając.

— Rozumiesz mnie — dodała wojewodzina.

— Doskonale — słabym głosem ozwała się madame.

— Narzeczony w tych dniach przyjedzie — mówiła dalej — Marynia, choć to dziewczynie młodej przystało, straszna trusia, niechże się po kątach nie chowa, a gdy do niej zagada, żeby mu przytomnie odpowiadała. Ani się do zbytku uśmiechać, ani boczyć się nie ma, niech jej to Dumont powie.

Francuzka głową potrząsała.

Pani wojewodzina, jak we wszystkiem, tak i w tem chciała zawczasu uregulować, rozdysponować, niemal podyktować wyrazy. Panienka nie mogła i nie powinna była mieć swojej woli, ale iść wedle przepisów aż do ołtarza. Któż wie, nawet od niego odszedłszy, bo władza mężowska rodzicielskiej nie kruszyła.

Widząc Francuzkę milczącą, ale potakującą i posłuszną, powtórzyła jej razy kilka instrukcye matka i, biorąc za klucze — bo sama od apteczki nosiła zwykle — dała znak skończonej konferencyi. Madame dygnęła i wyszła, lecz tak zadumana a smutna, iż ani wiedziała, jak stanęła u drzwi, i stała pod niemi tak długo, aż ją hałas bawiących się wrzawliwie dwojga młodych dziewcząt przywiódł do przytomności.

Marynia, jak zwykle, stała w oknie od ogrodu i patrzała zadumana w ulicę.

Mamyż zdradzić wielką tajemnicę, której się nikt a nikt w świecie nie domyślał, o której nikt nie wiedział...? Marynia czytała dużo romansów, miała usposobienie do marzeń... i choć sama się do tego sobie nie przyznawała — kochała się... a szczęśliwy wybrany szalał, tajemnie wzdychając do wojewodzianki. Romans ten trwał już ze trzy lata, nie wiem tylko, czy go tak nazwać było można. Nigdy podobno nie przemówili do siebie ani słowa... Młodemu dworzaninowi wiadomo było, że gdyby był podnieść śmiał oko na córkę wojewody, dostałby sto na kobiercu i jutro znalazłby się na drugim końcu świata. Zakochać się w Maryni takiemu biedakowi, było toż samo, co zapragnąć gwiazdy z nieba...

Lecz są takie siły, których złamać nikt nie może — oczy wojewodzianki spotykały się z wejrzeniem dworzanina, i nauczyły się mówić do siebie, i mówiły zawsze tę jedną pieśń nieśmiertelną, którą tysiące lat powtarzają, między kolebką a grobem: kocham ciebie!...

Z tej miłości, wiedzieli dobrze, nie miało być nic, oprócz miłości, oprócz tego, czem ona poi, kropli marzenia i puhara goryczy, a tęsknot — a łez... bez końca.

Szczęśliwym czy nieszczęśliwym wybrańcem wo-

jewodzianki był piękny chłopak, który się na łasce wojewody wychował, a jemu był winien wszystko... Ojciec jego, pan łowczy Godziemba, szlachcic prastary, okrutny sejmikowicz i zawadyaka, dał się na jednym zjeździe, utrzymując sprawę wojewody, posiekać w kawałki. Przeciwna partya wpadła nań i porąbała tak, że gdy go potem wniesiono pływającego we krwi na kwaterę, nim ksiądz dobiegł z Sakramentami, Panu Bogu ducha oddał. Miał tylko czas panu Domaszewskiemu, który był tam od wojewody, powiedzieć: „Zostawiam mu syna — będzie miał na sumieniu śmierć moją, jeśli mu ojca nie zastąpi...“

Doniesiono to wiernie wojewodzie, który chłopca, naówczas mającego lat około ośmiu, zaraz kazał przywieźć i oddał na wychowanie do Lwowa, a gdy szkoły cum summa laude skończył, wziął go sobie za dworzanina i losem jego obiecywał się zająć.

Chłopak sierota nie miał żywej duszy na świecie, jedną tę tylko opiekę pana wojewody, która wprawdzie za wiele starczyć mogła, ale serca nie karmiła. Zdano go na ręce obce... a jedyną miłość, jakiej skosztował, przyniosła mu biedna istota, stara mamka, która ze swojem przybranem dziecięciem do Krystynopola się przywlokła. Potraciwszy dzieci, w małym Tadeuszku miała syna, świat swój cały. Dopóki on siedział w Krystynopolu, służyła Żydom w miasteczku, aby go choć widzieć mogła zdaleka; gdy go wieziono do Lwowa, szła za nim pieszo, przyjmowała służbę gdzieś w pobliżu i czuwała nad Tadeuszkiem, który ją też niemal jak matkę szanował. Stara, lękając się go swem ubóstwem i miłością zawstydzać, skradała się doń pokryjomu, byle słowo przemówić, dowiedzieć się, czy zdrów, posłyszeć głos i uspokoić serce, że dziecku się nic nie stało.

Tadzia Godziembę trzymano surowo, i wysługiwać się musiał, ucząc posłuszeństwa, karności, a nie wiedząc, co mu wojewoda gotował. Czasem go dla pięknego charakteru używano do kancelaryi, to znowu dla jeszcze piękniejszej twarzy, figury i szykownej maniery, dla reprezentacyi u dworu stawiano.

Wojewodzina dosyć go lubiła, gdy był dzieckiem, potem, gdy wyrósł a wrócił tym Antynousem, krzywo nań patrzała. — Odesłałby go gdzie jegomość na wieś, do gospodarstwa—mawiała—bo to niema nic gorszego w domu, niż taki gładysz... dziewczętom głowy zawraca, sam się psuje i, uchowaj Boże nieszczęścia, zgorszenie być może.

Wojewoda jednakże lubił się pięknymi chłopcami otaczać: był to też rodzaj arystokracyi. Godziemba zaś, prócz tego, miał piękne familijne stosunki i rodzina jego dawniej na krzesłach senatorskich siadywała, a dworzan z takich senatorskich dzieci pięknie było mieć.

Został więc Tadeuszek przy dworze i powszechną miłość zyskać sobie potrafił, wyjąwszy wojewodzinę i Bebusia. Karzeł go nienawidził. Stanąwszy przy nim, mało co mu był za kolana.

Na swój czas i wychowanie był to też chłopak niezmiernie bystry i chciwy poloru a nauki. Sam prawie z małą pomocą nauczył się po francusku, expedite mówił po łacinie, rozumiał trochę po niemiecku i z książkami miał aż nadto do czynienia, o co go nawet skarżono.

Wojewodzina, nie lubiąc go, domyślała się, że musi być bezbożnik, choć na nabożeństwa uczęszczał i klęczał jak i drudzy. Był to między innymi i ulubieniec księdza Wolffa, ale tam nie wolno mu było chadzać, bo wojewodzic nie miał prawa przestawać z młodzieżą dworską.

Jakim sposobem raz pierwszy oczy Tadeuszka spotkały się ze spuszczonemi oczyma wojewodzianki — jeden Bóg to wie; jak się one ośmieliły mówić — i jak aż do... nieznacznych przyszło pół-uśmiechów — odgadnąć trudno. Nic więcej nad to nie było — to nawet jest rzeczą wątpliwą, czy mieli kiedy sposobność przemówić do siebie. A jednak wojewodzianka doskonale wiedziała, że on się w niej kochał śmiertelnie, i Tadeuszek pochlebiał sobie czasami, iż nie był jej obojętny. Były takie chwile szczęśliwe, wkrótce jednak, gdy rozmierzył przestrzeń, co go dzieliła od tej gwiazdy, miał się za szalonego, iż mógł to przypuścić.

Nikt w świecie tego dziwnego stosunku czworga oczu się nie domyślał, niktby weń nie uwierzył. Było to coś tak tajemniczego... między Bogiem a nimi... tak bez nadziei, tak dziecinnego, iż sama położenia szczególność mogła uczucie potęgować.

Nigdy panna Marya nie poszła dalej myślami... nigdy on nie ośmielił się odgadywać przyszłości... Pragnęli tylko, ażeby to jak najdłużej trwało...

Sen to był na jawie... sen dziecinny, niewinny, śliczny a smutny — smutny, jak na ziemi wszystko, co piękne!

Historya tej miłości składała się z niedostrzeżonych pyłków... były spojrzenia pamiętne, długie, i rumieńce... Raz Tadzio podniósł chustkę zgubioną, raz Marya rzuciła kwiatek na drodze... Czy umyślnie...? Od tej pory Godziemba go nosił na sercu... Około okna panien przechodziła ścieżka, naprzeciw nich szła ulica — Godziemba miewał w takich godzinach konieczną potrzebę wyjść do ogrodu, gdy panna wojewodzianka stawała w oknie...

Te godziny, jakoś bez umowy, obojgu były wiadome...

Na tych schadzkach wejrzeń kończyły się owe dzieje snu, owa sieć pajęczyn, która dwa serca łączyła. Któż nie wie, że poza taką miłością cichą, tajemniczą, bywają całe światy marzeń? I tu one być musiały... Chwilami wierzono w cuda... czasem zabijała rzeczywistość.

Gdy madame Dumont, wracając od wojewodziny, weszła do pokoju panien, w którym dwie młodsze biegały, uganiając się za sobą, Marya stała właśnie w oknie. Zwróciła się zapłoniona, lecz że już dosyć było późno, nikt nie dostrzegł rumieńca.

Biedna madame szła tak przybita ciężarem konfidencyi, która na nią spadła, iż, nie śmiejąc podnieść oczu, wprost do fotelu się dowlokła i rzuciła nań zadumana.

Trzy młodsze rozpoczęły nanowo przerwaną zabawę, która w tej godzinie była dozwolona — Marya przeszła zwolna pokój i przysunęła się jakby przeczuciem do madamy. Ta ją namiętnie pochwyciła w objęcia... i uścisnęła tak dziwnie, inaczej, niż zwykle, że dziewczę stanęło zdumione.

— A! chère Marie!—zawołała madame—siądź przy mnie! Czegoś mi bardzo smutno... niech się siostry bawią, my z sobą pomówimy.

Posłuszne dziewczę wzięło stołeczek nizki i, patrząc w oczy guwernantce, usiadło przy niej.

— Byłam u wojewodziny — poczęła gorąco i niecierpliwie ze zwykłą niezręcznością Dumont — a! gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała, dziecko moje, o czem tam była mowa! Jeszcze mi się głowa pali, jeszcze mi bije serce...

Marya spojrzała ciekawie.

— Czy mama się gniewa za co?... Na nas? — dodało dziewczę, bo matkę znało tylko prawie z jej gniewu.

— O! nie! nie — zniżając głos, poczęła madame — ale co mi mówiła! co mi mówiła!

Już tylko oczyma pytała Marya. Nastąpiło jeszcze jedno w głowę pocałowanie... potem, nie mogąc już utrzymać sekretu, poczęła madame żywo:

— Tylko mnie nie zdradź, chère Marie — a! broń Boże... coś ci powiem, czego się nie spodziewasz...

Schyliła się jej do ucha:

— Wydają cię za mąż!

To powiedziawszy, spojrzała Dumont, jaki skutek wywarła... i przelękła się. Marya rzuciła się, chwyciła ją za ręce i padła zemdlona.

Krzyk okropny wyrwał się z piersi madamy, siostry przybiegły z drugiego pokoju, a że mdłości były surowo zakazane i nigdy się nie trafiały, nie wiedziano jak ratować. Marya jednak po chwilce ocuciła się sama i, głowę położywszy na kolanach Dumont, płakała.

Siostry przy niej posiadały na ziemi — niezrozumiałe to było dla nich. Ludwisia zawołała głośno, że Maryni trzeba było dać dziegciu powąchać, bo to musiały być robaki.

Pobiegła nawet zaraz do garderoby po medykament, który stał zawsze w pogotowiu, lecz już go nie było potrzeba. Marya wstała i zaczęła się przechadzać zwolna, blada, osłabiona i pomieszana.

Dumont z kolei płakała ze strachu, przeklinając swą niezręczność. Na tem się skończyło, bo nadchodziła godzina wieczerzy i modlitwy, i panny musiały się stawić wyprostowane do matki.

Madame zaklęła wychowanicę, aby nic nie dała poznać po sobie, a dziecię, nawykłe do posłuszeństwa, przybrało twarzyczkę, z której już nic, oprócz zwykłego jej smutku, wyczytać nie było podobna. Wieczór zszedł

wedle programu; o godzinie zwyczajnej panny się spać pokładły. Jednak madame szepnęła starszej, że, gdy się siostry pośpią, one jeszcze obszerniej się rozmówią z sobą.

Na ten sen niedługo czekać było potrzeba: młodsze, ledwie do poduszek przyłożyły głowy, znużone dniem pozasypiały. Marya wstała i poszła do Dumont. Miała czas przez kilka godzin oswoić się z tą straszną wiadomością, była prawie spokojna. Zobaczywszy ją, madame załamała ręce.

— Jaka ty jesteś blada! — zawołała — przecież, proszę cię, nic w tem tak przerażającego niema... Uzyskasz więcej swobody, będziesz panią w domu. Mąż twój, ktokolwiek nim będzie, musi cię pokochać... słowem...

Marya ręce załamała.

— Ale... ja... ja za mąż iść nie chcę, ja klasztor wolę...

To wyznanie tak było przerażające, iż madame padła, usłyszawszy je, oczy sobie zasłaniając rękami.

— Chère Marie! a toż co znowu! nie rozumiem! dlaczego?

Wyrwały się te słowa pełne znaczenia biednej wojewodziance, a teraz sama miarkowała, iż niemi powiedziała za wiele. Szukała w myśli, jak się miała tłómaczyć... i nie znalazła nic...

Dumont czekała.

— Zlituj się, dlaczegoż klasztor ci na myśl przychodzi? To najsmutniejsza rzecz w świecie... Nie wiesz, kogo ci przeznaczają. Ma to być człowiek młody, piękny, dobrze wychowany... i wielkiego rodu...

Marya, której czytane książki może na myśl przyszły, zebrała się na odpowiedź.

— Ale, moja pani Dumont, ja tego pana nie znam, — on mnie...

Francuzka łzę otarła i obejrzała się.

— Tak, to prawda — rzekła — lecz u was magnatów inaczej się nie żenią. Dobrze nam ubogim poznawać się, podobać, wybierać, wam to zabronione... Trzeba się zgadzać z przeznaczeniem.

W tych dniach — dodała ciszej — naznaczony mąż przyjeżdża... Słuchaj-że mnie dobrze: wojewodzina chce, abyś nie była zbyt nieśmiałą, ani nadto poufałą, abyś go nie zrażała... Masz być grzeczną dla niego. Zdaje się, że rzecz już jest ułożona, że nic nie pomoże, bo słowo dane...

Westchnęła.

— Zgodzić się musisz z przeznaczeniem, dziecię moje...

I popłakały się obie. Rozczulona Dumont wzięła z tego asumpt do poufnej spowiedzi ze swojej młodości, w której powabny muszkieter grał rolę bardzo czułą. Nie przyznała się może do wszystkiego, lecz gorącą miłość łzy jej po latach tylu najlepiej poświadczyły.

Po długiej rozmowie Marya poszła — płakać do swojego łóżeczka.

W pięć dni po tem nadzwyczajny ruch był w Krystynopolu. Łatwo się można domyślić, iż dostojnych gości oczekiwano... Najwięcej mieli do czynienia ci, przy których były klucze, bo wydawano, zacząwszy od nowych mundurów dla wojska, aż do sreber, które na stół wyjść miały. W tym gospodarnym dworze dzień powszedni różnił się wielce od uroczystego... Na codzienną potrzebę wszystko było inne, odzież, jadło, zastawa; po święcie i uroczystości wracały mundury, srebra, broń, kosztowności do szaf, kufrów i sepetów pod klucze... Na wielką paradę nie żałowano nic, lecz post festum zdawano z regestrów aż do najmniejszego guzika. Wo-

jewoda w utrzymaniu tego porządku był nieubłagany.

I tym też razem rozkazy, wydane panu staroście Zawideckiemu, powołały dwór do jak najświetniejszego występu. Wojewoda oznaczał starszyźnie nawet, jak się przyodziać miała. Dobyto srebra przepyszne ze skrzyń, w których na sukiennych spoczywały łożach, w kuchni już zawczasu przysposabiano co najwyszukańsze potrawy. Jejmość wzdychała uznojona, wojewoda przypominał:

— Niech asindźka pamięta o tem, że to gęby popsute, iż to są wykwintnisie, jakich świat nie widział, że im nigdy dosyć wytwornie dać nie można... kucharz Francuz niech gotuje.

Na dzień naznaczony wszyscy dworzanie, choć barwy nie nosili, wystąpili jednako i bogato ubrani. Wojsko w nowych koletach, ładownicach i kapeluszach. Starosta Zawidecki i książę Czetwertyński od aksamitów i złotogłowów, a sam pan wojewoda po potocku — to jest: kontusz szaraczkowy z guzami brylantowymi, pod szyją spinka z soliterem kilka tysięcy dukatów wartującym, żupan trochę przyszarzany, buty czarne, pas perski.

Inny Potocki na trybunał lubelski wdziewał zgrzebną koszulę, opończę z samodziału, ale obszytą perłami i wysadzaną guzami, z których każdy wieś był dobrą wart. Pan wojewoda tak daleko fantazyi nie posuwał, lecz lubił ją też pokazać.

Wojewodzina, która się stroić nie lubiła, musiała też na ten dzień w dyamentach i atłasach wystąpić — nudziło ją to, lecz inaczej być nie mogło. Szczególną też pieczę miano nad nieszczęśliwą ofiarą, która, choć skromnie, ubrana była ze staraniem wielkiem, utrefiona wykwintnie. Wojewodzina, która nie mówiła jej nic, bo

jej psuć tą poufałością nie chciała, kazała jej przed wyjściem na pokoje ukazać się sobie. Marya stawiła się blada, drżąca i mizerniejsza, niż zwykle.

Obudziło to zły humor matki, chciała nawet kazać uróżować nieco biedną, lecz w tej chwili rozruch się stał wielki w dziedzińcu i o Maryi zapomniano.

W bramie dała się słyszeć muzyka, trąby i bębny, powozy, których nigdy nie widywano przed gankiem, zataczały się z turkotem ogromnym przed galeryę. Wojewoda w ganku sam dostojnych gości przyjmował. Byli to: jego ekscelencya graf Brühl, minister, starosta warszawski, syn jego, Mniszech marszałek nadworny, zięć i kilku panów, towarzyszących im dla dodania powagi.

W progach pałacu krystynopolskiego spotykały się, można powiedzieć, dwa zupełnie różne, w niczem sobie niepokrewne światy, które interes i rachuba miały połączyć: cywilizacya jakaś strupieszała i zwątlona ze światem starym surowego obyczaju chrześcijańskiego. Jak się te krańcowe dwa przeciwieństwa zrozumieć mogły, przejednać miały, było może dla nich samych tajemnicą. Oprócz interesu nic z sobą wspólnego nie miały...

Przepych napół azyatycki Potockiego wcale nie był podobny do wyrafinowanego zbytku Brühla, tak jak marsowa i groźna twarz wojewody odbijała dziwnie przy uśmiechniętej, wypogodzonej, słodkiej nad wszelki wyraz twarzy ministra. Powitanie w ganku i przedstawienie syna poszło — dzięki zręcznej Mniszcha pomocy — bardzo gładko. Młody Brühl, który całą niemal przewędrował Europę, przypatrywał się nie bez ciekawości temu nowemu dla siebie światu, dworowi, twarzom, strojom.

Szli wszyscy na pokoje, gdzie pani wojewodzina, Maryę bladą mając u boku i kilka panien rezydentek

w oddali, oczekiwała na ministra, z nadzwyczajną galanteryą posuwającego się ku niej z synem.

Jedno wejrzenie na młodego Brühla dało poznać wojewodzinie, iż jej go nie przechwalono. Starosta był jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego wieku, a wychowanie i wczesne obycie się z najwyższemi towarzystwa sferami nadawało mu wielką swobodę i wdzięk w obejściu...

Z przestrachem oko Maryi padło na niego, gdy on, z obojętnością wystygłego i zrezygnowanego człowieka, przelotne rzucał na nią wejrzenie. Oczy się nie spotykały, zdawały się owszem unikać siebie... Wojewodziance ta laleczka wydała się dziwną i straszną; staroście ta, w której odgadywał swą narzeczoną, — zbiedzoną, chorą i nieszczęśliwą... Śmiertelną bladością okryła się twarz ofiary, która ledwie drżenie ukryć mogła. Brühl, równie jak ojciec swobodny, obracał się tu z zamaszystością obrachowaną, której widocznie polską chciał nadać cechę. W pierwszej chwili posypał się grad, polała się powódź wzajemnych komplementów, podziękowań, wdzięczności, smażonych wyrazów, mających dowieść, jak zaszczyconym czuł się wojewoda, jak szczęśliwym był minister.

Ta niemiecka elegancya, którą tak serdecznie witać musiano, nie szła pewnie w smak Potockiemu, bo pod nią domyślał się i czuł lekkości obyczaju, lekceważenia wiary, mnóstwa nowostek niebezpiecznych, lecz zdawało mu się, że droga, którą szedł, prowadzi go do nowych zaszczytów, a może nawet do tronu, który już zdala świtał w głowie magnata... Dlaczegożby po Sobieskim, Wiśniowieckim, Leszczyńskim nie miał zapanować Potocki, który od nich czuł się możniejszym?

Łącznikiem dwóch biegunów, jakie stanowiły kon-

tusz wojewody i aksamitny złotem szyty frak Brühla, był marszałek nadworny Mniszech, obu pokrewny, oba rozumiejący, może w duszy równie na oba poglądający obojętnie. On pośredniczył między nimi.

Przyjazd zdawał się tak obrachowany, aby zbytnią nie trudzili się goście rozmową, gdyż natychmiast prawie otworzyły się podwoje i stół uginający się pod ciężarem sreber ukazał.

Ministrowi podała rękę wojewodzina. Miejsca tak były rozporządzone, iż staroście warszawskiemu umyślnie dano krzesło przy wojewodziance, która siadła obok, jak trup blada, jak liść drżąca. Naprzeciw niej Godziemba zdala nad służbą straż pełniący... stał osłupiały... i bezprzytomny...

Gwar i wesołość urzędowa napełniały salę jadalną, ta wesołość konieczna, którą każdy gość przyzwoity z sobą przynosi i gospodarz musi ją mieć na jego przyjęcie. Uśmiechały się wszystkie twarze, oprócz bladego lica wojewodzianki, która nie wiedziała, gdzie była i co się z nią działo... Gwar ten szumiał w jej uszach niezrozumiały, jak fale morza, które ją pochłonąć miały. Drżącemi rączkami rozkładała i składała serwetę, w oczach się ćmiło, śmiertelny jakiś strach ją ogarniał. Czuła, że na nią musiały być zwrócone wejrzenia, i pragnęłaby się była ukryć od nich w głąb ziemi. Starosta, siedzący obok, daleko więcej obyty ze światem, wystygły i chłodniejszy, nie mógł nie dostrzedz tej trwogi. Był przygotowany na wszystko — rozumiał położenie ofiary, miał litość nad nią. Dlatego może, dając jej czas ochłonąć i przyjść do siebie, nie odzywał się.

Wojewodzina, której oczy córkę groźnie śledziły, widziała także jej bladość, domyślała się bojaźni, i gniew ją porywał na samo przypuszczenie, iż panna Marya mo-

gła osłabnąć, a mdłości jej wywołać wrażenie i pomstę ojcowską. Na nieszczęście wzrok, mający zelektryzować córkę i przywieść ją do opamiętania, napróżno rzucała na nią, nie mogąc spotkać jej spojrzenia. Tak upłynęła pierwsza chwila, a w głośnej rozmowie dopytywano o zdrowie najjaśniejszego pana i o posłuchy z pola wojny.

Pannie Maryi udało się jakoś założyć serwetę, spróbowała zupy skosztować, ale łyżka się z ręką trzęsła... i musiała ją położyć. Twarz jej smutna zawsze, choć piękna i rysów regularnych, pod wrażeniem niewypowiedzianej trwogi przybrała wyraz nienaturalny, niemal dziki. Matka nawet czuła, że tak się przedstawiając, podobać nie może. Lecz układy były prawie zawarte, umowa skończona, i nie szło już o to wcale, jak przyszli małżonkowie być mieli z sobą. To należało do nich tylko. Brühl był młodzieńcem dobrego wychowania, a panna nałamana do biernego posłuszeństwa bez granic.

O wzajemnej miłości nikt nie pomyślał, a wedle teoryi krystynopolskiej i staro-szlacheckiej, dwoje ludzi młodych, gdy małżeństwo z innych względów było dla nich obrachowane, musieli się przywiązać i kochać, jak Sakrament przykazał. Dwóch więźniów, zamkniętych w jednym lochu na wieki, wszak musi nawyknąć do siebie i wzajem starać się ulżyć losowi?

Jakkolwiek młody, Brühl skutkiem wychowania i wrodzonych mu usposobień, już w tej życia epoce był raczej widzem tego, wśród czego się obracał, niżeli czynnym aktorem. Roli swej nie brał do serca, odgrywał ją zręcznie, nie obchodziła go wielce... Ta Marya Potocka nieszczęśliwa, drżąca, przywodziła mu na myśl niezapomnianą cześnikównę koronną, która mu się niegdyś uśmiechnęła dziecinnemi oczkami...

— Czemu na miejsce tej Maryi Potockiej los mi tamtej nie wydzielił? — mówił sobie.

Wśród tych myśli spojrzał na ojca. Stary Brühl dawał mu oczyma znaki, aby się starał zbliżyć do panny.... Nie było w istocie czasu do stracenia, mówiono już o terminie zaręczyn... a za kilka miesięcy po nich miano naznaczyć ślub. W tamtych czasach wyprawy panien były przez troskliwe matki robione powoli, i gdy chwila wydania przychodziła, wszystko stało w gotowości, oprócz kilku sukien modnych, na które długo czekać nie było potrzeba.

Pan Alojzy myślał od czego rozpocząć rozmowę z nieznajomą... a choć mu nie zbywało na łatwości słowa, początek dosyć był trudny. Po chwilce jednak nowy wzrok ojca zmusił go do przyśpieszenia zagajenia.

— Panna wojewodzianka nigdy nie była w Warszawie? — zapytał. Przestraszona tym głosem, który nie miał w sobie nic groźnego, ale i owszem miękki był i łagodny, panna Marya nie zrozumiała, o co była zapytana — zadrżała, zmieszała się i oczy bojaźliwie podniosła na mówiącego, który powtórzył zwolna te same słowa...

— Ja?... ja... a! nie byłam nigdy! — odpowiedziała.

Mogła odpowiedzieć, że nie była nigdzie więcej oprócz Krystynopola, bo pamięć jej nie sięgała czasów, gdy się tu rodzice przenieśli.

— Warszawa — ciągnął dalej starosta, byle coś powiedzieć — bardzo się ożywiła od czasu, jak najjaśniejszy pan przeniósł się z Drezna. Mamy nawet operę, śpiewaków...

Wspomnienie o operze chwyciwszy jak deskę zbawienia, Brühl co prędzej dodał:

— Czy pani lubi muzykę?

W istocie panna Marya lubiła ją bardzo, ale, oprócz kilku starych menuetów i kurantów na fortepianiku, nic jej nigdy nie uczono. Wojewodzina lękała się wpływu rozmarzającego muzyki, i wydoskonalenie w tej sztuce zostawiano tym, co z niej żyli. Wojewodzianka przyznała się, że lubi bardzo muzykę — inaczej nie wypadało. Zająknęła się tylko razy parę...

Brühl, który był wirtuozem na kilku instrumentach, oświadczył także, iż ma wielką słabość do niej.

Dalej z tych dwóch wyznań okazało się niepodobieństwem wysnuć coś więcej. Nastąpiło milczenie. Jednakże głos tego groźnego obcego pana uspokoił nieco pannę Maryę. Wrzawa coraz głośniejsza u stołu, brzęk kielichów, szczęk talerzy dozwalałyby jak najpoufalszą prowadzić rozmowę, gdyby Brühl miał do niej ochotę a panna Marya odwagę...

Przed nią, naprzeciw, jak posąg, nieruchomy i blady stał Godziemba. Ile razy powiodła oczyma po sali, spotykała jego wzrok, a w nim niemal skamieniałą rozpacz. Starosta znowu gubił się w wynajdowaniu przedmiotu i trącił o podróż odbytą... zaczął chwalić kraj piękny i żyzny...

Wojewoodzianka, zmuszona coś odpowiadać, potakiwała machinalnie. Parę razy niby się uśmiechnęła, bo matka patrzała na nią. Brühl jednak był pewien, iż go nie słyszała i nie zrozumiała.

Zmęczyły go w końcu te preludya do niczego nie prowadzące. Młodzieńcza fantazya, choć w zimnym już, zagrała — litość nad sobą uczuł i nad wojewodzianką.

Postanowił być śmielszym; nie było obawy, aby ich kto podsłuchał.

Schylił się nieco i żartobliwym tonem odezwał się po cichu:

— Wszystkie twarze u tego stołu się uśmiechają, wesołość jest powszechna... pani tylko smutna — a ja zafrasowany tem, że jej rozerwać nie umiem...

W istocie położenie moje i pani nie jest... przyjemne.

Niezmiernie zdziwiona tą nagłą zmianą, panna Marya podniosła ciekawe oczy; starosta, raz puściwszy się, mówił dalej:

— Zapewne pani wie... o projektach rodziców?

Z początku wojewodzianka uszom wierzyć nie chciała — ta otwartość przeraziła ją i ucieszyła razem, było w niej nareszcie coś szczerego, coś ludzkiego. Lecz rzucone pytanie rozwiązać dla niej było trudno. O projekcie urzędownie uwiadomiona nie była, przyznając się do tego, że Dumont jej o nim mówiła — zdradziłaby Francuzkę...

Naiwna, jak dziecię, lecz nieco ośmielona już, odezwała się cicho:

— A! ja — ja o niczem nie wiem.

— To się panna wojewodzianka przynajmniej domyśla? — dodał Brühl.

Na to nie było odpowiedzi; ciągnął więc dalej:

— Rozumiem, że tak narzucony pani... przyszły życia towarzysz raczej nienawiść musi obudzać, niż przyjaźń!

Panna Marya coraz się czuła swobodniejszą i, choć nieśmiało jeszcze, szepnęła:

— Wszak to się do obu stron stosuje zarówno.

— Niestety! temu zaprzeczyć niepodobna — mówił starosta — jednakże rola mężczyzny jest przykrzejsza.

Chwilkę zamilkł, bo się służący zbliżył z półmiskiem.

— Pani mi daruje — począł znowu — że jestem zmuszony tak samo być posłusznym woli ojca, jak pani swoich rodziców rozkazom... Cóżby to pomogło, gdybyśmy się zbuntowali? Jutro przyszedłby ktoś drugi, mniej względny ode mnie, i ofiara spełnićby się musiała...

Wojewodzianka słuchała z wielką uwagą; Brühl czuł się coraz śmielszy i natchniony.

— Oboje — mówił — powinniśmy przyjąć los nam zgotowany tak, jak się znosi burzę, deszcz, słotę, spiekotę... Wola rodziców jest taką nieprzemożoną siłą w naszym świecie... Lecz — tu głos zniżył — mogę zapewnić panią, że osłodzić jej los będę się czuł w obowiązku...

Panna Marya zarumieniła się mocno: nigdy podobnej rozmowy nie prowadziła z nikim w życiu, nie wyobrażała sobie nawet, aby się tak otwarcie mówić godziło. Ma to jednak do siebie ton dany silnym głosem, że porusza struny pokrewne — najtrwożliwszy umysł czuje się podniesionym i ośmielonym. Bojaźliwa wojewodzianka widziała się niemal zmuszaną być równie szczerą... Pomyślała trochę i poczęła głosem przerywanym:

— Hrabia mi darujesz... ja tak pięknie mówić nie umiem... jam w życiu mówiła mało! tak mało! a swemi słowy swoich myśli... prawie nigdy.

Czuję, żeś mnie pan chciał ośmielić, pocieszyć, że wdzięczna mu jestem za to...

— Spodziewam się, że, lepiej mnie poznając, przekonasz się pani, iż tyranem dla nikogobym być nie potrafił... Nie chcę się chwalić, ale wierz mi, panno wojewodzianko, jestem dobry człowiek...

Mimowolnie panna Marya się uśmiechnęła.

— A ja jestem bardzo prostą, bardzo ograniczo-

ną dziewczynką — rzekła. — Lubię bardzo ciszę i spokój... wolałabym klasztor...

Ostatnie słowa ze spuszczoną głową szepnęła ledwie dosłyszanym głosem. Brühl się uśmiechnął.

— Wszystkie panny, którym się ich narzeczony nie miał szczęścia podobać — rzekł — wolą klasztor... Lecz pani do klasztoru iść nie pozwolą.

— A! tak jest! — westchnęła panna Marya.

— Ja jestem też — mówił Brühl, wychylając wina kieliszek — muszę się i z tem pochwalić — człowiek otwarty i szczery... Zaręczam pani, że będziesz u siebie swobodna, i choćby maleńki klasztorek będziesz sobie mogła założyć w Młocinach a pewno nie przeszkodzę. Nawzajem w życiu jak najmniej sobie będziemy zawadzali — wszak prawda??...

Wszystko to tak jakoś dziwnie brzmiało w uszach panny Maryi, że już tylko łagodnem odpowiedziała wejrzeniem. Brühl w duchu z siebie był rad.

W główce wojewodzianki religijne pojęcia o świętości Sakramentu, o nierozerwalnych węzłach, mieszały się z tem, co czytała we francuskich romansach... Brühl jej przypominał jakby z książki bohatera... spojrzenie na matkę — cały rygor związku, w którym spodziewała się niewoli. Nie mogła zrozumieć tych sprzeczności, ani gdzie była prawda. Pomieszana nie wiedziała co mówić.

Na zapytanie narzeczonego odpowiedziała tylko głowy skinieniem, jakby mu chciała dziękować.

Rozmowa dwojga młodych, jakkolwiek jej nikt nie słyszał, zwracała oczy. Brühl stary był pewien syna i cieszył się. Wojewodzina, która każdy ruch córki śledziła z trwogą, była także dosyć jej znalezieniem się zadowolona.

Inni goście, zwłaszcza ci, co znali do zbytku su-

rowe wychowanie panien, zdziwieni patrzali na zbliżenie się posłuszne dwojga tych istot wczoraj jeszcze sobie nieznanych, a wkrótce mających zamienić pierścienie zaręczyn.

Wtem rumor się zrobił wielki, wojewoda wstał, aby wypić zdrowie ministra i ex promptu wypalił mówkę wedle starych formuł o zaszczycie, jaki dom jego spotykał. Hucznie przyjęto toast. Brühl dziękował rozpromieniony z tą twarzą cukrową, miłą, wyelegantowaną zawsze, jak on cały. Wojewodzina nawet małym kieliszeczkiem piła zdrowie jego ekscelencyi. A że przed nim już sporo się spełniło lampeczek, nalewanych ciągle, do których spełniania marszałek i wice-marszałek, chodząc dokoła stołu, zachęcali, humory się podniosły... Nastąpił toast nieobecnej hrabiny Brühlowej i całego domu, za który i pan starosta dziękował, potem minister wniósł zdrowie obojga województwa i konsolacyi, będąc już wdrożonym w polskie zwyczaje. Pomniejsze zatem już ciszej i prawidłowo potoczyły jedne po drugich, a nie pokrzywdzono nikogo.

Naostatek ruszył się wojewoda, Brühl podał rękę pani domu i całe towarzystwo przeniosło się do bawialnej sali. Starosta czuł się obowiązanym prowadzić pannę Maryę, która szła blada, jak ofiara, choć z mniejszą już może trwogą. Po ukłonach i podziękowaniach sama wojewodzina starała się tak ułożyć, aby młody Brühl mógł swobodnie zbliżyć się i zalecić pannie Maryi.

Towarzystwo ożywione skupiło się w grupy rozmaite; pan Alojzy nie potrzebował teraz ani wejrzenia, ani instrukcyi ojca, aby zrozumieć swe obowiązki. Stanął naprzód nieco zdala od wojewodzianki, znalazł potem pozór zbliżenia się ku niej, a wojewodzina nieco się usunęła, aby im więcej zostawić swobody, i rozmowa, po-

częta u stołu, dalej się już ciągnąć mogła bez przeszkody.

Od czasu, gdy ją wiwaty przerwały, do tej chwili panna Marya mogła zważyć każde słowo i zastanowić się nad jego znaczeniem. Brühl ze swą galanteryą, śmiałością i grzeczną żartobliwością zawsze ją jakimś strachem napełniał — instynkt dawał jej czuć w nim człowieka zimnego i obojętnego, ale zarazem... czuła w nim też powolność i dobroć wystygłej istoty, którą wszystko mało obchodzi. Wiało od niego łagodnym sceptycyzmem, któremu imienia nadać nie umiejąc, wojewodzianka pierwszy raz w życiu z nim się zapoznawała. Był on daleko mniej straszny od tyranii, pod jaką lata jej dzieciństwa spłynęły... lecz nie obudzał sympatyi...

Trwoga ustąpiła — w sercu jednak nie mogło się obudzić nic więcej, nad trochę jakiegoś spokoju.

Brühl widział w tem dziecku bojaźliwem, które mu przeznaczano, coś obudzającego miłosierdzie, politowanie — nic więcej. Nawykł był trochę do tych pań dworu, których najświetniejszym prototypem była własna jego matka, umysłem sięgających najdalszych sfer, ciekawych wiedzy, chciwych życia, rozumiejących wszystkie namiętności, dogadzających wszelkim fantazyom... Wojewodzianka nie mogła mu się podobać, nie podobała... Szukał w niej jednego tylko z pewną obawą — dumnego i energicznego charakteru w spadku wziętego po rodzicach — obawiał się wiecznej walki... Reszta była mu prawie obojętna. W oczach, w mowie panny Maryi nie znalazł tego uporu i złośliwości, któreby go mogły drażnić, i to go zaspokajało... W małżeństwie pan starosta ani mógł, ani chciał szukać nic więcej nad to, co taki związek dla interesów politycznych mógł przy-

nieść — znośnego pożycia, na wzajemnych ugruntowanego ustępstwach.

Zaczęta przy stole rozmowa dozwalała mu wnosić, wedle jego dyagnozy, że panna Marya, zahukana przez matkę, trzymana surowo, wcale jeszcze nierozwiniętą była zagadką.

— Jest to stawka na ślepą kartę — rzekł w duchu — los ciągnie, ja trzymam, bądź co bądź, ojciec wygra Potockich przymierze... a ja?? ciekawą istotę do obserwacyi...

Uśmiechnął si smutnie do siebie. Musiał się znowu przysiąść potem do panny wojewodzianki i zabawiać ją rozmową, wśród której Mniszech przyszedł go ostrzedz, iż pani wojewodzina, która słyszała, iż ma być trzpiotem, przypisywała jego powagę przybraną temu, że ją przed Brühlem za kapryśną i chimeryczkę ogłoszono.

— Na miłość Boga, roztrzpiotaj się i swawol... i to co prędzej! — szepnął szwagier — inaczej stracisz łaski...

Starosta był posłuszny, bawiła go może ta komedya, którą odgrywał.

W ciągu kilku godzin troskliwy kuzynek parę razy dał mu pożyteczne wskazówki, gdyż brwi wojewodziny to się marszczyły... to wypogadzały... a od niej zależało wszystko...

VII.

Trudno jest opisać dzieje tego starania się o pannę, odbytego pod dyktowaniem. Pomimo iż rzeczy pomiędzy ojcami były ułożone i ukartowane, nie taił wojewoda, iż wiele a raczej wszystko od jejmości zależało.

Bywały dni, gdy wojewodzina, obrażona jakiemś uchybieniem imaginacyjnem, wszystko zerwać chciała. Naówczas ksiądz Russyan, pani Cetnerowa, Mniszchowa, a wieczorem obie Terleckie, ledwie ją uspokoić i udobruchać mogły.

Panu staroście jednego dnia kazano śmiać się, swawolić, skakać, drugiego być smutnym. Przestrzegano go, aby na żadną pannę nie patrzał, do żadnej innej nie mówił, od młodych mężatek stronił, gdyż go miano za bałamuta. Starosta śmiał się i szedł wyznaczoną drogą. Ilekroć na włos z niej zboczył, wnet wszyscy opiekunowie usiłowali to naprawić i szepnąć, co i jak ma czynić, aby się wojewodzinie podobać.

O wojewodziankę szło jak najmniej, gdyż ta tu żadnego nie miała głosu; jej tylko od matki przynosiła Dumont rozkazy, które się codzień zmieniały.

— Powiedz-że jej, moja Dumont — dysponowała raz — niech nie będzie trusią i nie siedzi jak zamalowana...

To znowu: — Co oni mają z sobą do szeptania?... trzeba mówić zwykłym głosem.

Innego dnia znajdowała matka, że panna miała nadąsaną minę, lub, że wydawała się smutną. Uśmiech, wesołość, wszystko kłaść trzeba było jak suknię, zrzucać jak gorsety...

Z pomocą jednak księdza Russyana, Terleckich, Mniszchowej, straszna wojewodzina uchodzona została... Brühl młody siedział tu do imienin wojewody, spełniał swą pańszczyznę z jakąś ironią dziwną, i naostatek po wielu mdłościach, tłómaczeniach, zachodach, korowodach wojewodzina się zgodziła, młody pretendent został przyjęty. Zaręczyny naznaczono na dzień 3 czerwca.

Została tylko niepewność co do miejsca, w któ-

rem zaręczyny odbyć się miały, w początkach bowiem myślano na ten cel zjechać do Brodów, gdzie ojciec wojewodziny, pan wojewoda poznański, przebywał.

Starosta odetchnął, gdy po pierwszej tej bytności znalazł sie sam na drodze do Warszawy, uwolniony od tej śmiesznej roli, jaką w Krystynopolu odgrywać był zmuszony. Na przemiany myśląc o tem, uśmiechał się ironicznie i zadumywał smutnie, ruszając ramionami...

Na dzień 3 czerwca, owe zaręczyny uroczyste, sproszono gości tłumy. Na nieszczęście w Krystynopolu pokazała się ospa, niezbyt straszna, ale na owe czasy obudzająca trwogę, która o mało całego obrządku nie zwlokła. Ledwie doktór Macpherlan, dowodząc, że wietrzna była, uspokoić potrafił. Jednakże stary wojewoda poznański, który miał bytnością swą zaszczycić zrękowiny, nie przybył z Brodów, i z listem a pierścieniem wysłał na swoje miejsce starostę Leżajskiego. Punkta intercyzy wcześnie przygotowano — dwaj mężowie, stojący na czele domów, zawierali odporne i zaczepne przymierze; wojewoda powtarzał ciągle: — Odtąd kto mi wróg, ten wam nieprzyjacielem, i wzajemnie...

Z rana dopiero dnia 3 czerwca, w wigilię zaręczyn tak uroczystych, jak ślub, i równie ważnych a obowiązujących, wojewodzina kazała do siebie wezwać córkę. Pojęcie obowiązków matki nie dozwalało jej okazywać czułości, która się w języku wojewodziny słabością nazywała, lecz gdy ujrzała bladą Maryę, słuchającą wyroku z marmurową obojętnością, ze wzrokiem osłupiałym, nie umiejącą odpowiedzieć ani słowa, nie okazującą oporu, ani radości — kobiece serce, serce matki otwarło się na chwilę. Wojewodzina ryknęła płaczem wielkim i rzuciła się ściskać dziecię, które miała utracić...

Trwało to jednak chwilę. Przypadły Terleckie z la-

rendogrą, cały fraucymer z rozmaitymi środkami orzeźwiającymi — upamiętała się o zachowanie powagi wojewodzina, wybuch stłumiwszy w piersi, oddała Bogu na ofiarę boleść swoją.

Godzina ta ranna była umówiona; wszedł zaraz wojewoda, aby oświadczyć urzędownie córce wolę swoją, a razem okazać, jak dobroć rodzicielska świetny jej los zgotowała, jakim to było zaszczytem zostać hrabiną Brühlową, jakiem szczęściem mieć takiego męża i jaką to wdzięczność do grobu dziecię zachować powinno było dla rodziców.

Matka dała znak Maryi, aby upadła do nóg ojcowskich... trzeba było podziękować, rozpłakała się biedna.

Mamy-ż obrząd ten uroczysty i błogosławieństwo księdza Russyana opisywać, którego umyślnie na ten dzień z Podkamienia przywieziono? Przy biciu z dział odbyła się ceremonia, którą to odznaczyło, że wprzódy list dziada, ojca wojewodziny, publicznie w kościele na głos czytano. Tandem szły powinszowania, uczta, toasty... i stara Terlecka wieczorem upomniała się o jaki płateczek za nowenneczkę skuteczną, nie mówiąc o tem, co za pośrednictwem Mniszchowej dostała od Brühlów.

Wojewodzianka, która całą noc poprzedzającą przepłakała, cały ranek i dzień przemęczyć się musiała, nie okazując po sobie, co czuła... wyglądała jak cień blada. Uśmiechała się bez myśli, słuchała, nie wiedząc, co do niej mówią, oczy miała łez pełne, ale to się tłómaczyło przywiązaniem do rodzicielskiego domu. Brühl nie miał odwagi ani jej pocieszać, ani rozrywać żarcikami, na które zawsze się mógł zdobyć. Sam on doświadczał jakiegoś dziwnego ucisku na sercu, choć go udaną swą zwyczajną wesołością pokrywał.

Gdy ten dzień utrapiony dobiegł nareszcie do końca, a nazajutrz rano powozom kazano zachodzić przed ganek pałacowy, gdy się żegnać i po rękach całować zaczęto, a ściskać wzajem, wszyscy uczestnicy tego aktu, który duma, ambicya, rachuba polityczna dopełniła, uczuli, jakby z nich ciężkie spadło brzemię. W ganku pito jeszcze strzemienne; całowano się tem czulej, że nareszcie oswobodzić się miano. Moździerze na wiwat uderzyły... a w chwilę potem w krystynopolskim pałacu panował już tylko ruch wielki przyprowadzania do powszedniego porządku wszystkich gałęzi gospodarstwa.

Goście w miasteczku zdejmowali i pakowali po gospodach kontusze i pasy kosztowne, wkładając kitle podróżne, wojsko zrzucało paradne kolety, dworzanie zdejmowali bogate pasy, w kredensach liczono srebra, wojewodzina kazała sobie przynosić regestra szafowanych jadeł i napojów, wojewoda słuchał raportu starosty Zawideckiego, a starszyzna naznaczała kary tym ichmościom, którzy czasu wielkiego zamieszania korzystali z niego, dla dopuszczenia się nadużyć.

Okazało się, że dwóch świszczypałków podkradło się do garderoby na zakazane konszachty z pannami, za co najsurowsza była kara na kobiercu. Bebuś się spił i Bebę pokrzywdził policzkiem, co miał odpokutować klęczeniem i postem o chlebie i wodzie; dwóch hajduków pokrwawiło się, zwaśniwszy... Wszystko to natychmiast miało być jak najściślej zbadane i przykładnie ukarane.

Srebra odnoszono do skarbca, pijanych sadzono na wytrzeźwienie się do karceresu na odwachu, gorączkowy jeszcze nieco ruch panował wszędzie, lecz coraz się uśmierzał. Panna Marya z głową opartą na kolanach madamy Dumont, z oczyma wypłakanemi, ale suchemi,

dumała nad swym losem. Młodsze siostry patrzały na nią z tem zdumieniem i zazdrością, jaką tylko dziecinny wiek zrodzić może.

Szczególniej piękny pierścień zaręczynowy, dar wojewody dziadunia, budził ciekawość sióstr młodszych, wojewodzianka nieustannie pokazywać im go musiała. Lecz z palca nie wolno go było zdejmować, bo przesąd jakiś przykuwał go na nim aż do ślubu.

Tymczasem powozy pana starosty, któremu towarzyszył Mniszech, po drodze mając przygotowane do przeprzęgu cugi, unosiły go nazad ku stolicy. Wkrótce marszałek, zbaczając do dóbr swoich, pożegnał szwagra, wyrażając mu zarazem radość z dokonanego aktu i uszczęśliwienie, że się straszliwa pańszczyzna skończyła.

Rozstali się, i starosta z dworem swym późno w noc do przygotowanego dobiegł noclegu, po takiem znużeniu potrzebując nadewszystko spoczynku.

Lecz szlachta miejscowa, która wiedziała o przejeździe młodego Brühla, powitała go tu tłumnie, i nie zabrakło na klientach, petentach, na ukłonach i mówkach, którym uśmiechać się i dziękować za nie było potrzeba.

Zbywszy się tej napaści, już miał starosta, zrzuciwszy suknie, co rychlej paść na łóżko, gdy kamerdyner posługujący mu oznajmił, że jakiś jeszcze nieznany jegomość, który nazwiska nie chciał objawić, ale starym i poufałym mienił się przyjacielem, dopraszał się gwałtownie posłuchania.

W pierwszej chwili Brühl ofuknął kamerdynera i chciał odprawić natręta, lecz ten powrócił z naleganiem, z prośbą, i drzwi wreszcie się otworzyły. Z głową osłonioną kapeluszem, który mu całą twarz okrywał, obwinięty płaszczem, ukazał się w progu mężczyzna

słusznego wzrostu. Brühl spoglądał dosyć zniecierpliwiony i wnijściem i maskaradą, gdy nagle gość zrzucił kapelusz i z radosnym krzykiem rzucił mu się na szyję.

— Ha? prawda, niespodziankę-m ci sprawił, co się zowie? Musiałeś mnie przeklinać, że ci zmęczonemu wylegać się nie daję! Jak się masz! przebacz! Nie mogłem czekać do jutra...

— A, to ty! — krzyknął Brühl — strachu mi narobiłeś niemałego. Siadaj i bądź pozdrowiony!

Przybyły, jeden z dawniejszych przyjaciół młodego Brühla, rówieśnik jego, towarzysz zabaw dziecięcych na tarasie w Dreznie, niegdyś dworzanin króla, był to pan generałowicz Sołłohub. Z nim niegdyś pan Alojzy najlepiej swawolić lubił, gdy mu do tego przychodziła ochota — próbowali sił, zręczności, a potem i dowcipu, rozprawiając o tych rzeczach, których wówczas wcale nie rozumieli, a tem więcej byli ciekawi. Później pan Sołłohub wrócił do Polski na to życie pańsko-szlacheckie, do którego był przeznaczony, a starosta warszawski wyrósł nagle prawie na dygnitarza. Dawna poufałość przeżyła niegdyś bliższe stosunki, dziś rzadsze i mogące oziębnąć, gdyby ich sympatye charakterów, szczera przyjaźń i wspomnienie młodości nie wiązały.

Przed jednym Sołłohubem zwierzał się pan Alojzy ze swych tęsknot, fantazyi, utrapień pokrytych świetnością położenia — jeden Sołłohub mógł go zrozumieć, a nie mógł zdradzić. Byli z sobą jak bracia, a we własnych nawet Brühl nie miał nigdy tyle zaufania, ile w tym od dzieciństwa przybranym.

Nie były to jednak ani charaktery podobne, ani umysły jednej potęgi i polotu. Starosta warszawski należał do najbystrzejszych ludzi swego czasu; Sołłohub miał polor i ogładę, ale zawiłe kwestye życia, filozofii,

serca, polityki — niewiele go obchodziły. Młodym był i przedewszystkiem chciał użyć młodości i życia. Serce miał czułe do zbytku, głowę rozmarzoną. Brühl był sceptyk, chłodny, obojętny, łagodny, wdzięczen wszystkiemu, co go na chwilę rozerwać i odgrzać mogło. Sołłohub, mniej używszy, mniej się napatrzywszy, niewiele jeszcze potrzebował, aby być szczęśliwym. Starosta nudził się często, na co mu nawet ulubione lekarstwo nauki nie pomagało.

Sołłohub naukę szanował wielce, lecz ona mu była obojętna, zastosowania jej w życiu szlachcica polskiego pojąć nie umiał. Zdawało mu się, że oddawna posiadał już wszystko, co mu do jego zawodu mogło być potrzebne. Jeździł konno wyśmienicie, strzelał i pływał, jak Brühl, mówił nieźle kilku językami, muzykę lubił, choć jej nie praktykował, pił, gdy był zmuszony, dużo i ładnie, umiał się znaleźć równie dobrze wśród kontuszów i wśród fraków. Zdawało mu się, że nikt po nim nie miał prawa więcej wymagać.

— A no! Brühl — zawołał wesoło, padając na krzesło, Sołłohub — mam cię więc powitać kosmatą ręką... żenisz się... Wiwat!

— A ty? — spytał starosta.

— Ja, dotąd nie, ale za to szalenie się już kocham.

— Paradny jesteś! i myślisz, że prowadzony przez ślepego Amora wnijdziesz do świątyni Hymenu... Ale ty z tym bałamutem do drzwi nie trafisz!

Sołłohub się zarumienił i westchnął.

— Mówmy o tobie; cóż ty?

— Ale o mnie, mój drogi, niema co mówić — rzekł, śmiejąc się, Brühl — zdaleka patrząc się i przysłuchając, wiesz wszystko i powinieneś się domyślić. Ty masz swobodę — ja się jej dawno wyrzekłem...

ze stoicyzmem i wesołą twarzą idę, gdzie mi każą... Papa potrzebuje aliansu — pakują mnie do karety, wiozą i dają w zastaw... Ani panna, ani ja nic nie wiedzieliśmy, gdy nas zapytywano...

Strzelono z moździerzy, wypito za zdrowie, posadzano nas przy stole... zamieniono pierścionki i — finita la commedia! Do was należy dać nam obojgu brawo!

Sołłohub posmutniał.

— Słuchaj — rzekł — tyś w istocie człowiek szczęśliwy, że możesz to brać tak wesoło... Finita la commedia! nieprawda: la commedia comincia... To dopiero początek.

— Chcesz, bym ci jej koniec powiedział? — odezwał się z udaną wesołością starosta. — Pani się boi mnie, ja jej... ślubujemy sobie przy ołtarzu i jedziemy do Młocin... Życie płynie tak gładko, jak zwykle po szlifowanych posadzkach. Kochać się niepodobieństwo, znosić nauczymy powoli, znajdziemy modus vivendi. Pani wyszuka przyjaciela, ja znajdę przyjaciółkę... wzajem przebaczymy sobie winy, i ani lepiej, ani gorzej od drugich dobijemy się do końca...

Mamy w czystym zysku, że się żadne z nas nie zawiedzie, bo sobie nie czynimy złudzeń... Nie jest-że to położenie wyśmienite? Karty na stole, gra otwarta...

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się Brühl, spoglądając na zadumanego Sołłohuba.

— Cała sztuka — dodał — punkt widzenia; strona dobra, jak widzisz, zawsze się znajdzie nawet tam, gdzie jej niema...

— Ta twoja wesołość! — mruknął przyjaciel.

— Ale cóż pomoże, jeśli się truć będę i truć tragicznie? — spytał Brühl.

Sołłohub milczał, lecz po chwili dodał:

— Uważaj, jak lepiej, ja tylko czuję, że mi cię okrutnie żal...

Starosta uderzył go ręką po kolanie.

— Dziękuję, ale widzisz, wychodzę z tej łaźni... zdrów i cały... Co ty chcesz od życia!! Każdy ma swe przeznaczenie, a ja nie skarżę się na moje...

Przyjaciel smutnie jakoś przypatrwał się nadrabianej wesołości starosty.

— Wiesz co? — rzekł — nigdy niczego nie zazdrościłem nikomu, ale tobie prawie zazdroszczę humoru i rezygnacyi... Jesteś dla mnie zagadką... Zdaje mi się, że albo fanfaronujesz, lub nie jesteś człowiekiem.

— No, nie wiem — odparł Brühl — może jestem lalką, ale to pewna, że mnie wiele rzeczy śmieszy, mało boli, a prawie nic nie porusza... Smutna to rzecz, czy wesoła — ale tak jest, mój drogi!

— Fanfaron jesteś! — przerwał gość — chwalisz się. Jakto? tak młody, miałbyś już nawet nie módz się i nie chcieć zakochać?

— Nie wiem — mówił Brühl, potrząsając głową. — Śmieszna rzecz, powiem ci, zakochałem się raz pierwszy w życiu, mając lat dwanaście, w dziecku... od tej pory już nie mogę. Ta miłość dziecinna trwa dotąd! Jeszcze o niej marzę. Szalałem potem za Angielką, z czego tyle narobiono hałasu, alem jej nie kochał... latałem za innemi tak samo... z ciekawości i temperamentu. Moja pierwsza miłość, która trwała minut pięć... snadź była ostatnią.

Chciał mówić więcej, lecz nagle jakby się namyślił — umilkł i, zmieniając ton, zwrócił się do Sołłohuba:

— Mów bo mi o sobie. Ty, naturalnie, kochałeś

się nieskończoną liczbę razy; pamiętam, żeś początł od garderobianej mojej matki... A teraz... w kimże?

— Daj pokój żartom! po raz pierwszy i ostatni w życiu jestem na seryo rozmiłowany.

— A! wiwat! Cóż? przedmiot twych zapałów?— mówił Brühl ironicznie — „czy dzieli ognie twoje?"

— Proszę cię, nie żartuj! Przedmiot jest młodziuchny i, o ile mi się zdaje, chyba nigdy kochać nie potrafi.

— Dlatego, że nie kocha ciebie!! — Rozśmiał się starosta. — Czy nazwisko tajemnicą?

Sołłohub się zawahał.

— Myśmy przecie przyjaciele, ja cię nie zdradzę! Miałażby być mężatką? — pytał Brühl.

— Co pleciesz! to prawie dziecko, to aniołek! — zawołał Sołłohub.

— Wszystkie one są aniołami, gdy się w nich kocha. Ale któż, mówiąc po polsku, twojego anioła rodzi?

Generałowicz pomyślał.

— Przyszedłem tu nie po to, abym przed tobą robił tajemnicę — dodał poważnie. — Kocham się w Maryi Potockiej, cześnikównie koronnej; sierotą jest biedna, odumarli ją rodzice. Opiekunowie! któż wie, możeby nie byli od tego, aby ją wydać za mnie...

Brühl, który ciągle z wyrazem ironii na twarzy słuchał przyjaciela, gdy wymówił nazwisko cześnikówny, drgnął i wstrząsł się cały... Sołłohub siedział właśnie z oczyma spuszczonemi i nie dostrzegł tego poruszenia, a gdy podniósł wzrok, Brühl już był panem siebie. Większy znawca ludzkich twarzy byłby może rozpoznał w nim jakby przejście jakiegoś prądu, który po sobie ślad zostawi. Sołłohub nie badał tak pilnie tych, z którymi żył; brał ich prostodusznie takimi, jakimi mu się przedstawić chcieli.

Nagle urwała się rozmowa, starosta jakby stracił ciekawość, siedział obojętny i zmieszany nieco.

— Wiesz — odezwał się potem, udając znowu rozweselonego — to szczególne przeznaczenie! Byliśmy i jesteśmy, spodziewam się, przyjaciołmi, w losach naszych wiele było wspólnego, i obu nam widać przeznaczone były Marye Potockie. — Sołłohub, który imienia wojewodzianki nie wiedział, wyraził całe swe podziwienie.

— A! bodajbyś był prorokiem! — zawołał — ale ty bierzesz już twoją Potocką, a ja nie wiem, czy kiedy do tego się szczęścia dobiję...

Wstał Brühl i, przechadzając się, coś nucić zaczął.

— Mówmy seryo — odezwał się głosem zmienionym — nie masz zaprawdę czego mi zazdrościć. Mówiłem ci, że nie ja się żenię, ale mnie żenią. Panna jest biedną, przelękłą ofiarą, a ja sobie wydaję się katem. Niema na to rady! Muszę wesołego udawać, aby jej i sobie serca dodać. Serce, którem ci się chwaliłem, że mi stwardniało, jak nagniotek, boli czasem niewypowiedzianie, zupełnie jak nagniotek na słotę. Wszystko to smutne, śmieszne i głupie! Męczyć siebie i drugich, aby przez lat kilka mieć przyjemność patrzeć, jak ci się ludzie kłaniają nienawidząc! Pewien jestem, że mnóstwo ludzi mi zazdrości! Na oko możeż być szczęśliwsze położenie, niż moje? Ojciec niemal wszechwładnym panem w dwóch krajach, złota mogę mieć, ile zechcę, jestem młody, zdrów, jak koń, pochlebców rój mnie otacza, a — niema człowieka nieszczęśliwszego nade mnie.

— Brühl! co mówisz? — zawołał przestraszony niemal przyjaciel.

Uśmiechnął się na to starosta.

— Wiesz dlaczego? bo mi wszystko jest obojętne... bo mi się zachciewa biedy dla wyjścia z tego marazmu.

— Jesteś człowiek poprostu szczęściem popsuty — odezwał się Sołłohub — ale na to żadnej innej rady niema, tylko prawdziwa bieda, któraby o zmyślonej zapomnieć kazała... dajmy już temu pokój.

To mówiąc, przeszedł się po pokoju Sołłohub, jakby się do czegoś gotował, i zbliżył zwolna do Brühla, który krzesło pod sobą od niechcenia kawałkami wypróbował.

— Kochany starosto — odezwał się — mam do was prośbę. Byłeś mi dawniej przyjacielem...

— I jestem zawsze!

— Przyłóż-że się do szczęścia mojego!

Złożył ręce jak do modlitwy.

— O co ci idzie? mów bez tych wstępów i przygotowania.

— Kiedy twoje wesele?

Brühl aż się cofnął na to pytanie, którego się nie spodziewał.

— Nie przypominaj-że mi go... cóż tobie z tego przyjdzie?

— Ale przecież — kiedy?

— A no — około Nowego Roku, zdaje mi się.

— O! to kawał czasu jeszcze — westchnął Sołłohub. — Wiadomo już powszechnie, że zaślubiny twe odbyć się mają z nadzwyczajnym przepychem... a szczególniej przy ogromnym zjeździe z całej Polski. Wszystko, co tylko spokrewnione, skoligacone, sprzyjaźnione z Potockimi, będzie w Krystynopolu... Liczą już gości na seciny... kto wie, na tysiące!

— Chcesz, bym cię zaprosił? — przerwał Brühl — ale to samo z siebie idzie.

— A! wcale nie o to mi szło — zniecierpliwiony wtrącił Sołłohub. — Cześnikówna Potocka będzie nie-

zawodnie na weselu. Ty już należysz do rodziny — do domu, ojciec twój ma wpływ wielki, siostra twoja nie mniejszy... Alojzy! na przyjaźń twą zaklinam cię, pomóż mi do cześnikówny — ja kocham się w niej śmiertelnie — ja...

Nie dokończywszy, porwał się za głowę.

— Szczęśliwy człowiek! — westchnął Alojzy.

Przyjaciel chwycił go za ręce. Brühl cofnął się zniecierpliwiony.

— Jeśli o tem chcesz mówić z moim ojcem, nastręczę ci sposobność. Niech on przemówi za tobą, ale ja! ja!... ja nie mogę...

— A to dlaczego? — porwał się niemal obrażony Sołłohub.

— Dlatego, że choć mam zaledwie dwadzieścia jeden lat, dałem już sobie słowo, iż małżeństw nigdy kojarzyć nie będę.

— Ty? dałeś sobie słowo? — podchwycił Sołłohub.

— Tak jest, dałem sobie słowo i dotrzymam go.

Gość wziął kapelusz z krzesła powoli; widać po nim było, iż, doznawszy zawodu, czuł się nim mocno dotknięty.

— A zatem — rzekł chłodno — nie pozostaje mi nic, tylko ci dać dobranoc.

Lecz Brühl obie ręce wyciągnął ku niemu.

— Mój drogi, mój przyjacielu — począł łagodnie, — nie gniewaj się, Bóg widzi, nie winienem, masz całe serce moje, ale w tej sprawie ci służyć nie mogę.

— A ja tylko w tej sprawie cię potrzebuję — przerwał Sołłohub — o żadne starostwo ani proszę, ani prosić cię będę, o żadną łaskę, ani protekcyę, w tem tylko jednem możesz mi być pomocny.

Brühl stał chłodny.

— Nie mogę — rzekł — nie mogę.

— Dla mnie jest w tem coś niepojętego — mruknął gość.

— Myśl sobie, co chcesz — dodał starosta — ja małżeństw nie kojarzę... Ojcu cię polecę, ojciec więcej, niż ja, może... Do tej sprawy ci się nie zdam, bo w małżeństwa nie wierzę i mam moje pryncypia... Gdyby mi wolno było odstąpić ci moją własną narzeczoną — także Maryę i Potocką, uczyniłbym to chętnie... alę daj mi pokój ze swatami, jam do tego nie stworzony...

Generałowicz popatrzał nań, ścisnął zlekka jego rękę i wyszedł.

Brühl powiódł za nim oczyma i rzucił się znużony śmiertelnie na łóżko.

VIII.

Po Trzech Królach odbyć się miało w Krystynopolu wesele. Im państwo województwo kijowscy oszczędniejsi byli i skrzętniejsi w zwykłem życiu — tem na ten akt wspanialej wystąpić chcieli. Znano z opowiadań zbytki dworu saskiego, do których Brühl był przzwykły, wiedziano, jak on wykwintne wiódł życie; chciano naostatek po długiem milczeniu i oddaleniu od większego świata występem zaćmić uczty najwspanialsze.

Wojewodzina byłaby może starała się pogodzić wspaniałość z oszczędnością, ale na tym punkcie sam pan Franciszek Salezy okazał się nieubłaganym.

— O tem mi asińdźka ani mów — odezwał się — tu niema co skąpić, oczy całej Rzeczypospolitej zwrócone są na nas... trzeba wystąpić i wystąpimy — po

królewsku! Dam, ile będzie potrzeba... choćby krocie miały pójść. Należy stanąć odrazu tak, jak nam przystało...

Gdy da Bóg wydawać drugą i trzecią, zrobi się inaczej, bodaj cicho i skromnie, ale pierwszą i jeszcze za Brühla dając...

Potrząsł ręką do góry pan wojewoda, a że wiele czasu do stycznia na tak wielkie przygotowania nie zostawało, natychmiast do narady wezwał księcia Czetwertyńskiego. Szło głównie o program wesela. Przy obrzędach weselnych ongi były zachowywane pewne tradycye narodowe, siła mów głosić musiano i słuchać, przy oddawaniu podarków, marcypanów przy stole, przy wprowadzaniu do sypialni, pokładzinach, przy wieńcu, przy rozmaitych ceremoniach ślubu i wesela, aż do cukrowej wieczerzy i wyjazdu z domu rodzicielskiego. Mówili od pana młodego, od rodziców, od rodziny jednej i drugiej, przyjaciele, dworzanie i t. p. Oprócz mów sam obrząd, wedle starych zwyczajów napół publiczny, uciążliwy był, a dla obcych dziwnie się mógł wydawać.

Wojewoda nie rad był odstąpić od tradycyi a biedził się z tem, jak ją przełkną Sasi.

Obyczaj europejski, już w kraju się zagęszczający, znosił te dawne obrzędy i nowe wprowadzał cudzoziemskie formy. Nie wiedziano zaprawdę, jak lepiej było: czy stać przy dawnem, czy zerwać z przeszłością. Dla obojga państwa było to markotno, a dla obcych znowu nie chciano się okazać śmiesznymi i zardzewiałymi. Dlatego w rzeczach tych biegłego zaproszono do rady księcia Czetwertyńskiego, który powoli wsunął się do kancelaryi, gdzie oboje państwo nań oczekiwali. Stary kniaź zubożały miał postawę wspaniałą, znać w nim było ową bujną krew dawnych wodzów, co nie łatwym do rządze-

nia tłumom w pochodach i zdobyczach wskazywali drogi. Służył on panu wojewodzie, ale swą mitrę nosił dlatego jak przystało, i choć się kłaniał, nie poniżał. I tym razem, głowy uchyliwszy, ręce zaraz za pas włożył, stając jak równy przed równym.

— Czem mogę służyć panu wojewodzie?

— Waszmość, mości książe, jesteś naszym przyjacielem, chcemy waszej rady, oto z powodu tego wesela — odezwał się pan Franciszek Salezy. — Już to nie ulega wątpliwości, iż wystąpimy tak, jak nas stało, niech kosztuje co chce... ale jest sęk... Maryanna idzie za cudzoziemca, choć to niby szlachcic polski, ale zarazem i graf niemiecki. Weseleby przystało sprawić po naszemu, po polsku... z drugiej strony... oni tego nie zrozumieją i prześmiewać gotowi.

Książę, oczy mocno otworzywszy, stał długo milczący i słychać tylko było poważne sapanie. Jak wszyscy niemal ludzie owego wieku, powolnie myślący, miał i on swe przysłowie, które w mowie pomagało do zasztukowania pauz, gdy się myśl opóźniała — a myśl chodziła leniwo.

— Furda, tego, panie wojewodo — rozpoczął mimowolnie, na początku zaraz umieściwszy przysłowie, kniaź Czetwertyński — furda tego, niema nad czem tak dalece myśleć. Trzeba, aby był i wilk syty i koza cała.

— Ale jak? — zapytała wojewodzina.

— Jak? — gładząc łysą głowę, rzekł książę — jak? Furda tego, polski ceremoniał się nieco obetnie, a nowomodnego przyrzuci...

— Cóż z mowami będzie? — wtrącił wojewoda.

— Oni ich i nie zrozumieją — cicho szepnęła sama pani.

— Dlatego słuchać mogą, furda tego — rzekł ksią-

żę, ruszając ramionami — bez mowy zupełnie obejść się nie może.

— Acindziej wiesz, mości książę, że za moich młodych czasów na porządnem weselu piętnaście do dwudziestu oracyi trzeba było wysłuchać — rzekł Potocki.

— Samem je prawił, jak nie mam wiedzieć? — odezwał się kniaź. — Na mojem własnem figla mi spłatał, którego nigdy nie zapomnę, Pociej. Przypadło mu ode mnie za pannę dziękować w łożnicy... umiał expedite, ale, nim do niej przyszło, umyślnie go spojono... Stanęliśmy słuchać, odchrząknął, oczy mu słupem stanęły, rękę podniósł — czekamy — sczerwieniał, jak burak, krztusi się... ani słowa...

Ten i ów pod bok go szturcha... jeszcze się gorzej coraz począł mieszać... i — drapnął, jak niepyszny. Musiałem sam ex promptu go zastąpić...

— Ja wiem, żem nieraz na weselach tylko szum słyszał — dodał Potocki — a pewnie nie więcej i drudzy. Bredzono śmiało...

— Mów jak najmniej będzie — zadecydowała pani — ale z innymi obrzędami?...

Książę się zamyślił.

— Pewnie, że stary obyczaj i publiczne odprowadzenie do sypialni nie ujdzie — rzekł po chwili — a marcypanów i świec pan młody nie przyśle... więc z francuska po polsku... takie moje zdanie, furda tego, panie wojewodo.

Utrzymała się opinia Czetwertyńskiego, i program powoli zaczął coraz wyraźniejsze przybierać rysy. Zawczasu tedy kancelarya wedle trzech aryng różnych poczęła pisać listy, do duchowieństwa, senatorów, dygnitarzy, familii i przedniejszej szlachty, z którą panowie Potoccy mieli stosunki. Zachodziła ta trudność, iż z wielu

osobami partyi przeciwnej były koligacye i pozornie dobra komitywa, nie wypadało więc i tych opuścić, a pokrzywdzić pominięciem, choć się napewno spodziewano, iż listownie się chorobą, żałobą lub innem jakiem sianem wykręcą.

Ksiądz biskup łucki Wołłowicz osobno przez dworzanina zaproszony został, ażeby nowożeńcom błogosławił, boć mniej, niż biskup, ślubu dawać nie mógł. Listy szły na pocztę, przez kozaków dworzan, kresy i gubernatorów dóbr rozsyłano. Inne też przygotowania na ogromną skalę czyniono. Do Węgier umyślnie po wina, ze wszystkich dóbr zwierzyny kazano dostarczyć, z Gdańska przywieziono korzenne do kuchni przybory. Pieniądze szły okrutnie, a gdy pani Anna postękiwała na to, wojewoda usta zaciskał i powtarzał:

— Niech kosztuje, co chce, inaczej nie może być.

Na tem się skończyło.

Osobne trzy izby zajmowali kuśnierze i krawcy, szyto suknie, a panna Marya, jak machina, do próbowania ich coraz powoływaną być musiała.

Szła po sześć razy czasem na dzień blada, milcząca, dawała się opinać, oglądać na wsze strony i obojętna powracała nazad do swego pokoju.

Naukom już dano za wygraną, nawet młodsze siostry niewiele ich pilnowały. Madame ciągle przygotowywała swą wychowanicę, tak skutecznie, iż coraz się stawała smutniejszą. Nie miała wcale daru przekonywania, a była w najwyższym stopniu niezręczną i wygadywała się z historyami, które do stanu małżeńskiego nie zachęcały. Większą część dnia spędzały w pokoju madamy. Wojewodzina, choć nadzwyczaj zajęta i mało w to wglądająca, w końcu jednak sama dopatrzyła tego, iż panna Marya zmizerniała, schudła... i coraz więcej kaszleć

zaczynała. Nawykła do posłuszeństwa, poleciła madamie, aby te jakieś kwasy i aprehenzye wybiła córce z głowy, kazała jej jeść i być wesołą. Tu wszystko musiało się spełniać, jak dysponowano. Jednakże, mimo całej usilności Dumont, panna Marya, zmuszająca się do uśmiechów, coraz chudła i czerniała. Wojewodzina zaczynała się gniewać. Nie wydała się z tem przed córką, bo madame nastraszyła ją, że surowość jeszcze ten stan pogorszyć może. Posłano Niemca doktora, aby o stanie zdrowia wojewodzianki się przekonał. Ten niewiele umiał, obawiał się coś stanowczego wyrzec; plątał się i wojewodzinę uspokoił tym ogólnikiem, że te panieńskie nerwy po ślubie przyjdą do normalnego stanu.

Wszyscy, nawet Bebuś, widzieli wyraźnie, iż pannie Maryi obawa zamążpójścia — nowego życia przestrach i niezdrowie sprawiała. Wojewoda nie wiedział i nie domyślał się nic.

W duszy dziewczęcia w istocie działo się coś dla niej samej niezbadanego. Zdało się jej, iż rozstanie z Krystynopolem życiem przypłaci, że z tęsknoty umrze, że gdzieindziej potrafi chyba płakać i konać... Godzinami stała w oknie, a gdy Godziemba się pokazał, ledwie spojrzawszy, uciekała.

Chłopak od zaręczyn chodził jak trup blady, roztargniony i codzień prawie musiał być strofowany za zapominanie się jakieś, tem dziwniejsze, że dawniej do najżwawszych i najprzytomniejszych się liczył.

— Co ci jest, Godziemba? — wołał starosta Zawidecki — skaranie boże! — chory, czy zakochany... Albo idź się połóż, albo się do kaduka żeń, a tu nam więcej zawadzasz, niż pomagasz...

Szpiegowano młokosa, ale nikt nic nie wyśledził.

Tymczasem madame Dumont, w sprawach serco-

wych doświadczona wielce, gdyż nim się wychowaniem zajmować zaczęła, wiele sama na sobie smutnych doznała kazusów, z różnych stron badając swą ukochaną, wpadła nareszcie na jakieś podejrzenie, że tu serce musiało wpływać na taką nieprzezwyciężoną tęsknotę i apatyę... Lecz sama myśl, żeby wojewodzianka, otoczona tylko pośledniejszego gatunku osobami, mogła na kogoś rzucić oko, przerażała madame. Gdyby, uchowaj Boże, coś podobnego dośledzono, na nią-by cała spadła wina! Strach ją ogarniał wielki. A nuż się wyda? a nuż coś jest? Nikomu wszakże do panien ani się zbliżać, ani mówić do nich nie było wolno. Cóż to być mogło.

Ciekawość, obawa, litość pobudzały madame do pilnego śledzenia najmniejszych ruchów panny Maryi. W czasie, gdy młodsze panienki z nią lekcye odbywały, Dumont chodziła po swoim pokoju. Uważała teraz, bardziej śledząc wojewodziankę, że zwykle stawała w oknie, podparta na ręku i niekiedy godzinę się z miejsca nie poruszała. Wzbudziło to w niej podejrzenie. Z drugiego pokoju ostrożnie przez okno przypatrywała się, czy też kogo nie obaczy.

Zaraz pierwszego dnia, stojąc na czatach, spostrzegła Godziembę, który przesunął się w ulicę, znikł pomiędzy drzewami, ale zdawało się jej, że w nich ukryty stanął. Pilnowała go i przekonała się, iż w istocie pozostał naprzeciw okna panny Maryi, pierwszy raz zdawało się jej to tak nieprawdopodobnem i zuchwałem, że to wzięła za wypadek. Lecz... powtórzyło się nazajutrz i razy kilka Dumont więcej niż podejrzenie powzięła. Jakiś ruch chusteczką białą złapała... potem niby jakieś znaki, naostatek po tygodniu z rozpaczą nabyła przekonania, że choć w tem wszystkiem nie mogło być

nic posuniętego bardzo daleko, stosunki oczu i serc — niestety — istniały...

Nie wiedząc, co z tem począć, Dumont, przekonawszy się, najprzód się rozchorowała. O wyjawieniu tajemnicy wojewodzinie mowy nawet być nie mogło... tak straszliwe pociągnęłoby to za sobą skutki. Zmilczeć zupełnie — nie umiała, poradzić się nie było kogo... Madame stała już nieustannie na straży, jeszcze niedowierzając oczom, ale wreszcie wątpliwości dla niej nie było żadnej.

Odkryła przyczynę choroby, smutku, wstrętu wojewodzianki do tego małżeństwa. Walcząc z sobą długo, wahając się, Dumont postanowiła otwarcie z wychowanicą się rozmówić, boć tak samo, jak ona dośledziła tych konszachtów tajemnych, mógł je podpatrzyć kto inny, choćby łotr Bebuś, który był najniebezpieczniejszym ze szpiegów.

Pewnego tedy wieczoru, gdy się panny pospały, Dumont wezwała do siebie wojewodziankę, opatrzyła drzwi, korytarze, zapobiegła, aby ich nikt nie podsłuchał i, ucałowawszy ją, prawie ze łzami poczęła rozmowę niedosłyszanym szeptem:

— Panno Maryo, panno Maryo! ja teraz już wiem, dlaczego mizerniejesz i bledniesz... Ja jestem waszą najwierniejszą przyjaciółką, i z trwogi już od kilku dni choruję...

Marya zbladła, spojrzała na nią, strwożona, nie śmiejąc ust otworzyć.

— Niema się co taić przede mną... ale to okropna rzecz! Gdyby się we dworze domyślono... Boże Wszechmocny!... stałoby się coś okropnego! wszyscybyśmy byli zgubieni...

Tak pośpiesznie mówiąc, plącząc się, nie wiedząc,

jak wyraźniej dać poznać wojewodziance odkrytą tajemnicę, szepnęła na ucho nazwisko Godziemby.

Usłyszawszy je, panna Marya chwyciła z całych sił za ręce i dłonią zasłoniła jej usta.

Zdradził ją ten przestrach, padła potem na krzesło, zakrywając sobie oczy. Dumont zlękła się, aby nie omdlała, i zaczęła ją ściskać, cieszyć, uspokajać.

— Na miłość bożą, niech się panna Marya nie trwoży, nikt na świecie o tem wiedzieć nie może i nie będzie... to zostanie między nami... Więc to prawda!...

I załamała ręce, a po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi, szepnęła:

— Gdyby się domyślano, gdyby tylko cień podejrzenia padł... a! panno Maryo — kazanoby go zabić!

Słaby krzyk wojewodzianki stłumiła Dumont, chustkę jej do ust przykładając. Można się było obawiać, aby zawsze niespokojna wojewodzina nie posłyszała go i nie przyszła.

— Zaklinam cię... powiedz mi wszystko, wszystko, ja nie zdradzę... ja poradzę i pomogę...

Oprzytomniawszy nieco, panna Marya się podniosła, łzy jej z oczu płynęły, rzuciła się na szyję madamy.

— Moja Dumont, cóż ja ci mam powiedzieć? on patrzał na mnie, ja odpowiadałam wzrokiem, nigdy trzech słów nie mówiliśmy do siebie. Ja go kocham, i z tej miłości umrę powoli, on pewnie także... Zaniesiemy ją oboje do grobu.

Słysząc to, Francuzka rozpłakała się.

— Jakto? jakto? nawet nie spotkaliście się, nie mówili, nigdy? pewnie!

— Na wszystko najświętsze przysięgam.

— Ale to osobliwsza miłość! — dodała madame.

— I nie dziw... Gdyby się dowiedziano, on-by ją życiem przypłacił. Jakże się mógł ośmielić na was podnieść oczy! Ależ to przecie sługa!...

— To wychowaniec naszego domu — przerwała panna Marya.

— To człowiek biedny, najniższej kondycyi... — I ruszyła ramionami.

Marya płakała i nie odpowiadała nic.

— Straszliwa tragedya — ciągnęła dalej poruszona Dumont — co tu z tem począć! To trzeba sobie wybić z głowy i z serca, to nie ma sensu... okropna... a wojewodzina...

Zakryła sobie oczy Francuzka.

— Na samą myśl truchleję — dodała.

— Widzicie — rzekła — ja... ja się domyślam, mogą się dorozumieć inni. Wojewodzianka mizerniejesz, kaszlesz, zamyślasz się, widocznie ślub ten w niej wstręt obudza. Uchowaj Boże, inni ludzie na tę myśl wpadną, zgubisz siebie i jego...

Surowość obojga rodziców była tak znana, iż w istocie Francuzka miała prawo się trwożyć.

Panna Marya stała już z oczyma suchemi, milcząca.

— Za cóżby mnie karać miano, albo jego? — odezwała się wreszcie — oczyma tylko rozmawialiśmy z sobą i sercami... Trzeba będzie umrzeć z tęsknoty, gdy mnie stąd wywiozą, umrę, wy mnie nie wydacie; tajemnica pójdzie ze mną do grobu... A! wy nie powiecie nikomu!

Załamane ręce madamy świadczyły, iż nigdyby tego dopuścić nie mogła.

Rozmowa przedłużyła się, tak urywana i mało zawierająca treści, jak jej początek. Płakały, ściskały się,

Dumont piła wodę, aby się otrzeźwić, litowała się, szukała jakiegoś ratunku, a znaleźć go było trudno.

Z tego, co mówiła Marya, łatwo wyrozumiała, iż czyste, niewinne, wychowane bogobojnie dziecię, nie zamarzyło nawet o czemś, coby z karbów obowiązku wyjść mogło... Wojewodzianka ograniczała się na tem, iż chciała umrzeć. Dumont szukała w głowie sposobów, aby żyć mogła.

— Idzie wam o to, abyście się na siebie patrzyli — odezwała się — więcej wam nie potrzeba... Niech się Godziemba stara, aby go Brühl wziął do swojego dworu.

Marya zarumieniła się przelękniona, a madame mówiła do niej dalej:

— Może się to da zrobić, ale z ostrożnością wielką... Niema innego ratunku, ja z nim pomówić muszę, ja...

Wojewodzianka z kolei przeraziła się.

— Jak? o czem? z nim mówić! A! na Boga! zdradzić mnie!...

— Ale uspokójcież się, nikogo w świecie nie zdradzę, o niczem nie wiem i nie głupiam mu więcej nad to powiedzieć... co konieczne... Ależ ja nie pierwszy rok na świecie żyję, a wam umierać nie dam z takiej dziecinnej miłości... To chłopiec bałamut, ręczę, zuchwalec i niewart tak pięknego, jak wasze, serca...

Późno w noc skończyła się ta łzawa rozmowa, lecz wojewodzianka po niej uczuła się nieco spokojniejszą, a Dumont niemal do białego dnia biła się z myślami, jak ma do tego nieszczęsnego Godziemby przystąpić.

Wcale to nie było łatwo, gdyż we dworze wszelkie stosunki osób płci różnych, chociażby najniezależniejszych, nadzwyczaj ściśle były kontrolowane. Młodzież męska nie śmiała się otwarcie zbliżyć do fraucymeru, chyba w dni Zapustne pod okiem starszych, gdy tańce wypra-

wiano na sali. Dumont nieodstępnie była z pannami. Mieć więc sposobność mówienia z Godziembą — było prawie niepodobieństwem. Lecz jest-li niepodobieństwo dla podżyłej, zręcznej kobieciny, gdy sobie czem głowę nabije?... Przez parę dni madame męczyła się napróżno... potem zaczęła się skarżyć na ból głowy. Rumianek był w takich razach uniwersalnem lekarstwem.

Nie pomógł jednak. Skutkiem narady z doktorem, pani Dumont nakazano przechadzkę. Wojewodzina na czas jej niebytności przy pannach posadziła ochmistrzynię, gdyż panny miały swe godziny zajęć, których opuszczać nie mogły.

Dumont przez dwa dni chodziła do ogrodu napróżno, trzeciego czatowała i złapała Godziembę. Zobaczywszy ją, chciał zrazu uciec, lecz Francuzka zawołała nań prędko, że mu ma coś powiedzieć. Nie patrząc nawet na niego, rozglądnąwszy się tylko, aby jej nie podsłuchano, szybko rzuciła mu te wyrazy:

— Waćpan powinieneś wyjść ze służby pana wojewody... Ja mu dobrze życzę. Wam tu grozi niebezpieczeństwo... Nie mogę mówić jaśniej. Proś waćpan, aby go odprawiono... Znajdzie się później inne miejsce, odbierzesz waćpan wiadomość. Rozumiesz?

Godziemba wybąknął coś niejasnego, Dumont pierzchnęła co prędzej. Choroba jej i ból głowy tegoż dnia ustały.

Pan Tadeusz wprost z ogrodu pobiegł do oficyny, myśleć, co ma poczynać.

Nie czuł się zupełnie czystym na sumieniu, słowa więc guwernantki utkwiły w niem. Żal mu było dwór opuszczać, a do tego trudno nawet: wojewoda jako wychowańcem nim rozporządzał, sądził, że miał nad nim prawo życia i śmierci. Prosząc o uwolnienie, Godziemba

musiał się zrzec raz na zawsze protekcyi, pomocy, wszystkiego, co mu przyszłość mogło zapewniać. Krok ten pozbawiał go jedynego przytułku. Wprawdzie Francuzka obiecała jakieś inne miejsce, ale jakąż wagę mogły mieć jej wyrazy?

Chodził Godziemba po swej izdebce, włosy targając, gdy go do starosty powołano.

Ten miał na niego ciągle oko, widząc go roztargnionym i smutnym, a że sam był człowiek młody i wchodził we wszystkie młodości bóle i choroby, postanowił przez litość przy pierwszej sposobności gdzieś mu się dać po świecie przewietrzyć.

Miano ważne papiery wysyłać do gubernatora w Humaniu, wojewoda kazał sam, by je któryś z roztropniejszych dworzan wręczył i odpowiedź dostawił. Starosta Zawidecki był pewien, że Godziembie tą podróżą łaskę wyświadczy.

— No, panie Tadeuszu — odezwał się — pakuj acindziej troki, czy tłómoczek: jedziesz z papierami do Humania.

Godziemba stał, wcale nie pokazując po sobie wesołości. Spadało to na niego zbyt nagle, nim się miał czas rozmyślić, co zrobić z radą madamy i z sobą. Rozpaczliwe usposobienie od czasu zaręczyn wojewodzianki pchało go do jakiegoś kroku szalonego. Czuł, że pozostać tu dłużej nie powinien. Nie wiedział jeszcze, co z sobą zrobi, ale mu na rękę było wyrwać się na swobodę. Dziecinna miłość nie miała celu i była szaleństwem, od niej samej uciekać należało.

Jeszcze myślał, w jaki sposób odpowie, gdy starosta Zawidecki zawołał zdumiony:

— A toż co jest? Słyszałeś waćpan? jedziesz do Humania.

— Jestem chory — rzekł Godziemba — pan starosta przebaczy.

— Właśnie widzę, że waćpan chory jesteś, i dlatego wysyłam go. Młodemu niema nic zdrowszego, jako dobrze się przetrząść i aurę odmienić.

Godziemba, zamiast podziękować, stanowczo odparł:

— Nie pojadę.

Marszałek osłupiał.

— Mości Godziemba — zawołał — u nas we dworze niema n i e, póki kto jest na służbie pana wojewody, acan to wiesz. Gdybym jego odpowiedź odraportował, wiesz konsekwencye, jakieby za sobą pociągnęła?

— Jestem chory — mruknął Godziemba — i proszę o uwolnienie ze służby.

Usłyszawszy to, starosta uszom prawie nie chciał wierzyć.

— Co waćpanu jest? jaka chandra go napadła? — zawołał — mam nad nim litość, życzę się pomiarkować. Waćpan nic nie masz na świecie oprócz łaski pana wojewody, a jeśli ją stracisz...

— Pan Bóg nad sierotą — westchnął Godziemba.

Widząc ten upór, marszałek popatrzał i z życzliwością zbliżył się do niego.

— Ale powiedz-że mi, co ci jest? to niezrozumiałe.

— Nic mi nie jest — począł Godziemba kwaśno — łaskę pana starosty umiem cenić, ale... ale ja postanowiłem iść w świat, tu się zestarzeję i z dworzanina nie wyjdę, a łaska pana wojewody...

Nie dokończył, starosta głową dziwnie trząsł.

— Jak sobie chcesz — odezwał się zimno — tylko ponieważ nawet wartogłowów gubić nie lubię, daję czas do namysłu do jutra... Do Humania pojedzie Dę-

bicki, waćpan się namyśl, a jeśli bunt chcesz podnieść, jakiego sobie piwa nawarzysz, takie pić będziesz...

Skłonił się Godziemba i wysunął się za drzwi.

— W tem coś jest — rzekł sam do siebie starosta Zawidecki. Przywołano natychmiast Dębickiego, który z radością pobiegł po konia i przyjął polecenie. Wieczorem starał się wybadać marszałek towarzyszów Godziemby, czy się z kim nie poważnił, czy co nie zmalował, lecz nikt o niczem nie wiedział.

Tymczasem Tadeusz, do swej izby na górę poszedłszy, z myślami się bił i sam do stanowczego kroku podbudzał. Wziąwszy na rozum, doszedł teraz, iż madame, która była przy wojewodziance, musiała nie darmo ostrzedz go o niebezpieczeństwie. Bebuś mógł dośledzić jego wycieczki w ogrodową ulicę i znaki dawane. Niebezpieczeństwo w takim razie mogło być w istocie groźne, gdyż wojewodę znano z tego, iż się miał za pana życia i śmierci swych podwładnych. Opowiadano po cichu rozmaite stare dzieje o zniknych dworzanach, o domierzonych karach, które się krwawo zakończyć miały... Godziemba więc postanowił, nie czekając odprawy, bodaj nocą wysunąć się do miasteczka, a stamtąd w świat ruszyć. Dokąd? sam dobrze nie wiedział. O czem? to także było pytanie. Zamknąwszy się w izdebce, począł od inwentarza tego, co sobie wysłużył. Kasa zawierała kilkanaście złotych, garderoba była dosyć porządna. Konia, który mu służył, zabrać nie czuł się w prawie. Westchnął biedak, lecz postanowienia nie zmienił. Nie chciał uciekać jakby przewinił, nie pożegnawszy tego, który się uważał za opiekuna i dobroczyńcę. Siadł więc list pisać z pożegnaniem do pana wojewody. Za powód w nim stawił, iż musiał prowadzić życie bezczynne i że sobie, jak mówiono naówczas, szczęścia chciał na świe-

cie szukać. Dziękował za wszystkie łaski i prosił o przebaczenie za krok samowolny. List napisawszy, odczytawszy, przepisawszy, upakował małe zawiniątko, i już ciemnym wieczorem, właśnie, gdy na kolacyę do marszałkowskiego stołu dzwoniono, wysunął się do ogrodu niepostrzeżony.

Starosta Zawidecki, nie widząc go przy wieczerzy, nie dał znać po sobie nic, inni sądzili, że go gdzieś wysłano. Nazajutrz rano nie było go na mszy; nie doczekawszy się na śniadanie, pan starosta posłał po niego. Doniesiono mu, że izba była otwarta, klucz w zamku, a Godziemby ani śladu. Ten, który chodził, dodał po cichu, że na stoliku list jakiś leżał. Marszałek pobiegł sam. Obejrzawszy się, nie wątpił już, że Godziemba uszedł. Był to ważny wypadek... straszliwa niesubordynacya... bunt, samowola.

Wiedział, iż dla samego przykładu wojewoda płazem tego nie puści.

Skutki dla Godziemby, gdyby się go pochwycić udało, mogły być straszliwe: więzienie o chlebie i wodzie, któż wie? w pierwszym impecie może skazanie na karę cielesną. Żal mu się zrobiło młokosa, radby był zwlec raport do wojewody, ale już w całym dworze wiedziano, domyślano się, szeptano, że Godziemba uszedł. Nie było więc sposobu, tylko list odnieść i o tem, co się stało, oznajmić.

Potocki rozdrażniony był właśnie i gniewny, tysiącem różnych spraw go męczono. Gdy starosta wszedł, list schowawszy za suknię, chodził po kancelaryi, brodę ogoloną gładząc i trąc, co było najgorszym znakiem. Odwrócił się ku niemu: godzina była niezwykła.

— Co mi waćpan powiesz?

Starosta Zawidecki sam nie wiedział jak zagaić.

— Stała się u nas rzecz... rzecz niezwyczajna, ekstraordynaryjna — odezwał się po namyśle. — Dziś rano Godziemba na mszy i śniadaniu nie był, poszedłem zobaczyć, czy nie chory, nie znalazłem go i w mieszkaniu... tylko... list...

Wojewoda brwi coraz marszczył i rękę wyciągnął, milcząc. Potrzeba było pismo wręczyć. Rozerwał kopertę wojewoda i poszedł z pismem do okna; marszałek śledził fizyognomię, widział, jak zbladła, i ręce się zatrzęsły. List rzucił o podłogę.

— Błazen! — zawołał. — Posłać kozaków za nim, nie musi być daleko! On mi tu będzie za służbę dziękował, on, którego wychowałem i co mi winien wszystko! Patrzcie go! jakie fąfry! Niech mi za nim jadą i związanego dostawią. Pięćdziesiąt bizunów na kobiercu i na odwach, do ciemnego karceresu, na chleb i wodę, żeby miał czas przyjść do rozumu.

Za służbę mi będzie dziękował!

Oczy wojewody zrobiły się straszne; starosta słuchał, ale dreszcz po nim chodził.

— Za tem pójdzie, że mi tu dalej fornale i hajducy za służbę podziękują! Trzeba dać naukę...

Wtem wojewodzina uchyliła drzwi.

— Słyszałaś asińdźka! — zawołał, coraz bardziej się rozogniając Potocki. — Słyszałaś, co się tu u nas nowego święci? Ten smarkacz, młokos, ten niezdara, któremum nie dał umrzeć z głodu... Godziemba, nie pokłoniwszy się, poszedł precz... ledwie raczywszy mi listem za chleb i sól podziękować.

Wojewodzina załamała ręce.

— Ale możeż to być?

Spojrzał na starostę, który ruszył ramionami, nie mówiąc słowa.

— Słyszałeś asindziej rozkaz? to zgorszenie, to skandal. Proszę mi zaraz wysłać za nim, i com dysponował, żeby się co do joty spełniło.

Starosta głowę pochylił i wyszedł.

W istocie natychmiast wyprawiono pogoń, ale wysyłając ją, poczciwy marszałek, choć surowe wydawał rozkazy, umiał wejrzeniem i ruchami dać poznać kozakom, żeby się zbytecznie nie upędzali za zbiegiem. Wybrał wreszcie takich, których znał, że Boga w sercu mieli, i umyślnie się wygadał głośno, co schwytanego czekało.

Po całym dworze rozeszła się wieść dziwna, niezrozumiała o ucieczce, a razem o gniewie okrutnym pana wojewody. Była to gratka niepospolita dla złośliwego Bebusia, który ręce zacierał z radości, myśląc o kobiercu. Obiecywał sobie być świadkiem wykonania wyroku i latał, jak opętany, powtarzając, iż Godziembę czeka pięćdziesiąt...

Gdyby śmiał, byłby z tem wpadł i do panien, lecz tu mu wchodzić, inaczej niż posłanemu, nie było wolno.

Dumont pierwsza dowiedziała się z rana w korytarzu od starszej ochmistrzyni o ucieczce i ostrożnie o tem szepnęła pannie Maryi, dodając, iż się to stało z jej rady.

Miała więc czas wojewodzianka wypłakać się w kątku, oczy obmyć i uspokoić się, nim wyszła na pokoje. Ochmistrzyni upewniła madame, a ta pannę, iż choć kazano ścigać Godziembę, starosta Zawidecki tak to urządził, aby go nie pochwycono.

Przez cały dzień wojewoda chodził zagniewany i łajał, kto mu się nawinął... uciekali wszyscy... Co godzina posyłał się dowiadywać, czy nie ujęto Godziemby, lecz ani tego dnia, ani następnego, żadnego śladu na-

wet nie nadybano i trzeba się było z tą myślą pogodzić, że mu to ujdzie bezkarnie.

Było tradycyą w takim razie, gdy ktoś zawinił srodze tak, iż go więcej znać ani o nim wiedzieć chciano, że pozostałości jego uroczyście wywlekano na dziedziniec pałacowy i wobec całego dworu, do najdrobniejszego szczątku palono. Stało s' tedy trzeciego dnia, że pan wojewoda rzeczy Godziemby nakazał wyrzucić i spalić. Cały dwór był przytomny dawno już niewidzianej egzekucyi. Grozą to przejęło wszystkich. Od tej chwili nazwiska winowajcy wspomnieć, mówić o nim było najsurowiej wzbronione.

Co się stało ze zbiegłym, nikt nie wiedział. W miasteczku badani Żydzi i mieszczanie poprzysięgali, że go nikt owej nocy nie widział, nie spotkał... ani z nim mówił. W okolicy nikogo podobnego na gościńcu też nie napytali kozacy... nawet posłuchu...

Wojewodzianka płakała... chodziła do okna, choć nikogo tam już jej oczy nie spotykały... a głupi Bebuś, który w upiory wierzył, zaklinał się, iż Godziemba musiał umrzeć, bo jego ducha raz wieczorem dostrzegł przesuwającego się około pałacu. Znano karła, że plótł zawsze nic do rzeczy, i nikt mu nie wierzył.

IX.

Już na dzień Nowego Roku 1760-go znaczna liczba gości, sproszonych na wesele córki pana wojewody, do Krystynopola zjeżdżać się zaczęła.

Dostojniejszych gości stawiono w pałacu, w przeznaczonych dla nich apartamentach; innym dworzanie i

służba ustąpić musieli z oficyn; wreszcie ostatek w miasteczku miał wyznaczone kwatery, bo wszystkie domy porządniejsze i część klasztoru księży Bernardynów wzięta była w rekwizycyę.

Śmiało powiedzieć można, iż co było najprzedniejszego w obywatelstwie Rzeczypospolitej, stawiło się na to wesele, o którem zawczasu głoszono, iż za pamięci ludzkiej równego mu w Polsce nie było. Nietylko książę Czetwertyński, ale wice-marszałkujący starosta Zawidecki, i łowczy nadworny Sadowski, starosta ropczycki, w pomoc wzięty, i przedniejsi z dworzan, Lipski, Jabłonowski, Dzbański, Polanowski, Świeżawski, Świejkowski, Kamenecki, Złotnicki zajmowali się ciągle przybywającymi gośćmi, których wszelkie potrzeby kosztem wojewody zaspokajano. Sanie, karety, powozy, ładowne bryki ciągnęły ze wszech stron, co chwila oznajmowane. Ruch we dworze był ogromny, dzień i noc nieustający. Ściągnięto w pomoc służbę od gubernatorów dóbr, część nawet żołnierzy wojewodzińskich musiano w liberyę poprzybierać, aby wszystkiemu starczyć. W pałacu stoły nakryte cały dzień, przyjęcie ciągłe, a w kuchni istne wrzało piekło.

Wojewodzina szła spać po północy, a przede dniem się zrywała, bo na nikogo się nie rada była spuścić. Wojewoda od brzasku już był ubrany i albo z oficyalistami odbywał konferencye, lub przybywających witał i odwiedzał.

W wigilię ślubu, gdy już się zjechały tłumy, gdy pałac się napełnił i same obrzędy już przygotowywać zaczęły, gdy najdostojniejsi ze spodziewanych gości przybyli, Krystynopol przedstawiał niemal obraz stolicy czasu sejmu.

Ludzie, co po kilkadziesiąt lat nie spotykali się

z sobą, tu się witali, niespodzianie znajdując. Z całej Rusi klienci wojewody, wszystko, co mu winne było krescytywę, co żyło jego protekcyą, zbiegło się dworować potentatowi, z najodleglejszych prowincyi przyjaźni Potockim, spokrewnieni, cała partya dworska i Brühlowska przybyła uświetnić obchód uroczysty.

Było to jakby obliczenie sił i demonstracya przeciw Familii, szło więc wielce panu wojewodzie, aby jak najwięcej osób zgromadził około siebie i w całej ukazał się potędze. Miał prawo być dumnym, gdyż z najodleglejszych krańców przystawiło się co żyło, i nie brakło ani jednego z imion wielkich Rzeczypospolitej. Brühlowie, którzy już znaczną część zaproszonych, przybywszy, zastali, mogli też sobie winszować, iż taką siłę zapewnili do walki z nieprzyjaciołmi.

W oczach ich wprawdzie nieco dziwnie ten świat szlachecki musiał się wydawać, którego znaczniejsza część przybywając z zapadłych kraju kątów przywoziła z sobą strój, fizyognomię, obyczaj przedwieczny. Z przepychem wielkim a staroświeckim występowali niemal wszyscy, bo co najwspanialszego dom miał, to starem i odziedziczonem było po przodkach... Wyszły więc na scenę kołpaki sobolowe, co Batorego może pamiętały, delie zygmuntowskie, i pasy prastare, i broń, i klejnoty jakby z muzeów zapożyczone. Niejeden pradziadowski wdział kontusz i żupan lamowy, którego właściciel oddawna rozsypał się w trumnie.

Tak samo powozy i rzędy na konie i barwa sług, staroświecką fozą ściągały oczy, ale tuż obok tego przedpotowego świata widniał już drugi, co się rozstał z tradycyą i przeszłością, a wdział na się szaty europejskie, cudzoziemskie, tak samo jak językiem obcym się posługiwał. Nie sami Brühlowie występowali w perukach i

frakach, znaczna część młodzieży arystokratycznej miała na sobie ten mundur przyszłości, który dziwnie trochę wyglądał i w jednych urągowisko i niechęć, w drugich niemal wywoływał zgrozę. Samo wesele dwoisty miało charakter, gdyż było w istocie małżeństwem dwóch sfer społeczeństwa i przejednaniem Rzeczypospolitej z obcymi żywioły. Ocierały się tu one o siebie wyższą jakąś siłą popchnięte i zmuszone, chociaż powiedzieć nie było można, czy przymierze interesów było zarazem związkiem serdecznym. Kwaśno jeszcze jakoś przypatrywali się jedni drugim, chociaż, nie okazując tego, co po myśli chodziło i w sercu się działo. Czasem można było dostrzedz uśmiech z pod wąsa i szyderstwo zmarszczek, które otaczała pięknie trefiona peruka. Przebaczano sobie nawzajem szpady i karabele w pochwach zardzewiałe...

Starosta warszawski i minister wystąpili także z przepychem, w którym smak i elegancya nadewszystko górę brały. Brühl wiódł z sobą przeszło sto koni, a dwór jego wytwornością mógł rywalizować z panami w tym samym stroju cisnącymi się na pokoje. Pomiędzy dworzaninem ministra, a przebraną po niemiecku arystokracyą, nie było prawie różnicy...

Stary Brühl, który wdzięczną twarz do późnego wieku dochował, rozpromieniony kłaniał się, ściskał, prawił grzeczności, które, będąc nałogiem, nic go już nie kosztowały. Ojciec i syn występowali we wstęgach orderów, z gwiazdami u boku... jako wzory mody i smaku, którym nic sprostać nie mogło. Alojzy zmuszał się do wesołości, chociaż na czole jego dostrzegłby może znający go lepiej świeżo zatarte fałdy, w których się smutek i znużenie chowało...

Niekiedy rzucał oczyma ku narzeczonej, do której zaledwie słów kilka mógł przemówić. Kobiety szeptały

pomiędzy sobą, że piękna wojewodzianka była uróżowana... Tak w istocie też było, gdyż na bladość przerażającą inaczej poradzić nie umiano.

Dwór jej składał się teraz z całego wieńca panien, pokrewnych domu, które za druchny służyły. Wśród tych młodych i wesołych po większej części twarzy, ofiara wyróżniała się przestraszonem obliczem i stale prawie spuszczonemi oczyma.

W tem gronie piękności, choć nie w pierwszym rzędzie, wszystkich oczy zwracała jedna twarzyczka nie tyle blaskiem, ile wdziękiem. Było w niej coś mówiącego o duszy... coś rzewnego zarazem i spokojnego, smutnego i jasnego. Pociągała ku sobie urokiem świadczącym zawsze albo o sercu lub o geniuszu... o uczuciu lub rozumie... Każdemu się zdawało, że ją rozumiał i że ona go rozumieć musiała... Każdy niemal, spotkawszy jej wejrzenie, musiał zaciekawiony spytać: — kto to taki? Młodzi i starzy zaintrygowani byli tą śliczną twarzyczką, która, milcząc, mówiła tyle...

Piękniejsze pewno od niej otaczały ją dziewice, rozkwitłe, błyszczące barwą zdrowia, z płomienistemi oczyma, z rysami regularnymi, jak starożytne medale... ale żadna nie miała jej wdzięku. Miała ten wyraz, którego opisać niepodobna, to coś, co z niebios darem przychodzi, co dawniej czarodziejki swym wybranym przynosiły do kolebki.

Niewysłowiony urok ją otaczał, jak aureola... Kryła się jakby zawstydzona, inne ją zazdrośnie zasłaniały sobą — przecież ją najwięcej widać było...

— Kto to taki?—szeptano w tłumie. I nie potrzeba było dopytywać, do której stosowało się pytanie; każdy zgadywał, że do tej z niebieskiemi oczyma, ze złotym

ciężkim warkoczem młodziuchnej dzieweczki, która zdawała się z innych jakichś światów gościem.

Pani wojewodzina możeby była wolała, ażeby ta kuzynka nie przyjechała w druchny na wesele, bo jej gasiła narzeczoną, i widziano ze zgrozą, jak młody Brühl, ledwie odstąpiwszy od swej przyszłej, gdy ujrzał w jej orszaku to zjawisko, stanął osłupiały i wlepił w nią oczy.

Po latach tylu — o cudo! poznał w niej odrazu tę dzieweczkę, co mu się uśmiechała na warszawskim zamku, którą naówczas w rączkę był pocałował, której wspomnienie go nie opuszczało... tę, ku której tak tęsknił... Wiedział wprawdzie, że ją tu spotka, mówił sobie nawet, że wypieszczony w wyobraźni ów obraz jej, rzeczywistość zaćmi, że się rozczaruje... Niestety! — dziecię wyrosło na anioła... rzeczywistość przeszła marzenie... Cześnikówna Potocka gasiła, co ją otaczało...

Brühl zapomniał o narzeczonej, o weselu, o oczach, które na niego były zwrócone, i byłby stał tak nieruchomy nie wiem jak długo, bo spotkał wejrzenie i półuśmieszek na jej ustach, gdyby pan generałowicz Sołłohub nie ujął go w tej chwili pod rękę.

— Widzisz ją! — zawołał w uniesieniu, którego pohamować nie umiał. — Brühl! drogi przyjacielu, teraz zrozumiesz mnie może... i będziesz miał litość nade mną...

Alojzy ledwie słyszał, co mówiono do niego; myślał właśnie, jakby się mógł zbliżyć do niej. To go tak zajmowało, że się nie wahał użyć fortelu.

— Zaprezentuj-że mnie cześnikównie — rzekł — a raczej przypomnij, bo mi się zda, żeśmy podobno znajomi z sobą...

Sołłohub, w przekonaniu, że narzeczony w wigilię ślubu wcale nie jest niebezpiecznym rywalem, rad z żą-

dania, pochwycił go pod rękę i przecisnął się z nim do panny cześnikówny.

Zaledwie go przedstawiwszy, chciał mu dać zupełną swobodę i wysunął się. Cześnikówna piękne oczy zwróciła z dziecinną śmiałością na Brühla.

— Pani sobie zapewne nie możesz mnie przypomnieć — rzekł starosta, kłaniając się — a ja — nie jest to komplementem, ale największą prawdą — ja od pierwszego spotkania z nią do dnia dzisiejszego jej obraz miałem w pamięci i na pierwsze wejrzenie ją poznałem! Czy przypomnisz sobie pani tego chłopaka, co ją w dniu... wstąpienia na starostwo w śliczną rączkę pocałował?

Cześnikówna słuchała, wciąż się uśmiechając, zarumieniła się, pobladła, zmieszała trochę, odzyskała zaraz dziecięcą swobodę i spokój, i odpowiedziała głosem srebrzystym:

— Hrabia się pewnie mniej zmieniłeś ode mnie... ja także poznałam go... zaraz...

— Czyni mnie to bardzo szczęśliwym... — zawołał Brühl — nad wyraz szczęśliwym... Nie wiem, czy wrażenia tych lat tak są trwałe, czy jakiś dziwny urok rzuciłaś pani na mnie.

Śmiechem przerwała mu cześnikówna, i niewinnie, jak wówczas, kiedy miała główkę całą w pukle ustrojoną, popatrzała mu w oczy.

— Pan jesteś pochlebca — rzekła.

— Pozwolisz pani, ażebym ją kuzynką nazywał, od jutra będę miał do tego prawo — począł Brühl, nie zważając, że się nań zwracają oczy — i bądźmy dobrymi przyjaciołmi, proszę o to...

Mój przyjaciel Sołłohub dał mi polecenia do pani, lecz spodziewam się innym razem się z nich wywiązać...

Usłyszawszy nazwisko generałowicza, panna cześnikówna, nic a nic nie zmieszana, rozśmiała się, spojrzała w tę stronę, gdzie stał, potem na chusteczkę, którą w ręku trzymała, spuściła oczy, podniosła je... i zdawała się mówić, że odgaduje polecenia, ale one ją niewiele obchodzą. Miała coś w sobie dziecięcego, naiwnego, śmiałego razem i skromnego.

— Generałowicz szczyci się jego przyjaźnią... — odezwała się po cichu.

— Wolnoż mi spytać, czy umiał sobie także życzliwość pięknej kuzynki pozyskać?

Cześnikówna niby się trochę namyślała, i cicho szepnęła:

— Pan hrabia wiesz, że nam bez pozwolenia starszych nie wolno życzliwością rozporządzać...

Trochę żartobliwości smutnej było w tych słowach, które o uczuciu nie świadczyły.

Starosta tak się zajął druchną, iż o narzeczonej zapomniał. Mniszech, którego minister wykomenderował, szepnął mu coś w tej chwili na ucho i, wziąwszy go pod rękę powoli, z zaczarowanego koła wyprowadził. Oczyma pożegnał Brühl piękną cześnikównę, zmuszony będąc odejść.

— Mój drogi — szepnął mu szwagier — wszyscy uważają, że jesteś do zbytku grzeczny w wigilię wesela dla pięknej kuzynki. Wojewodziny oczy zaczęły świecić złowrogo, musiałem cię odciągnąć. Na Boga... odłóż to na potem...

Zaledwie marszałek go porzucił, nadbiegł Sołłohub.

— A co? — zapytał.

— Nic! zaledwiem począł rozmowę, kazano mi iść precz... — odparł Brühl.

— Nie jest-że to bóstwo?! — krzyknął generałowicz.

Starosta nie umiał odpowiedzieć, czuł może aż nadto urok, co je otaczał.

Nikt nie uważał, że za odchodzącym Brühlem dwoje ślicznych oczu poszło, goniąc tęsknie, nie wstydząc się wcale tej pogoni... i nie czując, aby ona za złe mogła być wzięta.

Cześnikówna, która już od dni kilku bawiła w Krystynopolu i miała czas bliżej się zapoznać z wojewodzianką, zbliżyła się później ku niej. Piękna narzeczona, jak nieprzytomna, stała wśród tego tłumu.

— Mówiłam tylko co z twoim przyszłym, kochana Maryo — odezwała się cześnikówna — wiesz... to bardzo miły człowiek... a myśmy z nim bardzo dawno, dawno znajomi...

I po cichu, żywo, śmiejąc się, poczęła opowiadać swoje spotkanie na warszawskim zamku. Pamiętała i o tem, bo jej to powtarzano, że naówczas ktoś sobie żart zrobił i swatał ją panu staroście, ale się do tego nie przyznała. Pomyślała tylko, iż dziwnie, dziwnie imię i nazwisko zgadł ten prorok szyderca... Wojewodzianka słuchała zimno, obojętnie, oczyma oślepłemi wodząc po sali...

Odstąpiły trochę na bok.

— Ty taka jesteś smutna i zmęczona — szczebiotało dziewczę. — Prawda! że ten ślub, to straszna zawsze rzecz... ale twój Brühl ma tak dobrą, łagodną, miłą twarz, że — jabym się go nie obawiała, i ty nie powinnaś!

Smutny uśmieszek przebiegł po ustach wojewodzianki, która sobie przypomniała rozmowę u stołu.

— Nie dziw się mi — rzekła. — Dla ciebie to człowiek obcy, z którym zaledwie kilka słów przemówisz

w życiu, a dla mnie to pan i władca, którego mam być niewolnicą.

— Ale nigdy niewolnicą! — oburzyła się cześnikówna. — Co za myśl, moja droga! poddawać się nie trzeba, a potem... jeśli się kochać będziecie... czyż zaciąży niewola?

Wojewodzianka obejrzała się, jakby lękając, aby ich nie podsłuchano, gorzki uśmiech blade jej usta ściągnął.

— A jeśli się kochać nie potrafimy? — szepnęła.

— A! toby było bardzo smutno! — opierając główkę na ramieniu narzeczonej, odezwała się cześnikówna. — Jak ci się zdaje?

Popatrzały na siebie.

— Bóg jeden wie!

— A serce twoje?

Marya spuściła oczy.

Muzyka, która się w tej chwili odezwała na galeryi, zwiastowała pochód do wieczerzy, pary już się wiązały. Brühl nadbiegł podać rękę narzeczonej. Cześnikówna ciekawie oczy w niego wlepiła, gdy jej towarzyszkę posłuszną i zrezygnowaną odprowadzał.

Jej, zamiast Sołłohuba, któremu kazano prowadzić jakąś kasztelanową, z powodu, iż ona, jak jego matka, z domu była Radziwiłłówną, dostał się mały kuzynek Potocki, i znikli w wirze idących do stołów.

Nie będziemy opisywali obrzędów ani dziewiczego wieczoru, ani nawet pańskiego wesela, które odpowiedziało zapowiedzionej wystawie i było — królewskie... Kawał drogi, którą szli państwo młodzi z orszakiem do kościoła, kazał pan wojewoda wysłać suknem ponsowem szeroko. Dzień był mroźny i słoneczny, wąsy marzły szlachcie i dłonie do szabel przylegały, ale nikt dotkli-

wego nie czuł zimna, tak wszystkim w duszy ciepło było.

Brzmiała muzyka, śmigownice i moździerze zwiastowały światu gaudium magnum, rzucano ubóstwu srebrne pieniędze, winszowały gromady, niosły podarki kahały, a wojewoda w poczuciu swej potęgi, marzył o daleko większej jeszcze, która dlań była dostępną...

Ktoby był zajrzał w duszę jego — znalazłby na dnie jej koronę, tak samo, jak w marzeniach familii stała ona za cel wszystkich zabiegów.

Z tryumfalnym marszem po błogosławieństwie JMci księdza Wołłowicza, któremu na pamiątkę ofiarowano krzyż kosztowny i pierścień — wrócili do pałacu, którego ganek, sień i przedpokoje, mimo zimy, zasłano kwiatami, aby młodemu małżeństwu drogę przyszłego życia ukwiecić.

Tłumy zaproszonych zapełniły sale i pokoje. Wielu z nich ledwie raz w życiu widziało gospodarstwo i wcale ich poznać nie mogli, witali na los szczęścia, szlachta schylała się do kolan pana wojewody i odchodziła uszczęśliwiona, gdy magnat rzucił dobre słowo.

Mówiono o księciu kanclerzu i bracie jego, że niemal całej Rzeczypospolitej familie i ich koligacye znali na pamięć, że pamiętali twarze tak, iż nigdy, mnogich panów braci przyjmując, nie wzięli Dowejki za Domejkę, a o jednym z nich, że, niby serdecznie przyciskając do piersi braci w liberum veto, psuł im nosy i policzki, umyślnie je trąc o ostre guziki fraka. Pan wojewoda wcale zwyczaju tego nie miał i popularności w ten sposób nie szukał. Dumniejszy daleko, skarbił sobie przyjaciół protekcyą, ale ich trzymał w przyzwoitej odległości, i gdy mu się do kolan schylali, ledwie głową kiwnąć raczył.

Wśród tej ciżby pan podkomorzy Laskowski znalazł się insperate ze skarbnikiem Zagłobą razem.

— Pan Jezus przy dziecięciu! — zawołał podkomorzy — a asindziej co tu robisz?

— Hm! — szepnął skarbnik — zaszczycono mnie inwitacyą, trudnoż było odmówić? Odbyłem piękną podróż dobrą sanną, i ot mam przyjemność podkomorzego uścisnąć. To mi stanie za wiele.

Ręce sobie podali.

— Ja też — odezwał się Laskowski — zaproszony zostałem, a że z mojego powiatu nikt jechać nie mógł, jako podkomorzy przybyłem reprezentować go. Co asindziej na to mówisz?

— Co mam rzec? Wystąpił pan wojewoda, że go już nikt nie zakasuje, ale... (tu chrząknął i do ucha się pochylił Laskowskiemu) panna młoda jakby z krzyża zdjęta, a pan młody jakby nie do ołtarza na gody i do Sakramentu, ale w kręgle szedł grać... tak sobie lekko poczyna. Szkoda mi biednej wojewodzianki, którą nam ten Niemczyk konfiskuje. A no!!...

I usta sobie zatkał palcami.

— Mnie się widzi — dodał po chwili, że to nie wesele, ale obóz sposobiący się do wojny...

Laskowski się uśmiechnął.

— Żeby nie było co podobnego, jak pod Olkiennikami — rzekł — w takim razie my, co tu marcypany pana młodego jeść będziemy, musimy stanąć po jego stronie! hę?

— Jam stary — rzekł skarbnik — nie moja rzecz.

— Ja też — dorzucił Laskowski — ale młodzi będą mieli co robić...

Jednak — rozśmiał się, obejrzawszy — pamiętasz asindziej, gdyśmy razem stali czasu wjazdu na staro-

stwo? Dobry z waćpana prorok—swatałeś mu Maryę Potocką... przypominasz sobie, a los dopisał i dał mu... choć inną, ale tego samego imienia i nazwiska...

To mówiąc, wskazał skarbnikowi, gdzie między druchnami jaśniejąca pięknością dziewiczą stała w bieli, w kwiatach i brylantach, śliczna cześnikówna.

— A oto ta... o której mowa!

Popatrzali.

— Ponoby ją Brühl wolał od wojewodzianki — rzekł skarbnik — ale taby mu miliona nie wniosła.

— Mospanie — mrugając, rzekł Laskowski — jej oczy więcej niż dwa miliony warte!!

Rozmaite postrzeżenia czyniono tak dokoła, a wszyscy niemal z zajęciem spoglądali na bladą narzeczoną, która, mimo zabarwionego rumieńca z rozkazu matki, wyglądała smutnie.

Gniewało to panią wojewodzinę, lecz już nie czas było córkę strofować, gdy dom miała rodzicielski opuścić. Stary Brühl, dostrzegłszy w synowej tych oznak trwogi i cierpienia, poszedł sam zabawiać ją rozmową, lecz mimo całej swej zręczności i galanteryi, nie mógł na niej wymódz nad kilka słów, w których niewiele było związku. Wojewodzina, postrzegłszy tę jego wyprawę i odgadłszy jej cel, czatowała nań w powrocie, aby wrażenie, jakiego mógł doznać, naprawić.

Stało się wedle jej woli, minister po krótkiej rozmowie cofnął się i znalazł na drodze wojewodzinę.

— Marynia niebardzo jest dziś zdrowa—szepnęła mu na ucho — trudno biednemu dziecku, co się nigdy w życiu od naszego boku nie oddalało, pogodzić się z myślą rozstania. Nieśmiała jest bardzo. Wszystko to, da Bóg, przejdzie...

— Ani wątpię — odparł Brühl, całując w rękę

panią wojewodzinę — będziemy się starali obaj z synem, aby kochanej synowej życie jak najprzyjemniejszem uczynić. Spodziewam się, że dwór, zabawy, świat...

— A! panie ministrze — rzekła pani Anna — najprzód do nich jeszcze musi nawyknąć, ale że do dobrego łatwo się przyzwyczaja... Marynia porzuci tę nieśmiałość dziecięcą... bo to jeszcze dziś dziecko...

— Mój syn — dodał minister — nie pochlebiając mu, ma charakter tak zgodny i miły, iż nie wątpię, że sobie wkrótce serce małżonki pozyskać potrafi.

— To już ma, już ma! — z przyciskiem odezwała się wojewodzina. — Marynia zna swe obowiązki, wychowana bogobojnie.

Rozmowę ktoś przerwał, i na tem się ona skończyła. Wojewodzianka do tego dnia przygotowana byłą, z myślą małżeństwa miała się czas oswoić, a bladość i pomieszanie spowodowane były wypadkiem, którego nikt się nawet domyślać nie mógł.

Gdy pochód uroczysty z pałacu do kościoła się rozpoczął, że niezmierny tłum ludzi z kluczów sąsiednich i z dalszych dóbr Potockich, z Tartakowa, Waręża, Łaszczowa, Witkowa, zalegał dziedzińce i miasteczko — musiano, strzegąc nacisku ciekawych, wzdłuż suknem wysłanej drogi ustawić piechotę wojewodzińską, służbę, dworzan, a nawet i dwory niektórych panów przybyłych gromadnie na wesele. Murem więc ponad drogą stała ta straż, gdy państwo młodzi przy odgłosach marszu powoli postępowali do kościoła.

Na pół drogi od pałacu, wojewodzianka, idąc ze spuszczonemi oczyma, postrzegła u nóg jej padający bukiet róż białą wstążką związany, mimowolnie wejrzenie jej podniosło się... i ze łzami ujrzała tuż stojącego Godziembę w stroju paradnym, z głową gołą i czapką

w górę podniesioną. Blady był jak trup. Panna Marya zadrżała... drużki sądziły, że o sukno zawadziła stopą, podtrzymano ją i szli... dalej... Nikt nie dostrzegł zbiega, który się tak zuchwale, korzystając z zamieszania, zjawił w Krystynopolu, jakby urągając władzy pana wojewody. Dopiero, gdy po ślubie znowu wracali państwo młodzi, a starosta Zawidecki wśród nacisku przed niemi porządek robił, idąc, natrafił nagle na Godziembę. Nie miał czasu ani słowa rzec, ani coś przedsięwziąć — języka, jak mówią, w ustach zapomniał, zmieszał się. W głowie mu się pomieścić nie mogło zuchwalstwo człowieka, który śmiał prezentować się po takiej ucieczce... na dworze pana... Właściwie ciężył na nim dekret, skazujący go na kobierzec i więzienie! Obowiązkiem było starosty natychmiast go pochwycić i zamknąć.

Zadrżał na myśl, iż stojącego nade drogą mógł zobaczyć wojewoda, który w gniewie nagłym hamować się nie umiał, choćby nań tysiące oczu patrzało. Poczciwy marszałek rad był szalonego młokosa ocalić — byłby utaił, że go widział, ale tu, gdzie go znali wszyscy, poznali zaraz dawni towarzysze, i szmer się wszczął po przejściu orszaku między nimi.

Powtarzano imię Godziemby... szukano go oczyma, podawano sobie z ust do ust osobliwą nowinę.

— Głowa mu na karku świerzbi! — wołał Złotnicki — dosyć, aby kto słowo pisnął wojewodzie, żadna moc go nie ocali... zgubiony człowiek.

— Szalona pałka! — mówił Dzbański, szukając oczyma naokół — niechby go kto poczciwy ostrzegł, aby uchodził póki cały, korzystając z tego, że tu dziś wszystko wre.

— Na miłość bożą, niech mu kto powie!

— Waryat! — mruczeli inni.

Właśnie w ganku między dworzanami i służbą była mowa o tem, gdy wolno od kościoła idący zjawił się Godziemba, jak gdyby był w domu i najbezpieczniejszy w świecie. Czapka na bakier, ręka za pasem, ubrany wytwornie... nie zdawał się ani wiedzieć o tem, że mu ziemia pod stopami gorzała. Starosta Zawidecki, który biegł właśnie rozdawać rozkazy artyleryi, kiedy na jaki sygnał z moździerzy palić mają, oko w oko zetknął się z Godziembą i w pierwszym impecie rękę podniósł, jakby go za kołnierz chciał chwycić.

— Życie ci niemiłe! — krzyknął — co waćpan tu robisz?!

Godziemba cofnął się krok i rękę do szabli przyłożył.

— Co waćpanu, panie starosto? albom to ja poddany wojewody, co mu zbiegł z gruntu? Szlachcic jestem, nie przymierzając, jak i on, podziękowałem za służbę, wziąłem inną i z dworem moim tu przybyłem!

— Z jakim u licha dworem? Myślisz, że wojewoda ceremonie z waścią albo z jego protektorem czynić będzie? Co ci się śni!...

A cicho dodał, nagląc:

— Zmykaj, człowiecze! mówi[c] ci... zmykaj, pókiś cały...

Godziemba ramionami ruszył.

— Ani myślę — rzekł.

Wszyscy się skupili, okrążając go dokoła.

— Z kimże u dyaska przybyłeś? — zapytał się starosta.

— Z panem starostą warszawskim, do którego dworu mam zaszczyt się liczyć.

— Licho cię tu przyniosło! — mruknął marszałek — wolałbyś był w Młocinach zostać. Widzieli cię wszy-

scy, jak nie zamelduję o was wojewodzie, na mnie potem gniew wywrze; pij-że sobie piwo, jakiegoś nagotował.

— A pewnie! pewnie! — odezwał się obojętnie Godziemba, obie ręce kładąc za pas.

I z najzimniejszą krwią został z innymi w ganku.

Ponieważ do wojewody dnia tego dostąpić nie było podobna, starosta Zawidecki też nie chciał śpieszyć z raportem, któryby gody pomieszał, nikt zaś Godziemby tknąć się nie ważył, śmiały chłopak pozostał swobodnym. Zdawało się wszakże, jakby biedy szukał i jej się napraszał. Z dworzany rozmawiając, z ganku wszedł do przestronnej ogrzanej sieni, w której się ciągle służba i panowie przewijali. Wojewoda niejeden raz wśród dnia, sam wydając rozkazy, musiał wychodzić.

Już czas obiadowy się zbliżał, gdy w chwili, kiedy go się najmniej spodziewano, wyszedł wojewoda, szukając Mniszcha, który był na chwilę z sali się wymknął, a tam go Brühl zapotrzebował. Przebiegając oczyma zgromadzonych, wojewoda zobaczył i poznał Godziembę. Zdało mu się zrazu, że się omylił, jakkolwiek czasu miał mało, szybko ku niemu przystąpił, a widząc, że go oczy nie zwiodły, zmarszczył brwi.

— Co ty tu robisz? — krzyknął gniewnie — ty łotrze niewdzięczny... ty!...

— Przybyłem z dworem pana starosty warszawskiego, do którego należę — odparł śmiało Godziemba. — Łotrem nie jestem... Nie uciekałem, alem, za służbę podziękowawszy, odszedł. Szlachcic jestem, nie poddany.

Wojewodzie usta zadrżały, dziki uśmiech je ściągnął, oczy błysły, ręką miał dać znak jakiś, i wstrzymał się, popatrzał na Godziembę długo.

— Masz szczęście, trutniu, że dziś taki dzień. Precz mi z oczu, precz mi z oczu!

Dłoń wojewody drżała. Godziemba zwolna skłonił mu się i, wcale nie śpiesząc, odszedł ku drzwiom, a oczy Potockiego ścigały go do progu. Przez tę króciuchną chwilę wojewodzie w ustach i gardle zaschło... otarł czoło ręką — i pierwszego, jakiego spostrzegł, dworzanina wysłał po starostę Zawideckiego.

Historya rozgłosiła się zaraz i rozniosła od ust do ust, spodziewano się okropnej zemsty jakiejś, ale dzień upłynął, a Godziembie włos nie spadł z głowy.

Bebuś, który na tę uroczystość przepysznie został wystrojony i razem z Bebą na usługach wojewodziny był ciągle, korzystał z dawanych mu rozkazów, aby czynić wycieczki ku rozmaitym częściom pałacu, w zwyczajnych dniach mu niedostępnym. Parę razy wdarł się do panien do garderoby, pozwalając sobie żartów nieprzyzwoitych, kilkakroć zawitał do piwniczego i butelek, pełną kieszeń nałapał cukrów ze stołu, w ostatku na ganek się wyrwał i tu posłyszał, gdy o Godziembie sobie rozpowiadano. Schwytawszy tak doskonałą plotkę, powrócił z nią co najprędzej za krzesło wojewodziny, czatując na chwilę, gdy jej będzie mógł to podać do ucha. Dopatrzył wreszcie wolnego momentu i szepnął, że Godziemba był we dworze i postawił się ostro panu wojewodzie.

Wojewodzina była jeszcze surowszą od męża, z siebie więc sądząc, nie wątpiła, iż katastrofa nastąpi, której tego dnia rada była uniknąć. Gdy potem po raz pierwszy zbliżył się do niej mąż, odwiodła go na bok.

— Zjawił się, słyszę, Godziemba — szepnęła mu na ucho — czyście go już kazali zamknąć?

— Nie — odparł wojewoda — zmitygowałem się. Chwalił mi się, że do dworu Brühlów należy, to mi wszystko jedno. Dziś frej, nie przystoi mi tego dnia truć.

Jutro go wezmą i w kajdankach do Niemirowa zawiozą.

Wojewodzina nie odpowiedziała nic. Bebuś, który był za krzesełkiem ukryty, słyszał wszystko i uradował się niezmiernie.

W tej chwili kapela huknęła, i wojewoda pośpieszył, gdzie go obowiązki powoływały.

X.

Już było dobrze z północy, gdy państwa młodych, wedle obyczaju polskiego, uroczyście do ich apartamentów odprowadzono. Tu, w salce do niego przypierającej, Brühlowie przygotowali cukrowe gody dla łaskawych gości. Wojewoda występował po królewsku, minister też nie chciał się dać zaćmić, choć ta wieczerza nie dozwalała mu tak się okazać z bogactwem swem i przepychem, jakby był życzył sobie.

Od kilku dni służba pana ministra miała salę pod swym kluczem, przybyłe wozy wyładowywano, a przystrojenie odbywało się tak tajemnie, iż najciekawsi, do których Bebuś się liczył, przez dziurki od klucza tylko dopatrzyć mogli, iż się tam pilnie krzątano. Słychać było stukanie, stąpanie, brzęk. Wnoszono pudła, kufry i kosze, ale przed przyjęciem państwa młodych z miejscowych nie dopuszczono nikogo. Zbywano się natrętów bardzo grzecznie, ale bardzo stanowczo, składając się rozkazami jego ekscelencyi.

Gdy nareszcie na dany znak otwarły się drzwi salki, ujrzano coś jakby z tysiąca nocy wydarty obrazek. Całe ściany salki wybite były świeżych farb gobelinami, przed-

stawiającymi w wieńcach kwiatów girlandy aniołów i obrazy mitologiczne. Jedną ścianę całą zajmował kredens, od stropu do posadzki lśniący nagromadzonemi naczyniami złocistemi, półmiskami i misami ogromnemi jak tarcze, dzbanami, roztruchanami, beczkami. Konew złocista, w której butle stały, podparta na dwóch smokach, zdawała się z nimi razem na straży tego skarbca ustawioną. Z obu jej stron dwa stoły, całe kute ze srebra, przedziwnej roboty kielichami różnych rozmiarów i barw zastawione były. Nie tyle tu kruszec oczy ściągał, co misterna robota, która daleko cenę jego przewyższała.

Całą posadzkę miękkimi wysłano dywanami. Po rogach w wielkich kandelabrach bronzowych płonęły świece, piramidami piętrzące się do góry. Porcelanowy pająk nad stołem lśnił także i światłem jarzącem i kolorami świeżymi swych kwiatów. Z pośrodka ich wychylone amorki zdawały się róże i lilie ciskać na głowy gości.

Stół wielki, który się ciągnął przez całą salę, pięknością zastawy wszystkie te przewyższał cuda. Środkiem jego w wazonach olbrzymich, ustawiono żywe kwiaty, trudne do rozróżnienia od porcelanowych ich rywalów. Z obu ich stron na zwierciadłach rzędami nimfy i amory, pobrawszy się za ręce, przeglądały z za kryształowych kielichów. Całe nakrycie stołu, talerzyki, noże, łyżki, widelce były złote.

Na misach, w koszach z porcelany i srebra stosy cukrów i owoców włoskich, smażonych i świeżych, nęciły oczy, a gdy ucichła kapela, która państwa młodych przeprowadzała, wśród chwilowego uciszenia, niewidzialna, jakby z niebios muzyka, cicha, łagodna, melodyjna, dała się słyszeć zdumionym gościom, którzy ani instrumentów, ani grających na nich, ani miejsca, skąd płynęły te dźwięki, odgadnąć nie umieli.

Czarodziejski ten chór stłumiony, niby daleki, oczarował gości. Zamilkli wszyscy, słuchając.

Hymn jakiś uroczysty brzmiał, jakby z za jedwabnych wychodząc opon, które ściany okrywały. Niekiedy cichnął, niby się oddalając i ginąc, to znowu zbliżał się, podnosił, wzmacniał, aż nareszcie... skonał w niedosłyszanem westchnieniu...

Natenczas Brühlowie naprzód państwo województwo oboje, potem dostojniejszych gości do stołu zapraszać zaczęli. Kielichy już były nalane, pili więc, kto się tu potrafił docisnąć, bo ledwie cząstka gości mogła miejsce znaleźć, zdrowie młodych państwa. Tymczasem biskup Wołłowicz szedł poświęcić pokoje i łoże...

Szturm przypuszczono do stołów, w mgnieniu oka je opróżnił, i natychmiast napełniły się jakby czarodziejsko nowemi misami, nowymi cukry i słodyczami. Jedni wychodzili, wchodzili z kolei drudzy, tymczasem u drzwi klęcząc państwo młodzi powtórnie wzięli błogosławieństwo rodziców i drzwi się za nimi zamknęły.

Wojewodzianka, osłabła niemal ze znużenia, wprost poszła do klęcznika, który stał w jej pokoju. Na nim, przy starożytnym obrazie N. Panny Częstochowskiej, paliły się świece, leżała wspaniale oprawna księga. Padła przed nim na kolana, głowę złożyła na rękach złamanych i tak pozostała nieruchomą. Brühl cofnął się do drugiego pokoju i spokojnie usiadł na krześle. Zegar na kominie wskazywał pierwszą po północy godzinę. Zdala słychać było niekiedy huczniejsze tony pałacowej kapeli i okrzyki szlachty, spełniającej zdrowia wojewody i dygnitarzy.

Cisza tych kilku komnat, mrok, który w nich panował, odbijały smutno jakoś od wrzawy, która dochodziła zdala i miała w sobie coś dzikiego niemal.

Z krzesła, na którem usiadł Brühl, przez drzwi otwarte widać było tę kobietę w bieli, w wieńcu, z pochyloną głową, nieruchomą, jak marmurowy posąg na grobowcu. Pół godziny upłynęło w oczekiwaniu—wojewodzianka nie drgnęła nawet. Starosta wstał i przeszedł się po sypialni. Na twarzy jego malowało się najdobitniej — znudzenie... Ziewał niekiedy, zasłaniając się ręką, zdawał się czekać niecierpliwie, jak się skończy, i żadne inne uczucie nie rozpłomieniło mu twarzy.

Spojrzenie na zegar, którego skazówki żółwim krokiem zbliżały się ku drugiej godzinie, zdało go się nareszcie natchnąć jakiemś postanowieniem i odwagą.

Zwolna przestąpił próg pokoju żony, zbliżył się do klęcznika i, popatrzywszy na nią chwilę, odezwał się głosem stłumionym:

— Proszę mi przebaczyć, że przerwę modlitwę...

Wojewodzianka zwolna podniosła twarz bladą, po której ciekły dwa łez strumienie... Brühl, który już chciał mówić, wstrzymał się. Litość odmalowała się na twarzy i zafrasowanie razem.

— Godzina bardzo spóźniona — rzekł — pani-by należało odpocząć, ja pójdę do mojego pokoju — wskazał na drzwi garderoby. — Mógłbym zadzwonić na służącą.

Widząc, że Marya drżała ciągle, dodał głosem pełnym łagodności:

— Niech się pani uspokoi, proszę mi wierzyć, nie jestem ani złym, ani grubiańskim, ani natrętnym... Pani jesteś zupełnie swobodną, a moje prawa ograniczają się do służenia jej i, jeśli podobna, osłodzenia losu, z którym, niestety! przejednać się potrzeba. Pani jesteś okrutnie zmęczona? Nieprawdaż? Potrzebujesz spoczynku?

Marya nie odpowiadała nic.

Brühl, widząc, że się chwiała, chwytając za klęcznik, podał jej rękę i podprowadził do krzesła, na które, jak złamana, upadła.

Jakiś czas patrzał na nią; westchnął.

— Chciałem pomówić, uspokoić, ale dziś nawet najłagodniejsze wyrazy byłyby barbarzyństwem. Zadzwonię na służącą i dam pani dobranoc...

To mówiąc, oczyma szukał dzwonka, którego nie było, poszedł do drzwi, przez które wyjrzał. Przedpokój był pusty. W drugim dopiero dwie garderobiane, wsparte na stole, szeptały z sobą. Dał im znak i sam zniknął. Przechodząc około żony, wziął ją za zwieszoną rękę, pocałował i szybko usunął się do swojego pokoju.

Tu także nie zastał nikogo.

W drugim spało dwóch lokajów. Popatrzał na nich, nie budząc, świece ustawił bezpieczniej i wrócił do gabinetu, w którym szeroka sofa za wygodne stała łoże.

Przez dni kilka trwały uroczystości weselne, ale trzeciego już część gości rozjeżdżać się zaczęła. Państwo młodzi przysposabiali się do drogi. Z wielką pociechą wojewodziny, niepokój i trwoga młodej starościny, tak widoczne dni pierwszych, zwolna jakoś ustępowały. Nie była wesołą, ale zdawała się przytomniejszą — spokojną. Brühl pozostał jak był chłodnym, uprzejmym dla wszystkich, w potrzebie wesołym, ale, gdy konieczność ta ustąpiła — poważnym chętnie i nieco zamyślonym.

Trzeciego dnia, gdy już mniej nieco gości pozostało w Krystynopolu, a generałowicz Sołłohub ciągle jeszcze dosiadywał, nie chcąc z oczu stracić ubóstwianej cześnikówny, napadł znowu przyjaciela Brühla, aby za nim przemawiał.

Starosta dosyć kwaśno przyjął zrazu żądanie.

— Mało znam cześnikównę — rzekł — moje słowo

wcale u niej ważyć nie będzie. Co ci w głowie? Uproś swoją krewną Radziwiłłównę... koligatów... starszych zresztą i poważniejszych ode mnie, ja ci się na nic nie przydam.

— Przepraszam cię — przerwał Sołłohub. — W tej chwili, kiedy ty jesteś cały swem szczęściem zajęty...

Tu Brühl nieznacznie ruszeniem ramion mu odpowiedział.

— Jabym cię nie nudził tem — ciągnął dalej generałowicz — ale mam powody, dla których to czynię. Wczoraj jakoś, korzystając z zamętu, udało mi się przysunąć do panny i zawiązać rozmowę. Chwaliłem się jej twoją przyjaźnią... mówiliśmy o tobie... powiedziała, że takiego, jak ty, przyjaciela zazdrości. Dziewczę takie szczere i naiwne, nie mogło ciebie się nachwalić. Masz u niej łaski...

— A daj-że mi pokój — przerwał niecierpliwie Brühl.

— Użyj ich na korzyść swoją!

I Sołłohub począł go ściskać, a nareszcie, ująwszy pod rękę, zaprowadził do cześnikówny i przy niej go posadził. Dziewczę się zarumieniło z radości, nie kryjąc z nią, uśmiechnęło się wdzięcznie.

— Tego szczęścia się nie spodziewałam, ażeby pan starosta chciał się nudzić ze mną. Ale to poświęcenie dla przyjaciela...

Sołłohub był odszedł. Brühl siedział jak na torturach. Przez te trzy dni patrząc na cześnikównę, rozkochał się w niej na zabój. Miłość owa dla ideału, która lat tyle rosła w duszy powoli, teraz, za zbliżeniem się do niego, rozpłomieniła się, paliła go, jak szata Nessusa. Obawiał się z nią zdradzić, a niewinne dziewczę, nie wiedząc o tem, czując tylko instynktowo w jego duszy ży-

czliwość i sympatyę, narzucało mu się wejrzeniami i całym wdziękiem, którego nie znało potęgi.

— Wie pani, że to rzeczywiście poświęcenie — rzekł Brühl, odważając się wreszcie spojrzeć jej w oczy i prędko odwracając wzrok — a! tak jest, to poświęcenie rzeczywiste przemawiać za kimś... tam, gdzie tylko za sobą mówić bierze pokusa.

Cześnikówna niby czy doprawdy nie zrozumiała, podniosła niebieskie źrenice i jak w tęczę spojrzała na niego.

— Pani mnie nawet zrozumieć nie możesz, pani nie znasz tego do siebie, iż jesteś niebezpieczną istotą... a Sołłohub nieroztropny prawdziwie, że mnie na ogień tych ślicznych jej oczu naraża!

Rumieniec wystąpił na twarz panny cześnikówny.

— Że też panowie z tego wielkiego świata nie możecie się zbliżyć do nas, żebyście nam nie prawili tych komplementów! — Westchnęła. — Doprawdy, mnie się zdawało, że pan starosta musisz być szczerszym i prawdziwszym. O tych oczach i o ich potędze słyszę ciągle... to tak nudne!...

Uśmiechnął się Brühl.

— Daruj-że mi pani — rzekł — ale zaklinam się na wszystko, co mi najdroższe... mówiłem prawdę; czułem, co mówiłem! powiedziałem to mimowoli, choć mi nie wolno... i choć pani gniewać się możesz...

— Gniewać się? ale nie... tylko wolałabym mówić i słyszeć co innego. Słyszałam, że pan starosta tyle rzeczy umiesz... masz tyle dowcipu... a dla mnie przynosisz ten chleb powszedni, który dają ubogim...

Starosta, słysząc te słowa, zamyślił się smutnie.

— A! pani, gdybyś wiedziała, jak jesteś bogatą — rzekł, jakby mimowolnie się unosząc. — Ale—milczę! Cóż mam mówić za Sołłohubem?

— Mówmy o czem innem — spuściwszy oczy, odezwała się cześnikówna.

— Dałem mu słowo, że sprawę jego u pani będę popierał. Niestety! — rzekł Brühl z zapałem — nie potrafię dotrzymać obietnicy... Gdyby to nie było szaleństwem i zbrodnią, powiedziałbym pani: ani Sołłohuba, ani nikogo w świecie!! Popatrzawszy na panią dwa dni, człowiek staje się wściekle zazdrosnym.

Znowu cześnikówna zdawała się nie rozumieć, spuściła oczy, ale się nie pogniewała, a po chwili szepnęła:

— Po drugich dwóch dniach i zazdrość i pamięć... odchodzi!

— Omyliłem się — poprawił Brühl — ja lat dziesięć nieustannie na nią patrzałem...

Oczy cześnikówny podniosły się.

— Tak jest, pani, od tej chwili jakeś pani podała mi rączkę do pocałowania na warszawskim zamku... miałem ją ciągle przed oczyma, aż do tych dni... Rosłaś pani w mych myślach... patrzałem, jakeś rozkwitała... Cóż dziwnego, że taka stara... — tu wyrazu zabrakło — że taki stary...— poprawił się, zmieszał—że jednem słowem, jestem zazdrosny...

Nastąpiło milczenie.

— Ale przyjaźń, panie starosto — odpowiedziała zwolna panna Potocka — wszak przyjaźń zazdrosną być ani powinna, ani może...

I oczyma zmierzywszy go, dziwnie potrząsała śliczną główką, a loczki, co ją otaczały, kołysały się na ramionach, i każdy z nich zdawał uczucia swej pani podzielać i wyrażać. Mówiły wszystkie Brühlowi: Czyż się to godzi być takim bałamutem?...

Widząc, że się na nich oczy zwracają, Brühl chciał już wstać.

— Muszę panią pożegnać — szepnął cicho — choć radbym, aby mnie do tego krzesła przykuto. Ja ludziom zazdroszczę ale widzę, że oni mnie też strasznemi mierzą oczyma. Sołłohub zabija wejrzeniem.... Sołtyk... zastrzeliłby mnie, gdyby mógł i umiał... nie wiem, ilu posiekałoby mnie na kawałki... Odchodzę... ale — ponieważ dałem słowo przyjacielowi, wstawiam się za generałowiczem... bądź pani na niego łaskawą!

Brühl wstał z krzesła.

— Usiądź pan na chwilę — odezwała się cześnikówna. — Muszę się mu wyspowiadać. Jestem sierotą... nie mam matki, coby mnie spytała, kogo ja chcę i kogo wybieram... Opiekunowie mną rozporządzą, jak zechcą. Dziś, jutro, nie wiem, powiedzą mi: — Oto twój przyszły!—Wybiorą mi jak najlepiej podług siebie... ale... będę przyjąć musiała, co mi los narzuci... Cóż to pomoże Sołłohubowi, choćbym mu była życzliwą?...

Westchnęła cześnikówna.

— A serce pani? wolno spytać — rzekł Brühl zcicha — mówi ono za nim?

Potrzęsła główką i mocno się zarumieniła.

— Ani za nim, ani przeciw niemu... Serce moje... ja nie wiem... nie pytałam go o to... milczy.—A gdy oczy podniosła, była w nich jakby łez zasłonka przejrzysta, w których się umyło spojrzenie. Podała rączkę staroście... i umilkła. Alojzy odszedł trochę pijany, trochę zmieszany, tak, że gdy niecierpliwy Sołłohub przystąpił do niego badając, starosta nic mu na razie odpowiedzieć nie umiał.

— Mnie się zdaje — do ucha mu nareszcie wrzucił — że... ma dla ciebie szacunek! wiesz co to znaczy, ale więcej nic... Zdaje mi się też, iż serduszko jej nie wolne... kto tam zbada kobietę!

Rezolutnie bardzo generałowicz ręką rzucił.

— Wiesz co? — odezwał się — jam tak głupi, czy taki niepoczciwy przez to kochanie, że byle moją była... ja więcej nie chcę.

— A serce?

— Zdobędę... przekona się, pozna! zlituje! Powiesz, żem szalony, ale ja... ja bez niej żyć nie mogę...

Cóż było odpowiedzieć na to? Starosta z góry popatrzył na przyjaciela, uścisnął go i zmilczał.

Gdy się to działo, a dwaj starzy towarzysze rozmawiali z sobą, oczy panny Maryi ciągle ku nim były zwrócone, jak gdyby odgadnąć chciała, o co pytał Sołłohub i co mu starosta odpowiadał. Czy odgadła... ze spokojnej jej twarzyczki wyczytać było niepodobna.

Po kilku dniach pobytu w Krystynopolu, wyjazd państwa młodych do Warszawy i Młocin, gdzie zamieszkać mieli, został na piętnasty stycznia oznaczony. Tymczasem przodem szły przeprzęgi, furgony, dwór, wyprawa pani i fraucymer, jaki jej matka przydawała. Dumont płakała ciągle, nie mogąc się oswoić z tą myślą, że najdroższą utraci. Zbliżyła je do siebie jeszcze więcej, niż dawniej, wspólna obu tajemnica... Wojewodzianka miała w niej pocieszycielkę i powiernicę. Ona jej wytłómaczyła zniknięcie Godziemby i ona nazajutrz po ślubie szepnęła, że zuchwały chłopiec znalazł się najdziwniejszym sposobem na dworze jej męża, nie uląkłszy się z nim przybyć do Krystynopola. Naówczas przyznała się dopiero Marya przed madamą, że ona go w dzień ślubu, idąc do kościoła, widziała. Trwoga była wielka obu, ażeby go nie pochwycono. Dumont nie śmiała się dowiadywać, ażeby nie zwracać uwagi, nie wytrzymała wreszcie i trzeciego dnia, spotkawszy w korytarzu starostę Zawideckiego, zaczepiła go ostrożnie o Godziembę:

— Prawda to, że się w czasie wesela wrócił i śmiał stawić przed wojewodą?

Starosta, człek dobrego serca, ruszył tylko ramionami.

— Niestety! — rzekł — młodzieńcze zuchwalstwo nie zna granic.

— Cóż się z nim stało? — spytała Dumont.

Zmieszał się starosta widocznie.

— Prawdziwie nie wiem — szepnął, oglądając się — a raczej, powiedzieć nie mogę...

Ukłonił się i odszedł.

Odpowiedź starosty miała złe znaczenie, a choć tajemnica we dworze była ściśle zachowywana, najprzebieglejszy ze szpiegów, który wszędzie się wcisnąć i podsłuchać musiał, Bebuś, wiedział, że z rozkazu wojewody pochwycono Godziembę, i, jak powiedziano, wsadzono go tak, że więcej światła dziennego ujrzeć nie miał.

Dowiedziała się o tem madame, ale, nie chcąc przerażać Maryi, zmilczała o tem przed nią, zapewniając, że się mu ujść udało.

Państwo młodzi, po urcozystem pożegnaniu, przy którem popłakali się wszyscy, prócz ojca, bo ten łzy, choćby je miał na powiekach, ukrywał, aby się słabym nie okazać, wyruszyli z wielką kawalkatą i dworem do Młocin i Warszawy...

Pani starościna zbyt była rozżalona, opuszczając Krystynopol, siostry, brata, swoją jedyną przyjaciółkę Dumont — i całą przeszłość, której tu wspomnienia zostawały, aby boleć nad losem nieszczęśliwego Godziemby. Usłyszała tylko wypadkiem, że mąż jej dowiadywał się o dworzanina, którego polubił i który znikł mu w Krystynopolu. Nikt się nie zdawał domyślać, co się z nim stało; składano na jakąś płochość młodzieńczą, na

jakiś wybryk niesforny, na przypadek niedocieczony ujście nagłe Godziemby, spodziewając się jego powrotu.

Tymczasem biedny chłopak, który nie przypuszczał, ażeby swobodnego szlachcica z orszaku własnego zięcia wojewoda mógł kazać chwytać, a po pierwszem widzeniu się ze starym miał się już za ubezpieczonego, padł ofiarą swej nieopatrzności. Wojewoda nawykły był do ślepego posłuszeństwa od wszystkich, miał jednak ludzi, na których więcej niż na innych rachował. W staroście Zawideckim zawsze się domyślał zbyt miękkiego serca, i do spraw, w których więcej hartu było potrzeba, posługiwał się innymi.

Podkoniuszy Wilczek, a zwłaszcza niejaki Zarębski szczególnie się w takich razach odznaczał. Znał go wojewoda z tego, że go nic nie kosztowało choćby zamordować człowieka, byle rozkaz dostał. Gdy szło o plagi, o burdy — o wymiar ostrej sprawiedliwości, Zarębskiego wołano.

Człeczek był niewielki, od konia miał nogi wykoszlawione, barczysty, szeroki, brzuchaty, opój sławny i kostera... małomówny, ale do awantur śmiały mu się oczy. Temu wojewoda drugiego dnia przykazał, aby Godziembę wziął tak, aby hałasu z tego nie było. Zarębski, który go dobrze znał, wyszukał zaraz, nie spuścił z oka, zaprosił do siebie na warcaby, a zwabiwszy do izby, mając w pogotowiu dwóch drabów, związać kazał, zakneblować i zanieść do lochu pod wieżą na bramie... Godziemba się bronił mężnie, żołnierzy pozakrwawiał, sam dostał dwie rany, lecz w końcu go obalono i wzięto. Loch ten, do którego wrzucono go, służył tylko dla więźniów najciężej obwinionych. Był to karcer *in fundo*, bez okien, wilgotny, zamknięty na dwie kłódki żelazne. Chleb i wodę przez okienko stróż więźniowi podawał, które we

drzwiach na ten cel było zostawione. Można tam było zgnić zapomnianym, jeśli wojewoda nie spytał o więźnia.

Z izby, w której Zarębski pochwycił Godziembę, do lochu było przejście przez korytarz i podziemie, w których się tylko żołnierze kręcili. Tu, choćby kto spotkał prowadzonego, nie bardzo zwracał na to uwagę. Rzecz była w Krystynopolu nie nowa, a o tem, co się działo z rozkazu pana, mówić nie śmiano. Gdy miotającego się Godziembę niosły prawie na rękach wojewodzińskie ciury, żywej duszy nie było na drodze. Starosta Zawidecki dowiedział się o uwięzieniu, gdy było dokonane. Ratunku już nie widział żadnego.

Gdy ojca Godziemby zasiekano dla miłości pana wojewody, a dziecko przez litość do Krystynopola wzięto, nie miało ono nikogo na świecie, oprócz swej mamki, kobiety, o której wspomnieliśmy, a która, straciwszy własne dzieci, do swojego wychowańca namiętnie się po macierzyńsku przywiązała. Dla miłości jego przywlokła się Sawaniha do Krystynopola i w miasteczku poszła służyć, dlatego tylko, żeby, jak mówiła, dziecko swoje czasem oglądać. Kobieta już była niemłoda, lecz silnej budowy, do pracy nawykła, istna wiedźma ukraińska, gdy postarzała. Twarz miała wyschłą i spaloną, włosy siwiejące rozczochrane, wejrzenie dzikie, charakter nieunoszony: lecz za dwie robiła, nie nużyła jej robota żadna, siłę miała ogromną, i nikt jej w służbie nie mógł nic zarzucić. Dobijano się o Sawanihę. Całą nagrodę w jej ciężkiem życiu stanowiło, że w niedzielę mogła pójść do swego panicza i, stojąc przy drzwiach, lub siedząc na ławie, pomówić z nim, posłuchać go, czasem w głowę pocałować.

Gdy Godziemba pierwszy raz uchodził z Krystynopola, pamiętał o tem, aby Sawanisze się oznajmić, bo

wiedział, że ona w świat-by za nim ruszyła, albo z tęsknoty się zapłakała. Ona go na trakt wyprowadziła sama i pobłogosławiła. Wróciwszy z Brühlem, poszedł znowu do niej. Mamka była nierada zuchwalstwu, chciała mu nazad iść kazać, nie dał się Godziemba. Drugiego dnia, widząc, że mu się nic nie stało, i ona się uspokoiła. Gdy potem nagle nie stało go, stara nie miała pokoju. Przeczucie jakieś mówiło jej, że coś złego wydarzyć się musiało. Korzystając z mnóstwa ludzi, jacy się jeszcze po weselu około pałacu kręcili, Sawaniha wcisnęła się w dziedzińce, a że ją zdawna dobrze tu znano, nikogo nie zdziwiło, że się tu znalazła. Nieznacznie wypytywać zaczęła. Nikt jej nic nie umiał powiedzieć. Niespokojna zaczepiła starostę, z którego oczu tylko wyczytać mogła, iż niedarmo się niepokoiła. Zarębskiego nie było co badać, ten nikomu nie odpowiadał nigdy, mruczał, klął, bił i popijał. Siedząc i kręcąc się około odwachu, a mając oko baczne na wszystkich, Sawaniha napatrzała pokaleczonych żołnierzy... miała przeczucie jakieś, że od nich coś dowiedzieć się może. Jeden z dwóch ciurów, Semen Zawity, znajomy jej był, jako pochodzący z tej samej okolicy. Sawaniha, niby z politowania, obiecała mu ranę opatrzyć, dać ziele skuteczne i wygoić, poprowadziła do miasteczka. Tu, opatrując mu głowę, kazała wódki postawić i, pojąc powoli, dopytywała. Semen nie bardzo zrazu chciał usta otworzyć, wódka je dopiero rozwiązała. Sawaniha o mało nie padła, dowiedziawszy się, co spotkało Godziembę, ale stłumiła w sobie gniew i, ziele dawszy Zawitemu, dostawszy języka, gdzie umieszczono jej panicza, odprawiła do kordegardy.

Wypłakawszy się w kącie, nałamawszy rąk... myślała o ratunku. Do wojewody iść, paść mu do nóg, wypraszać, wiedziała, że się na nic przyda. Mogła tylko

zostać wychłostaną. Przekupić stróżów nie było sposobu. Sawaniha najprzód obliczyła co miała, powiązała węzełki swoje, uczyniła się chorą i za służbę podziękowała. Wkupiła się potem w komorne do Żydów i rozpoczęła jakby żebracze życie. Wychodziła codzień z rana, wracała nocą, jadła kawałek chleba suchego z solą, popiła go wodą i na workach w kącie próbowała usnąć a spocząć.

Całą jej robotą było, włóczyć się około pałacowej bramy i odwachu... oglądać mury... lub w głębokim rowie pod mostem siedzieć ukrytej. Śniegi jeszcze leżały, ziemia była zamarznięta. Sawaniha w suchych krzakach i gałęziach nagromadzonych pod mostem miała przytułek. Tu jej nikt dojrzeć nie mógł. Oglądając bramę i rozpatrując się w wejściu do lochów, stara obrachowała, że piwnica, w której jej drogie dziecko było zamknięte, musiała gdzieś ścianą głęboką przytykać do mostu. Nie zraziło jej to, że, jak jej opowiedziano, więzienie było pod ziemią. Z tej strony od parowu mur nie mógł już sięgać zbyt głęboko; rów zdawał się ułatwiać to, co Sawaniha zamyślała. Ze ślepą wiarą, że musi trafić tam, gdzie ją miłość jej prowadziła, zaczęła w krzakach pod mostem powoli wyrąbywać zmarzłą ziemię, szukając ściany. Ścianę chciała choćby paznogciami wydrapać, i wyłamać w niej otwór, i dziecko swe uwolnić!

Zamiar mógł się wydawać szalonym i był taki w istocie, ale miłość nie wątpi o niczem i daje siły, których pospolitemi nie można nazwać. Sawaniha od dzieciństwa nawykła do łamania się z losami i wszelkiego rodzaju zawadami w życiu. Wolę i cierpliwość miała niezłomną. Nie przyszło jej na myśl nawet, że omylić się może, że cała praca na nic się nie przyda, wierzyła w to, że Opatrzność, że Święci Pańscy, że Siły niebieskie jej pomogą. Na targu kupiła dwie tępice, zbite siekiery, któ-

re do rąbania ziemi i muru starczyły. Śnieg, na pozór będący przeszkodą, służył jej po odgarnieniu do przykrycia świeżej ziemi. Rachuba nie omyliła jej. Wprędce obnażyła ścianę. Mur był gruby, stary, zlany, jak jeden głaz. Zwolna poczęła go łupać. Szła praca opornie, ale otwór się powiększał. Szczęściem przed bramą było pusto, i stukania jej nikt słyszeć nie mógł. Od brzasku do późnej nocy Sawaniha biła mur cierpliwie.

Byłaby może i część nocy dla pośpiechu nie opuszczała swej jamy, ale cisza panująca około pałacu nie dozwalała kuć tak bezpiecznie ściany, jak we dnie. Niepostrzeżona, przesuwała się o świcie, a nie wychodziła stąd, aż ściemniało. Z nadzwyczajną energią, zrazu niezręcznie, potem nabrawszy wprawy, stara, po odrobinie wygrzebując gruz, dobywała się do wnętrza. Przychodziło jej na myśl, że praca być może nadaremną, ale wnet wiara w Boga i jakieś jasnowidzenie macierzyńskie odejmowało jej zwątpienie. Otwór sięgał coraz głębiej. Sawaniha wkładała weń głowę i, uderzając w ścianę, po rozgłosie starała się przekonać, czy gruby mur jeszcze dzielił ją od podziemia.

Pewnego wieczoru, gdy przyłożyła ucho do cegieł, usłyszała z wnętrza odpowiadające jej jakby lekkie pukanie. Uszczęśliwiona poczęła gwałtownie, oszalawszy niemal, rwać gruz i bić cegły... tego dnia jednak nic zrobić nie mogła. Noc nadchodziła, stara obwinęła się w płachty swoje, a że mróz był zelżał, nie odchodząc już do miasteczka, całą noc na próżnych spędziła posłuchach. Jak dzień — zaczęła pracować znowu i, choć zmęczona i głodna, rozgorączkowana łamała cegły do wieczoru. Jedna z nich wreszcie potoczyła się do wnętrza. Stara chwyciła sterczące dokoła gruzy i silnemi rękami wyłamała otwór. Dysząc z niecierpliwości, głowę wsunęła do czar-

nej próżni, wołając swoje dziecko. Chwila milczenia dla niej wiek trwała, ale głos słaby dał się słyszeć z głębi. Fadiejek jej żył... dostała się do niego... była szczęśliwa.

Przebudzony ze snu, chory, półżywy, z nadzieją wyswobodzenia się Godziemba odzyskał siły. Noc sprzyjała ucieczce, bo nocą nikt do drzwi nie przychodził. Otwór w murze był wysoki i ciasny, dostać się do niego osłabionemu ciężko było, ale tam czekała go — swoboda...

Chwytając się chropawego muru, wdrapując i spadając, Godziemba w ostatku ręką mógł dosięgnąć otworu. Sawaniha chwyciła ją i niemal sama go wywlokła. W tej chwili podobna była do wilczycy, ratującej swe szczenię. Zapomniała, że je pokaleczyć może. Poraniony, odarty, skrwawiony Godziemba musiał, dobywszy się zewnątrz, położyć na ziemi, bo na nogach ustać nie mógł. Przytomna stara z obawy, aby światła w otworze zawcześnie się nie dopatrzono, zatkała go chróstem, gałęźmi i śniegiem. Starczyło jej sił jeszcze potem, aby dziecko osłabłe wziąć na barki i wynieść je z parowu. Tu Godziemba, orzeźwiony nieco, mógł już stanąć o swej sile i z pomocą Sawanihy iść dalej. Iść trzeba było natychmiast, iść i ślady zacierać za sobą na śniegu i zgubić je na gościńcu, aby nie zdradziły, potem znanemi ścieżynami szukać schronienia w lasach i gdzieś w litościwej chacie.

Ucieczka z więzienia była jeszcze mniejszą rzeczą, niż uniknięcie pogoni. Nie wątpiła Sawaniha, że jeśli się nazajutrz rozgłosi ucieczka, na wszystkie trakty, po siołach polecą kozacy za zbiegiem. Mogło jednak przez dni nawet kilka pozostać tajemnicą, że więzień uszedł. Nikt posądzać go nie mógł o to, aby pomyślał o wydobyciu się z lochu. Stróż zwykle oknem we drzwiach spuszczał

chleb i dzbanek z wodą i, słowa nie mówiąc, odchodził. Ledwie raz w tydzień otwierano drzwi i dowiadywano się o więźnia.

Ciemna noc dosyć szczęśliwie posłużyła Godziembie, zawieja śnieżna obiecywała zatrzeć ślady. Sawaniha, złożywszy panicza pod ścianą szopy jakiejś, sama pobiegła po swe węzełki i odzież do karczmy. Godziemba tak był znużony, tak się czuł chorym, że, siedząc, usnął. Obudziła go powracająca i zmusiła do dalszego pochodu nocnego.

Nazajutrz, ani dwóch dni następnych w Krystynopolu nikt nie pomyślał nawet o Godziembie. Zarębski dawno w duchu sobie powiedział, że — zczeznąć tam musi marnie. (Tak sie wyrażał). Trzeciego dnia stróż, który nie słyszał głosu i nie otrzymywał odpowiedzi, przyszedł oświadczyć, mrucząc, że więzień albo chory, albo zmarł, bo się go dowołać nie można. W kilku tedy ze światłem zeszli do lochu.

Łatwo sobie wystawić osłupienie ich, gdy więzienie pustem zastali. Chciano zrazu stróża obwinić, nie pojmując, co się stało, gdy ktoś w górze wskazał zatkany otwór. Przestrach się stał ogromny, musiano wojewodzie raportować, obawiał się każdy, Zarębski zaklął się, że nie pójdzie.

— W złości wojewoda w mordę mi gotów dać — rzekł ponuro — a ja, jak Boga kocham, oddam i jutro będę wisiał. Nie chcę...

Spadło to na starostę Zawideckiego, któremu łatwiej było zwiastować złą nowinę, bo on za nią nie odpowiadał, ale Zarębski.

Nazajutrz rano, gdy przyszło do raportu stawać, wprzódy zbywszy inne sprawy powszednie, starosta oznaj-

mił, że ma coś złego do powiedzenia, ale to, co się stało, nie było jego winą.

— Zarębski z rozkazu Jaśnie Wielmożnego pana wsadził Godziembę in fundo.

— Cóż? zdechł? — spytał wojewoda.

— Lepiejby zrobił, gdyby to uczynił — rzekł śmiało starosta.

— A cóż się z nim stało?

— Uciekł.

Potocki zbladł, ale zdawał się nie wierzyć uszom.

— Ex fundo? uciekł? Któż mu otworzył?

— W ścianie dziura wybita...

Długo wojewoda nie odpowiadał ani słowa, patrzał, usta zagryzł, myślał, oczy całe zdawały się chwilami w białka obracać, cera żółkła. Wszechmogący pan... nie mógł pojąć zuchwalstwa, z jakiem mu się ofiara wymknęła. Nie szło mu o Godziembę, ale o to, że powaga jego naruszona została.

— Kto winien? kto... pomógł? — spytał cicho.

Starosta nic na to odpowiedzieć nie umiał.

Nakazano jak najsurowsze dochodzenie, ale zarazem wojewoda zabronił mówić o wypadku i pragnął, aby go nie rozgłaszano. Zarębski tegoż dnia dostał abszyt i odprawę, czem się niekoniecznie zmartwił, bo mu wszakże dano jakąś konsolacyę. Stróża odesłano na wieś, loch in fundo kazano zamknąć i zarzucić.

O ściganiu jakoś mowy nie było nawet, gdyż zdawało się niepodobieństwem na ślad trafić, a może też sam wojewoda pragnął dalszej zemsty uniknąć, któraby zbyt wielki rozgłos miała. Wojewodzina gwałtowniej to uczuła od męża, i mściłaby się srożej pewnie, lecz po naradzie wspólnej postanowiono pokryć to milczeniem. Bebuś, który pode drzwiami, wedle obyczaju, słuchał, prze-

ląkł się straszliwie, gdy się dowiedział o tem, co się stało. Gęba mu tak świerzbiała, iż tegoż dnia, oprócz Beby, w garderobie wyspowiadał się z tajemnicy przed jedną panną i pobiegł do Dumont z tą nowiną. Uradowała się niezmiernie Francuzka, dowiedziawszy się o szczęśliwej ucieczce Godziemby i postarała o to, aby uboczną drogą donieść pani starościnie. List poszedł nie zwykłemi kresami — bo, oddawszy go wojewodzinie, Dumont była pewna, że wprzódy będzie rozpieczętowany i czytany, zwłaszcza, że był do hr. Brühlowej—ale przez poczciwego księdza, który podobne korespondencye zwykle madame ułatwiał.

O Sawinisze mało kto w miasteczku wiedział, zniknięcie jej przeszło prawie niepostrzeżenie. Spodziewano się kilka dni powrotu, potem w powszechne weszło przekonanie, iż ją gdzieś wilcy, stadami właśnie się włóczący — bo to było około Gromnicznej — zjeść musieli. Myśl ta się tak dobrze przyjęła, iż opowiadano potem wypadek ze szczegółami, jak gdyby ktoś był jego świadkiem. Często nie inaczej tworzą się ludowe podania.

KONIEC TOMU I-GO.

STAROSTA WARSZAWSKI.

CIEKAWE POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 7 ▭ Lipiec 1914

Starosta warszawski. Tom II.

Redaktor: ARTUR OPPMAN (Or-Ot).

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STAROSTA WARSZAWSKI

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

Tom II



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. 1914

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

I.

Wiosna 1760 roku dosyć była wczesna, gdyż już w końcu marca drzewa się rozwijać zaczynały — a choć nocami trafiały się przymrozki, dni były słoneczne i ciepłe.

Pani starościna warszawska od wesela swojego zamieszkiwała w pięknym pałacyku w Młocinach, wśród ciszy i lasów, używając daleko większej swobody, niż w rodzicielskim domu. Brühl był wprawdzie najchłodniejszym z mężów, lecz pełnym uszanowania, grzeczności i usiłującym tęskne żonie uprzyjemnić życie. Nie mogła go kochać, ale się nań skarżyć nie miała powodu. Pożycie obojga było tajemnicą dla tych, co na nie patrzyli, mogli jednak widzieć, iż starosta najtroskliwiej starał się uprzedzać wszystkie życzenia żony, a publicznie obok niej występując, okazywał jej największe uszanowanie. Mówiono po cichu tylko, że to było małżeństwo polityczne, że tam miłości podobno nie trzeba szukać było, ale oddawano sprawiedliwość obojgu, że ciężkie jarzmo, włożone im na szyje, nosili, nie dając poznać ludziom jego brzemienia. Smutek na twarzy starościny spokojny był

i prawie pogodny. Miała swobodę wszelką, mogła się zabawiać i zajmować, jak chciała—cóż, gdy jej nic nie bawiło. W towarzystwie była milcząca, chętnie usuwała się do swych pokojów i, mechaniczną jakąś robotą zajęta, z głową spuszczoną spędzała godziny długie, niekiedy tylko stając, gdy ją suchy kaszel, który się coraz powiększał, zmusił porzucić krosienka.

Ulubionem jej czytaniem było Naśladowanie i Św. Franciszek Salezy, książka jej panieńska do nabożeństwa, a czasem jedna z tych nowości francuskich, do których ciągnęła ciekawość, a dziwna ich lekkość i śmiałość odstręczała. W tem życiu znośnem jedynem utrapieniem dla lubiącej spokój i ciszę były konieczności jej położenia i stosunków z dworem. Młody Brühl musiał wozić żonę do Warszawy, przedstawiać ją królowi, który się o jej bytność na operze i uroczystościach upominał; musiał przyjmować i oddawać odwiedziny liczne. Ona poddawała się temu losowi bez oporu, lecz nie nabierając do rozrywek smaku, nie szukając znajomości, zawsze łagodna, cicha, ale nieśmiała i milcząca. Charakter ten przypisywano znanemu wychowaniu na krystynopolskim dworze, gdzie wszystko żelaznej woli państwa województwa ulegać musiało.

Mąż nie zdawał się nawet próbować wpłynąć na usposobienie żony, szanował jej upodobania i wcale się im nie sprzeciwiał. Sam on zmuszony był życie prowadzić wcale inne, a nikt nad niego czynniejszym nie był. Od młodu zaprawiony do pracy, umysłu żywego i niespokojnego prawie, niezmordowanym był w spełnianiu obowiązków, w szukaniu rozrywek. Jako syn ministra i jego narzędzie, nieustannie prawie był w poselstwach, intrygach, na posyłkach jego u dworu lub w powozie

i podróży. Wyjeżdżając, przychodził po rozkazy żony, która mu nigdy nic nie rozkazywała i o nic go nie prosiła, powróciwszy, stawił się spytać o jej zdrowie, na co mu rumieniec i kaszel odpowiadał. Jeśli miał parę dni wolnych, zamykał się w bibliotece, malował, grał, pisał i nie spróżnował chwili. Ale najczęściej godzin do tych rozrywek, które mu najmilsze były, szukać musiał przede dniem, dopóki Młocin zwykły najazd nie zagarnął. Nie było bowiem dnia swobodnego od gości, nie było obiadu bez obcych... klientów, przyjaciół, posłańców.

Starościna wychodziła, kiedy chciała, do salonu, bardzo często wymawiała się niezdrowiem. Brühl chyba w ostatniej konieczności ośmielił się zapukać do jej drzwi i prosić jej, aby się ukazała przybyłym. Naówczas pani ubierała się posłuszna, jak jej kazano, wychodziła krokiem mierzonym, witała chłodnym uśmiechem, odpowiadała krótko i grzecznie, i dopełniwszy obowiązków gospodyni, pośpiesznie wracała do gabinetu niebieskim wybitego atłasem, gdzie na nią czekały krosienka panieńskie, jej parę książek i samotność, z którą jej było najlepiej.

Młode panie warszawskie, rade zajrzeć do Młocin i być wtajemniczone w życie nowego małżeństwa, wpraszały się w przyjaźń i poufałość starościny; przyjmowała je z grzecznością, której nabrała od męża, lecz usta jej i piersi stały zamknięte. Każdy czuł, patrząc na nią, że w sercu pogrzebała tajemnicę. Napróżno silono się ją odgadnąć.

Starosta, który żonę zrozumiał od pierwszych dni i zrezygnowany był na chłód i bierne posłuszeństwo, jakie mu okazywała, nie starał się o nic więcej nad to, aby się z jego winy nie mogła nazwać nieszczęśliwą.

Usiłował zgadnąć jej upodobania, obudzić zajęcie czemś, smak do czegoś, wszystko to było próżne. Starościna tak samo patrzała na piękne obrazy, jak słuchała muzyki, nie dając znaku rozbudzenia i życia. Brühl po cichu zwał ją chodzącym posągiem i szczerze litował się nad nią. On także to złamane życie, to wystygnięcie zawczesne przypisywał despotyzmowi rodzicielskiemu, który sercu nigdy się nie dał otworzyć. Starościna zdawała się nie mieć i nie chcieć mieć woli własnej, pytała o nią męża, a zostawiona sama sobie, widocznie pomieszana, nie wiedziała co począć.

Była to, przy wszystkich szczęścia warunkach, najnieszczęśliwsza w świecie istota.

Nadchodząca wiosna poddała myśl staroście, że możeby żona jego polubiła ogród i kwiaty. Przed pałacykiem założony w ówczesnym stylu śliczny ogród, podzielony na kwatery, starannie bardzo utrzymywany, przyozdobiony fontanną i kilku rzeźbami przywiezionemi z Saksonii, schodził aż ku Wiśle, która właśnie szeroko rozlana przedstawiała majestatyczny obraz, ciemnemi liniami borów zamknięty w mglistej dali. Obszerne szklarnie, z których jeszcze drzewa wynosić było zawcześnie, przytykały do pałacu. Ogrodnicy już się oczyszczaniem po zimie ścieżek i kwater zajmowali, gdy pewnego ranka starosta z myślą wyrwania żony z tej tęsknej samotności, w której się zamykała, zapukał do drzwi jej gabinetu.

Gdy wszedł, uchylając drzwi powoli, zastał ją na kanapce z listem w ręku, zarumienioną mocno. Spostrzegłszy go, szybko schowała pismo, które czytała, i, widocznie pomieszana, zerwała się z siedzenia. Baczny postrzegacz charakterów Brühl domyślił się łatwo, iż przyszedł nie w porę... list zaciekawił go trochę, ale

grzecznym był i miłosiernym, nie dał więc poznać po sobie, że spostrzegł cokolwiekbądź, i z wesołą twarzą odezwał się, że dzień jest nadspodziewanie ciepły i piękny, że możeby staróścina chciała go użyć, wydając rozkazy w ogrodzie, który może urządzić wedle swojego smaku...

Brühlowa nie zdawała się nawet rozumieć, o co chodziło, pomieszanie jej zwiększało się.

— Ja, ja zupełnie się nie znam na ogrodzie — odezwała się zakłopotana — niech pan starosta rozporządzi, jak zechce. Jestem pewna, że to będzie najlepiej. Ja nie mam gustu — dodała skromnie.

— A to prawdziwe nieszczęście — odezwał się, uśmiechając się, Brühl — iż pani nie chcesz mieć w niczem upodobania. Radbym z duszy pobyt w Młocinach uczynić jej jak najprzyjemniejszym, a rozpaczam, żeby mi się to udało.

— Ale ja ręczę panu — śpiesznie odpowiedziała Marya — że tu nie mogłoby mi być lepiej.

— Tak, tu, ale gdzieindziej? — podchwycił Brühl cicho, patrząc jej w oczy.

Starościnie łzy się zakręciły pod powiekami, które szybko otarła.

— A! w Krystynopolu! — zawołała — ale ja całe tam spędziłam życie... niech się pan nie dziwi, potrzeba czasu, aby zapomnieć, przywyknąć. Oto właśnie — dodała, jakby na swe usprawiedliwienie, dotykając drżącą ręką listu, który miała na piersiach — odebrałam list stamtąd...

— Od wojewodziny? przez kogo? — zapytał starosta — ja nie miałem żadnego.

— Od mojej nauczycielki Dumont — rumieniąc się,

wytłómaczyła starościna z widocznem pomieszaniem.

Brühl nie badał już więcej. Nadto był dyskretnym, aby się chciał domagać wiadomości, których mu dobrowolnie nie udzielano.

Ruszył się zaraz, aby usunąć, ale żegnając w progu, dodał jeszcze:

— Ogród jest i może być ładny, mógłby niejedną uprzyjemnić chwilę... Wszyscy są na jej rozkazy, a ja proszę, aby się pani nim zajęła.

— Jeśli pan starosta każe...

— Ja nigdy nie rozkazuję! — rozśmiał się Brühl — a proszę tylko dlatego, iż sądzę, że toby mogło uczynić jej przyjemność, gdy wogóle tak ich mało pani używa.

— Ja lubię samotność — cicho odezwała się starościna — proszę mi darować. Sama czuję, że nie umiem być taką gospodynią, jakiej Młocinom potrzeba...

— Lepszej i milszej mieć nie mogły — odezwał się Brühl, z dworską galanteryą się kłaniając.

Nic nie odpowiedziała starościna, a Brühl, powtórzywszy ukłon, z westchnieniem wysunął się za drzwi. Zaledwie znikł z jej oczu, pani Brühlowa żywo dobyła listu i pobiegła, zdając się zapominać o wszystkiem, czytać go do okna.

Łzy kręciły się jej w oczach. Pismo madame Dumont oznajmowało jej o cudownem uwolnieniu Godziemby. Francuzka jednak, zawsze ostrożna, nie wymieniła w niem nazwiska i wypadek osnuła jakąś tajemnicą, łatwą do odgadnięcia dla Maryi.

Gdy Brühl zamyślony wracał do biblioteki, z której był wyszedł, porzuciwszy w niej tom otwarty ulubionego Molière'a, w progu jej zastąpił mu marszałek jego

dworu, pan Latour, oznajmiając, że dawny dworzanin (skaleczył jego nazwisko) prosi o posłuchanie.

Zdziwiony trochę starosta wnet wpuścić go kazał. Prawie w tymże momencie, opierając się na lasce, schorzały i blady, wsunął się do niepoznania zmieniony Godziemba.

Spojrzawszy nań, starosta pośpieszył kilka kroków i ze współczuciem go zapytał:

— Widzę, żeś waćpan był chory?

Latour stał z tyłu. Godziemba dał poznać, iż chciałby mówić na osobności, i Brühl wprowadził go z sobą do bliblioteki, a widząc osłabionym, najprzód podał mu krzesło.

— Co się z waćpanem stało? nie mogliśmy sobie jego zniknięcia wytłómaczyć?

— Mam być otwartym? — zapytał Godziemba — nie weźmiesz mi pan tego za złe? Dla oczyszczenia się z podejrzenia o płochość, muszę się wytłómaczyć obszerniej.

— Mów pan, proszę — rzekł Brühl, siadając — słucham go, dopóki nam kto nie przerwie.

— Nie wspomniałem panu staroście o przeszłości mojej — począł Godziemba. — Ojciec mój w sprawie pana wojewody zarąbany był na śmierć przez jego nieprzyjaciół... mnie przez litość wzięto do Krystynopola na wychowanie. Skończywszy szkoły, musiałem się wysługiwać dworsko. Sprzykrzyła mi się służba, podziękowałem za nią i poszedłem w świat. Jestem szlachcic — byłem wolny. Wojewoda tego zrozumieć nie chciał, widział we mnie niewolnika. Gdym wyjechał, rozesłano za mną gońców, jak za zbiegłym poddanym. Pan hrabia wiesz, jakem u niego przyjął służbę. Miałem odwagę

z nim ukazać się w Krystynopolu... spotkałem się tu z wojewodą. Przestrzegano mnie, abym, gniewu jego unikając, uciekał. Nie sądziłem, aby mnie śmiano dotknąć...

Brühl spojrzał zdziwiony.

— Jakto? cóż się stało?

— Trzeciego dnia z rozkazu wojewody pochwycono mnie... Broniłem się do ostatka; związanego wrzucono mnie do ciemnicy... byłbym w niej zgnił — to było przeznaczenie moje...

— Ale to nie może być!

— Niestety, tak było! — odparł Godziemba — widzisz pan na mnie ślady przebytej niewoli... Winienem cudowi, poświęceniu starej kobiety, mamki mojej, która niemal rękami ścianę więzienia rozbiła, że oto tu przed nim stoję.

Brühl zamyślił się głęboko, widać było, że nie rad był więcej powiedzieć, niż mu pozwalało położenie. Kilka razy spojrzał na biednego Godziembę, jakby nie wiedział, co sobie z nim poradzić.

— Mów pan szczerze — odezwał się wreszcie — musiałeś coś więcej przewinić przeciw panu wojewodzie? obrazić go?

— Niczem więcej nad to, żem mu za służbę podziękował. Wychował mnie, alem mu odsługiwał za to, i winien był mojemu ojcu, który zginął za niego, opiekę nad sierotą.

Starosta stał zakłopotany, nie chciał widocznie otwarcie nic przeciw ojcu żony powiedzieć.

— Cóż waćpan myślisz? — zapytał — poszukiwać swej krzywdy?

— Ja? — odparł, uśmiechając się, Godziemba — a z czemże i jakbym to mógł uczynić? Myśl podobna

nie powstała we mnie. Przyszedłem się wytłómaczyć panu staroście i spytać go: czy mimo żem tak nieszczęśliwie naraził się panu wojewodzie, zechce mnie utrzymać na swym dworze?

— Zdaje mi się, że nie jestem wcale obowiązany poślubiać ani zemsty, ani urazy mojego teścia — zawołał Brühl — a czuję się raczej w obowiązku krzywdę przez niego wyrządzoną, jeżeli można, naprawić... Przez krótki czas pobytu jego u mnie byłem z niego zadowolony. Ale prawdę rzekłszy — dodał Brühl, spoglądając na przybyłego: — waćpanu najprzód leczyć się i sił nabrać potrzeba. Proszę powiedzieć panu Latour'owi, aby miał o nim staranie.

To mówiąc, westchnął Brühl, a widząc, że Godziemba z krzesła się podnosi, zbliżył się do niego.

— O jednobym waćpana prosił — rzekł cicho: — przez wzgląd na żonę moją i na mnie, nie życzyłbym sobie, abyś rozgłaszał swe przygody. Surowość pana wojewody dosyć jest znana, sam wiesz, że szukać zadosyćuczynienia byłoby nadaremnie zatem, czy nie najrozumniej jest milczeć?

— Tak, i najbezpieczniej — dodał smutnie Godziemba.

— Dlatego, dopóki nie przyjdziesz do zdrowia, najlepiejby się nie pokazywać, aby nie wywoływać pytań i domysłów. Naostatek, gdy z Krystynopola kto przyjedzie, lub mnie tam być wypadnie, nie masz pan potrzeby nastręczać się panu wojewodzie.

Rad tych wysłuchał Godziemba z pokorą, westchnął i, nic już nie mając do dodania, zwolna zabrał się do wyjścia.

Los chciał, ażeby, gdy się przesuwał korytarzem,

pani starościna wyszła, posłuszna woli męża do ogrodu. Droga ją wiodła właśnie tem samem przejściem. Godziemba odkrył głowę i stanął przy ścianie. Na widok jego starościna pobladła. W istocie litość obudzał twarzą wychudzoną i cerą wyżółkłą. Mimowolnie zatrzymała się, stanęła... łzy się jej w oczach zakręciły. Zdawała się chcieć coś powiedzieć, wargi poruszyły się, półuśmiech jakiś przebiegł po nich, ukrywając pomieszanie, i szybko poszła ku ogrodowi.

Już we drzwiach będąc i jakby ośmielona oddaleniem, spojrzała znowu na stojącego jeszcze Godziembę.

— Pan jesteś chory? — wyjąknęła z trudnością — przyślę panu doktora... wszak... należysz do naszego dworu?

— Tak jest... pani! — skłonił się Godziemba.

— Nie potrzebujesz pan czego?

Dworzanin się skłonił raz jeszcze i milczeniem podziękował.

Starościna zeszła do ogrodu.

Brühl, po wyjściu Godziemby, nie rychło do Molière'a powrócił. Być może, iż zapomniawszy, że jest synem ministra, z którego rozkazu tylu biednych ludzi, niewinniejszych od Godziemby, gniło po więzieniach saskich, zastanowił się nad dziwnymi losami, które jednych czyniły tak nieograniczenie wszechwładnymi, drugich tak bezbronnymi... być może, iż mu się w świetle tego wypadku komedya życia wydała tragiczną... zadumał się długo, a gdy siadł do czytania, nie tknął już komika, ale wyszukał Montaigne'a, otworzył go na los szczęścia i zanurzył się w tych odmętach zwątpienia.

Długi czas nie podnosił oczu, gdy podniesionym głosem ktoś począł domagać się, aby go wpuszczono.

Słychać było, jak się z nim służący drożył, jak przybyły nalegał i gniewał się, śmiał — a chciał przemódz posłusznego lokaja, postawionego na straży, który dowodził, że, gdy hrabia jest w bibliotece, naówczas mu przerywać nie wolno.

Brühl, chociaż głosu poznać nie mógł, czuł w nim kogoś znajomego, rzucił książkę i sam drzwi otworzył. Stał przed niemi zrozpaczony, ale śmiejący się jednak generałowicz Sołłohub, strojny nadzwyczaj elegancko, rozpromieniony, wesoły i zdający się bawić walką, którą prowadził z kamerlokajem. Zobaczywszy Brühla, ręce rozpostarł i rzucił się ku niemu, śpiewając.

— Cóż ci jest? — spytał Brühl — jesteś w jakiemś usposobieniu szczęśliwem, w jakiem cię od wieków nie widziałem?

— Bom najszczęśliwszy z ludzi! — odezwał się Sołłohub, wchodząc i kapelusz rzucając o ziemię, a sam padając w objęcia przyjaciela — winszuj mi, zazdrość, ciesz się...

— Co ci jest?

— Widzisz! szaleję!

— Ale od czego? od czego?

— Opiekunowie cześnikówny, złamani nareszcie instancyami moich wujów Radziwiłłów, zgodzili się na to... abym pannę Maryę poślubił...

— A ona?

— Ona — musi się na to zgodzić!

— I ty weźmiesz ją zmuszoną?

— Wezmę taką, jaka jest... i będę u nóg jej leżał, dopóki mi nie przebaczy i nie pokocha...

Starosta blady, ostygły, ręce włożywszy w kieszenie, patrzał na przyjaciela.

— Miłość, jak wiemy — rzekł z cicha — dziwactwa wyprawia; ale tak szalonej, jak twoja, trudno spotkać... i tak dziwnie pewnej siebie...

— Mów, sądź, jak chcesz, potępiaj mnie, ja jedno wiem — z zapałem dodał Sołłohub — że ją mieć muszę.

— Staraj-że się o serce...

— Będę je miał... ale najprzód chcę być pewnym ręki...

— Droga, którą wybrałeś... niekoniecznie jest logiczna — szydersko rzekł starosta. — Otrzymując jej rękę przeciw woli... trudno, byś serce pozyskał...

— Jesteś zimny, jak kamień... i nigdy mnie nie zrozumiesz — począł, niecierpliwiąc się, Sołłohub. — Coby mi pomogło mieć serce, gdyby mi opiekunowie ręki odmówili? — teraz, gdy ich słowo mam, serce muszę pozyskać...

— Przyznajesz więc, że nie jesteś go pewien? — mruknął Brühl.

— Cześnikówna jest mi przyjaźna, dobra jest, jak anioł... zrozumie przecież, iż z nikim nie potrafi być szczęśliwą, tylko z tym, co ją ubóstwia.

— A ty sam jeden ją ubóstwiasz? — rzucił znowu szydersko Brühl.

— Tak, jak ja, nie może jej kochać nikt! dwóch takich miłości niema na świecie... Alojzy! przyjacielu!

Tu rozpiął frak, rozerwał kamizelkę i, czując, że mu słów braknie, pokazał mu serce, potem rzucił się osłabły na fotel, podniósł głowę, ręce złożył, oczy w sufit wlepił i począł, jak dziecię, tupać nogami, rzucać się, swawolić z uszczęśliwienia.

Brühl patrzał nań poważnie.

— Nie daćby ci szklanki zimnej wody? — zapytał — istotnie, boję się o głowę twoją.

Nanowo Sołłohub ściskać się go rzucił, porwał w pół i zmusił okręcić się parę razy po bibliotece, jak w tańcu. Miał naprawdę szalonego pozór.

— Bóstwo moje! — krzyknął, klękając. — Maryniu, aniele! stawiać ci będę ołtarze... na kolanach służyć ci... ale kochaj mnie choć odrobinkę...

Starosta, patrząc, śmiał się, lecz śmiech jego był jakiś smutny, dziwny i nie szczery.

— Kochany mój — rzekł po krótkiem milczeniu — jeżeli takim, jak przede mną, będziesz się pokazywał przed cześnikówną, pobudzisz ją rychlej do śmiechu, niż do miłości!

— Słuchaj-że, jak to było — przerwał w tej chwili, już trzpiotowatą myśl zwracając w innym kierunku, generałowicz. — Całą klikę moją Radziwiłłowską naprowadziłem na opiekunów cześnikówny... wszystkich moich koligatów... najpryncypalniejszych... Obrachowałem się, że są skąpi... użyłem fortelu, nasyłałem im coraz innego Radziwiłła z dworem, końmi, przyjaciołmi... aby prosił i objadał... Jednemu odmówili, lub zbyli go ani tem ani owem, przybywał drugi w koni dwadzieścia i tyleż gąb... ledwie ten był za bramą, jechał trzeci ze zwiększonym orszakiem!! Pomiarkowali, że to nie przelewki... musieli mi nareszcie pannę przyrzec, inaczej groziło im to ruiną.

Brühl słuchał z szyderskim wyrazem twarzy.

— A cześnikówna? — zapytał — a cześnikówna?? Mów o niej, toć przecie główne...

Sołłohub usta skrzywił.

— Cześnikówna — rzekł do Brühla — z samego

natręctwa musi być przekonaną o sile mojego afektu... Ty, mój Brühlu, widzę, przepraszam cię, że to powiem, wziąwszy pono wojewodziankę zahukaną, która z młodu tak była wychowaną, że nigdy nikogo w świecie kochać nie mogła, zbytnio się troszczysz o serce kobiece, które miękkie jest i czci bałwochwalczej w końcu uledz musi...

To mówiąc, uściskał go, jakby za zbyt szczere wyrażenie przepraszał.

— Nie gniewasz się?

— Ja? nic a nic, może nawet masz słuszność, żem spragniony przywiązania... a moja dobra, cicha, posłuszna, bierna, milcząca żona dać mi go nie może... Jam trochę poeta, marzyciel trochę, więcej fantazyi i polotu chciałbym widzieć w aniołach... Mój ze spuszczonemi skrzydły, śpiący biedaczek chodzi po ziemi... Lecz ja, mój drogi, ja, żeniąc się, wiedziałem, że zaślubiam interesa mojego ojca; ty żenisz się dla szczęścia i serca—to wcale co innego...

— I muszę być szczęśliwym — zawołał Sołłohub.

— A tymczasem myśl też trochę, aby i ją uczynić szczęśliwą, bo w miłości niema szczęścia, gdy go nie dzielą dwa serca...

Generałowicz stanął przed zwierciadłem, poprawił peruki, wygiął się, nogę jedną naprzód wysunął.

— Ale, proszę-ż cię, Brühlu, bądź sprawiedliwym, nie znajdujesz-że mnie pięknym i mogącym się podobać?

Zwrócił się ku niemu, przymilając wesoło.

— Ja... ja cię znajduję nietylko pięknym, ale... w tej chwili szczególniej, nieporównanym — rzekł starosta. — Szczęście cię rozpromieniło, aureolę widzę nad twem czołem. Mam ochotę natychmiast siąść twój portret ma-

lować i podpisać pod nim: „Oto człowiek szczęśliwy“. Cóż, mój drogi — szepnął ciszej, całując go — gdy jutro... portret być może anachronizmem lub szyderstwem?

Tak jak ty teraz, można być tylko szczęśliwym w oczekiwaniu, nigdy w posiadaniu szczęścia... i to na przelotną chwilę...

Sołłohub stał zamyślony; gdzieś już pędził w marzeniach do stóp ukochanej i śnił, co jej powie o miłości swej, i co odpowie ona, i jak ręka jej biała spadnie mu do ust... a wargi różowe szepną, wtórując oczom:
— Kocham ciebie!

Niestety! jak wszystkie sny i marzenia, i to się ziścić nigdy nie miało.

II.

Dwa lata, które upłynęły od r. 1760, zmieniły wielce położenie Brühlów w Rzeczypospolitej; nie przybywało im przyjaciół, a wrogowie się mnożyli. Narzekania na ministra, którego uważano za główną sprężynę nieładu, zamieszania i intryg kraj rozrywających, odzywały się zewsząd — nie dochodziły tylko króla, pilną strażą otoczonego. Wzdychał on do Drezna, przechodzącego z rąk pruskich do austryackich, z kolei obleganego i niszczonego przez sprzymierzeńców i nieprzyjaciół; pocieszał się polowaniem, marzył o prędkim powrocie do stolicy i przyjmował za dobre, co mu na pociechę przynoszono. Minister, częstokroć żółcią napojony tem, co z Saksonii dochodziło i co na miejscu znosić musiał, wypogadzał twarz, idąc do króla, aby przed nim ukryć prawdziwy

stan nieszczęśliwych dwóch państw, któremi rządził. Wypadki polityczne składały się tak, że trzeba było niemal cynizmu i bezczelności, aby z nich jakąkolwiek lepszej przyszłości wyciągnąć nadzieję.

Z dnia na dzień pogorszało się położenie starego Brühla, którego żelazny charakter i dziwna rachuba na jakieś niespodziane zmiany wytrwać tylko zdołały wśród tego chaosu klęsk i narzekań, spadających nań dokoła. Z Saksonii donoszono o głodzie i rozpaczy, jakie długa, siedmioletnia wywoływała wojna; w Rzeczypospolitej trzeba się było nieładem ratować od upadku. Umysły zdrowsze widziały w nim sprawę ministra, i nienawiść ku niemu rosła z każdą godziną. Najzaślepieńsi jego zwolennicy nie mogli, nie śmieli stanąć w obronie.

Starosta warszawski, teraz już cześnik koronny, po śmierci Teodora Lubomirskiego, związany synostwem z interesami ojca, narzędziem będąc w jego rękach, posłuszny woli, poddany rozkazom, obracał się wśród nieprzyjaznych sobie ludzi, z tą twarzą spokojną i obojętną, której wyrazu nic zmienić nie mogło. Ze stoicyzmem pokrytym powierzchowną lekkomyślnością, wiódł życie, jakie mu zgotowały wypadki, nie skarżąc się, idąc w jarzmie konieczności posłuszny. Mało ludzi tego hartu i siły nad sobą miała epoka ówczesna, a młody cześnik winien był może w części przynajmniej tę moc, jaką posiadał, szczególnemu usposobieniu, które go obcym niemal czyniło wypadkom, choć go one na pozór najbliżej dotykały.

Alojzy Brühl żył zmuszony w tym świecie intryg i zabiegów o władzę, w istocie był on mu obojętnym i wcale go nie obchodził. Poeta i artysta duszą, czuł się sobą i najszczęśliwszym, gdy się mógł zamknąć w bi-

bliotece, malować, słuchać lub wykonywać muzykę, albo rozmawiać z uczonymi i artystami o tem, co dla niego stanowiło cel życia.

Natura wcale go nie stworzyła na syna i spadkobiercę ministra. Stary Brühl zaczynał to widzieć i bolał nad tem, chociaż na syna skarżyć się nie mógł. Na zawołanie ojcowskie jechał na pole walki, na dwory monarchów, posłował, ubiegał się o urzędy, dworował panom, ożenił się dla ojca, rzucał dlań najmilsze zajęcia. Można-ż więcej było wymagać? Lecz w tem wszystkiem, mimo największej gorliwości ze strony syna, nie czuć było serca, nie widać było namiętności. Stary Brühl nie mógł mu nic zarzucić, a nie był nim zadowolony.

Sam przez się pan cześnik koronny nie czynił nigdy nic. Jak tylko zbywała chwila czasu, usuwał się do Młocin, a gdy w nich przyjmować nie potrzebował tych, których mu ojciec pozyskiwać kazał, otaczał się ludźmi, których stary lubił może, ale ich wcale nie cenił. Wszyscy oni nie żyli duszą w tych sferach wirów i prądów, wśród których minister nałogowo obracał się najswobodniej, czując się w swoim żywiole.

Pożycie z żoną zawsze było toż samo... pełne uprzejmości, dobroci, ale ani trochę nie czulsze, niż było pierwszych dni po weselu. Oboje nawykli nie zawadzać sobie wcale, spotykali się z twarzą pogodną, pytając o zdrowie, i rozchodzili się, żegnając najceremonialniej do takiego samego jutra. Pani cześnikowa chodziła po ogrodzie, czytała pobożne książki, kaszlała coraz więcej, smutna była zawsze... ale się mieniła szczęśliwą. W istocie w granicach możliwości mogła się nią nazywać. Spokój i dostatek ją otaczał, nie krępowano jej woli, mogła marzyć... i iść tak pomału ku... jakiemuś koń-

cowi... mglistemu, ku jakimś lepszym spodziewanym światom...

Zrazu dosyć odosobniona i samotna, zyskała teraz kilka poufalszych znajomości. Dumont nie była potrzebna w Krystynopolu, Marya dała jej schronienie u siebie. Sołłohub ożenił się nareszcie ze swem bóstwem, które się czasem pokazywało w Młocinach i serdecznie poprzyjaźniło z kuzynką.

Dwie Marye, obie podobno niezbyt szczęśliwe, kochały się jak siostry, ale mimo miłości tej nigdy się nie wyspowiadały szczerze przed sobą. Domyślały się serc swoich... a zrozumieć ich nie mogły... Sołłohubowa z ubóstwiającym ją mężem obchodziła się dosyć despotycznie, nie kryjąc przed nim, że ją nudzi. Wyższa umysłem i ukształceniem od niego, znosiła dobrego zresztą człowieka jako losu konieczność, ale przywiązać się do niego nie mogła: był dla niej zbyt dziecinnym, zbyt płochym, zbyt nieznaczącym.

Brühl tak samo nigdy nie potrafił małżonce natchnąć swych gustów i przelać myśli. Nie rozumiała Molière'a... i szła czytać Naśladowanie; przy muzyce myślała o tem tylko, aby jej swym kaszlem nie przerywać... upodobania męża wydawały się jej płoche... a zarazem charakter jego i żartobliwość raziły ją chłodem, choć ten był tylko powierzchownym. Los za całą pociechę w tem życiu nudnem, jednostajnem, zimnem, jak podbiegunowe miesiące mroku bez słońca, dał jej twarz poczciwego Godziemby, który, wyzdrowiawszy, został przy dworze pana cześnika, a nawet był jego ulubieńcem.

Dumont, zastawszy go tutaj, nadzwyczaj była i zdziwiona i przelękła; zdawało się jej, wedle francuskich obyczajów, że taki domownik był niebezpiecznym i kom-

promitującym. Wahała się długo zagadnąć o to swą wychowanicę. Była przekonana, że musieli zbliżyć się do siebie, i napełniało ją to obawą, aby zdradzona tajemnica pokoju domowego nie zakłóciła. Przekonała się wszakże, pobywszy tu dłużej, iż cześnikowa, która z wielką nieśmiałością czasem się odważyła spojrzeć na Godziembę, nie mówiła do niego prawie nigdy, chyba zmuszona, i że pełen poszanowania dworzanin, choćby się był dał posiekać za swą panią, stał od niej tak daleko, był tak nieśmiałym... jak niegdyś stara Dumont nie mogła tego pojąć... Pewnego razu wreszcie, gdy sam na sam były z sobą, ośmieliła się napomknąć po cichu cześnikowej, iż cieszy się tem mocno, że to dziecinne przywiązanie wygasło...

Marya podniosła ku niej oczy łzawe i rzuciła się na szyję.

— Moja kochana Dumont, mylisz się — rzekła, do ucha się pochylając — ja go kocham tak, jak niegdyś, moje uczucie dla niego nie wygasło i nigdy zgasnąć nie może, ale mnie wiąże przysięga... ja nie należę do siebie... On to dobrze rozumie, iż pogardziłabym nim, gdyby się zbliżyć ośmielił...

Wystarcza mi to, że go widzę...

Dumont tym heroizmem i energią młodej pani okazała się tak zdumiona, że w początku słowa nie umiała powiedzieć. Popatrzała na młodą zrezygnowaną męczennicę dobrowolną i wielką dla niej litość uczuła...

W owych czasach tak surowe pojęcie obowiązków żony było zupełnie wyjątkowem, przynajmniej w tych sferach, w których państwo cześnikostwo się obracali.

— Admiruję — odpowiedziała powoli Francuzka— admiruję cię doprawdy, ale... mam być szczerą?

— A! moja Dumont... ciebie mam jedną — rzekła, ręce składając, Marya.

— No, to powiem wszystko, nie będę nic w bawełnę obwijał. Twój mąż, człowiek bardzo szlachetny, miły, pełen talentów, jakoś nie ma zbyt czułego dla ciebie serca... Jestem pewna, że byłoby mu niemal... pociechą, gdybyś się trochę rozerwała... On sam, wiem to najpewniej także, gdzieś jakieś potajemne ma amory, i nie jest tak skrupulatnym... W tem wszystkiem idzie tylko o to... o to — tu głos zniżyła — aby ludzie nie gadali, a Pan Bóg, Pan Bóg, wierz mi, jest pobłażającym na grzechy miłości...

Francuzka miała może pewne myśli, stać się użyteczną i niezbędną, ale z tych ją zaraz wyprowadziła cześnikowa. Podniosła czoło spokojne i oczy trochę załzawione.

— A, moja Dumont — odezwała się — nie mów tego... Wolę dla samej siebie, aby Bóg mi nie miał nic do przebaczenia. Winnam to sobie... Wystarcza mi, że patrzę na niego, że wiem, iż ktoś mnie kocha mocno... Cóż chcesz? życie krótkie, przejdzie, jak sen... poniosę moją miłość dziecinną do grobu...

Stara Francuzka z uwielbieniem zaczęła całować dawną uczennicę, nie miała wyrazów na pochwałę jej cnoty, lecz pomyślała sobie, że albo nie ma ku niej ufności, albo się tai... lub nie umie sobie dać rady... Nie poprzestała więc na tem i w duchu postanowiła sobie... uszczęśliwić te dwie istoty... przynajmniej o ile niewinnie i przyzwoicie da się to uczynić. Nie zaręczamy jednak, czy zupełnie w myśl miłosiernej niewiasty trafiliśmy... To pewna, iż nie mogła patrzeć obojętnie na smutne życie swej wychowanicy, mocno postanawiając

je osładzać. Była to dla niemłodej osoby rola nader właściwa, dozwalająca przynajmniej odświeżyć sobie w pamięci niepowrotne dni i lat ubiegłych wrażenia.

Wchodziło w plan poczciwej przyjaciółki dośledzenie, w kim się kochał pan cześnik? bo że się kochał, o tem nie wątpiła bynajmniej. Znane jej były nawyknienia i obyczaje dworu saskiego, jego tradycye, żywot i sprawy starego ministra... a może i coś więcej jeszcze. Z żywości temperamentu młodego Brühla wnosiła, iż z sercem niezajętem nie mógł pozostać. Znano jego dawną pasyę dla jakiejś Angielki, za którą biegał za granicę... szeptano o różnych miłostkach pobocznych...

Godziemba należał teraz do najpoufalszych sług pana Alojzego... Poznawszy w nim charakter szlachetny i wykształcenie nad stan, używał go chętnie jako sekretarza, dawał mu polecenia poufne a zazdrość całego dworu była najlepszym dowodem, jakie u niego miał zaufanie. Najchętniej i prawie wyłącznie posługiwał się Godziembą. Zdawało się więc, że jeśli kto, to on musi być wtajemniczony w stosunki serdeczne hrabiego. Od przyjazdu swojego na dwór, madame Dumont nie miała sposobności widzieć się nigdy sam na sam z panem Tadeuszem, ani mu się nawet wytłómaczyć z tego kroku, do którego była w Krystynopolu zmuszona. Teraz nadchodziła pora zużytkowania przeszłości i zaplątania małej intryżki domowej, która wśród tej nudy, ciszy i braku zajęcia przyjemną mogła rozrywkę stanowić.

Obeznawszy się więc z domem i jego obyczajem, Dumont czatowała na Godziembę, tymczasowo jednając go sobie nader przyjacielskimi uśmiechami i ruchami głowy przy spotkaniu. Pan Tadeusz grzecznie na to, ale zdaleka odpowiadał, nie zbliżając się więcej. Fran-

cuzka więc była zmuszona pewnego wieczoru zaprosić go do swojego pokoju. Postanowiła wyjść z tej bezczynności, która ją dręczyła. Godziemba, któremu szepnęła, naznaczając godzinę, nie odpowiedział nic, skłonił się tylko.

O mroku czekała nań poczciwa Dumont z wielką niecierpliwością; młody człowiek się zjawił i spytał, coby mu miała do rozkazania?

— Sądziłam oddawna — rzekła Dumont — że mnie się waćpan spytasz, dlaczego tak sobie z nim postąpiłam, nastraszywszy go w Krystynopolu... Widzę jednak, żeś nie ciekawy, a ja przecie mu to wytłómaczyć muszę, aby dlań nie było zagadką...

Tu przystąpiła bliżej i rzekła cicho:

— Miano waćpana w podejrzeniu!! rozumiesz mnie?

— O co? — zapytał Godziemba.

— A! o co! domyśl się waćpan! Nie byłeś bez winy... a dosyć było najmniejszego... cienia tylko, abyś i waćpan zginął i drugą osobę uczynił nieszczęśliwą.

Godziemba się zmieszał.

— Już się waćpan nie zapieraj — dodała Francuzka — ta druga osoba nie miała i nie ma dla mnie tajemnic... Ja wszystko wiedziałam i wiem.

— Ale ja nie wiem o niczem! — wybąknął Godziemba zmieszany.

Francuzka popatrzała mu w oczy.

— No, niechże sobie tak będzie — dodała — dosyć, że mnie waćpan rozumiesz, a mogłabym coś jeszcze powiedzieć więcej, ale... ale kiedy nie chcesz mieć dla mnie ufności, dam pokój.

Tadeusz stał milczący i widocznie nie pewien, jak się miał znaleźć.

Milczenie trwało czas jakiś.

— Ja jeszcze mam jedną prośbę do pana — odezwała się Francuzka. — Jest ona wszakże takiego rodzaju, iż równie jak to, o czem mówiliśmy, zaufania wymaga... więc nie wiem...

— Jeśli mogę czem być użytecznym — przerwał Godziemba.

— Przepraszam waćpana, nie o mnie tu wcale chodzi, nie o mnie...

Przeszła się parę razy po pokoju i znowu przybliżyła się do młodego dworzanina, który stał ciągle nieopodal ode drzwi.

— Siadaj-no pan — rzekła — i bądźmy dobrymi przyjaciołmi, ja mu się też na coś przydać mogę...

Pomilczała chwilę i odezwała się nagle, pochylając ku niemu:

— To dziwny człowiek ten Brühl... dla żony zupełnie obojętny... ta kobieta opuszczona... wzbudza we mnie największą litość, boć lepszego losu warta! Takie serce! Powiedz mi waćpan, to nie może być, on się w jakiejś innej kochać musi!

Pytanie to wypadło tak nagle, a było tak poufne, iż Godziemba, który nie czuł jeszcze wcale zbytniego zaufania do Francuzki, zmilczał chwilę, namyślając się, co ma odpowiedzieć. Jawnem dlań było, że kochała Maryę, że jej życzyła dobrze — to go za serce ujęło.

— To są tak drażliwe rzeczy — odezwał się w końcu — iż doprawdy... nie umiem o tem nic powiedzieć... Moje położenie nie dozwala mi tych tajemnic dostąpić.

— Przepraszam — zawołała Francuzka — jeśli kto,

to waćpan, waćpan jeden znasz na wylot młodego Brühla, to wszyscy wiedzą.

— Ale mi się ze stanu serca nie zwierza — uśmiechnął się Godziemba.

— Tak, waćpan masz oczy i przenikliwość — uderzając go po ramieniu, poczęła Dumont — to nie może być, ażebyś się nie domyślał...

— A gdyby i tak było — rzekł powoli dworzanin — do czego się zda to wiedzieć?...

— Hm — szepnęła Dumont bardzo poufnie i cicho — a jeżeliby pewna osoba życzyła sobie...

Na p e w n e j o s o b i e Francuzka mocny położyła nacisk.

Godziemba się zarumienił.

— Może-ż to być? — spytał żywo.

— Kiedy ja waćpanu powiadam! Wierz, nie wierz, jak chcesz...

Pan Tadeusz namyślał się długo.

— Wiesz pani — odezwał się wreszcie z jakąś energią nagle wydobytą z piersi — mam najżywsze uszanowanie dla obojga moich państwa...

— Spodziewam się jednak — żartobliwie wtrąciła Dumont — że dla jednej z tych dwóch osób masz waćpan coś więcej nad uszanowanie i pewne obowiązki...

Zmieszał się pan Tadeusz, lecz zaraz dodał:

— Dla pana cześnika mam wdzięczność za dobroć jego...

— Ale nudny waćpan jesteś — odezwała się Dumont, klepiąc go po ręku.—Jemu to nie uwłacza, że ma serce... i że się kocha! Wątpię, żeby się p e w n a o s o b a bardzo gniewała za to, a wiedząc, że z jego stro-

ny... na przywiązanie rachować nie może... no... czułaby się spokojniejszą.

Spojrzała mu w oczy. Godziemba był chmurny, zamiast się rozradować, jak Francuzka przypuszczała.

— No, ale mów-że waćpan...

Pan Tadeusz oczy spuścił.

— Niech pani nie sądzi o nim, żeby on był płochy i łatwy do odgadnięcia i do zwierzenia... Trudno go zbadać.

— Ale przecież?

— Jabym się ledwie śmiał domyślać.

— Kogo? czego? — Doprawdy — poczęła, niecierpliwiąc się Dumont — trzeba mieć anielską, zimną krew... kogoż się domyślasz?

Godziemba nagle wstał z krzesła.

— Słowo daję, nic nie wiem...

Dumont się rozgniewała, lecz wstrzymała wybuch nieukontentowania.

— Więc mam odpowiedzieć pewnej osobie, że... waćpan nie wiesz nic i nie śmiesz się domyślać!

Ruszyła ramionami, wstając także z krzesła.

— Przyznam się — rzekła — że są osobliwsze na świecie charaktery, które odpychają tych, co im chcą wyświadczyć przysługę!... odpychają cisnące się szczęście! Któż to rozumie...

Walczyć z sobą zdawał się Godziemba.

— To darmo — szepnęła Francuzka — kiedy waćpan mi nie wierzysz... niema co dłużej mówić... Stosunek ze mną mógłby mu być przydatny, lecz siłą nie narzuca się dobrodziejstwa. A! tak! to darmo! to darmo! — powtórzyła po razy kilka.

— Pani mnie zrozumieć nie chcesz — odezwał się

pan Tadeusz — ja, oprócz domysłów, nie umiałbym nic więcej powiedzieć...

— Więc są domysły? są do nich powody?...

— Znalazłyby się — rzekł niechętnie Godziemba— zapewne... Pan cześnik... ma nadzwyczajne uwielbienie, choć się z niem dosyć ukrywa... dla pani Sołłohubowej...

— Nareszcie — zawołała Francuzka, klaskając w ręce. — Ja się tego też domyślam, ale powiedz-że mi waćpan... jak się mu zdaje? mają bliższe stosunki?...

Tu zakaszlała i spojrzała znacząco.

— Innych nad te, na które wszyscy patrzymy, nie sądzę...

— Nie widują się z sobą potajemnie?

— Uchowaj Boże! — przerwał Godziemba.

— Nie pisują do siebie?

— Nie — zaprzeczył dworzanin — posyła jej książki.

— W nich mogą być listy... albo — albo miejsca znaczone... o! o! książki, przez nie wiele powiedzieć można...

— O tem nie wiem...

— Bo waćpan nic nie chcesz wiedzieć... A mąż? zazdrosny?

— Nie dostrzegłem tego. Jest zresztą z takiem dla żony uwielbieniem, że nie ośmieliłby się jej posądzać.

— Jakże ona dla Brühla?

— A! bardzo przyjaźnie usposobiona...

— Przecież — badała zręczna Francuzka — waćpan powinienbyś rozróżnić przyjaźń od innego uczucia...

— Nie śmiem wyrokować...

Po tej ostatniej odpowiedzi Dumont zdawała się tracić cierpliwość i nadzieję. Spojrzała, zbliżywszy się do zegara, na godzinę. Mrok już był w pokoju.

— Nie śmiem, nie śmiem! — powtórzyła — nieśmiałość, wiesz waćpan, jest może w kobiecie wdziękiem i przymiotem, ale jest w mężczyźnie defektem... Potrzeba być śmiałym, kto chce na świecie być szczęśliwym... A zatem, dobranoc... a gdybyś waćpan miał co na sercu, potrzebował rady przyjacielskiej, pociechy, zwierzenia, proszę nie zapominać o mnie.

Godziemba się skłonił i skierował ku drzwiom.

— Tak! tak, śmielszym być potrzeba! — powtórzyła odchodzącemu Dumont.

Drzwi się zamknęły.

— Na uczciwość! — rzekła sama do siebie — przy najlepszych chęciach, przy najszczęśliwszem położeniu, co tu człowiek poradzi dwom istotom, które chcą się męczyć? Trudno im narzucić... A! — tu westchnęła, myśląc, iż ona, gdyby się znajdowała w położeniu podobnem, inaczejby pewnie z niego korzystać umiała...

Namyśliwszy się, co z rozmowy miała udzielić wychowanicy, Dumont przeniosła się po chwili do salonu, w którym pani cześnikowa była sama. Męża jej nie było w domu, goście się rozjechali, na wieczór nikt się nie zaprosił i nie był zaproszony, miały go więc spędzić sam na sam.

Rozmowa zaczęła się od pogody. Francuzka jednak umiała ją sprowadzić na bliższe sercu sprawy. Cześnikowa dowiedziała się z przestrachem jakimś, że Dumont miała poufne spotkanie z Godziembą. Zlękła się tego, wzrok jej to wyrażał. Dumont zrozumiała i śmiać się poczęła.

— A przecież — szepnęła ostrożnie — ja wszystko, co poczynam, robię na mój własny rachunek. Wszak mnie ciekawą być wolno. Wzięłam go na spytki... Szło

mi ciężko, nie łatwo co wydobyć z niego. Milczek i ostrożny. Przecie w końcu... dobadałam tajemnicy...

Schyliła się jej do ucha...

— Cześnik się kocha... a wiecie w kim? Niema nic niebezpieczniejszego nad kuzynki i przyjaciółki... Rzecz pewna, że ma słabość dla Sołłohubowej.

— A! to dla mnie nie nowina! — rozśmiała się smutnie Brühlowa — i ona mu się wypłaca wzajemnością! Wiem o tem dawno! Lecz jakżeby on jej nie kochał, kiedy ona go tak dobrze rozumie! Oni są prawdziwie stworzeni dla siebie... Nie dziwię się wcale. Marya ma wszystkie jego upodobania, jest tak miła...

Dumont słuchała z podziwieniem spokojnego głosu cześnikowej.

— Więc się tego domyślałaś?

— Byłam pewna — dodała Brühlowa — i zaręczyć mogę, że to przyjaźń, której się oboje wstydzić ani kryć z nią nie mają potrzeby...

Francuzka zaczęła się śmiać po cichu, coraz głośniej potem, mocniej coraz i, nie mogąc niby wstrzymać się od śmiechu, pochyliła się aż na kanapę. Uścisnęła potem wychowanicę.

— O! moja ty droga, czysta i święta istoto! — zawołała — ty z siebie sądzisz o wszystkich.... Nie chcę cię wyprowadzać z błędu... Miłość rzadko umie mieszkać w obłokach, poić się promieniami, karmić rosą i być czystym duchem... To nad ludzkie siły... Każda się zaczyna od najczystszych żądań... a kończy na najzuchwalszych... Ale niech będzie, jak chce, byleś ty była spokojna...

— Ja wcale o męża nie jestem zazdrosna — dodała cześnikowa.

— Lecz gdyby, gdyby okazał się winnym...?

— Żalby mi go było bardzo, lecz... wina jego... nie spadałaby przecie na mnie...

— A! zapewne! przeciwnie — żywo wtrąciła Francuzka — mogłaby cię rozwiązać i uczynić swobodną.

— Mnie? — dodała zdumiona Marya z prostotą dziecięcia. — Moja przysięga i przyrzeczenie zawszeby mnie wiązały.

— Względem wiarołomcy?

— Tak sądzę — mówiła spokojnie Brühlowa — byłożby lepiej go naśladować?

Francuzka zamilkła, tym razem poważniejąc.

— Ale, mój Boże! — szepnęła smutnie Brühlowa— jak oni są nieostrożni, kiedy już na siebie oczy zwrócili... Ta Marya tak jest dziwna... Ja jej już mówiłam razy kilka, że... że się kompromituje. Odpowiedziała mi, śmiejąc się, że jej to wszystko jedno... Ale Sołłohub biedny jest zazdrosny... i mogą mieć przykrość.

Mówiła to tak spokojnie, jakby ją osobiście wcale ta sprawa nie obchodziła. Dumont nie mogła wyjść z podziwienia.

— Sołłohub zaślepiony — szepnęła.

— Tak, bo ją także bardzo kocha — wrzuciła cześnikowa — a ja kocham ją także... Ma w sobie coś tak miłego...

— Rywalka! — dodała dziwnie gwałtownie Francuzka. Cześnikowa podniosła oczy.

— A! nigdym rywalką jej nie była—dokończyła,— serca pana cześnika nie miałam... i nie roszczę praw do niego... — Ze spuszczonemi oczyma Brühlowa wzięła ze stołu robotę, rozciągnęła ją na kolanach, wpatrzyła się w nią i, szycie swe ukazując Francuzce, zapytała:

— Powiedz-że mi, moja Dumont, czy dno czarne, czy migdałowe będzie lepsze? Nie mogę się sama zdecydować. Sołłohubowa jest za czarnem. Ma wiele smaku... Mnie się ono wydaje za ostre... Ja lubię ciche barwy...

— A ja krzyczące! — ofuknęła trochę gniewna Dumont, spotykając tę niezrozumiałą dla siebie obojętność u cześnikowej. — Cela sera fade, nie cierpię bezbarwnych rzeczy... Taką byłam całe życie.

Rzuciła ramionami.

— Teraz się ludzie rodzą bez krwi, bez namiętności, bez uczucia — i nudzą się też na świecie... Co warta egzystencya taka! Nie rozumiem prawdziwie, nie rozumiem!

To mówiąc, dobyła z kieszeni talię kart i zaczęła kłaść pasyans na stoliku. Cześnikówna spojrzała na nią, zakaszlała cicho i, zawlókłszy w igłę włóczkę migdałową, pilnie się wzięła do roboty.

III.

Pochmurny był dzień jesienny, i może wilgotne a chłodne powietrze gości od Młocin odstraszyło. Spokojnie więc i cicho było w pałacyku cześnikostwa. Brühl od rana zamknął się w bibliotece i studyował Molière'a — po raz może pięćdziesiąty odczytywał „Tartuffa". Ktoby nań spojrzał, tak zatopionego, z twarzą spokojną i rozradowaną mistrzostwem pisarza, oddanego zupełnie rozważaniu dzieła sztuki i geniuszu, zgłębiającego warunki, w jakich charakter przedstawia poeta, aby go uwydatnić, nie domyśliłby się, że miał przed sobą syna wielkiego ministra, czynnie wmieszanego we wszy-

stkie ówczesne kabały i intrygi, popychanego co chwila do grania w nich roli stanowczej. Myślą i duszą całą Brühl był w innym a lepszym świecie. Cisza panująca dokoła, zaledwie przerywana powolnym chodem zegara, który posłuszny a bierny światu znaczył godziny, sam ich nie czując i nie mierząc, dozwoliła zatopionemu w czytaniu usłyszeć turkot w brukowanym dziedzińcu. Wzdrygnął się zlekka. Książka wysunęła się z rąk, oczy podniósł, zdając się wyrzucać losowi, że mu nasyłał natręta.

Chwilę tak siedział w oczekiwaniu przybycia, którego się lękał, łudząc nadzieją, że odwiedziny mogą nie być koniecznie do niego, gdy drzwi biblioteki uchyliły się i wszedł Sołłohub.

Ów szczęśliwy generałowicz jakoś smutnie i ponuro wyglądał. Zawsze to był ten sam żywy, piękny i nie sięgający ani uczuciem, ani myślami poza wrażenie dnia obecnego młodzieniec, jednak spoważniał i na twarzy jego widać było jakieś znużenie.

— A! stokroć cię przepraszam, mój Alojzy—rzekł ode drzwi — wiem, że jestem ci natrętnym, że oderwę od najmilszego zajęcia! Wiem, że w duszy możesz mi nie być rad, ale musiałem dziś przyjechać do ciebie.

— Cóż znowu za ceremonie robisz ze starym towarzyszem! — zawołał Brühl, wstając i podając mu obie ręce, z tą uprzedzającą grzecznością, którą wybornie przejął od ojca. Siadaj, mój drogi, nigdy mi nie możesz być ani natrętnym, ani zbytecznym, bo cię kocham.

Sołłohub począł zwolna rękawiczki zdejmować, kapelusz umieszczać, perukę poprawiać, mankietki pomięte wyciągać i prostować — łatwo było poznać, że przybył z czemś niemiłem do zgryzienia.

— Jakże ty się masz? — spytał.

Rozśmiał się Brühl.

— Wszakże wiesz — rzekł — że ja nigdy nie choruję, na to nie mam czasu.

— A! ty! ja tobie wszystkiego zazdrościć muszę — odezwał się przybyły, szukając krzesła i starając się je umieścić w sposób dogodny, co wyglądało tylko na zabicie czasu i roztargnienie. — Ty — mówił — jesteś we wszystkiem szczęśliwy... nie tracisz humoru, nie bierzesz nic do serca, wieczna pogoda na twem czole, wieczny pokój w duszy.

Pan Alojzy spojrzał, nic nie odpowiadając.

— Prawdziwie — ciągnął dalej Sołłohub — gdy takiemu jak ty filozofowi przyjdzie zamącić spokój, człowiek czuje to w sumieniu...

Brühl, posłyszawszy ostatnie wyrażenie, drgnął nieco.

— Jadłeś ty śniadanie? — przerwał.

— Dziękuję ci, nie mam apetytu...

— Zrzuć-że odrazu z serca, co na niem cięży, lżej ci będzie...

Westchnął Sołłohub, poprawił się w krześle, wziął rozłożonego Molière'a, spojrzał i położył go znowu na stoliku.

— No, powiem ci — począł — że wprost przyjechałem do ciebie, aby cię ostrzedz... Jestem przyjacielem, życzę ci dobrze, nie radbym widzieć w przykrem położeniu...

— Cóż to jest? — obojętnie wtrącił cześnik.

— Na was, to jest na ojca twojego burza się gotuje. Ciebie, ciebie niemal wszyscy kochamy; minister ma tysiącami nieprzyjaciół. Sejm się zbliża... umysły są

okrutnie podrażnione... Familia... gotuje się do jakiegoś kroku szalonego, wiesz, że ja, będąc związany z Radziwiłłami, trzymam ze dworem, z wami, Potockimi i hetmanem... Lecz walka się nie rozpoczęła jeszcze... bywam wszędzie, słyszę wszystko, uszu moich dochodzą mimowolnie wszystkie uliczne wieści... Co wy myślicie? Czy wiecie co wam, a najbardziej co tobie grozi?

— Cóż mi zagrażać może? — chłodno zapytał, siadając, cześnik — naprzykład?

— Familia wywołała skandal na sejmie... Jesteś wybrany posłem z ziemi Warszawskiej — mówił po cichu Sołłohub. — Między nami mówiąc, wasze polskie szlachectwo jest fikcyą... zadadzą ci najboleśniejszy raz — zaprzeczając mu.

— Kto? — spytał Brühl.

— Familia...

Rozśmiał się cześnik.

— Ale, mój drogi Sołłohubie, któż ojcu i mnie to szlachectwo wyrobił, jeśli nie ta Familia? Któż ustąpił ze starostwa dla mnie? wojewoda ruski... Przed kim ja składałem przysięgę? przed ich szwagrem, wojewodą mazowieckim...

— Tak, wszystko to prawda — odparł generałowicz — ale w namiętnościach politycznych niema logiki. Oni was uszlachcili i oni zechcą pokazać, co ich potęga znaczy...

Zamyślił się Brühl i ziewnął.

— Wiesz co — rzekł — to są rzeczy tak nudne... assomantes, a ja zwykłem tak w nich ślepo być posłusznym ojcu, że gdyby ci to wszystko jedno było mówić o czem innem?

— Zmiłuj się, tu idzie o twą skórę! — rozśmiał się przybyły.

— Sądzisz, że aż o skórę? — ze śmiechem zimnym odparł Brühl.

— No, dosłownie tego brać nie potrzeba może... — odezwał się Sołłohub — ale, jeśli Familia szlachtę rozdrażni... ha! któż wie!

— Policzymy się — wtrącił cześnik. — Wierzę mocno, że Familia ma za sobą znaczną część szlachty... nie przeczę jej siłe, ale my też, Potoccy, Radziwiłłowie, hetman, partya dworska, część posłów wielką mamy za sobą, a tu w Warszawie, pochlebiam sobie, że i ja znajdę trochę przyjaciół. Nim przyjdzie do stanowczych kroków, Familia rozliczy siły i nie porwie się.

— A ja ci mówię, że się rzuci i rzuci się na ciebie! — zawołał Sołłohub — ty będzisz kozłem ofiarnym, a ciebie mi żal...

Brühl uścisnął przyjaciela.

— Bóg ci zapłać — rzekł — przestrogę twą powtórzę ojcu, sam nie pocznę nic. Między nami, tak mnie to mało obchodzi... a tak mi to jest zarazem obrzydłe...

Nie dokończył.

Sołłohub, daleko goręcej snadź biorąc do serca sprawę Brühla, niż on sam, wnet począł znowu:

— Według mnie ojciec twój zawinił... Przy ostatniej promocyi... Familia chciała, aby jej kandydaci otrzymali nominacye... Prowadzili na krzesło wileńskie Ogińskiego...

— Wiem o tem — rzekł Brühl — lecz Familia wymagała nominacyi, nie dając nam nic wzamian, nawet spokoju... Groziła królowi, groziła nam i groźbą złamać nas chciała. Uledz było to się uznać zwyciężonymi, abdykować... Tego nie mogliśmy dopuścić.

— I doprowadziliście do wojny...

— Nie ja — westchnął Brühl — zrzekłbym się wszystkiego dla spokoju... Ja jestem tem ziarnem żyta niewinnem, które między dwoma kamieniami młyńskimi Czartoryskich i Potockich zgniecione być musi... To się zdaje mem przeznaczeniem.

— I nietylko ja, ale wszyscy nad tem boleją — mówił generałowicz — nawet nieprzyjaciele ojca twojego. Książę Adam spotkał mnie wczoraj, i może umyślnie użalał się zawczasu nad twym losem, upewniając mnie, iż się o to postara, aby ci włos nie spadł z głowy.

Zarumienił się cześnik i żywo odparł:

— Niech książę Adam będzie spokojny, my sami starać się o to będziemy... Jak sądzisz — dodał po chwili — czy on sam myśli przeciw mnie wystąpić? Toby było zabawne!

Rozśmiał się.

— O ile wiem, nie on, ale młody stolnik litewski.

— Którego ojciec ode mnie odbierał przysięgę — zawołał Brühl, ruszając ramionami. — Żal mi go, że będzie musiał grać tę rolę. C'est un galant homme, wcale do tego rodzaju burd, jaka się w sejmie obiecuje, nie przeznaczony... równie jak ja, żeby być ich ofiarą...

— Kogoż wy postawicie ze strony waszej? — zapytał Sołłohub.

— Ty się mnie pytasz — odpowiedział Brühl — a ja musiałbym o to mojego ojca...

Nic nie wiem, domyślam się tylko, iż na czele naszej partyi stanie ten, którego nominacya na województwo wileńskie wszystkiej tej wojny bodaj jest przyczyną... najpotężniejszy z panów w Rzeczypospolitej... wasz kuzynek...

Sołłohub potrząsł głową.

— A! jeśli książę Karol stanie na czele, możesz być pewnym, że się bez guza nie obejdzie... Ordynat nieświeski, słucki, klecki, ołycki, żółkiewski, pan na Łachwie, Dryświatach, Białej, Złoczowie i Kamieniu... a mój dostojny kuzynek... jeśli swą Litwę szaraczkową przyprowadzi z sobą na sejm, skończy się na szablach... On inaczej nie rozumie, panie kochanku. Sprawy żadnej, tylko pięścią w oczy...

— Mamy za sobą i hetmana Branickiego — rzekł Brühl.

— Potęga wielka, ale siedemdziesiąt trzy lata... każą mu zdać i tę sprawę na Mokronowskiego.

Tu uśmiechnął się Sołłohub.

— Hetman Branicki lubi odgrywać rolę królika, gdy janczarowie warty w Białymstoku zaciągają, gdy u stołu toasty na cześć jego wznoszą przy huku moździerzy... lecz gdzie trzeba być czynnym, starowina, czy przy pani Izabelli, czy na sejmie wyręczy się Mokronowskim.

Po tym ucinku zamilkł Sołłohub, spuścił oczy, począł się długo przypatrywać końcom swych trzewików, westchnął parę razy i zdawało się, że skończył rozmowę.

Brühl chodził zadumany po bibliotece.

— A więc nadziei pokoju?

— Niema najmniejszej — dodał generałowicz. — Ojciec twój rozdał wszystkie urzędy, które mogły stanowić okup... i sam wypowiedział wojnę. Mianowanie Radziwiłła doprowadziło ich do rozpaczy.

Sołłohub jakiś czas jeszcze starał się niebezpieczeństwo grożące odmalować Brühlowi, który zaledwie go słuchał.

— Wiesz co — rzekł — ja zupełnie tu jestem neutralnym... Chcesz pomówić z ojcem, jedźmy do niego.

— Jedźmy — odparł Sołłohub.

Konie zawsze były w gotowości.

Cześnik zadzwonił.

— Niech powóz zachodzi.

Przyniesiono płaszcz, kapelusz i rękawiczki. W chwilę potem siedzieli w powozie milczący, a konie niosły ich do stolicy, którą widać było przed nimi.

Ministra o tej godzinie trzeba było szukać w pałacu saskim u króla.

Wysiedli przed nim, a młody Brühl, spytawszy pazia, który się nastręczył, wprowadził za sobą Sołłohuba do gabinetu ojca, przytykającego do wielkiego salonu.

Drzwi były napół uchylone... dochodziła z niego żywa, przerywana, rozmaitymi głosy prowadzona rozmowa. Z tonu jej wnieść było łatwo, że umysły podrażnione i gniewne udział w niej brały... Niekiedy spokojny, łagodzący odzywał się, łatwy do poznania głos ministra; przerywali mu ostrzejszymi tony, na przemiany coraz inni interlokutorowie... Odbywała się w sali narada, do której Sołłohub ani prawa, ani ochoty nie miał należeć.

Cześnik zajrzał przez uchylone drzwi i dał mu znak, ażeby usiadł. Ojciec już wiedział o nim — czekać na niego musieli. Dochodziły tu ich głosy wzburzone, wykrzykniki namiętne, które Brühl uśmierzać i łagodzić musiał... Wreszcie zaczęli się goście po jednemu wynosić, i minister wolnym krokiem wszedł do gabinetu, w którym zapewne syna tylko zastać się spodziewał. Twarz jego była posępna, piękne czoło sfałdowane, oczy spuszczone. Wychodząc z narady, snadź nie sądził, że tu

obcego zastanie, nie starał się więc nadać fizyognomii wyrazu kłamliwego. Dopiero spostrzegłszy Sołłohuba, ocucił się jakby ze snu i uśmiechnął, usiłując przybrać weselsze oblicze. Z nadzwyczajną uprzejmością powitał gościa.

— Kochany ojcze — odezwał się cześnik — Sołłohub, nasz dobry przyjaciel, przybył mnie ostrzedz o zamachach i wojennych usposobieniach familii. Ja, ponieważ się nie mieszam do tego tylko o tyle, o ile każecie, przywiozłem go tu... Zdaje mi się, że generałowicz zbytecznie przez przyjaźń dla mnie się lęka.

Brühl stary wdzięcznie najprzód rękę przybyłego ścisnął.

— Nieskończenie mu jestem obowiązany za ten dowód jego przyjaźni — ale cóż to tam groźnego?

— Wasza Ekscelencya wiesz to zapewne równie, jak ja... Zbiera się burza przy rugach... chcą wystąpić przeciw szlachectwu pana cześnika...

Stary ramionami poruszył.

— Które oni sami nam doradzili i dali, i które ja — l'ai eu la faiblesse de ne pas refuser. Mogłem to samo zrobić inaczej i bez ich pomocy... ale stało się... Zapomniałem o jednej wielkiej maksymie, którą obu panom młodym polecam, jako najważniejszą w życiu: Z przyjaciołmi zawsze należy tak postępować, jakby jutro wrogami się stać mieli. O tem nie pamiętałem, gdyśmy z Familią szli ręka w rękę, i za to pokutuję...

Grożą mi — dodał — grożą nam... ha! zobaczymy!... sprezentujemy z obu stron siły nasze. Jeżeli wojewoda ruski z kanclerzem i młodą szlachtą Poniatowskimi więcej zaważy w Rzeczypospolitej, niż Potocki wojewoda kijowski, niż Radziwiłł wileński i pan hetman, a

w ostatku sługa pański (tu się skłonił), naówczas parlamentować będziemy... ja jakoś serca nie tracę.

Cześnik koronny popatrzał na ojca i widocznie się uspokoił. Minister zbliżył się do syna.

— Mój Alojzy — rzekł ciszej — matka twoja... trzeba, ażebyś był u matki... Mnie tu trzyma nasz biedny król... ja się wyrwać nie mogę... Chce koniecznie niedźwiedzia... a tam... twoja matka.

— Chora? — niespokojnie przerwał Alojzy.

— Jest bardzo źle, bardzo źle — żywo powtórzył minister — jedź do niej. Minąłeś się z posłańcem, którego posłałem po ciebie — ciągle się z tobą widzieć żądała.

Cześnik rękę wyciągnął do Sołłohuba, który, nie mówiąc już słowa, wstał także i począł się żegnać z ministrem.

Brühl zamyślony mruczał niewyraźnie:

— Jak ci się zdaje, Sołłohubie? czy wojewoda wileński przyśle mi niedźwiedzia dla króla?

I, nie dosłyszawszy odpowiedzi, dodał żywo:

— Familia poi i karmi szlachtę... ale książę kanclerz w żywe oczy z niej szydzi... Szlachta to rozumie, nie będą jej mieli po sobie.

Wychodzili już, gdy w zabłoconych butach, z twarzą od deszczu i wiatru wysieczoną, wszedł przybywający z Drezna z papierami Wolfersdorf. Minister się zwrócił ku niemu. Z drugich drzwi szambelan wzywał go do króla. Paź jeden oznajmował przybycie biskupa krakowskiego, drugi któregoś z kasztelanów. Brühl zasępioną twarz potarł dłonią i, wydając rozkazy na wsze strony, wybiegł szybko z pokoju.

Cześnik śpieszył do matki.

Hrabina już od kilku tygodni była niemal dogorywająca — życie, z którem zwycięską walkę wiodła lat tyle... które się jej uśmiechało i dało, czego tylko zażądać mogła — oprócz szczęścia — opuszczało ją. Czuła się znużoną śmiertelnie i nie pragnęła już żyć...

Przed brühlowskim pałacem nasłana grubo słoma w ulicy i dziedzińcu zapowiadała w nim chorą. Wszystko tu zdawało się już wymarłe... Służba stała milcząca, poruszając się cicho i ostrożnie. W wielkich salonach nie było żywej duszy. Cześnik ze smutkiem w sercu, z głową zwisłą, powoli kierował się ku sypialni, gdy przed nią spotkał siostrę, marszałkową Mniszchową, z chustką na oczach, zapłakaną i hamującą łkanie.

Spojrzeli tylko na siebie. Siostra ta i brat, z całego rodzeństwa najbliżsi siebie wiekiem, najbliżsi też byli sercami i darami umysłu. Kochali się, jak dwie istoty, które się rozumieją i czują nie krwią, ale duchem pokrewne. Też same gusta i myśli, też same łączyły ich losy.

— Matka? — zapytał Brühl.

— Jest bardzo źle — szepnęła marszałkowa — idź, ja nie mogę, bo przy niej płakać nie chcę, a łez wstrzymać mi już niepodobna... Od rana pyta się o ciebie i domaga.

Cześnik zasłonę, która drzwi okrywała, uchylił i wszedł do sypialni matki. Pokój był firankami przyciemniony. Woń jakichś leków złowrogich powietrze do oddychania ciężkiem czyniła. Oczyma szukał syn chorej na łożu, lecz pawilon jego był odwinięty, na fotelu obok z głową na ręku wspartą siedziała hrabina...

Oczy miała wlepione w komin, na którym głownie dogorywały. Cała osłoniona chustami, z głową przykry-

tą, wydawała się jakiemś widmem obwiniętem w całuny, z pod których tylko biała, wychudła twarz i ręce suche wyglądały. Pomimo wieku i choroby, oblicze hrabiny zachowało rysy piękności, której ani namiętności, ani ból, ani nieszczęście lat ostatnich zetrzeć nie zdołało.

Wspaniale była i majestatycznie piękna, a gorączka przedśmiertna, która raz ostatni zaogniła jej oczy, nadawała charakter groźny... coś wieszczego i już nieziemskiego.

Ujrzawszy syna, wyciągnęła ręce.

— Przecież! przychodzisz... mój drogi! jakżem czekała na ciebie... bałam się umrzeć — choć czas! a! czas... alem chciała pożegnać, uścisnąć! zobaczyć twarz twoją, biedne ty dziecko moje, aby jej obraz zanieść z sobą...

Brühl całował jej ręce.

— Przecież nie gorzej jest dzisiaj? — zapytał.

— A! lepiej, lepiej! bo się przybliża godzina wyswobodzenia... czuję, jak życie uchodzi.

Spojrzała na syna i drżącą dłonią powiodła po jego twarzy zamyślona.

— Cóż ty? — mów.

Cześnik się uśmiechnął, o sobie nic powiedzieć nie umiał.

— Ofiary! — ciągnęła, jakby sama do siebie mówiąc, chora — wszystko ofiary... ja, wy... tak! Nie mogło być inaczej. Narzędzia i ofiary — wielkość opłaca się drogo... Smokowi temu rzucają na pastwę dziewice, dzieci, krwawe serca, aby mu o jedną paszczę więcej urosło...

Rozśmiała się smutnie.

— W końcu, gdy życie dogasa, jak się to wydaje okrutnem! ale są przeznaczenia.

Zwróciła twarz.

— Mniszchowa — rzekła cicho — ty, ja... jak mi cię żal, dziecko moje... — Pocałowała go w głowę. — Tyś nie był stworzony do tego ukropu, w który cię wtrącono — ani ja. Ale ja z wrzątkiem się oswoiłam, żyć z nim mogłam — a ty, biedaku?

— Ja także nie skarżę się — szepnął Alojzy.

— A tak! skarżyć się nie trzeba, bo na skargi odpowiadają szyderstwem, cierpieć i śmiać się. Wszystko to śmieszne...

Zamilkła, a potem dodała:

— Wy może wrócicie do Drezna — pokłoń się staremu miastu naszemu, którego ja nie zobaczę... przyjdzie mi spocząć jeszcze ofiarą na obcej ziemi, na której niema spokoju... To kraj wrzawy i zajadłych walk...

A! jak mi cię żal.

Łzy potoczyły się z oczu, podparła się na dłoni, zadumała znowu. Wtem, zasłonę uchylając, weszła Mniszchowa po cichu. Matka poczuła ją raczej, niż posłyszała, zwróciła głowę — patrzała na dzieci, stojące przed sobą, i strumienie łez nie ocierane toczyły się jej po twarzy. Widząc, że córka tamuje z trudnością płacz, obróciła się do niej.

— Mnie płakać wolno — rzekła — bo żałuję was, co jeszcze dużo cierpieć macie — a wam się płakać nie godzi, że ja odchodzę: jam żyła i przeżyła samą siebie. Po co żyć? Wszystko znane powtarza się dokoła, ludzie nudzą, świat męczy, ciało dolega — pragnienia ustają... wyczerpane wszystko do dna. Gdyby mi dawano życie

napowrót z warunkiem, bym je tak samo znowu, jak wprzódy, przeżyła, a! nie chciałabym go za nic...

Mniszchowa klękła przy niej i, ujmując ją za rękę, cicho szepnęła:

— Lekarz nakazał spokój, mówienie mamę porusza.

— Nic mi już nie pomoże i nie zaszkodzi — odpowiedziała po cichu, ale wnet, jakby posłuszna, zamilkła, oczy zwróciła na ogień, potem na dzieci i powtórzyła razy kilka:

— Ofiary! ofiary! wszystko ofiary.

Stąpanie dało się słyszeć zdala, głowa się podniosła, oczy skierowały na drzwi, widocznie poznała czy przeczuła nadchodzącego. W progu ostrożnie wsuwający się ukazał minister. Wchodził pomieszany, twarz ułożywszy obojętną do smutku. Zbliżył się do krzesła i stanął, pochylając ku hrabinie.

— Jakże dziś — lepiej?

Uśmiechnęła się.

— Zupełnie dobrze! widzisz... nie mogło nawet być lepiej.

I ręką wskazała dzieciom, aby wyszły, a mężowi krzesło, które przed chwilą przesunęła była Mniszchowa. Posłuszne dzieci wyszły, minister widocznie zakłopotany usiadł.

Przez czas jakiś milczenie trwało, bo chora myśli się zbierać zdawała.

— Ofiary! ofiary! — poczęła znowu, jakby sama do siebie. — Brühl! kiedy tych ofiar będzie dosyć... i kiedy wielkością się nasycisz? powiedz mi.

Minister milczał długo. Nie doczekawszy się odpowiedzi, chora mówiła dalej:

— Król — ja — dzieci — dwa kraje — tysiące

ludzi — ofiary! Brühl! czy się to kiedy skończy?... Syt jesteś...

— Masz trochę gorączki! — odezwał się grzecznie minister — a to mówienie...

— Ja? życie całe miałam gorączkę, która mnie spaliła... Płoniemy na stosie dla ciebie... powiedz mi, jesteś szczęśliwy?

Poruszył się niecierpliwie na krześle Brühl i począł patrzeć na ogień, nie odpowiadając nic. Ręką jedną szarpał mankietki u drugiej.

— Doktór bardzo zalecał spokojność — odezwał się łagodnie — gdybym wiedział, że moje przybycie rozdrażni, byłbym się wstrzymał, lecz... sam będąc niespokojny, chciałem się przekonać o stanie jej zdrowia. Może nie w porę.

— Bardzo w porę... później już byłoby zapóźno — rzekła nieco zmienionym głosem hrabina, i wyciągnęła rękę ku niemu, łagodniej mówiąc:

— Trzeba sobie przebaczyć, trzeba się pożegnać. Ja ciebie nie winię. Mam tylko prośbę jedną.

Minister żywo się pochylił ku chorej.

— Co tylko mogę — wyjąknął.

— Wszak ty możesz wszystko! a moja prośba za dziećmi... niech dosyć będzie tych ofiar! Mniszchowa... Alojzy... rzuceni w paszczę... ty sam, i ty ofiarą jesteś. Wszak syt być możesz... spoczynku! — pokoju! ciszy! dla nich.

Minister zawahał się widocznie z odpowiedzią.

— Ale wojna się kończy... pokój spodziewany... mam nadzieję, że powrócimy do Drezna, i ty, naówczas pomyślimy o spoczynku.

— Ja? — rozśmiała się smutnie hrabina — ja?

powrócę do ziemi, z której wyszłam... ale nie do tej, na której poczęłam życie. Ja? o mnie zapomnijcie... Proszę za dziećmi... Alojzy... daj mu swobodę — on nie jest do tych walk stworzony.

Minister, który się zdawał namyślać, podniósł nieco głos.

— Nie ja winienem, ale losy i okoliczności... Ofiary? cóż bez ofiar! Nie poszły one darmo przecie... My — podnieśliśmy się najwyżej... aż do tronu... twe dzieci postawiłem na szczeblach, z których sięgnąć mogą, gdzie zechcą. Otoczyłem was dostatkiem — poszanowaniem — blaskiem.

— A wszystko to ciężyło, jak kajdany — przerwała hrabina — były to spróchniałe owoce z nad Martwego morza, popiół w nich. Zaklinam cię, daj dzieciom szukać szczęścia, gdzie zechcą... Słyszysz! mnie dochodzą jęki, szlochania, które wycisnąłeś ty. Saksonia płacze i przeklina, ten kraj się burzy... a ty?

Brühl wstał z krzesła nagle, jakby go co rzuciło.

— Ale pani! — zawołał — ja jestem cierpliwy, dla chorych wyrozumiały, a jednak już mi trudno, męczyć ją dłużej moją przytomnością i samemu dać się brać na te tortury.

To są gorączkowe wizye, proszę się uspokoić.

Wyjął zegarek, spojrzał nań, chciał ująć ją za rękę, lecz hrabina zwolna mu ją usunęła.

— Masz słuszność — odezwała się — dziś to słowa daremnie na wiatr rzucone — za późno! Ofiar z paszczy nie wydrę. Muszą być ofiary, nie ocaleje nikt, tak, ofiary! aż do końca... do ostatniej.

Minister już był wyszedł po cichu, a usta jej powtarzały jeszcze ten wyraz, który myśl opanował. Było

to ostatnie słowo jej życia. Z tem słowem zamknęły się tegoż wieczoru usta na wieki.

Zgon hrabiny był oddawna spodziewany, przed królem tylko tajono jej stan niebezpieczny, tak jak ukrywano przed nim większą część wypadków, mogących utrapienia, jakich doznawał, powiększyć jeszcze.

Wieczorem, gdy we wszystkie dzwony uderzono po kościołach, August się strwożył i wysłał szambelana, aby się dowiedział, kto zmarł.

Przyniesiono królowi nazwisko jakieś nieznane, spojrzał i nie odpowiedział nic. Spytał o Brühla. Ministra nie było, wezwano go właśnie do umierającej, królowi powiedziano, że jest na radzie. Niespokojny, kilka razy posyłał po niego.

Późnym wieczorem z posępną twarzą wszedł nareszcie minister. Jakkolwiek usiłował pokryć wrażenie, którego doznał, zdradzało go wzruszenie. Król, poznawszy po nim, że coś z sobą przynosi niepomyślnego, strwożony, zapytał natychmiast:

— Brühl! mów mi prawdę, co się stało?

— Najjaśniejszy Panie — odparł po chwili namysłu minister — poniosłem najcięższą w życiu stratę. Hrabina Brühl nie żyje.

August zakrył oczy dłońmi i wnet wstał, aby się rzucić ukochanemu słudze na piersi. Łez miał pełne powieki, drżał i płakał, ale nie rzekł słowa.

W milczeniu przeszła chwila. Król usiadł wsparty na ręku.

— Nieszczęśliwi my jesteśmy! — szepnął. — Tu nikt długo nie wytrzyma, tu wszyscy umierają. Brühl, zostaw mnie samego.

Ucałowawszy rękę pańską, cofnął się minister na palcach. Kazano przywołać kapelana.

Wieść o stracie, jaką poniósł Brühl, rozeszła się tegoż wieczoru po Warszawie; lecz umysły wzburzone przeciw niemu nie dały się nią powstrzymać od dalszego działania.

Partya, która starała się pomścić na Brühlu, widziała w tem tylko prawie szczęśliwe zrządzenie losu, odejmującego siły przeciwnikowi. Pomylono się jednak; był on z tych ludzi, których serce może się poruszyć na chwilę, lecz rachuba włada nimi i nałóg zwraca ich na dawne tory. Ciało spoczywało jeszcze w dolnej sali pałacowej, wybitej suknem czarnem, jaśniejącej tysiącem świateł, zapełnionej duchowieństwem, gdy Brühl zwoływał już radę swoją i szykował przyjaciół do boju. Z mocą ducha, która mogła się nazwać obojętnością zarazem, rozporządzał wspaniałym pogrzebem i wysyłał zauszników swych do śledzenia ruchów Familii. Nie było czasu do stracenia. Obóz przeciwny ściągał masami szlachtę, dla poparcia tłumem i wrzawą skandalu, jaki miano na sejmie wywołać. Brühl i Potoccy słali też gońców na wsze strony za przyjaciołmi swymi, powołując ich, aby przybywali zawcześnie.

Familia, która się gotowała wystąpić jawnie przeciw Brühlom, zachowywała jednak pewne względy dla dawnych z nimi stosunków. Spotykano się z pozorną grzecznością, mówiono mało, patrzano sobie bystro w oczy. Na pogrzeb hrabiny nieprzyjaciele stawili się, aby okazać, że grubiańsko chybiać nie chcą i zachowują pewną litość nad tym, którego samo niebo ścigać się zdawało. W orszaku ścierali się i stali obok siebie ci, którzy za dni kilka mieli wystąpić z zajadłością do boju... Ale

daleko liczniej i wspanialej występowały rody sprzymierzone, Potockich, Radziwiłłów i szlachty, zostającej pod rozkazami dwóch królików Rusi i Litwy. Wojewoda wileński sam jeszcze nie przybył do Warszawy, ale ogromny orszak już go wyprzedził.

Na pogrzebie więc tym mogli się niemal policzyć zapaśnicy, i za trumną szli z myślą, kto kogo pokona i upokorzy. Brühl postępował za nią blady, na pozór spokojny, jak gdyby boleśnie i głęboko czuł stratę, chociaż schodząca do grobu ofiara od nowych po powstrzymać nie mogła.

IV.

Sejm się zbliżał, stolica napełniała; położenie Rzeczypospolitej wymagało, aby doszedł do skutku, lecz po tylu zerwanych, gdy w obyczaj poszło, aby fantazya jednego hamowała kraj cały — trudno się było spodziewać dziś pomyślnego wypadku, wśród umysłów więcej niż kiedy poruszonych, gdy dwa obozy stały przeciwko sobie, zwoławszy całe zastępy najwytrawniejszych, najprzebieglejszych warchołów. W miarę jak posłowie się zjeżdżali, ruch też się powiększał i agitatorowie zaczynali być czynni. Obie strony miały tych niepozornych, wszędzie się wciskających, nie noszących jawnej barwy ludzi, którzy bywali wszędzie i umieli przyciągać łatwowiernych, łudzić lub przestraszać.

Znowu tedy w gospodzie u Peszla było tłumno i pan podkomorzy Laskowski, należący, jak jeszcze w XVII wieku ich zwano, do neutralistów, w dobrej wierze

nakłaniający do zgody, napawał węgrzynem przyjaciół swych: pana Kostrzewę, Babińskiego i Ocieskiego. Ostatni, chociaż Brühlom winien był polepszenie losu, za czasów, gdy oni z Familią byli w najlepszych stosunkach, teraz także, jak pan Laskowski, unikał czynnego mieszania się do spraw publicznych, aby nikomu się nie narazić.

— Kaduk że ich wie — szeptał po cichu — pójdę na lewo, prawa się na mnie zagniewa, pójdę na prawo, lewica mścić się będzie... a co najgorzej? kat to zrozumie. Wczoraj byli z sobą za panie bracie — dziś są na udry, jutro mogą się znowu ściskać, a na mnie się skrupi. Nie głupim.

Podkomorzy nic nie mówił.

— Familia się odgraża i sroży — szepnął Ocieski— a no, mnie się zdaje, że finalnie ręce sobie podadzą...

Laskowski głową kiwał.

— Ciekawym skarbnika, co on też powie — wycedził przez zęby — jest on zoilowatej natury, zgryźliwy, ale widzi jasno, przyrzekł mi się tu... tylko co go nie widać.

Nie widać go w istocie było, mimo przyrzeczenia, a tymczasem w izbach u Peszla, jak na sejmiku, wrzało i gardłowano aż strach.

Przy szkle spotykali się ludzie różnych przekonań, a szkło ma to do siebie, iż wydobywa z ludzi, co w nich leży na dnie. Więc nawet kto przyszedł z mocnem postanowieniem trzymania języka za zębami, za drugim kieliszkiem mruczał, za trzecim się rzucał, a po czwartym wybuchał. A byli tacy, co chętnie na wino zapraszali i płacili. Ci mówili najwięcej... poglądano na nich z ciekawością i obawą.

Gwar był w głównej salce taki, że jedni drugich nie słyszeli dobrze. Co chwila ktoś nowy wchodził i witano hucznie — a tuż gromadka pokrewna wciągała przybysza. Pakowano mu zaraz szkło do ręki, aby nie próżnował, a że obyczajem było nie pić darmo cudzego, jeśli się swojego nie postawiło — stawił tedy gość i przeciągała się rozmowa i cmoktanie do późna.

Już mrok był padł i łojówki przy ścianach pozapalano w świecznikach ze zwierciadełkami, co niby miało światło powiększać, gdy skarbnik Zagłoba wszedł ostrożnie, od progu się rozpatrzył w ludziach, przesunął cicho do drugiej izby i, Laskowskiego zobaczywszy, wpadł do niej, drzwi zatrzaskując za sobą.

Tu go wiwatem powitano.

— Na Boga, cóż tak późno! — zawołał Laskowski do wchodzącego.

Skarbnik czapkę zdjął z głowy, ramiona podniósł i przeszedł się po izbie milczący, gładząc czuprynę, a nie mówiąc nic. Posępny był.

— Co ci jest?

— A no... nic! nic! byłem na nieszporach. Dalipan modlić się trzeba o Ducha Świętego, bo człek nie wie, co z sobą począć... taki chaos!... Co to będzie? co to będzie?...

Siadł wprost naprzeciw gotowej lampeczki, wziął ją w rękę, pod światło, spojrzał na wino i nadpił zadumany.

Laskowski się przysunął.

— No, co wy na to mówicie? co?...

— Gdybymże wiedział, co powiedzieć! — westchnął skarbnik. — Moje konwikcye wiecie — tu się obrócił do podkomorzego — Niemców nie lubię... chociaż Brüh-

lowie względem mnie i Potoccy bardzo się *generose* znaleźli... ani słowa... Któż tu dojdzie sprawy? Obie strony mówią: chcemy ładu... chcemy spokoju... a obie ład psują i pokój mącą...

— A mnie się zdaje — zawołał Laskowski — że nim do sejmu przyjdzie, oni zawrą *pacta conventa*. O co idzie? pewno nie o Rzeczpospolitą, ale o urzędy i starostwa... podzielą się niemi i kwita.

— Licha tam — odparł skarbnik — co było urzędów wakujących, król rozdał Potockim, Brühlom i Radziwiłłom. Familia się wścieka i gotuje awanturę...

— A co ona zrobi — wtrącił Ocieski — z czem? jak?... Hetmana Gryfa z sobą mają i księcia wojewodę wileńskiego; ten, mospanie, niedźwiedziami jeździ, a ludzkie życie mu za nic... Widzieliście co za ciżba około pałacu Radziwiłłowskiego?... Książę w żałobie, dwór i przyjaciele włożyli żałobę, połowa Warszawy czarno... Familia się nie porwie, wie, czem to pachnie...

Skończył Ocieski, drudzy milczeli.

— Ja mówię, że oni się rozpatrzywszy pogodzą... — dodał Laskowski.

— A sejm? — zapytał Kostrzewa — czy dojdzie?

Wszyscy zamilkli znowu.

— Tego nikt nie wyprorokuje — mruknął po długim przestanku Babiński — lada wywłoka, z pozwoleniem, wlezie na ławę *activitatem* i izba *in passivitate* nic już zrobić nie może... póki jegomościa nie uproszą, nie rozsiekają, lub, jeśli drapnął, nie złapią...

Machnął ręką okrutnie ponad głową, z piersi mu buchnęło westchnienie, które jedną świecę zagasiło, i zamilkł. Wtem się drzwi otworzyły i przez nie ukazała się głowa nieznajomego mężczyzny, w czapeczce małej

na głowie, z twarzą rumianą i oczyma błyszczącemi. Obejrzał on szybko siedzące u stołu towarzystwo i raźno jakoś wskoczył do izdebki. Był jeszcze dobrych lat i piękny człek, co się zowie, z okrągłym już brzuszkiem, ubrany wykwintnie, nadewszystko umiejący się obracać zręcznie, gibki, giętki, ruchawy i z pewną gracyą poruszający się, razem oczyma, rękami, nogami i ustami nie próżnując. Znać w nim było człeka i do wypitej i do wybitej, ale nie pospolitszego kalibru, tylko do lepszego należącego towarzystwa. Z oczu mu patrzało, że na dworze bywać musiał, i gwiazdy na piersiach go nie oślepiały. Z pewną wyższością i powagą stawił się wśród tego ściśnionego kółka, w którem oczyma kogoś szukał. Lecz łojowe świeczki, z których jedna właśnie była zgasła i Babiński ją dopiero zapalał nanowo, nie dozwalały dobrze rozpoznać fizyognomii. Wśród ogólnego milczenia, na kilka się kroków zbliżywszy, ów nieznajomy gość, którego przyjęto milczeniem głuchem, dostrzegł pana skarbnika i zawołał:

— A ja pana skarbnika dobrodzieja szukam wszędzie... Nareszcie...

Stary się podniósł, jakby go dopiero zobaczył, choć go dobrze wprzód poznał, a siedział widać, chcąc się zataić z sobą.

— A! pana stolnika dobrodzieja! — rzekł zmieszany — jak mi Bóg miły, nie poznałem... w tych ciemnościach...

Gdy to mówił, ów nazwany stolnikiem zbliżył się i szepnął:

— Proszę mnie szanownym przyjaciołom zaprezentować.

— JMPan Szymanowski, stolnik ciechanowski, a, jak słyszę, i poseł...

— Tak jest... — potwierdził przybywający.

Z kolei wymieniono nazwiska. Stolnik wnet miejsce zajął na przysuniętym stołku i w ręce klasnął. Znaczyło to, że chce traktować. Jakoż chłopak wbiegł.

— Pół tuzina butelek, a tego co wiesz! — szepnął stolnik.

Tymczasem Laskowski mu lampkę przysuwał.

— Przyjmuję — odezwał się — ale prawie tu będąc gospodarzem i domowym, obliguję, aby moje też wino wzgardzone nie było. Znajomości się nie robią na sucho...

Mówił prędko i z łatwością wielką, a miał ten dar sympatycznego wyrażania się i głos jakiś miły, że wszystkich za serce chwytał.

Uderzył po kolanie skarbnika.

— No cóż, czcigodny mój koligacie... co wy mówicie... jaki omen sejmowi dajecie?

Skarbnik ruszył ramionami, usta mu drgały tylko.

— Powiedziałbym wam, co myślę, ale... ni fallor, nie podoba się... — rzekł.

— Czemu?

— Bo tego talentu co waszmość, panie stolniku, nie mam, aby pigułkę ozłocić... rżnę prosto z mostu... i zawsze komuś na łeb...

Stolnik się uśmiechnął i klapnął go po kolanie znowu.

— Ale skarbnik z nami trzymasz... — rzekł — inaczej nie może być... z królem, z dworem, z Brühlem i przyjaciołmi jego...

Skarbnik był już po drugiej lampeczce.

— Jak Bóg miły, radbym trzymał z królem JMcią, dla koronowanej głowy respekt znam... ale... obie strony mają racye słuszne... a biednemu szlachcicowi, jak ja, po co ręce pakować między drzwi?... Wolę, do kaduka, z nikim nie trzymać...

Laskowski nie mógł już dłużej zmilczeć, lubił publicznie moralizować i trochę się z elokwencyą popisać.

— Za pozwoleniem — rzekł — mnie się widzi, że kruk krukowi oka nie wykole, i z wielkiej chmury będzie mały deszcz, i antagonizmy te skończą się kompromisem... bo...

— Mylisz się acan dobrodziej — począł Szymanowski — zgody nie może być, bo Familia zajadła, a już jej gąb szerokich i łakomych zatkać niema czem... Postawili za warunek, aby wojewodą wileńskim Ogińskiego król mianował... a stawili to tak nakazująco, jakby nie oni króla, ale JMć musiał ich słuchać... Tymczasem książę Radziwiłł prawo miał do tego krzesła z antenatów, z tradycyi — i z tego, że Litwą całą trzęsie... Zresztą szło o powagę majestatu... więc województwo mu dane... i wojna wypowiedziana...

— Infaustum! — westchnął Laskowski — lecz przyjaciele zagodzić powinni.

Stolnik Szymanowski głową pokiwał.

— Pozwól się acan dobrodziej spytać, kto mu milszy: czy Familia, czy dwór?

Na to wręcz rzucone pytanie podkomorzy się stropił bardzo. Muchę najprzód z kieliszka wyrzucił i namyślał się co mówić.

— Książę wojewoda ruski i książę kanclerz powagi są wielkie w Rzeczypospolitej... capacitates ja-

kich mało... mężowie znakomici... a pewnie dobrze wszystkim życzący... Światła i luminarze to nasi...

— Więc? — przerwał stolnik.

— Za pozwoleniem... — odparł Laskowski. — Król JMć ma swe prawa też, wenerujemy go; minister głowa wielka... w Europie wsławiony... zaszczycił szlachectwo polskie, przyznając się do niego... książę wileński potentat, magnat i animusz wspaniały... Hetman pierwsza powaga nasza, mediator intra potestatem et libertatem... Nie ujmuję nikomu... Jakże tu wybrać? i nie wyjdzie-ż na moje, że najlepsza rzecz ich przywieść do zgody?...

— Przed kilku miesiącami było to może jeszcze możliwe... dziś, gdy wojska na placu stanęły — rzekł stolnik — gdy o mało sygnału nie dano do starcia... zapóźno!...

Laskowski wina się napił.

— Więc z kim trzymać będziecie? — naglił Szymanowski.

Milczenie było jak mak siał... patrzano na siebie, gdy skarbnik mrugnął żartobliwie okiem.

— Wiecie acaństwo co... tu idzie de publico bono, nie godzi się inaczej stanąć, tylko po tej stronie, która silniejsza, aby walka się prędzej skończyła.

— A sprawiedliwość?... — spytał Szymanowski.

— Sęk!... — odparł skarbnik. — Wiesz acindziej co? Gdy u ks. kanclerzego dobry obiad zjem, gdy się nasłucham, co tam prawią de republica reformanda, gdy wyściskany przez Familię odchodzę z dobrze nadzianą kiszką... tak mi Panie dopomóż, dałbym się posiekać za Familię, pewien, że ich sprawa czysta i święta... At tandem, gdy nazajutrz volens no-

lens wciągnięty nasłucham się u ks. Radziwiłła dykteryjek i ucinków przeciw Familii, gdy minister rękę mi poda i o zdrowie spyta, gdy który z Potockich zaszczyci mnie panem bratem... przekabacony wychodzę... i radbym trzymać z nimi... ot co jest!

Stolnik się rozśmiał, ale niewesoło.

— Smutna to rzecz rozterka domowa — dodał Laskowski.

— Zatem idzie o to, kto silniejszy wedle systematu pana skarbnika, aby prędzej skończyć — wtrącił stolnik Ciechanowski. — Jeśli to ma kwestyę rozwiązywać, zatem daję słowo, żeśmy silniejsi, bo ja się nie taję, że z dworem trzymam. Król... jużciż choć niewiele może czynić, toć powaga, minister toć geniusz polityczny, dalej hetman siła niemała, ks. Radziwiłł ma za sobą tu w Warszawie pół tysiąca szabel szlacheckich, Potoccy drugie tyle postawią. Dii minores się nie liczą. Cóż Familia przeciwko temu postawić może?...

Szlachta spojrzała po sobie.

— Dictum acerbum — wyrwał się skarbnik — niema co mówić... argument potężny... szable... Na co tu już sprawiedliwość, kiedy one są?... staną za logikę i za wszystko.

Stolnik się zmieszał.

— Skarbnik, widzę, coś od naszego obozu dezerterujesz? — rzekł.

— Uchowaj Boże — odezwał się zagadnięty — ale konkluzyę wyciągam... i siłę szanuję... a w tej gmatwaninie prawdy chyba Pan Bóg dojdzie; ja... nie czuję się na siłach...

Jeszcze mówili, gdy drzwi, jak wprzódy, się uchyliły i głowa znowu ukazała się w nich, ale odmiennego ro-

dzaju. Już z proporcyi samej łysej czaszki sądząc, człek być musiał statury olbrzymiej. Przedłużone czoło w górę się piętrzyło i cała głowa śpiczasto wyglądała; twarzy było nie pół łokcia, a ćwierć pewnie podbródków, bo ich ze trzy, fałdami przedzielonych, naliczyć się dawało. Nos w środku siedział, jak monarcha na tronie, a pod nim wąsy wisiały szare, ogromne, długie aż na piersi. Osobliwe to oblicze stanęło przeciw tej kupce gwarzącej, oczy mu się przymrużyły... patrzał długo — i nagle mężczyzna opasły, o uszak obtarłszy łysinę, bo mu we drzwiach było ciasno, wtoczył się do pokoju, żartobliwym głosem mówiąc:

— Niechże będzie pochwalony... kochanego podkomorzego!... Jak się masz? kopę lat... braciszku! gonię za tobą.

Obaj ręce szeroko rozstawiwszy poszli ku sobie, padli na piersi, objęli się potężnie, pocałowali raz, drugi, trzeci... i gość, odskoczywszy nieco, głosem tubalnym towarzystwu całemu zawołał:

— Czołem ichmościom dobrodziejom...

— Pan mostowniczy Żudra — odezwał się Laskowski.

Wszyscy się mniej więcej pokłonili, stolnik ciechanowiecki prychnął i usta wydął. Zaczęło się wzajemne zapoznawanie. Usłyszawszy nazwisko Szymanowskiego, mostowniczy popatrzał i nieco sposępniał, bo dotąd miał twarz jak księżyc w pełni pogodną.

Szymanowski i Żudra zmierzyli się oczyma tak, iż w nich łacno antagonistów domyślić się było można. Pomimo to, obok Laskowskiego zajął miejsce Żudra i nie stracił wcale rezonu. Tyle tylko, że ciągle na stolnika patrzał, a ten na niego.

Lampkę podano mostowniczemu. Wziął ją, nie wymawiając się, i odchrząknął, oczyma wodząc po przytomnych.

— Jam tu pana podkomorzego szukał — rzekł — stary druh... a gdy mi szczęście takie służyło, iż go w szacownem gronie ichmość panów a braci przydybałem, korzystam z sukcesu niespodziewanego... Książę kanclerz, który dawno zna i wysoko ceni pana podkomorzego naszego — bo któżby go nie szanował i nie kochał? — na chleb przyjacielski zaprasza go jutro; ja zaś, jako *intimus* tego domu i sługa księcia, przy tej sposobności wszystkich panów a braci jego imieniem suplikuję na obiadek...

Milczenie głuche odpowiedziało; po twarzach spojrzawszy, nic tem nie zmieszany mostowniczy wnet dodał:

— Chociażby też który z ichmościów i do antagonistów naszych należał, a różnych był opinii, nic to nie przeszkadza. *Audiatur et altera pars*, warto się rozsłuchać... zawsze braćmi jesteśmy... Każdemu książę kanclerz rad, a mało kogo w Rzeczypospolitej nie zna...

Szymanowski siedział, kręcąc się, jak na szpilkach.

— Ja się ekskuzuję — rzekł — bom na jutro do hetmana proszony...

— Wielce mi żal, że go posiadać nie będziemy — odezwał się Żudra — alem ja tego szczęścia i spodziewać się nie śmiał... bo...

Tu się zaciął.

— Bo co? — podchwycił stolnik.

— Boby kanclerski chleb panu stolnikowi po niemieckim pierniczku nie smakował... U nas wszystko

zprosta, po polsku i po szlachecku, u hetmana po wersalsku, a u Brühlów po sasku...

Rozśmiał się, a stolnikowi lice zapałało.

— Pijesz waćpan do mnie, panie mostowniczy — zaperzony wyrwał się Szymanowski — alebym i ja mógł coś odpowiedzieć...

— A no! posłucham — zawołał Żudra — byle udatnie...

— Przy królu i jego majestacie stoimy — rzekł Szymanowski — przy ładzie i porządku, w warcholstwo się nie bawimy.

— Przy królu!... — rozśmiał się Żudra — jakbyśmy my króla mieli innego nad Brühla... a kto mąci wodę, aby w niej ryby łapał, jeśli nie on i jego adherenci?...

Stolnik się z krzesła zerwał.

— Mości panie mostowniczy, ja nie ścierpię, aby tym, których szanuję, uwłaczano...

— Ja też — bijąc dłonią po rękojeści szabli, odparł Żudra — jeślim obraził, odpowiem za to...

— Na rany Pańskie! — krzyknął Laskowski, hamując go — a toż co znowu!... Dosyć tego, jam tu gospodarz... nie dopuszczę waści... Mości mostowniczy... jeśli mnie kochasz... panie stolniku! czy się to godzi?...

Zmieszali się wszyscy — stolnik powoli usiadł, a skarbnik spokojnie wrzucił:

— Jeśli wolno rzec słowo, czego się acaństwo tak śpieszycie? Jeszcze się sejm nie rozpoczął... Będziecie mieli czasu dosyć i językami i szablami dokazywać... My tu, ludzie spokojni, przyszliśmy się posilić...

— Ale mnie zadrasnął! — ofuknął stolnik.

Mostowniczy zmilczał, wstał z krzesła i począł się po izbie przechadzać, a do Szymanowskiego się zbli-

żywszy, potajemnie go za rękę chwycił i ścisnął. Wiedziano, co to znaczyć miało... To dopełniwszy, zwolna na stołek swój wrócił i, śmiejąc się, rzekł:

— No, co wy, panie podkomorzy, na tę zimę nam prorokujecie?

— Zawieruchy — wtrącił skarbnik.

— Zima będzie łagodna — odezwał się Laskowski, który, zaczepiony, niełatwo dał sobie odebrać słowo, gdy szło o kalendarz. — Szrony się zapowiadają częste... gołoledź, śniegi obfite, ale nietrwałe... aura niestała... lękać się trzeba o zboża, aby nie wyprzały... wody też poddostatkiem będzie. Lód kto chce mieć, chwytać trzeba, bo go niewiele i na krótko stanie...

Gdy to mówił, stolnik Szymanowski dopił lampki, podał rękę skarbnikowi, zdala się innym pokłonił i wolnym krokiem wyszedł.

Ledwie za nim drzwi się zatrzasnęły, gdy Laskowski wpadł na mostowniczego.

— A czy się to godzi? przychodzisz nam tu, abyś struł dobrą wenę naszą...

— Stój! nie zabijaj! — odparł, śmiejąc się, Żudra — nie winienem, gdy tych śmierdzących szołdrów napotykam, nie wytrzymuję... kipi we mnie krew... Albo ja go nie znam!... Ta to wisi przy Brühlach... a z tych Brühlów cała bieda... Gdyby nie oni, inaczejbyśmy stali. Co im kraj nasz? co im nawet ich własny?... to komedyanci, co na kieszenie nasze polują...

— Oooo! — długo i przeciągle zawył skarbnik — ostro się acindziej wyrażasz... bardzo ostro... i niezbyt politycznie!

Spojrzał na podkomorzego.

— Hę... Laskowski, miły bracie, czy i teraz powiesz, że się oni pogodzą?...

Mostowniczy pięścią w stół uderzył.

— Nigdy w świecie!

— Tandem, słówko — przerwał skarbnik — nie gniewaj się, panie mostowniczy, i mnie też na rękę nie wyzywaj za to, co powiem. Umiesz prawdę mówić, naucz się jej słuchać.

Mostowniczemu oczy zabłysły, lecz Laskowski dał mu znak, że nowej burdy nie ścierpi.

— Zadam wam proste pytanie. Któż to tych Brühlów szlachcicami polskimi uczynił, jeśli nie Familia? Kto się z nimi kumał, całował, nosił?... Kto ich tu wkorzenił?

— A no, tak! — buchnął Żudra — nie zapieramy się. Sądziliśmy, że się dadzą poprowadzić do dobrego, zaczęli nas do złego ciągnąć... kwita z przyjaźni... Mówicie, żeśmy się kumali? Nie... Brühl nam małżeństwo proponował... na tem się zerwało, stąd złość, zemsta i wojna...

— Nowe rzeczy, nigdy o tem nie słyszałem... — bąknął skarbnik.

— Tak mi Boże dopomóż... prawda! — bijąc się w piersi, dodał mostowniczy i wstał z krzesła. — Ale dosyć... Kto łaskaw jutro do książęcego stołu?... Sercem proszę... Trzymajcie, z kim chcecie, a zjeść z nami możecie... Mnie wielki czas w drogę... bo jeszcze mam siła ludzi pościągać...

Skłonił się, patrząc na nich.

— Na kogo rachować mogę? Laskowski? no... i skarbnik... i panowie... chlebem się naszym nie udławicie.

Zawinął się i wyszedł.

Milczenie jakiś czas panowało.

— Widzieliście, gdy sobie ręce ściskali? — szepnął Babiński — będą się bili?

Laskowskiemu było markotno. Zaczęli się wszyscy brać ku wyjściu, szukając czapek, lasek i szabli, a niektórzy i opończy. Tymczasem z pierwszej izby słyszeć się dał ogromny chór fałszywymi głosy nucony. Ktoś pieśń zaintonował satyryczną, wszyscy mu wtórowali, a po każdej strofie z niemiecka okrzykiwano:

— Fifat! fifat!

— Jeśli takie usposobienie wszędzie — odezwał się Laskowski cicho — radziłbym Sasom kapitulować.

Skarbnik mu na ucho szepnął:

— Bądź o nich spokojny... wykręcą się sianem... włos im z głowy nie spadnie... o naszych nie tak jestem pewien...

Wyszli razem w ulicę. Mimo nocy jeszcze tu dosyć było życia. Powozy z pochodniami, których światło nagle oblewało blaskiem domy i znikało, przesuwały się od zamku ku Saskiemu pałacowi. Bokami po kilku, wyszukując miejsc suchych, wracała szlachta na kwatery, przeprowadzana przez chłopców z latarniami w ręku, którzy drogę pokazywali. Przez okiennice pozamykane na dole przeciskało się gdzieniegdzie światło wązką szczeliną i lśniło w ulicznych kałużach. Szynczki na rogach pootwierane brzmiały niewyszukaną muzyką ze skrzypiec i basetli złożoną. Zdala tylko pomrukiwanie ostatniej dziwnie ponuro i kapryśnie słychać było. W oknach pałacu Saskiego rzęsiste światło jeszcze płonęło, i służba się kręciła mnoga.

Wzajem się podpierając i ratując, wlekli się powoli podkomorzy ze skarbnikiem, gdy sznur podwód długi

od Wisły się ukazał, któremu ludzie z drągami, w strojach niezwykłych towarzyszyli. Na wozach stały skrzynie jakieś, niby wielkie klatki, umajone gałęźmi. Nie mogli odgadnąć, coby to było, gdy kareta ks. Sołtyka z pochodniami nadjechała, i na wozach ujrzeli ciągnione wołami niedźwiedzie, wilki i łosie.

— Hola! — zawołał Laskowski — a to skąd i po co?

— Dla króla JMci... z puszcz księcia wojewody wileńskiego... — odezwał się głos towarzyszącego wozom.

— To zapłata za krzesło... — rzekł skarbnik — i tylc królewskiej pociechy, że niewinne maruchy strzelać będzie... tam, gdzie ich oddawna nie bywało... Bodaj znowu mu takie łowy sprawiają, jak ongi, że łosie, sarny i dziki z drzew padać będą musiały, aby je w lot bić było można!

Ruszył ramionami.

Wśród ciemnej nocy, ten sznur wozów, z pośrodka których czasem ryknęło zwierzę dzikim głosem, przedstawiał widok osobliwy. Ludzie też stawali osłupiali, przysłuchując się, a konie powozowe wystraszone rwały się i rzucały, szczęściem nie mogąc unieść, bo w ulicach błoto ledwie się poruszać dozwalało.

Gdy podkomorzy Laskowski dostał się nareszcie na Podwale, gdzie miał najęte mieszkanie, a wierny sługa, ze snu zbudzony, drzwi mu do niepomiernie opalonej izby otworzył, znalazł na stole aż trzy karty zapraszające. Jedna była od księcia kanclerza, druga od pana hetmana, trzecia od jego ekscelencyi pana ministra, który na zamku miał przyjmować.

Podkomorzy stanął w niepewności wielkiej zamyślony nad niemi, której miał dać pierwszeństwo, i gdzieby jego pojednawcze intencye najlepiej ocenione być mo-

gły?... Wybór był drażliwy i niebezpieczny, bo miał o usposobieniach świadczyć. Znaczył on przechylenie się na jedną lub drugą stronę. Chcąc się trzymać neutralnie, a godzić zwaśnionych, pan podkomorzy zdjął pas, kontusz, żupan, buty, głowę pokrył chustą na noc, a jeszcze nie mógł się zdecydować, do kogo pójść, a kogo przeprosić.

— Człowiekowi spokojnemu — mówił do siebie — chyba w domu siedzieć i głowy z niego nie wychylać?... Kanclerza obrazić niebezpiecznie, hetmana lekceważyć nie godzi się, ministrowi chybić zemsta pewna...

Stuknął w palce.

Wypadł wreszcie nie tak z palców, jak raczej z subtelnego rozumowania pan hetman Branicki.

— Jeśli tedy jest dom do pacyfikacyi, to Gryfa... Ma za sobą Poniatowską... więc z Familią w blizkiej koligacyi... trzyma z królem, więc i z Brühlami... Pójdę do hetmana... Nie może być, aby ten wojnę podsycał...

Tak się nieco uspokoił pan podkomorzy, środek pewny znalazłszy. Z panem hetmanem dawno był znajomym i w łaskach u niego, spodziewał się sposobności przemówienia doń, aby powagi swej zażył i pokój między panami chrześcijańskimi zaszczepił.

Pocieszając się tem i, dla rozrywki, konotatki kalendarzowe jeszcze do ręki wziąwszy, aby praeter propter wiedzieć, co się na niebie święcić może z przyszłą kwadrą, podkomorzy głęboko westchnął, do pacierza ukląkł przy łóżku i począł się modlić przy akompaniamencie chrapania swojego sługi, który, ledwie pana rozebrawszy, w alkierzu ległszy, przyjemnymi tony nosowymi ciszę nocną przerywał.

V.

W Młocinach teraz chwili pokoju nie było, powozy jedne zajeżdżały, odchodziły drugie, cisnęli się przyjaciele, przynoszono rady, stary Brühl przysyłał rozkazy, a Dumont, nie mogąc dobrze pojąć o co chodziło, niespokojna przybiegała do cześnikowej, badając ją o przyczynę tego nadzwyczajnego krzątania.

Cześnikowa o niczem nie wiedziała.

— Moja Dumont — mówiła — to się mnie wcale nie tyczy... ja się męża nie pytam, a on mi też nie spowiada się z tego, co robi...

I byłaby Francuzka niezaspokojoną została, a zmuszona uciec się do Godziemby, któryby jej może niewiele rzecz objaśnił, gdyby jeden z powozów zachodzących ganek nie przywiózł pani Sołłohubowej.

Piękna Marya wpadła, jak burza, do salki, zarumieniona, z oczyma płonącemi, poruszona niezmiernie, zaniepokojona widocznie. Wbiegłszy żywym krokiem, wprost do cześnikowej się rzuciła, ściskając ją i jakby zdziwiona, że ją zupełnie spokojną zastała nad tą nieśmiertelną robotą do kościoła, która się nigdy nie kończyła.

— Moja Maryniu! — zawołała — zlituj się, zlituj, mów, co u ciebie słychać? co się święci?... Ja drżę cała... Co mówią? jak sądzisz?...

Zdziwiona cześnikowa oczy podniosła, nie mogąc pojąć o co chodziło.

— Ale o cóż ci idzie? — zapytała.

— Jakto! o co?... przecież o nic innego, tylko o twojego męża... W całem mieście mówią tylko o tym nie-

poczciwym spisku na niego!... A! jestem zła! jestem wzburzona! całą Familię utłukłabym w moździerzu...

— Spisek na mojego męża! — zawołała cześnikowa — ale to nie może być?... ja... pierwszy raz słyszę...

Sołłohubowa zdumiona zamilkła... spuściła oczy, zdała się niepewną, co mówić i co począć dalej.

— Cóż za spisek? — odezwała się Brühlowa zwolna. — Mnie się zdaje, że, gdyby coś było seryo, jabym słyszeć musiała. Hrabia jest zupełnie spokojny i wesół... nic groźnego być nie może.

— To nic nie dowodzi, twój Brühl jest zawsze spokojny, z jego twarzy nigdy nic poznać nie można... Tymczasem jest spisek szkaradny... ohydny, niegodny...

— A! ta nieszczęsna polityka! — dodała Sołłohubowa — nie cierpię jej...

Śliczna jej twarzyczka zarumieniła się, a oczy niespokojne poczęły biegać po salonie. Dumont przypatrywała się jej z nadzwyczajną ciekawością.

— Od ciebie, widzę, że się nic nie dowiem — dorzuciła przybyła pani — jest twój mąż w domu?

— Sądzę, że musi być — odpowiedziała Brühlowa, która powoli do swojej roboty wracała.

— O! i mnóstwo ma gości... — wtrąciła Dumont — szczególniej dziś zajazd wielki od rana...

Sołłohubowa klasnęła w białe rączki.

— Widzisz... u niego narady być muszą... W Warszawie wszystko wre... Dać się zwyciężyć Familii... a! toby było największe nieszczęście... my musimy nietylko się obronić... ale ich pokonać...

— Wystaw sobie — mówiła dalej, zwracając się do cześnikowej, która jedwab nawlekała — wystaw sobie... mają żal, urazę, chcą się pomścić na starym Brühlu... co za niegodny środek, aby wymierzyć cios na sy-

na! Nieprawdaż, moja droga? to szkaradne, to obrzydliwe... Co cześnik winien?

— Lecz czyż co zagraża mężowi mojemu? — podnosząc oczy, nieco zaniepokojona, odezwała się Brühlowa.

— Zagraża mu skandal publiczny... chcą na sejmie zarzucić, że szlachcicem nie jest i posłem nie ma prawa być... Ponieważ z obu stron wysilenie wielkie, mąż mój powiada, że do walki w izbie i do krwi rozlewu przyjść może...

Brühlowa rzuciła robotę trochę przelękła.

— Może-ż to być?

— Wszyscy ręczą... zewsząd groźby lecą... —

To mówiąc, pani Sołłohubowa łamała ręce, a nie mogąc z niepokoju usiedzieć na miejscu, zerwała się z krzesła i poczęła żywo przechadzać się po saloniku.

Naprzeciwko w pokojach cześnika żywsze spory i rozmowy się toczyły o tym samym przedmiocie, chociaż Brühl mały brał w nich udział, gdy Godziemba, który miał rozkaz oznajmowania, jak skoroby pani Sołłohubowa przybyła, i wiedział, jaką tem hrabiemu uczyni przyjemność, wbiegł szepnąć mu na ucho... o miłym gościu.

Brühl, który dość obojętnie słuchał narady, przeprosił przytomnych i wbiegł do salonu żony. Zaledwie go ujrzawszy, Sołłohubowa śpiesznie posunęła się ku niemu.

— Mój hrabio — zawołała — przyjeżdżam oburzona... wzruszona, dowiedzieć się o was... Słyszeliście, co w mieście mówią?

Cześnik się uśmiechnął obojętnie dosyć.

— A wiem — rzekł — ale na to, na co niema ratunku, zwykłem czekać spokojnie. Napadnięci... cóż— bronić się będziemy? co wypadnie... przyjmę stoicznie.

— Przecież nic złego wypaść nie może, nie po-

winno? przecież i my jakąś siłę mamy? Familia całego kraju nie pożarła i nie przywłaszczyła sobie.

Spojrzała nań zaognionemi oczyma. Cześnik też patrzał na nią, jak w tęczę, ale zdawało się, że blask jej oczu więcej go zajmował nad przedmiot rozmowy.

— Kochana kuzynko — odezwał się wreszcie — muszę ci to powiedzieć otwarcie! uwolnij mnie od mówienia o tej nieszczęsnej tak zwanej polityce, przynajmniej tam, gdzie ty z sobą przynosisz młodość, wdzięk, uśmiech i gdy człowiek radby zapomnieć o tej poczwarze, która życie nasze pożera i krew wysysa.

Sołłohubowa ruszyła ramionami.

— Ale ja, jak wy, mój cześniku, przeklinam zarówno nieszczęsne te swary, nie cierpię tych kabał — cóż, gdy dziś o was chodzi! Nie polityka mi w głowie, ale się lękam.

Tu się zarumieniła. Brühl ją wziął za rękę, ukłonił się grzecznie i rzekł z uśmiechem:

— Proszę się uspokoić... dziękuję wam serdecznie, ale — nie mówmy o tem... Wszystkie siwe głowy i poważni mężowie już się tem zajmują, co się mnie tyczy, ja w ich rękach jestem biernem narzędziem i zupełnie spokojnie na to patrzę. Mało mnie to obchodzi. To wszystko, życie tylko psuje.

— Niestety! — odezwała się Sołłohubowa — lecz właśnie dlatego, że wy to sobie lekceważycie, oni na was wymierzają ciosy.

Brühl z lekceważeniem potrząsł głową.

— Mam powody — rzekł — sądzić, iż choć zawzięci, wielkiej mi krzywdy nie uczynią. Z księciem Adamem byłem zawsze dobrze.

— On też się nie podejmie tej roli — odezwała się Sołłohubowa — ale stolnik litewski, którego oni tak sa-

mo pono, jak minister was, za narzędzie użyją i naprzód popchną.

— Ten osobiście nie był mi także nieprzyjaznym...

— Cóż to znaczy? w polityce i bracia się rzucają na siebie. Wszak hetman żonaty z Poniatowską, a z Familią nie trzyma.

Na twarzy Brühla odmalował się wyraźny wstręt do dalszej rozmowy. Westchnął.

— Szczególne to przeznaczenie, które właśnie tych stawi na scenie, co najmniej do niej ochoty mają i zdolności. Zdaje mi się, że stolnik także wolałby się zabawiać czem innem, lubi literaturę i sztukę, ma wiele talentów... a pchają go tam, gdzie ich wcale użyć nie będzie miał sposobności... Ainsi vole monde!

Pani Sołłohubowa, uspokojona tym pozornym pokojem Brühla, nie odpowiedziała nic i usiadła przy jego żonie. Cześnik, poszeptawszy kilka słów, wskazał na drzwi prowadzące do jego salonu, gdzie nań czekano, i wyszedł prędko.

Tam gorącą toczono rozmowę.

Szło o obliczenie sił swoich... o strategię sejmową, o obrachowanie, jak przeciwnicy uderzą. Stary Brühl nie był tak spokojny, jakby mógł być, znakomite siły mając za sobą. Wiedział wprawdzie, że tak lub inaczej zwyciężyć musi, lecz skandalowi, który wywołać chciano, niepodobna było zapobiedz. Nie szło tak dalece Brühlowi o ten pozór szlachectwa polskiego, które uzyskali za radą i z pomocą Familii — ale o wrażenie, jakie na szlachcie uczynić miało samo zadanie nieszlachectwa! Nie było cięższej obrazy dla obywatela ówczesnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, nad zaprzeczenie mu tego tytułu. Układano się więc z Familią, która, w ręku mając broń taką, stawiła warunki niemożliwe; chciała, aby

dla niej rzeczy niewykonalne, napół już dokonane inaczej, odwołano i zmieniono.

Na teraz już szło o województwo wileńskie dla Radziwiłła, przyrzeczone mu uroczyście, o którem kraj cały wiedział, lecz na które przywilej jeszcze podpisany i przypieczętowany nie był.

Radziwiłł tymczasem, którego dotąd panem miecznikiem zwano, właśnie do Warszawy przybył. Opowiadano w Młocinach, że więcej pięciuset szlachty przyprowądził z sobą, że między innemi wieziono za nim cztery niedźwiedzie litewskie do zaprzęgu nawykłe, które w małą karetkę zakładano... Nimi nowy wojewoda miał się popisywać w stolicy. Cuda też prawiono o charakterze, wesołości, bucie i bogactwach tego najbogatszego pana Rzeczypospolitej i o nadzwyczajnej odwadze jego i fantazyi.

Jeszcze Szymanowski o tem szeroko się rozwodził, gdy na dziedzińcu gwar posłyszano... Stolnik ciechanowski wyjrzał oknem i krzyknął:

— O wilku mowa, a wilk za płotem... Otóż i on!...

Rzucili się wszyscy do okna, a Brühl naprzeciw, aby tego znakomitego powitać gościa.

Zataczała się przed ganek kareta paradna, złocista, która żadnej z królewskich nie ustępowała, sześciu końmi tarantowatymi zaprzężona, u chomąt, w tygrysie skóry przybranych, kapało złoto z uprzęży. Przodem jechało dwóch dworzan czarno ubranych, bo dwór był w żałobie. Za karetą postępowała druga i trzecia, wiozące towarzyszów i przyjaciół księcia. Za niemi konno kilkunastu z milicyi zbrojnych i paradnie przystrojonych. Brühl stał w ganku, gdy z powozu wysiadł, podtrzymywany przez służbę dorodną, piękny mężczyzna w sile wieku, czarno też ubrany, ale nader wspaniale i smako-

wnie. Na głowie kołpak miał z czarnych soboli, którego kita przypięta była doń czarnym, też ogromnej wielkości i blasku dyamentem. Twarz była wyrazu dziwnego, pełna życia, powagi choć nie bez ironii skrytej, oczy bystre, usta ruchawe i coraz nowy charakter obliczu nadające, naprzemian surowy, obojętny, szyderski i żartobliwy.

Zobaczywszy Brühla, którego się raczej domyślił, niż poznał, Radziwiłł kołpak uniósł do góry.

— Mnie wielce miłościwemu panu a bratu submituje się wojewoda wileński.

Podał rękę, którą Brühl ścisnął, kłaniając się i dziękując za uczyniony honor, poczem książę przedstawił Wołodkowicza, Rejtana i cały dwór z nim przybyły— a cześnik zaprosił do sali, gdzie już kobiety niezmiernie zaciekawione przybycia wojewody oczekiwały. Cześnikowa nawet roboty schowała. Mężczyźni, dotąd osobno naradzający się, przeszli do kobiet, aby się księciu przedstawić.

Radziwiłł raźnie i śmiało wszedł na pokoje, kobietom się skłonił, ichmościom przybyłym także, podano krzesło, usiadł. Rozpocząć rozmowę zdawało się rzeczą przy paniach nader trudną, boć o polityce przy pierwszem słowie mówić nie wypadało.

Cześnikowa, acz z nieśmiałością, spytała wojewody, czy po raz pierwszy był w stolicy?

— A! nie — odrzekł Radziwiłł — jużem ją miał szczęście oglądać przed laty, ale ja mój Nieśwież wolę... — Obrócił się do Brühla. — A pan cześnik pewnie Drezno?

Brühl potrząsł głową.

— Wprawdzie tam się urodziłem, lecz przybrawszy sobie Rzeczpospolitą za matkę, tu się czuję jak w domu.

— Król JMć pono tęskni do puszcz swoich — odezwał się książę — ja mu tu trochę drobnej zwierzyny

przysłałem... ale to tak jak na próbę. Gdyby mnie zaszczycił swą bytnością w Nieświeżu... panie kochanku (po raz pierwszy mu się znane jego przysłowie wyrwało), dostawiłbym pod strzał — nosorożca.

Uśmiechnęli się niektórzy. Dla Radziwiłła nic nie było niepodobnego.

— Teraz — odezwał się — kopią u mnie właśnie maleńkie morze w Albie, myślę sobie krokodylów parę sprowadzić na rozpłodek, abyśmy w tem upośledzeni nie byli...

Nic nikt nie odpowiadał, kobiety spoglądały po sobie.

— Waćpan, panie cześniku, bardzo tu przyjemnie mieszkasz w Młocinach... pod oknami Wisła płynie, mógłbyś sobie flotę zbudować i z nią do Puław zawinąć, aby je zbombardować.

To już była przygrywka do Familii i spraw publicznych.

Brühl przerwał, dowodząc, że kapryśna Wisła, która na wiosnę wylewała, w lecie czasem niemal bywa suchą.

Pani Sołłohubowa, której mąż, jako z Radziwiłłówny urodzony, księciu był znajomy dobrze i pokrewny, wyręczając gospodynię, milczącą i wylękłą, odezwała się słów kilka. Próbowala Dumont też wmieszać się do rozmowy, ale tej książę nie odpowiedział — jak później tłómaczył — nie będąc pewnym, czy szlachcianka. Rozmowa, widocznie utrudniona przytomnością kobiet, szła jak po grudzie. Sołłohub przytomny podszepnął, że możeby dla pomówienia poufnie na ustęp odejść wypadało. Chwycił się tego książę chętnie, damy, mrucząc i kłaniając się, pożegnał i, wiedziony przez gospo-

darza, udał się z nim do biblioteki, gdyż salonik Brühla był za ciasny.

Cześnik, który książki lubił wielce i przesiadywał chętnie z niemi, tę swą ulubioną siedzibę bardzo sobie ładnie przystroił. W pięknych szafach z bronzami stały dokoła księgi, a na szafach popiersia marmurowe filozofów i pisarzy.

Kilka portretów Mengs'a, kilka wdzięcznych pasteli przyozdabiało ściany, nade drzwiami były śliczne krajobrazy, wyobrażające okolice stolicy saskiej. W pośrodku stół i razem biuro przepyszne, okryte było pamiątkami i mniejszemi dziełami sztuki.

Radziwiłł się obejrzał po salce i siadł w podanem krześle.

Posłano już po wino, owoce, konfekty, aby zdrowie wojewody wypić, który w dosyć dobrym zaczynał być humorze.

— Pieścidełko ten pałacyk w Młocinach — rzekł do Brühla — ale to takie małe, że go do kieszeni możnaby schować.

— Zwłaszcza do takiej, jak WKs. Mości — odparł Brühl.

Radziwiłł się uśmiechnął.

— Pókim był miecznikiem — odezwał się — kieszeń miałem dostatnią; ale gdym z łaski J. K. Mości został wojewodą — okaże się ona za małą. Bo my, panie kochanku, w archiwach przywileje całej Litwy chowamy, a do kieszeni też musimy wszystką ubogą brację naszą dopuszczać.

— Tandem — zagaił Sołłohub — mówmy, Mości książę, de publicis.

— A cóż o nich, panie kochanku gadać? — zapytał Radziwiłł spokojnie. — Przyprowadziłem z sobą czte-

ry niedźwiedzie i pięćset szlachty. No — niedźwiedzi do sejmu nie puszczą, ale moje szable, gdy się tam znajdą, zrobią porządek, panie kochanku — i kwita.

— Tylko że to — przerwał grzecznie Brühl — pod bokiem króla i w sejmie broni się użyć nie godzi.

— To warunkowa rzecz, panie kochanku — sapnął wojewoda — dopóki się do czupryny nie dobierają — wara; ale, gdy mi kto palce zechce do fizyognomii zbliżyć, nie moja wina, że bronić się będę musiał.

Parsknęli Wołodkowicz i towarzysze księcia.

— Mojem zdaniem — dodał wojewoda — mojem zdaniem, panie kochanku, na nos sobie Familii siadać nie dopuszczę. Poszanują oni prawa, my ich nie zgwałcimy... zrobią burdę, odeprzemy ją, jak szlachcie przystało. Co to, panie kochanku, wojna na języki! ja tego nie rozumiem; albo się całować... albo się rznąć i kwita...

Wszyscy milczeli, książę się obejrzał.

— Ja — dokończył — do rady nie na wiele się przydam, ale do roboty służę, panie kochanku. W taniec pójdę z ochotą.

To mówiąc, rękę do Brühla wyciągnął. — Proszę acana dobrodzieja, panie hrabio, abyś na mnie rachował, jak na Zawiszę. My z Zawiszami jesteśmy w pokrewieństwie. Z kim dobrze, to choć w piekło, z kim źle, i do nieba nie pójdziemy, panie kochanku, byśmy szli z kielichami do dam... Kto mnie kocha, ten mnie naśladować będzie! Respekt dla kobiet! panie kochanku.

Ująwszy kielich w dłonie, książę, rękę z kołpakiem oparłszy na karabeli, z wielką powagą, majestatycznie, z twarzą wyjaśnioną i wesołą, wtoczył się do salonu, gdzie się go panie wcale nie spodziewały. Był w humorze przedziwnym, jak rzadko. Cześnikowa, przelękniona, widząc, że ku niej cały tłum ciągnie, domyślając się

grzeczności, wstała. Wtem Radziwiłł do swoich się obrócił, jakby komenderował:

— Zdrowie dam, pani cześnikowej dobrodziejki, nie inaczej, jak na kolanach.

I bardzo zręcznie ukląkł, kielich podnosząc do góry z fantazyą wielką, potem do ust go przyłożył i duszkiem wychylił, ukazując, że kropli nie zostawił. Zarumieniona Brühlowa dziękowała... okrzyk się dał słyszeć... Biednej Sołłohubowej rumieńce na twarz wytrysły. Cała ta scena dla osób, do spokoju nawykłych, nadto była huczną i niemal przykrą.

Szczęściem trwała niedługo, bo książę, rękę gospodyni ucałowawszy, cofnął się razem ze swymi do biblioteki. Tu wnosić zaczęto inne toasty z kolei. Cześnik i nienawykły do nich, i nie pijący wina, w imię gościnności i dla przypodobania się sprzymierzeńcowi, pić jednak musiał. Książę coraz w lepszy humor wpadał i usta mu się rozwiązały.

— Ja odwiedziłem acindzieja, panie hrabio, w Młocinach — rzekł — a za to pretenduję, abyś mnie w moim Nieświeżu zaszczycił bytnością swoją. Lubisz muzykę, ja mam też kapelę i sam gram; lubisz, widzę, skryptury i książki, których ja niewielkim jestem amatorem, i to u mnie znajdziesz, a co lepsza, panie kochanku, serce otwarte i szczere, na które rachować możesz.

Brühl dziękował.

— Tymczasem zaś, panie cześniku, panie kochanku, z Familii sobie drwij, nic ona nam nie zrobi. Będziemy się razem trzymali, i pana stolnika, owego Francuzika, eleganta o krótkich nóżkach, w Kamysz zapędzimy.

Rozśmieli się wszyscy.

— Chybaby Bóg nie łaskaw! — dorzucił Sołłohub.

— A dlaczego nie ma być łaskaw? — rzekł książę. — Tamto, mospanie, panie kochanku, wszystko ateuszowe nowomodni, a my starzy Pańscy słudzy. Jeśli ma paść grom, chyba na tę Sodomę i Gomorę...

To mówiąc, wstał książę i żegnać się zaczęto. Brühl dziękował i przeprowadzał. A że już kobiet nie chciano niepokoić, szli wprost do ganku, przed którym kareta stała w pogotowiu. Uścisnąwszy się raz jeszcze, wojewoda, na ręku dworzan wniesiony do powozu, siadł, za nim drudzy się poczepiali, i cały orszak z tąż samą pompą wyciągnął napowrót z Młocin do Warszawy.

Odetchnęły panie, gdy szum ustał i wojewoda odjechał wreszcie.

Inni też goście za nim poczęli się do miasta wynosić. Narada dłuższa była zbyteczna, gdy książę stanowczo przyrzekł w razie wywołania burdy taką pomoc skuteczną.

Sołłohub jeden, napół domowym będąc, pozostał. Cześnik znużony rzucił się w krzesło w bibliotece, wsparł na ręku i zadumał.

— No, jak ci się nasz Radziwiłł podobał? — zapytał generałowicz.

— Zdaje mi się, że ani on mnie, ani ja jego nie zrozumiem dobrze nigdy — szepnął Brühl. — Nie sposób, byś tego nie czuł i nie widział, że myśmy istoty dwóch różnych zupełnie światów, tak naprzykład, jak ptak i ryba. W swoim rodzaju jest on pewnie znakomitym tworem bożym... ale...

Tu ruszył ramionami.

— Ale ty bo, szlachcicu polski — odezwał się Sołłohub — chociaż duszą i sercem nasz, nie stworzony jesteś do naszego życia. Myśmy z wieków, jak salaman-

dry, do ognia przywykli i zimno nam bez niego, naszym żywiołem walka, ruch — niepokój...

— Tak — a ja pokoju pragnę! — dokończył Brühl — masz słuszność. Wy polityką się karmicie i ona wam idzie na zdrowie; ja jej nienawidzę. Wy się brzydzicie papierem, jako rzeczą martwą; dla mnie on jest ekstraktem życia, na którym się zbiera, co ono ma najlepszego. Tak, mój Jasiu! niestety — przybrane dziecko wasze... na nic się wam nie przydam. Nie wart was jestem...

— Ale ba! — odparł w prostocie ducha generałowicz — tyś pewnie od nas więcej wart, ale do czego innego... Na sejmiku ja, simplex servus Dei, ciebie przepiszę... a na dowcip z tobą o lepszą nie pójdę.

— Dajmy-ż temu pokój — zawołał Brühl — i mówmy razem o czemś, coby tą kuchnią życia nie cuchnęło.

Sołłohub się do niego przysunął poufale.

— Właśnie ja miałem prośbę do ciebie, zupełnie osobistą.

Cześnik się żywo poruszył i chwycił go za rękę.

— Mów — co? — służę ci...

Generałowicz myślał trochę.

— Pamiętasz — rzekł — gdym zakochany jak... szaleniec... prosił cię o pomoc i swatostwo do mojej Maryni... Dobijałem się o jej rękę, mogę powiedzieć, w pocie czoła, nie szczędząc nic, aż do ostatniego upokorzenia... Dobiłem się tego, czego pragnąłem...

Sołłohub zaciął się i dodał ciszej:

— Nie jestem szczęśliwy...

Spojrzeli sobie w oczy. Brühl był widocznie zmieszany.

— Przypomnij-że sobie — odezwał się — co ja ci naówczas mówiłem, com radził i co ty mi odpowiadałeś

na to... Kazałem ci się starać o jej serce — ty mi zaręczałeś, że je uwielbieniem i miłością pozyszczesz...

— Takem postępował, jak obiecywałem — ciągnął dalej Sołłohub — na kolanach przed nią, niewolnik, sługa, wielbiciel... Ale to serce kamienne... od ślubu na krok się nie posunąłem dalej. Jest dobrą, jest łagodną, ale ona mnie nie kocha...

Załamał ręce i począł biegać po bibliotece.

— Tak, ona mnie nie kocha... Próżnobym się łudził — rękę jej mam, serca nie... Powiedz mi, co począć!

— Na to w istocie żaden najlepszy przyjaciel nie pomoże i nie poradzi — mówił Brühl. — Mnie się jednak zdaje, że ci się przywiduje. Twojej gorącej miłości jej spokojna przyjaźń nie starczy... Wymagasz po niej jakichś zapałów, które nie są w jej charakterze... To poprostu dziwactwo...

Rozmowa, długimi przestankami przerywana, ciągnęła się dalej. Generałowicz chodził smutny, zaczynał coś mówić, wahał się i nie kończył. Brühl, jakby go to niezmiernie nużyło, pot ocierał z czoła.

— Słuchaj, Brühl, szczerze ci powiem, ona ma do ciebie zaufanie, ona ci wierzy i lubi cię... Proszę cię, ty masz takt, na którym mnie zbywa, powiedz jej to, na co ja sam poskarżyć się przed nią nie umiem i nie mogę...

— Zmiłuj się, jakiem prawem?

— Prawem przyjaciela... Jeżeli chcesz nawet... powiedz, że cię o to prosiłem. — Chwycił za ręce: — Uczyń to dla mnie.

Cześnik stał, jak martwy, patrząc w okno, z boleścią jakąś na twarzy.

— Chodźmy do salonu — rzekł Sołłohub żywo —

ja, z cześnikową rozmawiając, odprowadzę do oranżeryi... zostawię was samych... Mów, mów z nią otwarcie...

Brühl nie odpowiedział nic, ale żywy zawsze generałowicz ujął go pod rękę i opierającego się nieco gwałtem niemal pociągnął za sobą.

Dwie panie i ciekawa Dumont siedziały, rozmawiając jeszcze o księciu Radziwille. Sołłohub natychmiast zagaił rozmowę z cześnikową, którą doskonale zająć umiał, i manewrował tak zręcznie, że ją potrafił razem z Dumont odprowadzić dla oglądania aparatów kościelnych, które robiła.

Chciała iść za nimi, choć nieco ociągając się, Sołłohubowa, ale mąż, śmiejąc się, prosił, aby gospodarza zabawiała. Zostali więc sam na sam, ona w krześle u okna, Brühl, stojący w środku pokoju, zamyślony nad trudną misyą swoją. Z politowaniem niejakiem patrzała nań piękna pani.

— Jakże mam hrabiego zabawiać? czem?

— A, kochana kuzynko — odparł Brühl — jestem dziś doprawdy nie do zabawienia... — Potarł ręką czoło. — A właśnie Sołłohub dzień ten wybrał, aby mi dać najcięższe i najśmieszniejsze z poleceń.

— Do kogo?

— Do pani...

Sołłohubowa rzuciła się w krześle i poczęła patrzeć w okno.

— Czy mam spełnić tę misyę?

— Naturalnie — odpowiedziała Marya — przynajmniej, jakakolwiek ona jest, będzie mi osłodzona tem, że ją hrabiemu powierzył...

— Idzie o to, że... że pani go nie kochasz...

— Bardzo dobrze o tem wiedział, gdym za niego

szła, bo to słyszał z ust moich, że kochać go nie mogłam. Nie kryłam się z tem wcale...

Zarumieniła się i, spuszczając oczy, mówiła dalej:

— Serce moje nie było wolne... Jestem dla męża powolną, łagodną, osładzam jemu i sobie ciężar tego życia wspólnego — czegoż może wymagać więcej?

— Tego jednego, niestety! czego mu pani dać nie możesz!

Sołłohubowa oczy smutnie podniosła.

— Powiedz mu to, panie hrabio, tak, nie mogę! Nie mogę! Miłości się nie nakazuje... wymodlić jej nie można, ona jest niezwyciężona. Przysięgłam mu wiarę, dochowam jej — to wszystko, co uczynić mogę...

— Ale on namiętnie w was rozkochany...

— A to mnie zabija i męczy — szybko dodała Marya — żal mi go... czynię sobie wyrzuty...

Cześnik się przeszedł po pokoju.

Sołłohubowa wstała i wyciągnęła dłoń ku niemu.

— Ciężkie jest życie — rzekła — ale są chwile, co za męczarnie płacą... Trzeba się poddać konieczności i wlec egzystencyę tę do końca... Nieprawdaż? Pozostać sobą... i wierną sercu...

Brühl przyłożył do ust jej rękę, nie mówiąc nic.

— Nic już nie mam do powiedzenia więcej — rzekł po długim przestanku, gdy oczy jej o odpowiedź go spytały. — Spełniłem poselstwo... będę się starał go pocieszyć...

— A któż mnie pocieszy? — odezwała się, nie czekając odpowiedzi i odchodząc do okna, Sołłohubowa.

Oglądanie aparatów musiało się skończyć, cześnikowa wracała ze swem towarzystwem. Oczy Dumont z za progu już śledziły Brühla i Sołłohubową, i znalazły

ich w bardzo podejrzanem oddaleniu i obojętności, którą Francuzka wzięła za niezręcznie udaną.

— To dobre — rzekła w duchu — dla Sołłohuba i cześnikowej, ale mnie oni nie oszukają... Niewinna para byłaby żywą prowadziła rozmowę, oni udają, że nawet ochoty zbliżyć się nie mają. A ten poczciwy Sołłohub, który im sam nastręcza sposobność rozmówienia się na osobności... Mężowie wszyscy są tacy — to darmo...

Po chwili generałowicz niecierpliwy z kolei Brühla wyprowadzał do bocznego pokoju.

— Mówiłeś z nią?

— Spełniłem, coś żądał...

Uścisnął go:

— I cóż? i cóż?

— Mój Jasiu — począł Brühl — nie przynoszę ci innej pociechy nad tę, że — będzie się starała być jak najlepszą dla ciebie... ale któż sercu czułość nakazać może? Jest i będzie ci wierną, bo przysięgi dochować każe jej szacunek własny... Zresztą czas... któż wie?

— Tak, czas! gdy oboje kochać nie będziemy mogli — zawołał Sołłohub — natenczas znośni sobie będziemy... Cóż robić! Ja już tego nie dożyję, mój Brühlu, mnie ta miłość zabije.

— Dla żony?

— Tak, miłość dla żony! Słychana to rzecz! — ironicznie mówił generałowicz. — Śmieszność! bo któż widział kochać się we własnej żonie i umierać dlatego, że nie jest wzajemną! Temu nikt nie uwierzy. Zazdrosnym być, to co innego, to w naturze, ale kochać się... i czuć, że to w końcu zabije!!

— Unosisz się i pleciesz nie do rzeczy — niecierpliwie przerwał Brühl — ja ci powiem jedno. Kobiety lubią pokorę i rezygnacyę, bądź dla niej zawsze miłym,

grzecznym, nie czyń wymówek... nie gryź jej niemi... przez litość wrodzoną i dobroć skłoni się ku tobie...

Tu się zatrzymał nieco, jakby mu z ciężkością przychodziło dokończyć, co miał na myśli.

— Jedźcie razem... za granicę, odbądźcie podróż dłuższą, to was zbliży...

Sołłohub spojrzał badająco na niego oczyma zdziwionemi.

— Ty mi to radzisz? ty?

— Dlaczego cię to zadziwia?...

Sołłohub rzucił mu się na szyję.

— Ty jesteś szlachetny, poczciwy, zacny... więcej nie powiem nic...

Ale, mój Brühlu, ja ją kocham! ja ją kocham tak, tak, że jej smutku i przykrości uczynićbym nie mógł. A wiem, że podróż ta... nieochybnie przykrąby jej była... Skończmy na tem... Życie bywa niedługie, gdy je namiętność pożera i pali... Niech ona będzie szczęśliwa, a ja — sam winienem, nie mogę... odpokutuję za szaleństwo.

Na stole w bibliotece stały jeszcze kielichy i wino; Sołłohub nalał sobie największy i z oczyma załzawionemi, poruszony mocno, ściskając rękę Brühla, desperacko go wychylił.

— Za zdrowie wasze!!

Kielichem stuknął, porwał za kapelusz nagle.

— Trzeba jechać do Warszawy, bądź zdrów...

Uścisnął go i uciekł.

VI.

Stary hetman Branicki, który się nie łatwo ruszał z Białegostoku, gdzie królewskim niemal żył dworem,

a rezydencyę tę, jak wiadomo, powszechnie dla jej wspaniałości Wersalem polskim zwano, nie byłby zapewne i na ten sejm ściągnął, gdyby się on burzliwszym nie zapowiadał od innych.

Siedemdziesiąttrzechletni starzec, choć wyglądał jeszcze świeżo, pańsko, a usiłował być młodszym daleko od swej metryki, niechętnie zjeżdżał do stolicy. Tu, bądź co bądź, majestat królewski i prymasowski zaćmiewał nieco powagę wysoką hetmana, którą Branicki cenił i umiał nosić dostojnie.

Gdy konieczność go zmuszała przenieść się na czas krótki do stolicy, dokonywało się to z takim przepychem i okazałością, aby i w Warszawie jawnie hetmana wielkość biła w oczy, odpowiadając wysokiemu jego stanowisku w Rzeczypospolitej. Towarzyszyli więc, dla zaciągania warty, owi od złota przyodziani janczarowie hetmańscy, wybór chorągwi pancernych, wojskowy dwór liczny, kancelarye i sekretarze, dworzanie i cała czereda niezbędnych dla Branickiego rezydentów, w których wesołem towarzystwie nawykł spędzać długie u stołu godziny. Szły furgony z kuchniami i kucharzami francuskimi, jechali szatni, kamerdynerowie, pazie, dworacy, hajduki, pajuki i najrozmaitsza gawiedź, której sama liczba już dworowi blasku przyczyniała.

Jak w Wersalu owym, tak tu, przyjęcia były etykietalne, monarchiczne niemal, stoły otwarte, a klienci domu i słudzy pana hetmana stawić się musieli i dosiadywać na rozkazy.

Jeszcze August III siedział na tronie znużony, a już następstwo po nim obudzało antagonizmy i jawne współubieganie. Nie tajni byli nikomu kandydaci, chociaż jawnie się nie oświadczali z zamiarami swoimi. Partye różne wskazywały ich zawczasu. Przyjaciele Fa-

milii nie wątpili, że się im uda z pomocą Rosyi na tron wprowadzić jednego z jej członków, chociaż nikt naówczas nie odgadywał może właśnie tego, który tron miał posiąść. Na Rusi wszechwładztwo wojewody kijowskiego i bogactwa jego dozwalały mu marzyć także o koronie, choć się jeszcze do tego nie przyznawał. Naostatek pan hetman, popierany przez Francyę, sądził, iż samą dostojnością, jaką piastował, wyboru mógł być najbliższym i najpewniejszym. Mając pod dowództwem swem całą siłę zbrojną Rzeczypospolitej, mógł jej do pewnego stopnia użyć do poparcia swoich widoków. Ostatni z rodu, bezpotomny, myślał zapewne, że i to mu wstęp do tronu ułatwić może, uchylając obawy o dynastyę i spadkowe. Było wielkie przyjęcie na pokojach. Obiad w szczuplejszem gronie i asamble wieczorem, na które kobiety były proszone.

Z rana, co żyło dostojniejszego, przybyło z czołobitnością. Hetman, jakby odmłodzony, ze świeżą i promieniejącą twarzą, z obliczem zawsze jeszcze pięknem, strojny wytwornie, otoczony adjutantami w świetnych mundurach, dworem swoim i domownikami, po kolei witał przybywających z różnych obozów, nie dając poznać, aby któremukolwiek z nich dawał pierwszeństwo. Wiedziano dobrze, iż nie szedł po prawa.

Pomimo swej powagi i wielkiem towarzyskiem wykształceniem okrytej dumy, w panu hetmanie znać było dawnego francuskiego muszkietera i dworaka. Obyczaj francuski łączył się w nim z powierzchownością zupełnie polską, miłą i ujmującą. Hetman, jako wesoły biesiadnik, nie miał sobie równego, a obiady białostockie, przy których końcu zapomnieć było można, iż gospodarzem był pierwszy dygnitarz Rzeczypospolitej, słynęły z wykwintności zarówno, dobrego tonu i wesołości,

jaka je ożywiała. Pod koniec zwykle pani hetmanowa odchodziła z kobietami, a mężczyźni zabawiali się rozmową o polityce, o Francyi, w ostatku o pięknościach i awanturkach miłosnych, o których Branicki już teraz choćby pogawędzić lubił. Dawniej nieco Wersal słynął z takiego Parc aux cerfs, jak Paryż, a dwór niewieści hetmana, niemniej liczny od męskiego, przezywano złośliwie jego serajem. Stary Gryf, którym młoda panna Izabella Poniatowska, mająca zapanować nad nim, owładnąć nie potrafiła, patrzał prawie obojętnie na nadskakującego jej generała Mokronowskiego, który był najlepszym pana i pani przyjacielem... Małżeństwo było w najpiękniejszej zgodzie, we wzajemnem poszanowaniu, lecz hetman wolał weselsze twarzyczki, a pani Izabella nie życzyła sobie z niemi dzielić serca, którego wyrzec się wolała. Pożycie wielce etykietalne, pełne dowodów szacunku z obu stron, nie dziwiło i nie raziło nikogo, chociaż węzeł serdeczny dawno go już nie łączył.

Umysł hetmana, zarówno jak zdrowie, już pod ten czas ucierpiał wiele, skutkiem wieku i życia, które sił wyczerpywało nad miarę. Sama młodość już je mocno nadszarpnęła. Stół i kobiety, których hetman długo się wyrzec nie umiał, przyprowadziły go do tego stanu zobojętnienia jakiegoś, z którego chyba gwałtowne wrażenie, lub wypadek wywieść go potrafiły. Powszednich dni całą swą działalność zdawał na ulubionego Mokronowskiego, który był prawą ręką, przyjacielem, zastępcą, który za niego myślał, działał, decydował, a umiał tak dobrze wniknąć w myśli i usposobienia starego, że nigdy nie znalazł w nim sprzeciwieństwa ani oporu.

Branicki wdzięczny mu był za to, że go od wielu trosk i zachodów uwalniał, że go we wszystkiem zastępował, i wcielił się niejako w jego idee i pragnienia.

Mokronowski kierował polityką hetmana, nim samym i jego postępowaniem, zawsze szczęśliwie i trafnie, tak, że trudno było wyrzec, kto tu kim kierował i kto komu był posłuszny.

Polityczne pojęcia różniły Familię od hetmana, starano się go sobie zyskać. Branicki pozostawał na stronie i wciągnąć się nie dawał. Stosunki były przyzwoite na oko, zimne w istocie — podejrzewano się wzajemnie, ale odwiedzano często, starając się ze zbliżenia wyciągnąć tę korzyść, aby się zręcznie wybadać. Hetman zresztą nie stronił od nikogo, z nikim nie zrywał i z wysokości dostojeństwa na równi wszystkich przyjmował, Brühla i księcia kanclerza, Radziwiłła i Ogińskiego. Dnia tego właśnie słuszny w tropy Familii, że oświadczał się z respektem dla króla i ministra — lecz wypadało mu ignorować tych, którzy w przeciwnym chcieli iść kierunku.

Między odwiedzającymi jednym z pierwszych był wojewoda ruski książę August, który z wesołą twarzą wszedł na pokoje, z pańską postawą, a nieco szyderskim wyrazem. Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można i potomka wielkiej rodziny, i człowieka należącego wychowaniem do najpierwszego towarzystwa. Nie było uniżoności w jego przywitaniu ani uszanowania zbytniego, hetmana za równego sobie uważał i poznać mu to dawał. Powitał go nieco zimno, a chłodniej jeszcze Mokronowskiego, jakby mu zawsze w sukurs był przyjść gotów. Rzuciwszy okiem po przytomnych, z niechcenia zapytał: — Jak hetman odbył podróż w czas tak brzydki? — niepotrzebnie, lub złośliwie przypominając mu podeszły wiek jego.

Branicki umyślnie poznać nie dał, że go to obe-

szło, wyprostował się tylko i, piękną, białą ręką powiódłszy po czole, odparł:

— Niestety! mości książę, wiek kazałby mi się już z Białegostoku nie ruszać, ale ja należę do tego starego plemienia, co do osiemdziesiątki na koniu harcowało, i powiem ci, że mój wiek mi nie ciąży. Jeszczebym niejednego młodszego przesadził.

— Jak na hetmana przystało — dodał książę August — bo nie od czegoż nim jesteście...

— Cóż u was tu słychać w Warszawie? — spytał Branicki, odprowadzając nieco na stronę.

— Nic tak dalece nowego: to, czego się było zawsze można spodziewać. Król przybity i sprawą kurlandzką i tą wojną, która mu jego kraje dziedziczne zagarnęła... a substytuci pana gospodarują u nas, wedle swego widzimisię.

Zmilczał Branicki chwilkę.

— Juściż nie bez woli i wiedzy króla — odezwał się obojętnie.

— Król... nie ma ani woli, ani wiedzy — odparł wojewoda.

Obaj zamilkli znowu. Książę August głowę podniósł dumnie do góry i szepnął:

— Ha, ale jakoś to będzie...

Hetman zimno dołożył:

— I ja tak sądzę... należałoby się tym, których opinie się różnią, zbliżyć, rozmówić, porozumieć... a kompromis mógłby przyjść do skutku...

— Czy pan hetman mówi to z natchnienia własnego, czy...?

— O! własnego! własnego! — pośpiesznie rzekł stary — ja stoję na boku i w niczyjem imieniu mówić nie mam prawa, a na oku tylko dobro publiczne trzymam.

— Jak my wszyscy — rzekł wojewoda — extra intruzów, co się mieszają do spraw naszych, żadnego do tego nie mając prawa...

Branicki popatrzył na mówiącego.

— Ha — odezwał się — to wina tych, co intruzom, s'il y en a, szeroką wysłali drogę sami...

Wojewoda trochę się zżymnął.

— Jakże zdrowie hrabiny Izabelli? — zapytał z przyciskiem, zwracając rozmowę.

— Dziękuję, kwitnie, jak róża — rzekł hetman — zobaczycie ją wieczorem, jeśli zechcecie...

— A jakże — odparł książę i, rękawiczki nakładając, dał znak, że chce pożegnać. Nie wstrzymywał go też pan hetman i, odprowadziwszy ku progowi, zawrócił się do swojego towarzystwa. Wchodzili, witając, inni, a twarz starego, gotowa zawsze do uśmiechu, witała ich wesoło. Mokronowski pomagał do nużącej tej rozmowy, w której każdemu coś powiedzieć było potrzeba, choć mówić nie było o czem. Powtarzały się też jedne niemal pytania i odpowiedzi. Zajechał książę wojewoda wileński z orszakiem, który tu wśród tego małego Wersalu dziko się nieco wydawał... Hetman był dlań niezmiernie grzeczny, ale zarazem bardzo zimny. Radziwiłł ze swą rubasznością umyślną raził tych wykwintnisiów nieco zcudzoziemczałych. Głos jego, dykcya, śmiech rozlegający się szeroko, miny zawiesiste orszaku, pełnego buty i jakby wyzywającego, nie mogły się tu podobać, tembardziej, że książę Karol, ile się razy spotykał z przesadną elegancyą mowy i postawy, zawsze jeszcze przesadniej bywał gburowatym. Można było być pewnym, że gdzie mu perfumy miały zapachnieć, tam on z sobą dziegieć przyniesie.

Za Radziwiłłem zjawili się Rzewuscy, Lubomirscy,

Potoccy... i niezliczone tłumy szlachty różnych ziem, przybywające witać pana hetmana, który widocznie frekwencyą tą wielką przyjemnie był połechtany.

Nikt tu gorących spraw nie wyprowadzał na jaw — zaledwie przemówiono gdzieniegdzie o wyborach posłów, zdając sprawę z ich wypadku. Nie wszędzie one poszły po myśli partyi dworskiej, Familia umiała około nich chodzić pilnie i niemałą garść swoich wiodła, a tych, którymi pan Żudra miał kierować, pewna była, że dwa razy większą liczbę przekrzyczą...

Około południa skończyły się wreszcie przyjęcia— i hetman mógł spocząć przed obiadem nieco, tego dnia zaprosiwszy ledwo kilku poufałych. Obiad był jedną z ważnych chwil w domu pańskim, bo hetman jeść wykwintnie lubił i potrzebował być przy nim swobodnym. Wyszła i pani hetmanowa, którą mąż z galanteryą i czułością wielką powitał, sadzając na pierwszem miejscu; jedna z siostrzenic jej towarzyszyła. Kuchnia była francuska, a że pora dozwalała, zaczęto od ostryg przywiezionych pocztą, na które się wszyscy chciwie rzucili. Nie było tu tej profuzyi jadła, jaka w innych domach polską kuchnię znamionowała, ale wykwint największy, i hetman z oprawnej w srebro tabliczki, którą przed sobą trzymał, oznajmował każde danie, tłómacząc szczególne jego zalety i własności... Hrabina, choć się nie zdawała przywiązywać wagi, jadła jednak ze smakiem, niekiedy piękne oczy, przymrużone nieco, zwracając nieznacznie na Mokronowskiego, który skinienie jej odgadywać się zdawał...

U stołu hetmana nie lano też wina jednego od początku do końca obiadu gościom: był pewny system w rozkładzie napoju i podawaniu go po różnych potrawach. Burgund był podstawą, szampańskie już naówczas

wchodzące w użycie zabawą, a stary węgrzyn naprawą... W miarę, jak obiad się rozwijał, rozbudzając życie, i hetman i jego towarzystwo, rzuciwszy rozmowy poważne, zaczęli dowcipować i bawić się miejskimi plotkami. Lecz dopóki pani hetmanowa z siostrzenicą była u stołu, miano niejaki wzgląd na damy, szeptano cicho i ostrożnie. Dopiero, gdy mężczyźni zostali sami, a hetman z resztą kieliszków przeniósł się do gabinetu, gdzie żądającym fajki tureckie na długich podano cybuchach, rozwiązały się usta.

Oddawna na dworze hetmana zostający niegdyś także muszkieter francuski, dziś rezydent białostocki, faworyt hrabiego, siwy, ale rzeźwy i ruchawy, z twarzą mocno czerwoną kawaler de Rambonne, odznaczał się dowcipem. Była to chodząca kronika skandalów, wielki znawca kobiecych piękności, rozkoszniś, bel esprit, i najmilszy w towarzystwie człowiek. Hetman po obiedzie bez niego obejść się nie mógł.

Właśnie coś mówiono o królu, a zarazem o jego poprzedniku Auguście Mocnym, ubolewając, że następca tak był przybitym, chorym i nieszczęśliwym.

— Wszystkiemu temu winno — rzekł Rambonne — iż go w kuratelę wzięli i kazali mu być takim niezmiernie cnotliwym... Po nieboszczyku ojcu wziął temperament gorący... i spalił się, dochowując wiary nieboszczce królowej Józefinie.

Hetman się rozśmiał.

— Ale czy jesteś tego pewien? — zapytał.

Spojrzano po sobie, uśmiechy po ustach pobiegły.

— Dajmy temu pokój — odezwał się hetman — są to tajemnice stanu...

— Któraż tu z pań obiecuje się czasu sejmu być piękności królową? — wtrącił Mokronowski.

Rambonne się zamyślił i głowę podniósł do sufitu.

— Ma foi! — odezwał się — tyle w tej Polsce pięknych twarzy, że wybór trudny... Francya tylko i ten kraj mogą się pochlubić takim wieńcem kwiatów anielskich.

Zaczęto wymieniać młode panie... ktoś nareszcie wspomniał Sołłohubową.

— Prześliczna jest! — zawołał żywo hetman — widziałem ją, podobała mi się bardzo, ma niewysłowiony wdzięk w twarzy i oczy pełne dowcipu.

— To też — rzekł Rambonne — nie wyłączając męża, najśliczniejsze ma grono adoratorów.

— Jakto, nie wyłączając męża? — zapytał hetman.

— Ha! bo to ten się w niej kocha, jakby się o nią starał jeszcze, a mówią, niestety, że — bez wzajemności.

Rozśmiało się kilku.

— Rambonne, żartujesz! — rzekł hetman — mów seryo.

— Mówię najzupełniej seryo... biedny Sołłohub szaleje dla żony... a ona...

— A ona?...

— A ona? — spytano ciekawie.

— Ona go traktuje, jak nudnika... Bo też niema śmieszniejszej rzeczy w świecie, niż zakochany mąż, i kobieta, żeby śmieszną nie być, musi tę fantazyę karcić.

— Ale może i ona ma jaką fantazyjkę? — spytał hetman.

— Może ją i ma! nic nie wiem — począł Rambonne tajemniczo. — Mówią — powiadają — plotą — domyślają się, że młody Brühl...

— A! nic dziwnego — rzekł Mokronowski — chłopak piękny i ma wszystkie przymioty, którymi się podo-

bać można kobiecie, zacząwszy od powierzchowności bardzo milej.

— Dodajcie, że mu przypodobywać się żona nie przeszkadza — rozśmiał się hetman.

— Tak — wtrącił Mokronowski — ta kaszle i ornaty szyje — najlepsza w świecie kobieta — ale dla Brühla...

— Wyszła z dobrej szkoły pani wojewodziny — szepnął hetman — to czysty pułkownik od dragonów...

— Lękam się tylko — dorzucił Rambonne — ażeby Brühl niebezpiecznego nie miał rywala...

— W kim?

— Nie wiem, czy mi się mówić godzi — uśmiechając się, rzekł Rambonne.

— Wszystko się godzi... byle było zabawne — dodał hetman — mów śmiało, kochać się nie jest przecie grzechem śmiertelnym, chybaby kto się kochał w koczkodanie...

— Łatwo zgadnąć, kto tu wszystkie kobiety bałamuci i wzdycha do najpiękniejszych buziaczków — mówił Rambonne. — Pan stolnik litewski.

Hetman trochę się zmarszczył.

— Ale to smyk, niedoświadczony, gorączka, wietrznik... Tak jak on dziś jest... dla podżyłych niewiast *sur le retour*, u których więcej temperamentu niż sentymentu, najlepiej się kwalifikuje... Lecz skądże wnioski?

— A! bom na moje oczy patrzał, jak pan stolnik, zobaczywszy ją, nadzwyczaj był wzruszony, i jakie na nim uczyniła wrażenie. Latał, jak oparzony, żeby go zaprezentowano... nie odstąpił jej krokiem, choć dosyć go zimno przyjmowała.

— Ja Stasia znam — szepnął hetman cicho do bliższych siebie — słomiany to ogień... Gotów się ko-

chać we wszystkich kobietach z kolei po kilka godzin... Trzpiot...

— Ale ładny i podobać się może...

Branicki głową potrząsał.

— Tak, ma dowcipu dosyć, wychowanek pani Geoffrin i Wiliamsa... nie przeczę... Jeśli się to uformuje, ustatkuje... Zdaje się, że mu jakieś sukcesa głowę zawróciły — sądzi się irresistible i rzuca czasem zuchwale. Bardzo to jeszcze niewytrawne i młode...

— A! — zawołał Rambonne, kręcąc wąsika, który sam jeden jeszcze u niego wydawał się dosyć młodo— a! ofiarowałbym się być niewytrawnym, byle mi kto młodość powrócił, panie hetmanie... Stolnik jest w samym rozkwicie młodości — i dlatego boję się bardzo o biednego Sołłohuba.

— A ja nic a nic — śmiejąc się, rzekł hetman — bo pan Stanisław nie będzie miał wytrwałości nawet zakochany. Jutro go inna zbałamuci. Kocha się zawsze najmniej we trzech: jednej, która już go nudzi, drugiej, do której mu się głowa pali, i trzeciej, którą musi mieć w zapasie na wypadek.

Branicki ruszył ramionami, wszyscy się uśmiechali, Rambonne, dworując, przyklasnął.

— Coś już i ja o tem słyszałem — zamruczał Mokronowski — bo u nas tajemnica się nie uchowa, szczególniej tego rodzaju. Stolnik ma być tem śmiertelniej zakochany, że Sołłohubowa ani chce na niego patrzeć...

— Temu nie wierz — odparł Rambonne — kobieta może odepchnąć, ale żeby jej niemiło było, gdy hołdy odbiera... to przeciw naturze...

— Ta Potocka, widzisz — wtrącił hetman — to bo osobliwa kobieta... bardzo seryo, dowcipna, rozumna i wcale nie płocha...

— A młody Brühl? — zapytał Rambonne.

— O! o! gadania — przerwał jeden z towarzystwa.

Rozmowa zwróciła się natychmiast na daleko żywszą i więcej kolorowaną, o tych paniach, o których tylko w towarzystwie męskiem wspominać się godziło, i o ich najtajniejszych wdziękach i przymiotach. Hetman okazywał się niepospolitym znawcą i, mimo siedmiu krzyżyków, o tych boginiach odzywał się z wielkim zapałem.

Tak czas zszedł do godziny asamblów, i powozy już się przed pałac wtaczać zaczynały, gdy hetman wywczasowany, orzeźwiony, rozweselony, wyszedł na pokoje.

Gospodyni, przepysznie strojna i przy świetle wyglądająca jeszcze bardzo świeżo i młodo, już otoczona była kółkiem pań przybyłych i mężczyzn po większej części we frakach i perukach. Co chwila otwierały się drzwi sali, i nowa para lub pojedyńczy gość wchodził pokłonić się pani hetmanowej, gospodarzowi, aby natychmiast wmieszać się w rosnący tłum i dobrać sobie stosowne towarzystwo. Formowały się grupy gwarzące swobodnie, ale pewne decorum zachowywano teraz, po swobodzie gabinetu odbijające dziwnie. Sam hetman zmienił humor i postawę: tam był wesołym towarzyszem, tu niósł na ramionach dygnitarstwo i czuć je dawał. Kawaler de Rambonne, przed chwilą tak poufały, stał w kątku tak pokornie; inni też starali się jak najmniej sobą miejsca zajmować.

Już grono pań dosyć było liczne i gwar a śmiech się z niego odzywał, gdy Sołłohub wprowadził żonę. Towarzystwo hetmana, po świeżej o niej rozmowie, ciekawo zwróciło oczy na tę piękność cale do innych niepodobną, nie starającą się zalotnością oczu ściągnąć, poważną i prawie smutną. Nadawało jej to urok szczególny, w owych czasach rzadki... i niepokojący. Zdawała się

mówić adoratorom, że jej są najzupełniej obojętni... Wśród pań też nie starała się zająć stanowiska, coby ją uwydatniło; pokłoniwszy się gospodyni, skryła wśród starszych. Mężczyzn więcej daleko przybyło, niż kobiet, wielu posłów chciało się okazać na pokojach hetmana, aby zbadać jego usposobienia i odgadnąć instrukcyę. Branicki, jak z rana, tak teraz, unikał rozmowy o sprawach publicznych, z widoczną chęcią trzymania się neutralnie.

Salon już był pełen, gdy drzwi się raz jeszcze otworzyły i oczy wszystkich kobiet obróciły ciekawie na wchodzącego młodego, pięknego bardzo mężczyznę. Na pierwsze spojrzenie widać w nim było wychowanka obcych krajów, któremu szło o to wielce, aby nabyty polor w całym okazał blasku. Twarz regularnych rysów, biała, z oczyma ciemnemi, pełnemi ognia, po której wrażenia przesuwały się, jak płomienie, co chwila ją mieniąc— uderzała rodzajem wdzięku zalotnego, właściwszego może niewieście, niż mężczyźnie. Cała postać zręczna, gibka, wyłamana, ułożona z rozwagą i rachubą, wydawała w nim więcej rozmysłu, niż uczucia, choć na pozór drgał cały, najmniejsze spojrzenie, słowo przyjmując z drażliwością sensytywy. Strój paryski, najświeższej mody, mógł w młodzieży zazdrość obudzić. Cały charakter pieszczony był i domyślać się kazał albo maminego jedynaka, lub najulubieńszego beniaminka rodziny, zepsutego uwielbieniami. Przy wnijściu widać było, iż starał się i miał nadzieję wielką uczynić sensacyę — był jej pewien. W istocie mężczyźni młodzi przyjęli go nadskakująco, a oczy kobiet ścigały, gdy szedł do hetmana. Branicki powitał go dosyć obojętnie i niemal dumniej, niż innych.

Był to Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, szwagier hetmana, a brat ulubiony gospodyni domu.

Branicki, zaledwie się z nim przywitawszy, zaczął

do kogo innego mówić, i stolnik zmuszony był po krótkiej chwili oczekiwania udać się do siostry, która tem uprzejmiej przyjmując go, zatrzymała przy sobie. Poniatowski, mówiąc z siostrą, miał czas niezmiernie wdzięcznie pozować, czując na sobie oczy kobiece. Był tu w swoim żywiole... wiedział, że jest admirowanym... i rozpromieniał cały. Gdzie rzucił okiem, uśmiechały mu się usta i oczy... ścigały go wejrzenia...

Przychodził tu już wsławiony z piękności, dowcipu, wdzięku, nauki, rozumu, a rodzeństwo szczególniej podnosiło go na najwyższy szczebel, wskazując jako nienaśladowany wzór dla młodzieży. W istocie pochwały nie były wielce przesadzone, a uwielbienie zasłużonem nazwać było można. Wszystkie przymioty pana stolnika biły w oczy i miały tę własność, że świetnie się objawiały. Trudno było zbadać głębokość nauki, oryginalność dowcipu, trafność sądu, ale uderzały strony błyszczące — pan stolnik umiał popisać się z tem, co miał, i drugich zagasić. Pamięć niezmierna, przytomność wielka, wprawa w języki wszystkie europejskie, obeznanie z literaturą, czyniły go wyrocznią. Jakże te wszystkie piękne panie nie miały z obawą zwracać oczu na niego, a z chlubą się nie cieszyć, gdy on je na nie obracał? Stolnik, oblężony przy pani hetmanowej, uwiązł, jak motyl w bukiecie kwiatów. Zdala hetman spoglądał czasem na niego, ale rozpoznać było trudno, z jakiem uczuciem. Wyrywano sobie pana stolnika. Nagle oczy jego padły na skrytą w cieniu panią Sołłohubową, która jedna prawie nie zwracała nań uwagi. Siedziała zdala u okna w towarzystwie dwóch dam starszych. Stolnik ze strategią nader zręczną, nie okazując po sobie, że ku niej zmierzał, kołował póty, póki się nie zbliżył, stanął przed nią i powitał.

Odpowiedziano mu bardzo zimno.

Nienawykły był snadź do tego i został w miejscu, usiłując zawiązać rozmowę.

— Pani jesteś, jak fijołek... ukrywasz się przed swymi wielbicielami — rzekł stolnik.

— Nie mam wielbicieli — krótko odpowiedziała pani Marya.

— Toby dowodziło, że ludzie oczu nie mają — ciągnął dalej grzeczny młodzieniec. — Wśród tysiąca pani należy pierwszeństwo.

— Jest to galanterya, którą czuć Paryżem — uśmiechając się, rzekła Sołłohubowa — ale pan stolnik, pewna jestem, musiałeś już tym komplementem najmniej nas dziesięć obdzielić.

— Przysięgnę pani, że to wyszło z serca i że wzrok jej wydobył... najszczersze to uwielbienie.

Pani Sołłohubowa długo spojrzała nań, od stóp do głowy zdając się rozpatrywać galanta z obojętnością obrażającą.

— Odpowiedzieć nawet nie umiem — odezwała się, pomilczawszy nieco. — Jestem bardzo zardzewiała wieśniaczka, nie nawykła do takich słodyczy...

— Trudno uwierzyć — odparł Poniatowski—prędzej przypuszczam, żeś pani niemi przesycona, i tem sobie rodzaj wzgardy jej tłómaczę. Ale dama jej przymiotów, powinna rozeznać, co płynie z tego zdroju, z którego wszystkie czcze czerpią się komplementa, a co z serca pochodzi...

Wysłuchawszy tych wyrazów, piękna pani spojrzała znowu, ziewnęła, usta zakrywając wachlarzem, i zapytała stolnika o jedną z pań, którą fama naówczas głosiła jako zapałów jego cel jedyny.

Poniatowski z uśmiechem, źle pokrywającym urazę, odparł, że pani starościny... od dni kilku nie widział.

— Te się panu wiekami wydać musiały — dodała złośliwa pani i, wskazując niezbyt odległą berżerkę, uwiadomiła go, że tam właśnie osoba, o której była mowa, siedziała.

Stolnik upierał się jeszcze prowadzić rozmowę i błysnąć dowcipem, gdy go hetmanowa zawołała, a pani Sołłohubowa uwolnioną została od natręta. W czasie rozmowy tej właśnie wszedł był młody Brühl, którego hetman powitał uprzejmie i zatrzymał chwilę przy sobie. Do wszystkich przymiotów swych cześnik koronny łączył, przy swobodzie wielkiej, skromność pewną, która mu serca jednała. Znać było, że nie chciał się popisywać z niczem i zaćmić nikogo, rachując na to, że ludzie rozumni na nim się poznają, a o resztę nie dbając może wiele. Dla hetmana był z poszanowaniem. Branicki z poufałością przyjacielską się z nim obchodził. Za to pani krakowska, której mimowolnie wydawał się rywalem jej ukochanego brata, dość zimno przyjęła cześnika. Kobiety spoglądały nań ciekawie, lecz nie z tem zajęciem, jakie w nich stolnik obudzał.

Pomiędzy mężczyznami w salonie Branickiego, gdzie już oba obozy przeciwne były reprezentowane, poznać można było łatwo ludzi, co się z sobą spotykać nie chcieli i nawzajem unikali. Tak Brühl z wielką zręcznością obszedł, nie widząc pana stolnika, a Poniatowski równie umiejętnie oczy zawsze obracał, aby się ze wzrokiem cześnika nie spotkały. Inni goście manewrowali także, omijając się wzajemnie, umyślną rażeni ślepotą.

Brühl przeszedł tak kilka grup, wśród których jednych pozdrawiał, drugich widzieć się nie zdawał, gdy

zdala spostrzegł Sołłohubową, prawie osamotnioną, która mu znak dała, aby się do niej przybliżył.

— Aleś pan niegrzeczny — rzekła do niego — jakże, czy i mnie, jak wielu innych osób, znać nie chcesz?

— Wymówka niesłuszna, bom kuzynkę pierwszą zobaczył, lecz — nie śmiałem się zbliżyć.

— A! cóż za bojaźliwość młodziuchna?

— Pani mnie powinnaś zrozumieć.

— Domyślać się mogę, ale nie zrozumiem. Była to przesadzona delikatność.

— Wiesz pani, że ludzie mnie posądzają o zbytnie dla niej uwielbienie; nie chcę im dawać materyału do plotek.

— A! mój hrabio! czy im go dasz, czy nie, oni sobie znajdą sami. Na cóż mamy tracić miłą chwilę — ja szczególniej, która jestem skazana tu na samotną spektatorkę?

— A! przepraszam, przecież przy niej widziałem najświetniejszą gwiazdę młodzieży, pana stolnika...

— Mdły i nudny... a! — odparła Sołłohubowa. — Jest to wielbiciel wszystkich piękności, a ja tych politeistów nie lubię. Siadaj, hrabio, koło mnie, w tym tłumie można być zupełnie samym...

— Ale tysiące oczu...

— Cóż nas one obchodzą! Ja — mówiła młoda pani — ja przypatruję się salonowi i gościom, co się tu tak w tańcu wymijają, rachując naszych przyjaciół i przeciwników... Lękam się...

— Mnie to nudzi! — rzekł Brühl. — Radbym, żeby zapowiedziany dramat skończył się jak najrychlej... kurtyna podniosła... i...

— Jabym wolała, żeby nie było dramatu...

Sołłohub nadchodzący przerwał rozmowę, podał rę-

kę Brühlowi, przywitali się, a że miał mu coś do powiedzenia tajemniczego, odciągnął go na chwilę od żony.

Zaledwie się to stało, pan stolnik zajął szybko miejsce opróżnione.

Widział on, jak Brühl był przyjęty; z ciemnych oczu jego, a więcej jeszcze z ust zazdrość tryskała i złośliwość.

— Jużem zrozpaczył, abym miał szczęście raz jeszcze zbliżyć się do pani... a tak pragnąłem... choćby samą przytomnością u jej krzesła dowieść, że pierwszym razem nie wypadkiem się tu znalazłem. Nie wiem tylko, czy mi pani pozwoli zostać. Są szczęśliwi, uprzywilejowani...

— A tak — mój mąż — odezwała się Sołłohubowa.

— Jeśli się nie mylę, i ktoś drugi.

— Kuzyn mój.

— Zazdroszczę obu...

Marya spoglądała ku mężowi, jakby go wzywała o ratunek. Brühl zwrócił się do jednej z pań bliżej siedzących. Sołłohub, zrozumiawszy żonę, podszedł ku niej, ale tak, by mógł stolnika nie widzieć... Podała mu rękę i wolnym krokiem poszli, zmieniając miejsce, w głąb salonu.

Odprawa, dana Poniatowskiemu, była zbyt jawna, ażeby go boleśnie nie dotknęła. Piękność Sołłohubowej i jej obojętność drażniły go zarówno: uśmiechnął się jednak i wolnym krokiem udał się ku pięknym paniom, aby sobie nagrodzić nowemi wrażeniami doznaną klęskę.

Tu zetknęli się z księciem Adamem, który zdala widać ruchy kuzyna i jego niepowodzenie uważać musiał.

— Nieszczęści ci się coś z Sołłohubową — szepnął mu w ucho — a wiesz, że bardzo ładna!

Stolnik podniósł oczy.

— Brühl ma tam podobno więcej łaski.

— Może przyjść kolej na innych — odezwał się stolnik.

— Tak — tam, gdzie są koleje — rozśmiał się książę Adam, oczyma wytykając pewne osoby — ale gdzie kolei niema??

Poniatowskiemu przykre było trochę to prześmiewanie.

— Brühl może... wkrótce być zmuszonym odjeżdżać do ojczyzny swych przodków — rzekł cicho — ojca lub matki; w takim razie Sołłohub niezabawny, a samotność wiele może...

— Sądzisz? — spytał książę Adam. — Masz widać ustalone teorye co do serca kobiecego — ja — nie! Ono jest dla mnie zagadką i podobno wiecznie nią zostanie...

Drzwi się otwarły i towarzystwo całe potoczyło się do jadalnej sali, gdzie beczułki ostryg znowu odbijano. Były one w wielkiej modzie i estymie, a pan hetman lubił je bardzo; nie w każdym też z pańskich domów drogi ten przysmak się ukazywał: mówiono na cały kraj o tem, gdy je pocztą do Białegostoku lub Warszawy sprowadzono.

VII.

O rannej bardzo godzinie sala sejmowa na zamku pełna już była, i ścisk panował w dziedzińcach, choć dopiero około południa, po nabożeństwie uroczystem u Ś-go Jana, posiedzenie otwarte być miało.

Posłowie czynniejsi, arbitrowie ciekawi, przekupnie

chciwi zarobku, zawczasu sobie miejsca zapewniali, bo później niełatwo o nie było... i niejeden poseł do swojego się nie dobił, choć je prosty natręt z ulicy zajmował. O ósmej godzinie już do drzwi docisnąć się było trudno. Wchodzili i wychodzili zakłopotani jacyś ludzie, powłócząc szablami i wzrokiem niespokojnym. Na galeryach pierwsze rzędy zajmowały jeśli nie ciekawe panie, dla których wstać tak wcześnie, a nadewszystko ubrać się i ufryzować było niepodobieństwem, to przynajmniej służący ich i pokojówki wysłane, aby krzeseł i ławek pilnowały.

Gwar, głośne śmiechy, rozmowy przerywane, kłótnie, powitania, wykrzykniki słychać było na przemiany górujące nad szumem i wrzawą, dochodzącą z korytarzy. Ruch był dokoła ogromny.

Posłowie, z dalekich przybyli prowincyi, poznawali się i przypominali sobie, niektórzy na ławach stojąc, obliczali już przytomnych, wypatrywali znajomych i szeregowali swych współwyznawców. Swoboda panowała, zakrawająca na nieład straszliwy. Wśród różnobarwnego tłumu, którego niktby się był nie spodziewał zastać w sali obradom poświęconej, znajdowały się postacie zupełnie tu niezrozumiałe. Kilka przekupek w białych kornetach i chustkach roznosiło pierożki ciepłe, ciastka, cukierki, owoce, a chłopak z koszem butelek piwa wyzywał, bijąc szklanką o szyjki, spragnionych, aby się ochłodzić pośpieszali. Kiedy niekiedy też pukał korek, wylatując do góry, po poderznięciu sznurków, które go utrzymywały, i musujące lekkie piwko, które naówczas bardzo lubiono, tryskało niekoniecznie w szklankę nastawioną, ale przypadkiem i za kołnierze lub na łysiny najbliższych sąsiadów.

Popłoch, śmiechy i przekleństwa towarzyszyły ka-

żdemu takiemu wybuchowi. Z galeryi służba krzyczała, urągając się: — Wiwat!

Śmiałkowie z górnego piętra ciskali jabłkami na znajomych w sali z równą niezgrabnością, jak piwiarz, tak, że pociski nie zawsze się dostawały tym, którym były przeznaczone. Winowajca naówczas zanurzał się za ściankę i próżno go było szukać.

Najśmielej sobie poczynała stara kobiecina, trochę przygarbiona, w czepcu białym z pomarańczowemi wstęgami, chuście w kraty i fartuchu, z koszem ogromnym pod pachą okrytym serwetą białą. Z twarzy jej pomarszczonej widać było wiek sędziwy, lata okryły podbródek i wargę wierzchnią gęstym włosem twardym i widocznie postrzyganym. Trzymała się jedną ręką w bok i spoglądała z góry na przytomnych w sali. Nie zalecając swojego towaru, jak gdyby pewna była jego pokupu, obchodziła salę powoli, zatrzymując się niekiedy. Czasem podnosiła serwetę, dobywała z pod niej przysmak jaki, odbierała zapłatę obojętnie i posuwała się dalej, jakby niewielką przywiązując wagę do handlu, którym się zajmowała. Mnóstwo osób witało ją, jak znajomą. Między arbitrami słychać było szepty:

— Patrzcie, stara Poterucha! że to jeszcze żyje! a wiele sejmów już widziała...

Na to przezwisko obelżywe Poteruchy marszczyło się lice staruszki, ale nie odwracała się nawet, grzeczniejsi bowiem zwali ją Kuźmową. Była bo od wielu już saskich sejmów znana bardzo panom posłom i senatorom postać, która miała prawo obywatelstwa na sali, i bez której na niej pustoby się wydawało. Młodsi przekupnie widocznie ją szanowali.

— A co pani Kuźmowa? — ozwał się z ławy po-

sel z nad Buga, bodaj któryś Suchodolski — co u was tu słychać w Warszawie?

Stanęła stara, ruszając ramionami.

— Co ma być? zechcieliście nowego? u starych po staremu!

Utarła nos metodą odwieczną i wzięła się w bok, nie ruszając się z miejsca, a posła mierząc oczyma.

— Wy prorokujecie nam, co z sejmu będzie, wy to może lepiej wiecie, niż my! — dodał drugi.

Spojrzała nań z półuśmiechem i powtórzyła, kręcąc głową:

— Po staremu!... nakrzyczycie, nawarczycie, nawarzycie wody i pojedziecie do domu...

Ruszyła ramionami.

— Nie pojedziemy, aż Brühlów rozumu nauczymy... — wtrącił pierwszy.

— A no! — odparła Poterucha — aby się wam udało!! a mnie się zdaje, że im włos nie spadnie z głowy!!

— Peruki im pozrzucamy! — począł inny.

— Ej, siedzą one mocno — mruknęła stara i poszła powoli.

A tu ją wołano na przemiany, to Kuźmową, to Poteruchą. Niektórzy sami dobierali się do koszyka, brali i tkali jej do rąk zapłatę, której nie sprawdzając nawet, wrzucała ją do wielkiej skórzanej torebki pod fartuchem.

— A Kuźmowa z kim trzyma? — odezwał się ktoś z boku.

— Z Panem Bogiem! — odpowiadała i szła dalej.

— Regalistka jest — mówił ktoś z boku — boć to przecie całemu światu wiadomo, że w młodości August Mocny półtora dnia się w niej kochał zapamiętale... i mówiono nawet, że ją chciał wziąć do Drezna, ale się nie dała...

Wśród tych scen wielce zabawnych, obcy człek z trudnością-by się był mógł przygotowania do sejmu domyślać. Samo wszakże urządzenie sali, tron w głębi, stół i siedzenia dla sekretarzy otoczone kratkami, straże we drzwiach, które nikomu jednak ani wchodzić, ani wychodzić nie przeszkadzały — przypominały, że gmach ten za kilka godzin miał być teatrem obrad prawodawczych Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Wpatrując się już teraz nawet w przybyłych i rozgospodarowujących się na ławach, poznać było można posłów, zawczasu skupiających się w pewne grupy, naradzających nad czemś, żywo i mocno zajętych tem, co się tu przygotowywało. Namiętne ruchy i rozognione twarze świadczyły, że posiedzenie nie przejdzie spokojnie. Wpadali nagle niektórzy, szepcąc coś do ucha znajomym, i wychodzili w chwilę potem, równie pośpiesznie wprowadzając z sobą nowych przybyszów, których starali się w pewnych miejscach ustawić. Inni przechodzili, jakby mustrując szeregi, zaczepiali, rozmawiali, lustrowali przytomnych, dodawali animuszu, a wszystko zwiastowało, że się tu czynność jakaś niemałej wagi przygotowywała. Wśród tych preliminaryów szlachta zajadała roznoszone pierożki, przekupki towar obwoływały, oprócz Poteruchy, która się wcale nie odzywała, na galeryi stukano, wywracając ławy, u dołu tłum popychany jak fala się kołysał, ściskał, rozpływał, wzbierał i rozchodził, gdy nowi przybysze ode drzwi przybywali, łokciami sobie torując drogę.

Twarze, strojne postacie najdziwniejszą mozaikę składały. Obok staroświeckich sukni, z kufrów odwiecznych dobytych, świeciły nowe, jak z igły, widocznie gwoli sejmowi posprawiane, o które właściciele w słusznej byli obawie od ciastek, piwa i owoców sprzysiężo-

nych na ich zgubę. Trafiało się bowiem często, iż palce od kiełbaski zatłuszczone wolał ktoś w ścisku o cudzą, niż o swoją obetrzeć połę. Przy kontuszach, które zdawały się z grobów zapożyczone, zblakłych i poprzecieranych, widać było suknie francuskie wytworne i peruczki świeżo upudrowane, od których piżmo zalatywało. Brząkały szable i cicho szeleściały rożenki zwane szpadkami, często w pochwie misternej nic nad kawał kija nie zawierające. Trójgraniaste kapelusze, niesione górą w rękach ponad wygolonemi łysinami, ulatywały, jak fantastyczne ptaki.

W jednej grupie czynny był bardzo ów Żudra o trzech podbródkach i słychać było powtarzającą się z ust jego jednostajnie, niezbyt zniżonym głosem komendę:

— Książę kanclerz prosi wszystkich na obiad po sesyi. Będzie barszcz, bigos, pieczeń, ogórki kwaśne, piwo doskonałe i na każdą głowę butelka wina...

— E! e! — odezwał się zdala malkontent jakiś — takiego kwaśnego, jak ostatnim razem...

— Co mówisz asińdziej? kwaśnego? Cóż to? Kobieta jesteś, czy dzieciak, żeby ci wino słodzić trzeba? Patrzajcie go! Także mi gagacik! Cukru mu się, jak kanarkowi, zachciało... a w domu daj Boże, by i piwo skwaśniałe było!!

Świadkowie i słuchacze śmiać się zaczęli, lecz ów malkontent nasrożył się mocno, i co zrazu bąknął, jakby sam do siebie, teraz wystąpił otwarcie.

— I cukier tam nie pomoże, gdzie ocet dają! — krzyknął, rękę podnosząc. — Piękny traktament! Senatorowie spijają tokaje, a szaremu końcowi lury leją w kryształowe kieliszki... Tam sarnie pieczenie wonieją, a u nas baranina z czosnkiem śmierdzi... E! mości mo-

stowniczy! znamy gościnność księcia kanclerza... z kredką, główką... E! E!

Tym razem świadkowie byli po stronie szlachcica. Żudra, że się to działo przy świadkach tak wielu i bardzo głośno, bo wszyscy, uszy nastawiwszy, śmiechem dopomagali oponentowi, oburzył się i zaczerwienił, jak burak.

— Słuchaj waść, panie regencie — krzyknął na całą salę, pięść do góry ogromną podnosząc, jakby tuż miał grzmotnąć — wiadomo światu, żem domownikiem i przyjacielem księcia kanclerza; kto go zaczepia, ten ze mną będzie mieć sprawę.

— O! — zawołał szlachcic — myślisz, że się twego sadła nastraszę.

Plunął już w dłoń i gotów był bodaj zaraz do serpentyny... wtem usłużni sąsiedzi z obu stron pochwycili go i osadzili na ławie.

— Bój się Boga! Gregorowicz, daj pokój, pod bokiem króla! Nie dobywajże szabli. Crimen laesae Majestatis! Będzie na to czas...

Zmitygował się pan Gregorowicz, siarczysty szlachcic, co kwaśnego wina nie lubił, ale oczy mu się iskrzyły i wlepiał je w Żudrę, który też ustępować nie myślał, a po chwili ciszej skonkludował:

— Było niegdy jegomości dobrze u stołu księcia kanclerza, dopóki go Niemiaszki nie skaptowały... Ot co jest! znamy się na tem!

Ledwie dokończył, gdy Gregorowicz się porwał.

— Wpakuję ja ci twoich Niemców do gardła! — krzyknął.

Szmer spór wreszcie zagłuszył... widać tylko było, jak się przeciwnicy, oczyma jeszcze mierząc, porozumieli na później.

Coraz większy szum i wrzawa panowały na sejmowej sali, a kilka scen, do tej podobnych, odbywało się współcześnie po kątach. Coraz też więcej dostojnych panów przybywało i ścisk zaczynał być do niezniesienia. Na galeryach miejsce sług powoli zastępowały postrojone panie, które posiedzenia chciały być świadkami. Pomiędzy niemi, ubrana czarno, w całym blasku piękności i młodości, zasiadła jedna z najpierwszych pani Sołłohubowa, szukając niespokojnemi oczyma po sali... znajomych, których los ją obchodził. Mąż był przy niej, ale coś mu szepnęła do ucha, i mimo oporu, posłuszny zszedł zaraz na dół, stając wśród grupy, która zdawała się na Brühla i Litwinów oczekiwać.

Tu także było widać zaczajonego skromnie w kątku Godziembę, który bawić się zdawał zamyślony z rękojeścią szabli swojej, a niekiedy ku drzwiom niespokojnie lub w przeciwną stronę na familijną gromadę poglądał.

Szlachta obu obozów zwolna się porządkowała i skupiała. Przewodniczący jej, jak wodzowie gotujący się do walki, rozstawiali strategiczne swe siły, w jednych miejscach pułki z nich tworząc gęste, w drugich naprzód popychając ochotników osamotnionych.

Widok sali sejmowej coraz się bardziej stawał zajmującym dla patrzących z góry — przygotowania do boju były już jawne. Nikt nie wchodził bez szabli, a za niektórymi z panów, po francusku poprzebieranych, dworzanie nieśli ogromne rapiry. Oblicza były chmurne, posępne, wzroki surowe, czoła gniewne — jedni szukali nieprzyjaciół oczyma, drudzy ich unikali, odwracając się z rodzajem pogardy. Niektórzy szeptali, inni śmiali się szydersko, wreszcie pokrzykiwali głośno, aby ich słyszano, i jakby grozić pragnęli. Wielka mnogość arbitrów, z którymi w sali zaczynało być za ciasno, dzieliła wido-

mie uczucia panów posłów, a tych zresztą trudno było rozpoznać, bo wszyscy, uprawnieni i nieuprawnieni, równie się czynnie kręcili, krzyczeli i mieszali — każde stronnictwo miało swych podpalaczy, mówców, emisaryuszów wysyłanych na zwiady, starających się zbadać usposobienia przeciwne i policzyć siły.

Posiedzenie, które zwykło było się rozpoczynać po dziesiątej, przeciągnęło się z powodu tych przygotowań i niepewności, jak postąpić należało. W sali wiedziano już na pewno, że, za ukazaniem się młodego Brühla, ofiarował się sam wystąpić przeciwko niemu pan stolnik Poniatowski, zadając nieszlachectwo. Poczytywano mu to za niepospolitą odwagę. Cała gromada Litwinów, Radziwiłłowszczyków stać miała, jak mur, w obronie cześnika. Szeptano nawet, że, gdyby nie perswazye króla, ofiarował się mianowany wojewodą wileńskim odrazu w szable uderzyć. Drudzy to tylko za czczą mieli przechwałkę.

Dotąd jednak głównych aktorów tego dramatu, z niecierpliwością oczekiwanych, nie było. Za każdem drzwi otwarciem, oczy wszystkich zwracały się na nie, wspinano się na palce — wchodzili różni... ich jeszcze nie było.

Naostatek panu Żudrze, który, już ochłonąwszy z gniewu, w najlepsze baraszkował, przybiegł ktoś coś szepnąć do ucha, i mostowniczy potoczył się ku drzwiom, ciżbę sobą rozpychając gwałtownie.

Wtłaczał się właśnie orszak Familii z butą wielką, szlachta w różnych strojach, szable i szpady niosąca na rękach, otaczając młodego bohatera, pana stolnika litewskiego. Wyelegantowany młodzieniec szedł z nadrobioną fantazyą jakąś, widocznie sobie dodając odwagi i animuszu, które w charakterze jego nie były. Chwi-

lami też płonął i mieszał się, to znowu spoglądał dokoła dumnie i wyzywająco, a wzrok jego musiał ustępować przed posępnemi oczyma szlachty, która się w nim rozpatrywała bez należnego uszanowania.

Za stolnikiem z ironicznym uśmiechem na ustach szedł książę Adam, dalej ciągnęło się mnóstwo fraków, a peruk kształtnie ufryzowanych. Parę sędziwszych postaci poważnych im towarzyszyło, lecz głów Familii brakło. Te się na pole walki wyrywać nie mogły, wysłały tylko wojska swoje. Cała kupka, wszedłszy, zajęła osobne miejsce, które jej Żudra ze swymi pomocnikami oczyścił, otaczając ją dokoła.

Wybitne stanowisko zajął na przodzie stolnik litewski, na niego teraz zewsząd zwracały się wzroki ciekawe — i on ośmielony poczynał strzelać oczyma, szczególniej ku górze, gdzie już cały zastęp pięknych pań, jak grzęda kwiatów wiosennych, jaśniał w najwyszukańszych strojach. Spotykały go tu uśmiechy i lekkie skinienia głów i powitania wachlarzami i wiewanie chusteczkami, na które z wdziękiem Adonisa odpowiadał z kolei. Wreszcie ciemne oczy pięknego młodzieńca padły z wyrazem ognistego roznamiętnienia na panią Maryę Sołłohubową. I niewidzialna dla tłumu, niepostrzeżona przez nikogo, trwająca jedno oka mgnienie odbyła się tu scena dramatyczna, która stała za prolog widowiska.

Sołłohubowa z zimną obojętnością, ze wzgardą niemal, zmierzyła oczyma stolnika... a w chwili, gdy wzrok jego największym rozpłomienił się blaskiem, zwolna odwróciła się do niego plecami. W tej postawie pozostała piękna pani dosyć długo, ażeby być dobrze zrozumianą. Pan stolnik zarumienił się, zadrżał, coś jakby zemsty pragnienie wykrzywiło mu twarzyczkę na chwilę, i przymuszonym śmiechem towarzysząc sobie, począł coś mó-

wić do otaczających. Pani Sołłohubowa zwolna zwróciła się do sali znowu, oparta na pięknej rączce, i oczy skierowała w dół na grupę, w której znajdował się mąż jej i Godziemba, unikając spojrzenia nawet na tych, którym stolnik przewodniczył.

Wtem szmer się dał słyszeć u drzwi, familijne zastępy przebiegło jakieś niecierpliwe drżenie, i jakby żałobny orszak, wtargnęła Litwa Radziwiłłowska z księciem Stanisławem na czele, cała czarno ubrana, w kirze, zamaszysto, z brzękiem szabel i twarzami, na których już widoczne były skutki pokrzepiającego śniadania. W pośrodku tego zastępu szedł młody Brühl, blady jak mur, widocznie zmęczony i zafrasowany więcej, niż przelękły. Znać w nim było posłuszną ofiarę, wleczoną mimowoli na stracenie. Stronnicy Familii usiłowali wchodzącym zaprzeć drogę i utrudnić pochód do sali — lecz ich tak gwałtownie zrazu odparto, że cały tłok, który ją napełniał, zachwiał się, zakołysał, musiał ścisnąć, czyniąc poniewoli miejsce nowym przybyszom, w liczbie dosyć znacznej. Wprawniejsze oko mogło już naówczas poznać, że Litwini liczebnie słabsi będą.

Obóz Familii począł się wejrzeniami obliczać, szmer uciszył się na chwilę, dygnitarze przybywać zaczynali. Oczekiwanie niecierpliwe... wyraziło się nagłem milczeniem. Wszyscy już stali na miejscach swoich, gdy książę Adam oczyma prawie litościwemi rzucił na Brühla. Obok niego stali Radziwiłłowie a przodem, w boki pysznie się wziąwszy, książę Karol dumnie oczyma wodził po sali. Zdały się one mówić: Gdyby mi pozwolono — panie kochanku... zmykalibyście wy stąd, gdzie pieprz nie rośnie. Nie postrzegł nikt, jak książę Adam, ostrożnie się z pomiędzy swoich wysunąwszy, począł bokiem

przeciskać do Brühla. Jeden Godziemba to przewidział, drgnął i zdawał przygotowywać, jakby do odsieczy.

— Mości książę — szeptał po cichu Brühl do wojewody wileńskiego — jestem tu, jak wiecie, przeciw mej woli i przekonaniu... z rozkazu! Boli mnie, że muszę z sobą wnieść niepokój i być przyczyną waśni. A! gdyby mi wolno było ustąpić!! Jeżeli przeciwnicy rzucą się na nas w istocie — ja się bronić nie myślę, ujdę z placu...

Książę spojrzał i pomilczał.

— A toby dopiero pięknie było, panie hrabio, panie kochanku — mruknął. — My was stąd nie puścimy; kiedyś grzyb, leź w kosz... Ale my WMość obronimy... bądźcie spokojni; to tylko bieda, że król JMość nie pozwala się pobawić; a moi, jak pot poczują, panie kochanku, nie łatwo ich zmitygować i Radziwiłłowi, nasiekają kapusty więcej, niż potrzeba...

Machnął ręką. Wtem Szymanowski, z tyłu przystąpiwszy, odezwał się do księcia:

— Wasza książęca Mość już wiesz zapewne, że król JMość nawet w najkrytyczniejszym razie do ostatecznych środków uciekać się... nie życzy...

— A tak! tak! panie kochanku — grubym głosem, nie patrząc nawet na Szymanowskiego, odparł Radziwiłł — jużem ja to słyszał. Niechże nas nie łaskoczą, bo my, Litwini, jesteśmy strasznie łaskotliwi... To darmo, natury nie przerobić...

Brühl stał, jak na mękach, blady i drżący... wtem, gdy oczy jego podniosły się ku galeryi i spotkały z pokrzepiającym wzrokiem i uśmiechem Maryi Sołłohubowej, książę Adam nagle zbliżył się do niego i, nie zatrzymując prawie, w przechodzie szepnął mu szybko do ucha:

— Hałasu będzie wiele z twojego powodu, Brühl — ale proszę o swą osobę być spokojnym... Włos ci nie spadnie z głowy — idzie tu nie o was, ale o waszego ojca...

— A sprawa ojca jest moją zarazem — odparł żywo cześnik. Ale odpowiedź nie doszła już uszu ks. Adama, który w tłumie zniknął, gdy Godziemba zbliżył się na obronę...

Marszałek starej laski, sędziwy starzec Małachowski, ukazał się właśnie, zagajając cichym głosem posiedzenie, lecz gwar był się wzmógł znowu i niełatwo przyszło, wśród sykań ze wszech stron, uprosić milczenie. Cicho, drżąco... z niepokojem... począł Małachowski mówić, nie słuchany wśród gwaru, przerywał sam, przerywano mu co chwila... sykania nie ustawały... laska biła napróżno o podłogę...

Nareszcie zwolna uciszać się poczęło w izbie, błagający głos starca zdawał się wzruszeniem, jakiem był przejęty, chcieć skruszyć najtwardsze serca.

— „Trzydzieści lat nierządu! — mówił — tylko Opatrzność Boża mogła nas przez ten czasu przeciąg od zagłady uchować. Jeżeli i to zgromadzenie, jak poprzednie, nie dojdzie, nie zaradzi krajowi, zguba nas czeka"...

Szmer poczynał głuszyć go znowu.

— „Ufajmy Bogu — dodał starzec — że w serca posłów wleje uczucia, które złemu zapobiegą i uratować nas potrafią"...

Miano już przystąpić do wyboru marszałka sejmu, gdy w obozie Familii ruch się począł, jakby się burza zerwać miała. Około stolnika kupili się ludzie i szeptali. Niektórzy zawczasu na ławki się wdrapywali, aby lepiej widzieć i słyszeć to, co nastąpić miało.

Czarny orszak Brühla sykał, jak wąż wielogłowy. Z obu stron głuche jakby warczenie coraz być głośniejszem zaczynało. Rozstąpili się osłaniający sobą pana stolnika, czyniąc mu pierwsze miejsce. Poniatowski postąpił krok naprzód, pobladł i zdawał się wahać chwilę. Można było sądzić, że mu w stanowczym momencie zabraknie odwagi, i już drudzy, z obawy, aby nie spełzły plany na niczem, rwali się go zastąpić, o głos się dopraszając, gdy stolnik, spojrzawszy do góry na Sołłohubową, której oczy znalazł wlepione w Brühla, jakby podżegnięty, wykrzyknął głosem widocznie wysilonym i podniesionym sztucznie:

— Proszę o głos!

Z tyłu go nieco naprzód popchnięto.

— Prosimy o głos! o głos! — wołano tłumnie z obozu Familii — prosimy o głos!...

Małachowski chciał się opierać.

— Panie marszałku! tu idzie o najważniejsze przywileje i prawa pogwałcone Rzeczypospolitej. O głos prosimy! o głos!

Wrzawa stopniami rosła, pokrywała wołanie marszałka do porządku i zaklęcia jego, aby od zamieszania sejmu nie rozpoczynano.

Wrzawa stopniami rosła, pokrywała wołanie marszałka do porządku i zaklęcia jego, aby od zamieszania sejmu nie rozpoczynano.

Małachowski domagał się najprzód wyboru marszałka, opozycya krzyczała, że nań nie pozwoli. Z obu stron starano się zagłuszyć, coraz podnosząc głosy, tak, że ich już wśród szumu i hałasu rozeznać było niepodobna. Wrzawa dochodziła gwałtowności przerażającej. Namiętności poczynały szaleć... nogami tłuczono podłogę,

pięściami ławy... ręce podnosiły się do góry. Stolnik litewski, choć go do głosu nie dopuszczono, począł wołać:

— Niema sejmu! niema, dopóki izba nie zostanie oczyszczona z intruzów!... Co tu robi pan Brühl? Kto go mógł posłem wybierać, gdy wiadomo, że szlachcicem polskim nie jest! Precz z nim z izby! precz z nim!

Wtem poparto go wołaniem tłumnem:

— Precz z Brühlem! precz z Niemcem!

Niektórzy zapalczywsi hałasowali:

— A do budy!!

Brühl blady stał się bledszym jeszcze, usta mu się ścięły, czarne oczy tylko pałały, znosił tortury.

Wtem książę Stanisław Radziwiłł, podkomorzy litewski, rachując na tubalny swój głos silniejszy od stolnika pieszczonego głosu, począł wrzeszczeć straszliwie, aby go zagłuszyć. Wśród piekielnej wrzawy, która zdawała się wróżyć coś gorszego nad tumult, zwolna ściśnięte dotąd tłumy poczęły się rozstępować, jakby chciały sobie stawić czoło. Małachowski, przejęty zgrozą, zakrył oczy. Szable już brzękały, wszystkie dłonie drgały na rękojeściach — jeszcze chwila, a żelaza z pochew miały błysnąć... rzeź w izbie zdawała się nieunikniona. Na galeryi kobiety obu stronnictw powstawały jedne przerażone, ręce łamiąc, drugie zdając się zagrzewać i pobudzać do walki.

Brühl, stojący ciągle nieruchomie pomiędzy Radziwiłłami, za którymi krył się drżący od gniewu Godziemba nie spuszczający go z oka, widząc te przygotowania, z oburzeniem i zgrozą, z dumą jakąś razem — odwrócił się nagle, jakby chciał ustąpić z placu i nie dawać powodu do krwi rozlewu, który się zdawał nieuchronnym. Wtem książę Stanisław Lubomirski podstoli i Opacki pochwycili go już usuwającego się za ręce.

— Panie cześniku, na miłość bożą — zawołał podstoli — dasz im w ręce wygraną, to się nie godzi! Oni się na nas porwać nie śmieją, my cię nie puścimy! Miejsce twe tutaj! Myśmy przyszli dla ciebie, trzeba z nami wytrwać do końca.

Tych słów domawiał, gdy w obozie Familii najprzód szabli dobyto i kilka kling błysło nad głowami a za niemi i reszta się ukazała. Na dany znak, Radziwiłłowscy też, jakby tylko nań czekali, wszyscy w jednej chwili obnażyli serpentyny.

Na galeryi rozległ się krzyk niewieści.

Na widok żelaza w rękach, wśród sejmu, wypadku dotąd niepraktykowanego, strwożyli się nawet ci sami, co pierwsi oręż obnażyli. Nastąpiła krótka chwila milczenia. Wszyscy się uczuli przejęci grozą.

W tym stanowczym momencie rozdziału okazało się dopiero jawnie, iż Familia, śmielsza i baczniejsza, ściągnęła daleko znaczniejszą liczbę szermierzy swych i nimi izbę zalała. Radziwiłł, nie spodziewając się tego, posłuszny woli króla, nie śmiał wprowadzić z sobą nad sześćdziesiąt arbitrów. Tych, choć każdy z nich stał za kilku, nie starczyło do walki. Familia zrozumiała dobrze swą siłę, zawahała się jednak z daniem znaku do boju i rozlewu krwi bratniej. Na widok szabel dobytych, znaczna liczba bojaźliwszych arbitrów pierzchnęła z sali, po mieście roznosząc wieść, iż na zamku już przyszło do krwi rozlewu. W ulicach poczęły się gromadzić tłumy, nowi arbitrowie naciskali się do sali. Dwa przeciwne obozy stały w pogotowiu, nieruchome przeciw sobie. Stolnik litewski był prawie jak Brühl blady; w wyrazie jego twarzy, mimo pozornego roznamiętnienia, poznać było można, jak niewłaściwą wziął na siebie rolę.

Z poza niego pokrzykiwano jeszcze zapalczywie:

— Precz z Brühlem... Precz z Brühlami!! Hajda do Saksonii!

— Rozsiekać intruza! rozsiekać Niemca!...

— Panowie! — krzyknął w tej chwili, na ławę się wydobywszy, podkomorzy Laskowski — nie wchodzę w to, kto tu pierwszy dobył oręża, ale to jest występek kary najsroższej godny, to przykład nad wszystkie straszniejszy, pogwałcenie majestatu sejmowego... zbrodnia przeciw Rzeczypospolitej.

— Dochodzić winowajcy! — zawołano za nim.

Niektóre szable poszły do pochwy.

— Precz z arbitrami!—odezwali się niektórzy za Laskowskim, który ze swej ławy nie ustępował.

— Najprzód precz z szablami! — począł podkomorzy, nabierając coraz większej odwagi — a toć jesteśmy w kościele, w świątyni praw; kto ją skaził, targając się do oręża, gardło dać powinien. Ja instyguję!

Familia zagłuszyła go nagle hałasem wielkim.

— Scrutinium na winowajcę! — wołali niektórzy — i to natychmiast.

— Proszę o głos — krzyknął ktoś z tyłu — podam najlepszy środek dojścia winowajcy.

— Prosimy! prosimy!

— Niech się izba uciszy! niech pan stolnik powtórzy, co mówił przeciw cześnikowi, a kto pierwszy i odezwie się, winnym się okaże.

Śmiechem wniosek niektórzy okryli. Wśród zamieszania i wrzawy tej marszałek Mniszech, przelękniony postawą Brühla, cierpieniem jego widocznem, począł obiegać posłów, zaklinając ich, prosząc o spokojność, o poszanowanie dla szwagra. Ktoś z Familii zobaczył go zwijającego się po izbie, zaczęto zaraz krzyczeć:

— Precz z Mniszchem! co tu robi marszałek? tu nie miejsce do intryg i konszachtów!

Szable drżały jeszcze w rękach niektórych, a co moment powtarzały się głosy: Rozsiekać!! Wypędzić! Won! za drzwi! Precz z szołdrą!

Kilku posłów, mniej gorąco biorących rzeczy, pozwalało sobie szyderstwa.

— Hedź go ha! a hedź go ha! — wołano jak na polowaniu z chartami.

Głosy to były litewskie, które Familię na psy wykierować chciały.

Starego Małachowskiego twarz, na przemiany blada i krwią oblana, wyrażała boleść straszliwą, łzy ciekły mu z powiek, z drżącej ręki laska się wyślizgiwała.

— Marszałku — szepnął, zbliżając się doń, Mniszech — jeżeli nie chcesz, aby się krew polała, solwuj sesyę, to jedyne zbawienie.

Małachowski nie miał siły ani opanować rozwścieczonych, ani im ust zawiązać—płakał stary i łzy ocierał. Oczy jego w tem posiedzeniu widziały może daleką przyszłość, która się czasem powiekom starców odsłania.

Wrzały jeszcze namiętności rozkołysane do najwyższego stopnia, a nikt pierwszy ustąpić nie chciał, tak jak nikt też kroku stanowczego nie śmiał uczynić. Mierzono się oczyma, wyzywano słowami, w piersiach wrzały stłumione groźby.

Wtem głucho odezwało się trzykrotne uderzenie marszałkowskiej laski. Posiedzenie odroczone zostało na dzień jutrzejszy.

Izba w milczeniu przyjęła ten wyrok, który obu stronom dogadzał. Nikt w istocie nie pragnął krwi rozlewu, Familia, na ten raz pozornie wyszedłszy zwycięską, spodziewała się groźbą tej siły, którą rozwinę-

ła, zmusić do ustępstw króla i starego Brühla. Resztę więc szabel poczęto chować do pochew i bliżsi drzwi pośpieszyli na miasto, roznosząc rozmaicie malowane wieści o tem zajściu, które nazajutrz mogło wybuchnąć straszniej jeszcze.

Radziwiłłowscy pierwsi, bliższymi będąc wyjścia, ustępować zaczęli. Na twarzy pana wojewody, który już tytuł ten nosił, o który tu jeszcze wojować chciano, malował się gniew posępny, niemal do rozpaczy posunięty. Czuł się upokorzonym, pognębionym i winnym, wargi mu drżały, sapał, a pot kroplami wytryskał mu na szerokiem czole.

— Do jutra! panie kochanku! — mruczał — do jutra... ad videndum, koniec dzieło chwali!

Brühla napół żywego z gniewu i znękania uprowadzono z sali, w której pozostała Familia i jej adherenci tryumfowali, śmiejąc się, przedrwiwając i ciesząc z placu, który otrzymali. Nie zbywało na odgróżkach i przechwałkach.

Jeden pan stolnik, któremu winszowano tak śmiałego wystąpienia, wcale się z niego nie zdawał uszczęśliwionym, miał postać jakby zawstydzoną. Teraz, gdy spełnił, co mu narzucono i co nierozważnie przyjął na siebie, czuł najmocniej, jak niewłaściwej charakterowi swemu podjął się roli, jakie na siebie przez nią ściągnąć miał nienawiści, zemsty i nieprzebłagane gniewy. Upokarzało go niemal to zwycięstwo jakiegoś trybuna i wrzask, którego był sprawcą.

Wychowanek salonów wstydził się burdy, w którą był wmieszany. Szablista szlachta, jaką dowodził, wydawała mu się dziwnie barbarzyńską.

— Mości książę — odezwał się po cichu do stojącego przy nim księcia Adama, ocierając równie pot

z czoła uznojonego jak przeciwnicy, ale z niezmierną elegancyą i cienką batystową chusteczką — wszystko to może być dla JMPana Żudry miłem i wesołem, ale mnie się już wydaje nader smutnem i trywialnem! Namiętności rozkołysać nader łatwo, ukoić bardzo trudno, a następstw nikt obrachować nie potrafi. Nieszczęśliwy to kraj, gdzie w takim wrzątku prawa się gotują...

Książę ruszył ramionami, był może podobnego zdania, spojrzeli na siebie milczący.

— Żal mi tego Brühla — rzekł książę Adam — słyszałem, że ładne komedyjki pisze, a tu go niemal tragedyą poczęstowano.

— Mnie wcale Brühla nie żal — odparł stolnik — ale — siebie...

I westchnął.

Żudra tymczasem na obiad przygotowany gdzieś w refektarzu klasztornym prowadził tych, którzy tak dobrze pod komendą jego rolę swą odgrywali. Należało się im i odwilżenie wysuszonego gardła, i pokrzepienie sił starganych w służbie księcia kanclerza.

Zwycięzcy i zwyciężeni, oprócz komparsów, którymi się posługiwali, czuli to dobrze, iż walka zaledwie była rozpoczęta, kości rzucone, a chwilowe zwycięstwo wcale nie przesądzało końca.

Powozy wyjeżdżały z zamku, piesi rozchodzili się, głośno rozprawiając o tem, kto pierwszy porwał się do szabli, a po mieście szedł popłoch zwiastujący, że na teraźniejszym sejmie bez krwi rozlewu obejść się nie może.

Książę Karol, zaledwie wyszedłszy z sali, szepnął jednemu ze swych przybocznych:

— Panie kochanku, na jutro pięćset szabel być musi, choćby dyabeł na dyabła siadł... tu idzie o honor

Radziwiłłowskiego domu... Słyszysz jegomość!... choćby nieboszczyków z grobów na apel pozwać przyszło. Zobaczymy, kto będzie górą!! Te flejtuchy Niemcy, z pozwoleniem, i mnie na dudka wystrychnęli! A no, panie kochanku, dosyć!

I poszóstna kareta potoczyła się ku pałacowi, a posłańcy natychmiast rozbiegli się, nawołując i zbierając kto żyw na jutro.

Familia wiedziała dobrze, iż poruszyła gniazdo osie, ale między tym dniem a jutrem była noc i czas do namysłu dla wszystkich, a króla znano, iż się obawiał i opierał krwi rozlewowi. Na jego powolność, na układy z Brühlem rachowano prawie napewno, nikt bowiem się nie łudził, że z jednej strony dobyto sił ostatnich dzisiaj, a z drugiej ledwie ich cząstka do walki stawała. Jutrzejszy więc dzień mógł zupełnie zmienić położenie.

Stolnik litewski czuł to lepiej, niż inni, i dosyć posępny wyszedł z sali, w chwili gdy piękna pani Sołłohubowa siadała do karety. Chciał się zbliżyć do okna, lecz i okno i firanka razem zamknęły się przed nim i powóz szybko wyruszył z dziedzińca.

— Brühl mi za to zapłaci! — szepnął w duchu.— Dlaczego ta kobieta tak mnie nęci i pociąga?? tem może chyba, że ona jedna mnie odpycha... Jedna taka porażka wszystkie tryumfy zaciera!

I westchnął smutnie.

VIII.

Gdy na zamku zbierała się szlachta i posłowie dla stoczenia walki, pan hetman Branicki, po rozmyśle i

zasięgnąwszy rady Mokronowskiego, postanowił krok także uczynić stanowczy w tej sprawie, próbując azali mu się nie uda zwaśnionych pojednać, zbliżyć i zapobiedz następstwom dla kraju najgroźniejszym. Zdawało mu się, że to właśnie było obowiązkiem medyatora intra potestatem et libertatem; rachował wiele na swą hetmańską powagę, na wpływ wymowy, na potrzebę uspokojenia, jaką czuły strony obie, na ustępstwa, które Brühl mógł uczynić, aby ukoić żale Familii rozdrażnionej; sądził, że i ona da się czemś mniejszem złagodzić i z wymagań zbyt wielkich zejdzie na możliwe.

Hetman szedł w tem za wolą i życzeniem Augusta, który na samą wieść, iż do wojny domowej i chwycenia za oręż przyjść mogło, truchlał, gotów będąc ze swej strony na wszelkie ustępstwa dla zachowania pokoju.

Lecz król JMość liczył — bez Brühla; inne były zamiary, plany i uczucia wszechwładnego ministra. On byłby niemal z radością powitał rozlew krwi, byle go on uwolnił od Familii, chcącej przewodzić, rozkazywać i rządzić po swej woli. Nie śmiał się on wbrew przeciwić królowi, milczał i uspokajał go, lecz widać było, iż wcale ustąpić ze swego planu nic nie myślał, zmieniając co najwięcej środki wykonania.

Hetman Branicki, chcąc odegrać w ostatniej chwili tę rolę pacyfikatora, listami uprzejmymi zaprosił do siebie liczbę niewielką osób, najgłówniejsze zajmujących stanowiska. Pomiędzy niemi najpierwsze miejsce naturalnie zajmował minister Brühl i obaj książęta: kanclerz i wojewoda ruski.

Były to żywioły tak sobie przeciwne, iż przy pierwszem zetknięciu się z sobą mogły wybuchnąć, gdyby hetman nie wiedział i nie rachował na to, iż przy obcych wstrzymywać się i zachować decorum będą zmu-

szone, nie tykając kwestyi drażliwych. Wezwał więc zarazem na obiad posłów zagranicznych mocarstw i kilku w Warszawie bawiących cudzoziemców.

Trafny ten wybór osób zapewniał mu, że obiad przejdzie spokojnie, a następnie ułożona konferencya za pośrednictwem jego do jakiegoś porozumienia doprowadzi.

Mokronowski zgadzał się z hetmanem na krok ten, chociaż mniej niż on się po nim spodziewał.

W natłoku spraw i zajęć zapomniano tylko zasięgnąć w tem rady pani hetmanowej, która późno trochę wiadomość o obiedzie i mających się na nim znajdować osobach odebrała.

Piękna pani natychmiast rozkazała powołać do siebie Mokronowskiego, na ten raz prawie urażona przeciwko niemu. Siedziała w swym buduarze, oczekując nań niecierpliwie, patrząc na drzwi i bijąc nóżką o podłogę, a gdy się nareszcie pokazał uśmiechnięty, dopominając o białą rękę, która mu zwykle dobrotliwie była podawana dla zagajenia rozmowy, pani hetmanowa cofnęła ją prawie gniewnie i, nie dając mu się odezwać, zawołała, marszcząc piękne brwi groźnie:

— Proszę-ż cię, generale, co znowu z panem hetmanem wymyślacie? przecie godziło się choć spytać mnie o osoby, jakie na obiad zaprosiliście, przy którym ja usiądę jako gospodyni?

Mokronowski stanął zdziwiony.

— Ale cóż się tak okropnego stało? — zapytał — listę osób wszak przysłano?

— Tak, i Brühl stoi na jej czele...

— Pominąć go przecie nie było podobna.

— A mnie dlań być grzeczną jest również niepodobieństwem — dodała hetmanowa. — Nie zapominaj pan, że ja do Familii należę, że czuję krzywdy wujów

moich, że jestem kobietą, i to, co oni znoszą w poważnem milczeniu, ja biorę do serca... ja nie mogę ukrywać.

Mokronowski stał zmieszany.

— To była myśl pana hetmana!

— Ale WPan mogłeś mu całą jej niedorzeczność wykazać. Łudzi się jakąś zgodą... a siebie skompromituje i mnie stawi w takiem położeniu.

— Niech mi hrabina daruje — rzekł łagodnie i przymilając się Mokronowski — jam doprawdy nic nie winien... pan hetman chciał koniecznie, wszystko się dokonało tak pośpiesznie.

— Więc ja mogę nie być na obiedzie! — oparła się hr. Izabella.

— Miałoby to najsmutniejsze następstwa, bo właśnie na przytomność jej rachuje pan hetman, że nieprzyjaznych sobie powstrzyma od wybuchu.

Hetmanowa ramionami ruszyła.

— Tak, ja mam wam do waszych kabał służyć za narzędzie.

Mokronowski w postawie winowajcy stał przed nadąsaną panią, ciągle błagając ją o rączkę białą, aż gniew jej zszedł na męża, generał otrzymał paluszki do całowania... i milczące przebaczenie.

Hrabina spojrzała w okno, nadając twarzyczce wyraz ofiary, coś ifigenicznego... co ją piękną czyniło i sentymentalną.

Mokronowski jeszcze rękę całował, gdy mu szepnęła:

— Allez donc, et demandez au comte qu'il vienne me voir...

Mokronowski, szczęśliwy z tego obrotu, ścisnął śliczną rękę i wyszedł z pośpiechem.

Wezwanie pani hetmanowej było czemś tak nie-

zwyczajnem, iż mogło zdumieć męża, który oddawna zwykł był z żoną widywać się tylko w wielkim salonie przy gościach. Niełatwo też było Branickiego oderwać od licznych zajęć i liczniejszych jeszcze życia przyjemności, od których nie lubił ażeby go odciągano. Z obu stron swoboda była największa, a zetknięcia rzadkie, czułe, ale ceremonialne.

Nierychło więc bardzo żywa i nie znosząca oczekiwania hrabina ujrzała wreszcie odmykające się uroczyście drzwi i wchodzącego z galanteryą francuską wyświeżonego starca, który, nie zważając na nachmurzoną twarzyczkę, wesoło spytał o zdrowie.

— Wyglądasz, hrabino, jak róża! — rzekł — ale dziś pono z kolcami! Mokronowski mi oświadczył, że się gniewasz na swego wiernego sługę? Est-ce possible?

Rozmowa, jak prawie zawsze, toczyła się po francusku.

— Ale tak, nietylko to możliwe, ale najrzeczywistsze — zawołała hrabina.—Każecie mi znosić starego Brühla w chwili, gdy się nim najmocniej brzydzę, i, nadając mi rolę śmieszną... bez mej wiedzy, chcecie, bym jak niewolnica przyjęła ją z pokorą.

Hetman wysłuchał wykrzykniku i usiadł bardzo spokojnie.

— Chère comtesse — rzekł — połajałaś Mokronowskiego, on zrzucił winę na mnie, łajesz mnie, nie pozostaje mi nieszczęśliwemu nic więcej nad to, tylko z kolei złożyć grzech na barki istotnego winowajcy, którym jest król... król chciał tego...

— A tak! to znaczy: Brühl sobie tego życzył! — odparła pani.

— Ode mnie król żądał.

— Tak, ale nie ode mnie — dodała hrabina.

— Przepraszam, umiał najjaśniejszy pan ocenić wpływ, jak: na ułagodzenie umysłów wywierają kobiety — począł Branicki — i wyraźnie...

Pani Branicka rzuciła się gniewnie, hetman roześmiał się nieznacznie i, jak niedawno Mokronowski, wyciągnął rękę, prosząc o dłoń do pocałowania, która mu stanowczo odmówioną została.

Hrabina milczała chwilę, zamyślona, potem, nie patrząc na męża, odezwała się:

— Ośmielam się tylko dlatego wezwać tu pana hrabiego, ażeby mu powiedzieć, że, jeśli ja, kobieta obrażona, dotknięta... nie potrafię być panią mych uczuć i okażę ministrowi co czuję, nie będę winna!

Hetman wstał, usłyszawszy ten wyrok, który mu się wydał groźbą tylko, spełnić się nie mogącą.

— Kochana hrabino — rzekł — jakkolwiek uczucia niewieście żywsze są od naszych, nadto rachuję na znajomość świata twoją, na delikatność, na pojęcie obowiązków gospodyni, ażebym się miał czegokolwiek obawiać.

To mówiąc, skłonił się i, widząc, że hrabina gniewna nie myśli się dać przebłagać, dodał:

— Do obiadu daleko, rozdrażnienie się ukoi, nie chcę ci być natrętnym, ale rachuję na piękną gospodynię, bez której wszystkoby było chybione.

To mówiąc, skinął na stojącego opodal Mokronowskiego i z nim razem na palcach wyszedł z buduaru.

Z południa, u przepysznie zastawionego stołu, w mniejszej salce jadalnej pałacu Branickich, zabierali milcząc miejsca przeciwnicy, zdala się zaledwie powitawszy i ciągle trzymając w odległości od siebie. Ktokolwiek bywał na dworach, kędy się nieraz spotykają

żywioły nieprzyjazne, wie, z jaką zręcznością ludzie wielkiego świata umieją unikać tych, których widzieć nie chcą. Brühl i Familia byli mistrzami w tej sztuce.

Książę kanclerz dobrał sobie do rozmowy posła angielskiego, z którym się nie rozstawał na chwilę, a oczy jego tak chodziły po sali, iż nigdy, nawet przypadkiem nie zawadziły o wzrok Brühla. Minister, udając wesołego, o rzeczach obcych zupełnie położeniu, o Wiedniu i Austryakach opowiadał coś z werwą gospodarzowi, ignorując Familię, co go otaczała. Twarz jego tem tylko może zdradzała niepokój wewnętrzny, iż nadto była wypogodzona.

Gospodyni wyszła do swych gości z twarzą bladą, wcale nie ukrywając przykrości, jaką jej sprawiała bytność ministra. Musiała jednak w swoim domu być uprzejmą i grzeczną. Brühl, zawsze będący panem siebie, odgrywał z rutyną starego aktora wesołość i lekceważenie, jakby siebie był najpewniejszym. Myśl jego gdzieindziej latała, ale oczy i usta się śmiały. Drgał czasem, gdy się natrętnie przypomniał mu sejm, izba, syn, walka... o której skutkach nie mógł tu być tak prędko uwiadomiony, i natychmiast podwajał zuchwalstwa salonowego, aby się nie wydać z obawą. Każdy silniejszy szelest, każdy hałas uliczny, mimowolnie w twarzy się jego odbijał, lecz obce oko ledwie te mgnienia mogło pochwycić. Jeśli się śmiać nie miał powodu, twarz przybierała ministeryalną obojętność człowieka, którego nic zdziwić, nic zastraszyć, nic nie może pokonać.

Miano usiąść do stołu, gdy hetman, który na chwilkę Brühla oddawszy ministrowi holenderskiemu, sam się był oddalił, wrócił doń z twarzą uśmiechniętą i szepnął mu na ucho:

— Wszyscy zarówno interesujemy się wypadkami

dnia dzisiejszego, Wasza Ekscelencya o syna, ja o szwagra, wszyscy razem o losy kraju. Rozkazałem więc, mimo obiadu, jeżeliby tam co ważnego zaszło, aby nam doniesiono.

Spojrzał pytająco. Minister skłonił się, jakby dziękując, ale nie powiedział słowa.

Książę kanclerz także naumyślnie dnia tego wesół chciał być i szyderski a uszczypliwy. Zdawał się swobodnym na umyśle, jak nigdy, jakby go sejm nie obchodził wcale, a zwycięstwa był jak najpewniejszy. Trochę hałaśliwa wesołość ta, dla drażnienia Brühla, przybierała nawet rozmiary niezwyczajne.

Zasiadając do stołu, wszyscy usiłowali oddalić złe myśli, uniknąć jątrzącej rozmowy, a Williams zabawiał panią hetmanową żarcikami, które mu przyniósł świeży list z Paryża. Mówiono o pięknych paniach, o kronice miasta, o zimie, o pogodzie, o ostatnich nowinach z za granicy, o królu pruskim, dostarczającym obfitego materyału do opowiadania.

Fryderyk nie miał tu przyjaciół, jak domyślić się było łatwo; ale oryginalna postać jego ściągała oczy, a łupieże z chłodną krwią dokonywane, ogłaszane z cynizmem, obudzały pewny rodzaj podziwienia.

Coś dzikiego, barbarzyńskiego niemal było w tym bohaterze zatabaczonym, który wszelkiemu uczuciu, ogładzie i poezyi życia urągać się zdawał, choć sam chciał się nazywać poetą. Rozpowiadano o nim rzeczy osobliwe, których obecność dam głośno nie dozwalała dokończyć.

Obiad wlókł się tak, wcale nie zbliżając do siebie tych, których hetman pragnął przejednać, gdy hałas jakiś w ulicy, potem w dziedzińcu, nareszcie na schodach żywe kroki, zwróciły wszystkich uwagę.

Drzwi salki otworzyły się nagle, i należący do

dworu pana hetmana, wysłany przez niego do izby, aby zdał sprawę z czynności, pan łowczyc Turski, blady, pomieszany, zadyszany zjawił się w progu, tak jeszcze przejęty tem, z czem przychodził, iż go nawet towarzystwo dostojne, które miał przed sobą, do opamiętania rychłego przyprowadzić nie mogło.

Hetman, który się ku niemu zwrócił, postrzegłszy to, powstał, wszyscy się poruszyli na krzesłach, jakby ku niemu zbliżyć się chcieli, przyzwoitość tylko na miejscach ich wstrzymała.

Turski milczał, ocierał się i wzdychał.

— Z czem przychodzisz, mości Turski? mów — odezwał się hetman — mów waćpan śmiało.

Łowczyc ciągle tarł jeszcze czoło i odchrząkiwał, nie mogąc się zebrać na słowo, niecierpliwość wszystkich wzrastała. Żywsza od innych pani hetmanowa z gniewem prawie mierzyła oczyma posłańca, który oglądał się i, postrzegłszy osoby zupełnie przeciwnych obozów i to jeszcze wodzów ich, stał coraz bardziej onieśmielony. Nie wiedział jak mowę obrócić.

Hetman to snadź zrozumiał.

— Ale mów-że acan — rzekł poważnie — wprost tak, jak tam rzeczy stoją, całą prawdę.

Turski życzliwszym był F a m i l i i, ale Brühl i posłowie obcy mu imponowali.

Po szlachecku jednak w końcu, widząc się w położeniu fałszywem, postanowił wyrąbać się zeń krzyżową sztuką. Westchnął do patrona i począł—a był chłopak do dworu jeszcze nie nawykły i ze słowem się mierzyć nie umiejący.

— A no — odezwał się — jest to o czem rozpowiadać.

Słuchano w milczeniu.

— Jak skoro pan marszałek zagaił sejm, nie dano przystąpić do wyboru nowego marszałka, domagając się, aby pan cześnik Brühl precz szedł z izby, jako nie szlachcic.

Minister, który stał dotąd dosyć spokojny, drgnął cały i zbladł, pochylił się na krześle, rękę założył na poręcz, twarz mu się zmieniła.

Hetman to dostrzegł i szepnął do Turskiego:

— Krótko, zwięźle, faktycznie.

Zrozumiał to łowczyc i zamilkł.

— A więc — dodał — co tu długo prawić, jaśnie panie... w chwili, gdym z izby wychodził, przyszło do tego, że szable z obu stron dobywano. Tylko szczęk ich i krzyki słyszałem, wychodząc, a w dziedzińcu mówili już, że się krew lała i przyszło do bitwy, bo zajadłość wielka.

Pan stolnik nasz nie dopuścił sejmu rozpocząć, ani marszałka obierać, pół izby wołało: — Precz z Brühlami!

Hetman dał znak Turskiemu, ale już było za późno. Brühl zerwał się z krzesła i stanął, rzuciwszy serwetę. Oczy mu się zapaliły, wargi zatrzęsły. Pani hetmanowa, której czarne źrenice ogniem także pałały, mierzyła go wzrokiem nienawistnym, siedząc jak marmur blada.

Branicki stał chmurny. Turski, nie wiedząc, czy może mówić dłużej, zamilkł nagle. Wtem minister, którego gniew i duma zwyciężyły i roznamiętniały, cofnął się od stołu, wybuchając.

Naprzeciw niego siedział właśnie książę kanclerz. Wskazał nań ręką.

— Waćpanowie to — zawołał impetycznie — odbieracie mi honor, to weźmijcież mi i życie.

To mówiąc, rękami rozerwał kamizelkę na piersiach, mierząc groźnym wzrokiem kanclerza.

Ten, wcale na pozór nie poruszony, serwetę zwolna położył na kolanach i złotem piórkiem, zmrużając oko, począł w zębach przebierać. Może więcej przygotowany do wypadku, z daleko zimniejszą krwią przyjmował jego następstwa. Ironicznie skrzywiły mu się usta.

— My? — rzekł, cedząc powoli — my? ani honoru Waszej Ekscelencyi, ani jego życia nie potrzebujemy, żądamy tylko sprawiedliwości od N. Pana. Tej nam odmówiono — napastowani, bronimy się, nie jesteśmy tak słabi, abyśmy podeptać się dali.

— Zarzucacie mi dziś to szlachectwo wasze polskie — mówił dalej Brühl w gniewie coraz rosnącym — któreście sami dali mi, na któreście pracowali.

— My? — odparł książę kanclerz. — My? Sąd to zbyt pochlebny o naszych słabych siłach. Tak znowu wiele nie mogliśmy uczynić. Zaprawdę, ani my, ani Familia nasza, ani trybunały, ani w świecie nikt polskiego szlachectwa nadać nie może, a wy go nie macie, dopóki na sejmie nie uzna go Rzeczpospolita.

— Panowie! trochę spokoju — przerwał hetman z powagą — przy rozbiorze tych kwestyi należy zachować krew zimną. Wasza Ekscelencya zechcesz (spojrzał na Brühla, który trząsł się cały)... książę kanclerz raczy...

Kanclerz siedział, nie poruszając się, spokojny.

— Proście o zimną krew Jego Ekscelencyi — odezwał się — ja, jak widzicie, jestem całkowicie zrezygnowany i spokojny. My nie jesteśmy sprawcami tej sejmowej burdy, ani tego przy dobrym obiedzie niestrawnego epizodu. My... my, jak mówiłem, bronimy się tylko. Wina tego, kto napada.

— Któż napada? — łamiąc ręce, zawołał Brühl — my?...

— Nieinaczej! — potwierdził, mieszając się do rozmowy, wojewoda ruski, który dotąd milczał. — Brat mój ma słuszność zupełną: myśmy pokrzywdzeni i napastowani. Czyhacie na całe nasze znaczenie w Rzeczypospolitej, chcecie naszego upadku, żądacie zguby.

W czasie tego sporu, którego siedzący u stołu goście słuchali z podziwieniem w milczeniu, hetman nie miał czasu spojrzeć na żonę, której twarzyczka mieniła się od gniewu, fałdowała od niecierpliwości, czerwieniła rozdrażnieniem. Każde słowo wujów podnosiło coraz wyżej to niebezpieczne i grożące wybuchem usposobienie. Mąż byłby je może potrafił wstrzymać jeszcze, gdyby wczas przygotowujące się zobaczył.

— Mości panowie — zawołał Brühl, zwracając się do dwóch braci — nie wiem, kto tu się z nas niewdzięcznym zdrajcą nazwać może, ale to wiem, że J. Kr. Mość, którego ja woli jestem tłómaczem, ma prawo uskarżać się na obsypanych łaskami, co mu za nie domaganiem się coraz większych i oporem coraz upartszym płacili.

Hetmanowa podniosła głowę ku ministrowi.

— Tam się może już krew nasza leje! — krzyknęła, po kobiecemu wtrącając się do rozmowy — a nie na kogo innego pewno ona spadnie, tylko na was, panie ministrze.

Brühl, usłyszawszy głos ten, umilkł zmieszany—wojna z kobietą była niepodobieństwem—zaciął usta, obracając wzrok do góry. Hetmanowa tymczasem, nie zważając na męża dającego jej znaki, na podziwienie wszystkich, na prawa gościnności, unosząc się coraz bardziej, mówiła dalej ze wzrastającą gwałtownością:

— Wasza Ekscelencya, panie ministrze, jesteś przyczyną nietylko tego wypadku, który może zakrwawić salę sejmową i kraj nasz rzucić w wojnę domową, ale wszystkich nieszczęść naszych.

My się nie damy zgnieść, za nami jest większość tej Rzeczypospolitej, my nie zniesiemy upokorzenia. W ostatniem rozdawnictwie łask królewskich pominięto nas umyślnie, chciano nas tem zhańbić, zepchnąć ze stanowiska. Któż to uczynił? Król? Ale N. Pan czyni tylko to, co mu Jego Ekscelencya — pozwoli, to wszystkim wiadomo. Wzięliście w kuratelę nieszczęśilwego monarchę, pięknieście wykierowali Saksonię... lecz nasz kraj nie da się w ten sposób prowadzić.

Mówiła, głos jej drżał, nareszcie zabrakło go z gniewu, ale słowa jej po kobiecemu zbyt ostre i jawnymi zarzuty bluzgające w oczy, złamały jakby zaporę, która Brühla od gwałtowniejszej zasłaniała napaści. Zaledwie hetmanowa dokończyla, padając na krzesło wysilona, razem prawie kanclerz i wojewoda podnieśli głosy.

— Tak jest — zawołał ostatni — Rzeczpospolita nasza Saksonią nie jest, macie do czynienia nie z raubritterami niemieckimi, ale z rycerską szlachtą polską, której honor jej jest drogi, a w nas, nie zapominajcie o tem, płynie krew, która nas do tronów zbliża. Nie sądźcie, aby walka była łatwa a pognębienie możliwe.

Hetman uderzył po ramieniu księcia, prosząc go, aby zaprzestał. Działo się to w jego domu, bolał nad tem, lecz trudno było pohamować rozjątrzonych. Zaledwie umilkł wojewoda, kanclerz się odezwał szydersko:

— Chcieliście tego, panie ministrze, macie, coście sobie sami ściągnęli. Nie my wam, wy sami sobie honor odbieracie, wy narażacie syna. Z nami walka nie pójdzie łatwo.

Hetman nie wiedział już kogo prosić i uśmierzać, gdy Brühl, którego sama gwałtowność napaści zmuszała do pozornego ostygnienia, powiódł ręką po czole, twarz jego przybrała wyraz zimny i szyderski, lecz przesączony zemsty pragnieniem. Zwrócił się do pani hetmanowej.

— Muszę panią hrabinę przeprosić — rzekł z ukłonem dumnym — iż spokój jej domu zakłóciłem i jej samej byłem powodem do wystąpienia, które dla gospodyni domu, względem gościa, przykrem być musiało. Nie pozostaje mi nic więcej nad pożegnanie towarzystwa, w którem mnie obelgi spotykają tylko.

Hetman zbliżył się doń ze złożonemi rękami, Brühl szukał tylko kapelusza. Wszyscy zamilkli na chwilę.

— Panowie — odezwał się minister do posłów zagranicznych, którzy siedzieli zmieszani — spodziewam się, że raczycie mi towarzyszyć do mnie, gdzie spokojniej skromny obiad zjeść będziemy mogli.

Posłowie ruszyli się wnet wszyscy. Ten krok ministra nie pohamował wodzów Familii i ich adherentów. Brühl już wychodził, nie oglądając się nawet na przeprowadzającego Branickiego, gdy poza nim wołano:

— Krew, która się przeleje, spadnie na twoją głowę.

— Precz z Brühlami!...

Wśród tej wrzawy minister z towarzyszami opuścił pałac hetmana, a że powozy na późniejszą godzinę przyjść miały i w dziedzińcu się nie znalazły, Brühl musiał iść piechotą.

Zaledwie za bramę się dostał, tłum, który od zamku się rozlewał po mieście, otoczył go. Wypadkiem wpadł na gromadę Familii, prowadzoną przez Żudrę, która,

poznawszy Brühla, rozjątrzona jeszcze sejmową sceną, powitała go szyderskimi wykrzykami. Trudno się było cofać, niepodobna uniknąć, i przytomność tylko posłów zagranicznych a kilku sług ich potrafiła ministra od większych ocalić nieprzyjemności. Powóz jakiś przechodzący bezpański, który zatrzymano gwałtem, odwiózł Brühla do jego pałacu, gdzie straże saskie i ogromny dwór zupełnie go już czyniły bezpiecznym.

Posłowie, którzy go odprowadzali, pożegnali u drzwi. Chwila była wymagająca namysłu i samotności. Brühl blady, lecz już przytomny i ostygły ze świeżych wzruszeń, nie patrząc nawet na służbę cisnącą się ku niemu, przeszedł wprost do swego gabinetu.

Tu niespodziany widok go czekał. Ten syn, którego uczynił ofiarą i naraził na kilkogodzinne męczeństwo, tylko co wróciwszy z izby, leżał napół żywy na kanapie, blady, rozpięty, ze wzrokiem obłąkanym, zatopiony tak w sobie, iż ojca wchodzącego nie usłyszał, zbliżającego się nie postrzegł. Minister musiał zlekka dotknąć jego ręki, aby go z tego osłupienia przebudzić.

Cześnik podniósł się powoli, dłońmi obiema przecierając oczy, trąc czoło, aby oprzytomnieć. Ojciec stał przed nim niemal jak winowajca.

— Co ci jest, mój Alojzy? — zapytał.

— Zaledwie wiem, że żyję — odparł stłumionym głosem zapytany. — Przebyłem kilka godzin okropnych. Krzyki tej tłuszczy brzmią mi jeszcze w uszach, widzę podniesione oręże, migają mi się te twarze zbójeckie. Chciano mnie rozsiekać.

Wzdrygnął się cześnik.

— Masz-że tak mało męstwa? — cicho wrzucił minister.

— A! gdyby tam tylko o rycerską chodziło wa-

leczność — zawołał Alojzy — gdyby można z orężem w dłoni walczyć... ale stać, jak pod pręgierzem, słuchać obelg i nie módz ich pomścić, ojcze mój! to okropne.

Rzucił się na kanapę, kończąc, i oczy zakrył rękami.

— To nad siły — dodał — tego się wymagać nie godzi.

— Alojzy — odparł ojciec — cofnąć się też honor nie pozwala zwyciężonym.

— Więc dopuścić rozlew krwi? — zawołał cześnik — dziś tylko przytomność Małachowskiego, który posiedzenie odroczył, zapobiegła rzezi... jutro, jutro nic ich nie potrafi powstrzymać.

Minister milczał.

— Zobaczymy — rzekł — do jutra daleko. Lecz nie byliżeśmy silniejsi?

— Byliśmy liczebnie i ze wszystkich względów słabsi. Radziwiłłowscy się źle obliczyli. Książę Karol jest w rozpaczy. Ale co nam po sile! Jeszcze jedno posiedzenie takie, ojcze kochany, a choćby mnie niczyja szabla nie tknęła, ja nie czuję się na siłach do wytrzymania obelg motłochu. Tak, jam do tego nie stworzony. Do pracy! każ mi podjąć, jaką chcesz, do walki, choćby być miała rozpaczliwą i nierówną, ale nie do sromotnego wrzasku, nie do tego pręgierza, pod który mnie zawlec kazałeś. Zlituj się nade mną. Nie nagrodzisz mi niczem tego cierpienia.

Brühl rzucił się go ściskać.

— Uspokój-że się, jesteś w gorączce, to nie potrwa, w najgorszym razie jedno posiedzenie. Uczynisz to dla mnie. Przetrwać je potrzeba. Otoczą cię przyjaciele, a potem...

Tu zniżył głos i dodał zamyślony:

— Sejm zerwiemy!!

Zapukano do drzwi, ktoś głośną mową domagał się wpuszczenia. Sekretarz ministra oznajmił przybycie księcia wojewody, który, nie czekając, poruszony wtoczył się za nim zaraz. Na twarzy księcia Karola mocno zarumienionej widać było jeszcze nieprzezwyciężone oburzenie.

— Pozwolisz, panie ministrze, panie kochanku, choć jestem natrętny, ale musiałem przyjść oznajmić. Dzisiajeśmy się nie popisali, to prawda; zwiedli mnie, mało nas było. Jutro jak świt salę moi obsadzą, trzysta szabel mam pewnych, jeśli nie więcej. Służymy F a m i l i i... zechcą krwi, będą ją mieli; my nie pożałujemy.

Brühl ścisnął go za rękę.

— Spodziewam się, że do tego nie przyjdzie — rzekł cicho, ukradkiem spoglądając na syna.

— A ja się spodziewam i Pana Boga proszę, żeby do tego przyszło — odparł Radziwiłł — mnie się odegrana należy. Co to się tam rąbać na słowa i rzucać sobie w oczy łajdakami i szelmami! to nie szlachecka rzecz, panie kochanku. Wybić się a dobrze, kurtę im skroić porządną, będą cicho siedzieli.

Cześnik milczał zmieszany.

— Wy, panie, cześniku — dodał Radziwiłł — dajecie im pozór, aby wam zadawali nieszlachectwo, bo w naszej wrzawie wam nie swojsko, i po was to widać, a my w tem, panie kochanku, jak ryby w wodzie...

I rozśmiał się głośno a wesoło.

— Hej! — dodał — jutro wszystko będzie dobrze i, ręczę, pójdzie jak po maśle. Radziwiłł nie zawiedzie. Proszę pana cześnika z sobą, sam go wiozę, sam za niego moją odpowiadam głową.

Minister dziękował pomieszany, pan Alojzy boleśnie się uśmiechał.

— Mogę-ż się teraz pokazać? — spytał skromnie —

chciałbym pojechać do Młocin. Mogą mnie tak rozsiekać w ulicy, jak się odgrażali na zamku.

— A gdzie zaś! panie kochanku — rzekł wojewoda — ci sami, co tak krzyczeli na sejmie, będą ci się kłaniali na ulicy. Trzeba znać ten naród, panie kochanku. Gardłować lubią, ale na bezbronnego napaść, uchowaj Boże. To poczciwe ludziska z kościami, tylko im języki i dłonie świerzbią czasami.

Że jakoś rozmowa nie szła, wojewoda zabrał się do odwrotu.

— Zatem submituję się — rzekł — a jutro proszę pana cześnika ze mną, już się to dziś nie powtórzy, ręczę i słowo daję na to, będzie wcale inaczej.

Zasapany wyszedł ledwie Radziwiłł, gdy znać dano o innych przybywających, częścią z sali sejmowej lub wysłanych od głównych osób zamieszanych w tej sprawie. Przedpokój, salka, kancelarya, ganek, były pełne, a między nadbiegającymi toczyły się rozmowy tak żywe, tak wrzawliwe, jak przed chwilą na zamku. Nietylko w pałacu Brühla, ale w całem mieście panowało zamieszanie, które przeszło razem z sejmującymi i arbitrami na ulice. W winiarniach i garkuchniach spotykano się, grożąc sobie szablami i rozprawiając na języki bez litości.

Minister, który, będąc u hetmana, na chwilę się nie pohamował i niepotrzebnie z żalem wybuchnął, mocno tę prędkość swą teraz sobie wyrzucał. Odzyskawszy zimną krew, naradzał się, dawał rozkazy, a że czasu nie było do stracenia, wybierał się, zleciwszy kilku swym poplecznikom starania o dniu jutrzejszym do N. Pana, ażeby mu rzeczy przedstawić w takiem świetle, w jakiem je widzieć życzył.

Młody Brühl tymczasem, zbity i osłabły, kazał zajść powozowi, do którego ojciec dodał w sekrecie sześciu

żołnierzy z konnej gwardyi króla, i kazał jechać do Młocin.

Tu było tylko spokojnie, jak w uchu; cześnikowa szyła albę, Francuzka ją po swojemu zabawiała, mało nawet wiedziano, co się na świecie działo. Ciekawa Dumont wybadała wprawdzie Godziembę, którego sobie pozyskać potrafiła, lecz nie śmiała spokoju Brühlowej przerywać niepotrzebnie plotkami, dopókiby coś do rozwiązania języka nie dało powodu. Była też najpewniejsza, że minister i król zwyciężyć muszą i tych warchołów w myszą dziurę zapędzą. Tak stały rzeczy w Młocinach, gdy naprzód znużony, blady i zły powrócił do nich Godziemba, który Brühlowi z duszy sprzyjał i sprawę jego brał do serca, w chwilę zaś potem nadjechali oboje Sołłohubowie, a za nimi dopiero ciężki kłus gwardyjskich żołnierzy, zdala towarzyszących cześnikowi, i jego kareta, w której on leżał raczej, niż siedział, zbliżyły się do ganku pałacyku. Tu poczciwy Sołłohub czekał już na przyjaciela i wysiadającego w ramiona pochwycił.

— Mój ty biedny Brühlu! o! jakże mi cię serdecznie żal!...

Ściskając się, weszli razem do pokoju, w którym na nich panie czekały.

IX.

Sołłohubowa, przybywszy, wpadła cała jeszcze rozgorączkowana, oburzona, napół pijana i niemal osłupiała, znajdując cześnikową najspokojniej w świecie pokaszlującą nad albą, którą na kolanach trzymała. Dumont za-

bawiała ją czytaniem świątobliwem, od którego doznawała spazmów.

Gdy piękna Marya, z rumieńcami wypalonymi na twarzy, z ogniem w oczach, wbiegła do saloniku, pani Brühlowa przelękła się nieco.

— Co ci jest, moja Maryniu? co się stało?

— Jakto? to ty nic nie wiesz? ty tu siedzisz spokojniuteńko, a tam, tam na sali rwali się ludzie rozwścieczeni na twojego męża. Twój mąż... a! co on cierpieć musiał! Gdzież on jest? powinien był powrócić? nie wrócił?

Wszystko to wylało się z ust pani Sołłohubowej potokiem. Cześnikowa słuchała zdziwiona, lecz wcale tak nieporuszona, jak przyjaciółka.

— Ale, moja Maryniu — rzekła — ja bo wiedziałam, że mąż na sejm pojechał, i że posiedzenie mogło być trochę niespokojne, ale przy łasce bożej, przy łasce bożej, cóż się tam stać mogło?

— Ty więc nie wiesz, że się do szabel porwano, że, gdyby nie Małachowski, przyszłoby może do krwi rozlewu?

— Moja Maryniu — ruszając ramionami, odezwała się cześnikowa — u nas to bardzo zwykła rzecz, ale się na krzyku i hałasie kończy. Jużciż przyjaciele cześnika nie dopuściliby.

Dumont się wtrąciła:

— Może się to rzadko trafia, żeby na sejmiku lub sejmie aż do rąbania się przyszło, ale bywają przecież przykłady. Wszakże podobno ojciec jednego z dworzan pana wojewody, a teraz hrabiego, pana Godziemby, na śmierć został zarąbany.

Usłyszawszy to imię, cześnikowa wstrzęsła się, krew jej gwałtownie uderzyła do głowy, rumieniec tak

nadzwyczajny oblał jej twarz całą, że Sołłohubowej oka ujść to nie mogło. Szczęściem tłómaczyła to sobie może nagłą troskliwością o pana cześnika.

Dumont przypadkiem czy umyślnie wtrąciła nazwisko to, z którem ciągle od niejakiego czasu starała się oswajać panią cześnikową. Gdy były sam na sam, hrabina nic nie miała przeciw temu, lecz w tej chwili, gdy się jej twarz tak zdradziecko zapaliła, spojrzała znacząco na Francuzkę. Ten wzrok pochwycony w biegu przez Sołłohubową dał jej do myślenia. Nazwisko jej utkwiło w pamięci. W tym momencie wszakże miała nadto do myślenia, aby się zbyt głęboko w jakieś dociekania zapuszczać

— Na sejmikach siekaniny — wtrącił Sołłohub — to ordynaryjna rzecz, ale na sejmie, pod bokiem majestatu, prawie niesłychana.

— A! ten ohydny stolnik! ten galant! — wołała Sołłohubowa, tupiąc nóżką — nienawidzę tego człowieka.

— Niewdzięczna! — uśmiechnął się generałowicz — on się w tobie kocha i wielbi cię.

Żona go uderzyła wachlarzem po ręku.

— Daj-że mi pokój! mogłabym się w istocie gniewać za to, bo tych galanteryi salonowych nie cierpię, ani tych zdawkowych miłostek wielkiego świata.

Wśród żywej rozmowy, twarz pani Brühlowej ledwie nieco się ożywiła, i to z powodu wspomnienia Godziemby. Francuzka, która protegowała dworzanina i ciągle była rada go na pierwszy plan ściągnąć, nie zważając na surowy wzrok hrabiny, szepnęła jeszcze, iż właśnie pan Godziemba, który towarzyszył hrabiemu, powrócił z Warszawy i można go było wezwać, aby opowiedział, co się na sejmie działo. Cześnikowa zaczerwie-

niła się znowu ogromnie, lecz Sołłohub zrobił uwagę, że oni też oboje przytomni byli do końca scenie całej.

Brühlowa była tak zmieszana, że się nawet dowiadywać nie chciała, ale Sołłohubowej nic od narzekania i wykrzykiwania powstrzymać nie mogło. Biegała po salonie, często ścianom pokazując pięście, i tak jej ślicznie było z tym zapałem i rozdrażnieniem, że zakochany mąż nie mógł się wstrzymać, by nie szepnąć Francuzce:

— Nie widzisz-że pani, jak ona cudownie jest piękna! ta moja heroina!

— Widzę i widzę też, jak waćpan, panie hrabio, (Francuzka całej szlachcie polskiej ten tytuł dawała) okrutnie jesteś śmieszny.

— Czem? — spytał Sołłohub.

— Ale bo któż się przyzwoity w żonie kocha! — szepnęła Francuzka złośliwie i uśmiechnęła się szydersko.

W tej chwili zahuczało. Sołłohub wybiegł i wprowadził Brühla, którego w progu nie żona, ale kuzynka, obie ręce doń wyciągnąwszy, przywitała.

— O! mój biedny! biedny hrabio! — zawołała z uniesieniem.

Brühl spojrzał okiem pełnem wdzięczności, pocałował ją w rękę i poszedł podać dłoń żonie, która wstała sztywnie, spojrzała nań chłodno i wybąknęła:

— Ja się dopiero teraz dowiaduję. Ja nic nie wiedziałam.

— Ale bo pocóż miałaś się pani niepokoić? — dorzucił Brühl — część tego dramatu dzięki Bogu przebyta, a co nastąpi, przeżyjemy.

Westchnął. Dopiero spojrzenie na piękną Maryę, której oczy go wszędzie ścigały, odżywiło ostygłego nieco cześnika.

— Gdybym była mężczyzną dziś — odezwała się Sołłohubowa — proszę mi wierzyć, byłabym nie wytrzymała i z szablą się rzuciła na Familię.

— A! pani — rozśmiał się smutnie Brühl, zbliżając się do niej — a ja, gdyby było w mej mocy, byłbym sromotnie uszedł z tej izby obrad. Rozkaz ojca mnie tam przykuwał. Jesteśmy tak jak w familijnem kole, nie będę taił, że mi to wszystko sprawia ohydę. Ta sala obrad, z mojej przyczyny zawichrzona, ja powodem do walki! Moje położenie... Ci panowie są źli, mściwi, to prawda, są moimi nieprzyjaciółmi, ale któż wie, może oni mają słuszność, a ja mogę jej nie mieć. Jestem wprawdzie dobrym szlachcicem turyngijskim i hrabią państwa rzymskiego, ale moje polskie szlachectwo jest tylko fikcyą prawną lub nieprawną.

Co do mnie — dodał, ożywiając się tak, jak go żona rzadko widywała — co do mnie, wolałbym był stokroć pójść walczyć z Turkiem, z Prusakiem, z szatanem... niż stać pod tą rynną obelg i gróźb... nie mogąc się ruszyć. Ani to moje powołanie — dodał gorąco — jam trochę żołnierz, trochę artysta, trochę literat, a nic a nic nie stworzony do tego waszego świata polskiego. Skłaniam głowę przed tą republiką naśladowaną ze starożytnych, ale mi ona nie przemawia do serca.

To mówiąc, Brühl padł na krzesło.

— Tembardziej mi waćpana żal, panie hrabio — rzekła Sołłohubowa, zbliżając się do niego — tem ohydniejszą wydaje mi się napaść stolnika i takiego księcia Adama, obu znających go doskonale i wiedzących, co czynią.

— Ja ich tłómaczę — odezwał się Brühl — polityka nie zna brata, ani ojca, ani litości, ani względ-

du, jest to smok, który chłonie szeroką paszczą, co mu się do niej nawinie.

— Za cóż wy macie padać jej ofiarą? — zapytała cicho Marya, patrząc na niego.

— Przeznaczenie! fatalizm! — westchnął Brühl.

Zaczęto opowiadać epizody, które każdy inną część sali mając na oku, pochwycił. Jedne uszły wejrzenia i ucha Brühla, drugie Sołłohuba — inne nawet na wszystko bacznej pani Maryi.

Generałowicz, który nie wiedział, ani się mógł domyślać, jakie tu może uczynić wrażenie, mówiąc o Godziembie, wśród tych krzyżujących się powiastek, nagle wykrzyknął:

— Ale wiesz, Brühl, tyś bo szczęśliwy, umiesz na miłość zarabiać, sam o tem nie wiedząc może. Że myśmy cię tam otaczali, Radziwiłłowie, Lubomirski, Opacki, ja... to nic dziwnego, bez twej nawet wiedzy, wcisnął się na salę poczciwy jakiś twój dworzanin, który cię z oka nie spuszczał, i szabla mu tak drgała w ręku, a oczy się paliły, żem się co chwila awantury spodziewał. Przechodzącego księcia Adama o mało za kołnierz, bez respektu jego tytułu, nie pochwycił. Ażem był ciekaw jego nazwiska się dowiedzieć, bo go tu często widuję. Zowie się Godziemba — dodał Sołłohub — winieneś mu co najmniej szablę honorową.

Oprócz pani Sołłohubowej i Francuzki, nikt nie uważał, jak żywo, pokraśniawszy cała, rzuciła się cześnikowa do alby, leżącej na kolanach.

Brühl się uśmiechnął.

— A! to poczciwy mój i najulubieńszy, prawie mogę go nazwać przyjacielem — rzekł z twarzą rozjaśnioną — serce złote i głowa dobra. Aniby się kto mógł domyślić, ile uczucia i rozsądku jest w tym biednym chłopcu.

Pani cześnikowa ciągle miała oczy spuszczone, ręce jej drżały, twarz płonęła. Francuzka spoglądała na nią niespokojna tym brakiem panowania nad sobą, ale coraz mocniej utwierdzając się w przekonaniu, iż miała wielkie obowiązki zbliżenia dwóch istot tak siebie godnych, tak się kochających, a tak, na nieszczęście, jak ona zwała, niezgrabnych.

Brühl, wpadłszy raz na swojego ulubieńca, mówił o nim jeszcze długo, napomknął bardzo delikatnie o jego przygodach, o których nie śmiał się rozwodzić, aby teścia nie obwiniać, i dodał:

— Jestem bardzo przywiązany do poczciwego Godziemby, a trochę też mnie ku niemu i los jego niezwyczajny przywiązuje. Cały dramat jest w jego życiu, a ja tak dramata lubię! Ojciec zginął rozsiekany, do sieroty przywiązała się mamka staruszka, która za nim w świat poszła, która go raz już uwolniła z więzienia, która i tu się przywlokła, a tę on jak matkę szanuje, utrzymuje i służy jej jak syn przywiązany.

Francuzka słuchała z uwagą natężoną.

— Na tem nie koniec — dodał Brühl, który rad był, że mógł nieznośną dlań o sejmowych historyach przerwać rozmowę. — Okazuje się, iż mój Godziemba jest bardzo dobrej i starej rodziny.

— To samo jego nazwisko dowodzi — dodał Sołłohub — ród niegdyś znaczny i bogaty. Ale skądże ty wiesz o tem?

— Przypadkiem — rzekł Brühl — na sejm z głębi województwa Mińskiego przybył tu stary, bezdzietny Godziemba, którego nie wiem dlaczego tytułują podczaszym. Ma pono parę mil kraju w pińskich błotach i jedną córkę, dla której koniecznie Godziemby szuka za męża,

aby majętność z rodu nie wyszła. Obsedują pono mojego dworzanina.

— A ten — zawołał Sołłohub, śmiejąc się — se laissera faire une douce violence.

— Otóż nie — rzekł Brühl — i dlatego sprawa wytoczyła się aż do mnie.

Umilkli wszyscy, cześnikowa tak się schyliła nad robotą, że prawie głowy jej już widać nie było.

— Czysty romans — odezwała się Sołłohubowa — dla was, panie hrabio, co z taką łatwością tworzysz dramata, gotowy materyał.

Brühl zerwał się z krzesła.

— A! pani — zawołał — czemuż nie mogę, zamiast sejmowe przebywać dramata, siedzieć, marzyć, pisać i pozostać w kątku spokojnym! Bardzo kocham wasz kraj, który po części za swój uważam, choć mi tu szlachectwa odmawiają, ale do niego mam żal za to, że mi żyć przeszkadza. Tak, z historyi Godziemby — dodał — byłby wyśmienity dramat w pięciu aktach, tylkoby trzeba dodać młodzieńcowi jakąś miłość piękną, coby go od przyjęcia ofiary wstrzymywała, a to chłopak jak lód.

Francuzka, patrząca na Brühla, jak w tęczę, otworzyła oczy mocno i uśmieszek przebiegł po jej ustach. Nader przebiegła pani Sołłohubowa, pochwytawszy rumieńce, milczenia, wejrzenia, uśmiechy, coś sobie już z nich prząść poczynała. Imaginacyę miała tak żywą, jak Brühla. Cześnik w tem kółku, trochę wytchnąwszy, zdawał się umyślnie myśl odrywać od jutra groźnego i obrzydłych mu zapasów sejmowych, począł więc znowu coś mówić o historyi Godziemby, gdy żona jego, jakby jej coś nagle na myśl przyszło, o czem była zapomniała, wstała i wyszła do drugiego pokoju. Dumont natychmiast, czując się tam potrzebną, pośpieszyła za nią.

Brühl bywał zwykle jakoś w najlepszym humorze właśnie naówczas, gdy żony przy sobie nie widział. I tym razem lice mu się rozjaśniło, ale nie miał szczęścia: zaledwie pozostał sam na sam z Sołłohubami, gdy mimo późnej pory zahuczało pod gankiem i głosy się słyszeć dały.

— I to prawdziwa kara boża! — wykrzyknął, ręce łamiąc — nie dają mi spocząć ani odetchnąć! Nie dosyć, że posłuszny robię, co mi każą, i idę na tortury, muszę jeszcze słuchać zawczasu opowiadań próżnych, jak mnie dręczyć będą.

Sołłohubowa ze zwykłą swą żywością zbliżyła się do męża; dość było jej uśmiechu, aby w ogień czy wodę rzucił się na jej rozkazy.

— Mój drogi — rzekła — a miej-że też litość nad hrabią, idź, mów, baw tych nietoperzów, co po nocach nie wiedzieć za czem latają, a uwolnij mi biednego Brühla.

— Tak — szepnął posłuszny generałowicz — idź i zostaw was samych!

Obraziła się piękna pani, rumieniec wytrysnął jej na twarz.

— Idę z tobą — rzekła, i posunęła się ku drzwiom. Brühl, który więcej się domyślił, niż słyszał, rzucił się też sam zawstydzony naprzeciw natrętnych gości. Nie wpuszczono ich do salonu, ale naprzeciw słychać było już rozmowę, tonem, który przedłużoną sejmową sesyę przypominał.

Sołłohub obie ręce na ramionach położył przyjacielowi. — Brühl — rzekł — nie puszczam cię, zostań, spocznij, pójdę się rozmówić za ciebie. Dobra moja Marya ma słuszność, byłoby okrucieństwem cię zamęczać. Zostań tu.

Spojrzał na żonę, która została też w salonie, a że

ani Francuzka, ani pani cześnikowa nie powracała, byli więc sami.

Brühl obejrzał się za odchodzącym, rękę położył na sercu.

— Pani jesteś aniołem! — zawołał — aniołem dobroci, a ja czuję się jej łaską dla mnie upokorzony. Biedny Jaś... poszedł... a co się tam w jego sercu dzieje...

— Jest zazdrosny trochę — chłodno odparła piękna pani — trzeba, żeby się tego oduczył.

— A to tak trudno! — rzekł Brühl, zbliżając się do Sołłohubowej i biorąc jej rękę, którą do ust przyłożył.

Ten cichy pocałunek przerwał rozmowę, bo poruszył serca. Sołłohubowa oddaliła się wolnym krokiem, Brühl pozostał w miejscu.

— Jeszcze ten dzień jutrzejszy — poczęła, stanąwszy nieco dalej, piękna Marya — przeżyć go trzeba, potem nareszcie koniec jakiś nastąpić musi.

— Gdybyż! — zawołał Brühl — ależ to straszny program na jutro. Szable! ultima ratio!

— Ja nie wierzę, ażeby do czego więcej, niż do hałasu przyszło — odezwała się Sołłohubowa — ale i ten przeżyć...

Wzdrygnęła się.

— A! to okropne!

Szczególniej dla tego, co się czuje przyczyną wszystkiego i... jest ofiarą... Ani na chwilę nie zabiło mi serce do zwycięstwa, a krwi-bym był dał utoczyć za pokój i zgodę. Ale jakże do niej dojść! Ci, co byli moimi przyjaciołmi młodości, stają, grożąc mi śmiercią. I to wszystko dlatego, aby pan Ogiński nie Radziwiłł został wojewodą wileńskim, aby kilka dygnitarstw poszło w ręce Familii, gdy jabym oddał wszystkie w świecie za cichy i niezamącony żywot w Młocinach, lub wreszcie w ja-

kimkolwiek świata kątku, wśród starych drzew, zielonych łąk, ze sztuką, z książkami, z myślą.

Sołłohubowa odwróciła się ku niemu.

— I nic więcej? — spytała.

— Bo nic mi więcej pragnąć nie wolno — dodał Brühl — a przynajmniej przez usta nie godzi się puścić życzenia.

Zamyślili się tęsknie oboje. Rozmowa doszła do tego kresu, poza który i ona już przejść nie mogła. Służący wnosili podwieczorek, i wracająca Francuzka sama ukazała się w salonie. Brühl uznał za właściwe, rad nie rad, wynijść do tych huczących w jego gabinecie gości, których tam za niego przyjmował Sołłohub.

Trzech czarno ubranych Radziwiłłowczyków, pp. Szukszta, Slepść i Kimbar, razem z panem Szymanowskim i Sołłohubem, krzyczeli przy kieliszkach już tak głośno niemal, jak na sejmie. Rozbierali to, co się stało, i opowiadano, co nazajutrz postanowiono. Od progu już twarz Brühla przybrała wyraz znudzony i męczeński. Przybyli, zobaczywszy go, oskoczyli; Slepść przystąpił pierwszy.

— Książę jegomość jeszcze nas tu przysyła—rzekł — iterum iterumque upraszając pana hrabiego, aby się na sejm nie ruszał, tylko w naszej komitywie i z nim razem. Na jutrzejszy dzień sam książę jegomość popis czyni osobiście i mniej trzechset nas nie będzie, a do dwóchset jeszcze ciurów na odsiecz postawimy w dziedzińcu, jeśliby było potrzeba. Na dany znak izbę zaleją. Jeżeli Familia tem się łudzi, iż jak dziś weźmie prym nad nami, może to drogo przypłacić.

Brühl się skłonił w milczeniu.

— Mam nadzieję, że jutrzejsze posiedzenie spokojniejsze będzie.

— Wszystko to być może — wtrącił Kimbar, trąc łysinę — ale, panie hrabio, my wszyscy, kto jakie żelazo ma dla osłonienia piersi, włożymy. Zbroiczka nie zawadzi. Szable się wszystkie ostrzą, bo to do licha przez ten długi pokój pordzewiało. Książę w dziedzińcu pałacowym kazał ustawić koło i szlachta, jak z procesyą, idzie do szlifierza. Będą jak brzytewki!

Pokręcił wąsa.

Brühl milczał.

JMPan Szuksta, strukczaszyc lidzki, którego to bolało, że sam jeden dotąd się nie odezwał, wtrącił też:

— Książę pan miłościwy takiego animuszu na jutro, jakeśmy go nie widzieli od ostatniego zajazdu, o którym nie pora tu prawić. Bóg świadek i dzisiejszy dzień nie byłby nas takim wstydem nakarmił, gdyby nie wyraźne rozkazy J. Kr. Mości i pana ministra. Byłoby się hydrze odrazu łeb ucięło, i to bez metafory.

To mówiąc, ryknął pan strukczaszyc lidzki śmiechem potężnym, aż się po całym domu rozległo.

Brühl był tak zakłopotany, że dla wyjścia z położenia trudnego nie znalazł innego środka, tylko ująć za kielich i wypić zdrowie księcia wojewody.

Litwa zawtórowała, aż się okna wstrzęsły, bo wszyscy już byli pod dobrą datą. Kobiety w salonie, choć poznały, że to był wybuch i manifestacya radości wielkiej, zadrżały z obawy. Zatem Litwini, nie dając się zatrzymać i oświadczywszy, że książę w pałacu swym będzie oczekiwać na hrabiego z całą komitywą, submitowali się i hałaśliwie wyszli, wyprowadzeni przez Sołłohuba.

Został tylko Szymanowski, w innym pono poselstwie wysłany, który się dotąd niewiele odzywał. Wziął on na bok Brühla.

— Wszystko to dobrze — rzekł — nawet się bez tego na jutro i obejść byłoby trudno, ale koniec końcem, mnie jego ekscelencya tu przysyła, abym hrabiego uspokoił i zapewnił, że gdy jutro się nic złożyć nie da, a Familia upornie przy swem stać będzie, sejm zerwiemy.

— Kto? — zapytał Brühl — mogą w takim razie już nie mnie, ale tego śmiałka rozsiekać. Sam waćpan wiesz, jak krajowi ten sejm jest potrzebny, jak go sobie życzą. Któż się odważy?

Szymanowski uśmiechnął się, pokręcił wąsika, kłaniając, rzekł, ręką wskazawszy na piersi:

— Ja, panie hrabio.

— Wy?

— Tak, ja sam, to rzecz ułożona — odparł spokojnie Szymanowski. — Naturalnie, dopełniwszy aktu tego i złożywszy manifest w grodzie, ujdę w tej chwili z Warszawy, a moi Ciechanowianie dali Bóg nic mi nie zrobią. Choćby też przyszło i na jaki rok za granicę wędrować, nie jestem od tego.

Twarz i humor posła dowodziły, że jego ekscelencya musiała już warunki z nim umówić, i że Szymanowski był z nich zadowolony. O tem jednak nie wspomniał.

— Z Familią — dodał szydersko — mam oddawna na pieńku, rad będę odwdzięczyć, dla jego ekscelencyi zaś i pana hrabiego czuję tak wysoki szacunek, iż z chęcią się poświęcę.

Brühl, w takich razach małomówny, chłodno dosyć podał mu rękę i westchnął.

— Radbym jednak — rzekł — aby się obejść bez tego mogło. Któż wie, jutro spokojniejszem być może!

— Tego się nie spodziewamy — przerwał Szymanowski. — Litwini nie przesadzili wcale: nietylko u nich,

ale po całej Warszawie o szablach tylko i o zbrojach myślą ludzie. Ci, co przy szpadach chodzą, rapiry gotują. Koszule żelazne dawno już nie wdziewane czyszczą się ze rdzy, pucują ryngrafy, i wszystko wojną oddycha. Takiej sali sejmowej, jak jutrzejsza, jeszcze generacya nasza nie widziała!

Brühl pobladł.

— Ani nieszczęśliwszego nade mnie człowieka — rzekł w duchu.

O ile pan Alojzy zdawał się strapiony przewidywaniem jutra i losów sejmu, o tyle poseł ciechanowski wydawał się z tego szczęśliwym. Uśmiechał się, wąsa kręcił, mówił żywo, śmiał się i był w najlepszym humorze, jakby głowie jego i plecom nic a nic nie zagrażało. Pewien był siebie, choć najniebezpieczniejszą rolę dobrowolnie brał na barki.

Sołłohub z rodzajem politowania, jeśli nie wzgardy, spoglądał nań z ukosa.

— O zerwaniu sejmu — rzekł — nie może być mowy, chyba w ostateczności.

— A ta ostateczność nadejść musi — zawołał wesoły Szymanowski, jakby mu o to wielce szło, żeby go ona nie minęła. Wiemy to dobrze przez tych, co na dwóch stołkach siedzą i z dwóch stron słuchają, i po obiedzie u hetmana kanclerz i wojewoda, rozdrażnieni do najwyższego stopnia, zaklęli się, że na włos od żądań swoich nie odstąpią. Chcą bądź co bądź mieć krzesło wileńskie dla Ogińskiego, a Radziwiłł, któremu jest przyobiecane, który je za spadek po przodkach uważa, pewnie dobrowolnie rzeczy już sobie przyrzeczonej nie odstąpi. Macano go z różnych stron o to, ofiarując mu kompensaty, ale z litewskim niedźwiednikiem trudno. Wąsa pokręcił i rzekł krótko:

— Mam sześć tysięcy ludzi, panie kochanku, na obronę jednego krzesełka. Zje dyabła, kto go dostąpi.

Szymanowski zmilczał chwilę.

— Jeśli tak — rzekł Brühl — choć hałas w kraju znowu będzie ogromny za sejm zerwany, a na mnie spadnie wina cała, gdy rzecz nieuchronna, im prędzej, tem lepiej.

— Ale jutro honor każe się stawić i dotrwać na stanowisku! — rozśmiał się Szymanowski. — Zresztą — rzekł, z kontusza dobywając kawał papieru — manifest na każdą chwilę gotów, na każde zawołanie gotów, tylko poń sięgnąć do kieszeni!!

Sołłohub i Brühl spojrzeli po sobie. Poseł ciechanowiecki zdawał się dumnym swem bohaterstwem. Spojrzał na zegar i do czapki kroczył.

— Dłużej zabawiać nie będę — rzekł — a jutro summo mane wszyscyśmy na stanowiskach, część naszych śpi w sali, a część w dziedzińcu czuwa.

X.

Dziedziniec obszerny pałacu Radziwiłłowskiego dziwny i malowniczy widok przedstawiał tego wieczoru.

Pomimo znacznej obszerności gmachu, nie mógł on całego dworu pańskiego pomieścić; większa część służby, pociągowych koni, furgonów, obozowiska stała pod gołem niebem. Ludzi też ciżba była niemała. Dwa wielkie namioty dla schronienia czeladzi rozbite były w pośrodku. Paliły się ogniska i widać było, jak się przy nich na improwizowanych rożnach z drewnianych patyków obracały pieczenie. Dwie ogromne szubienice

w głębi całe zawieszone łosiami, dzikami, sarnami i wiązkami tuzinów zajęcy wznosiły złowrogie swe ramiona do góry. W jednym rogu szałas dla psiarni, na prędce sklecony, nie dawał pokoju ludziom, bo gończe i charty w nim wyły, szczekały, warczały i skowyczały bez ustanku. Niekiedy zniecierpliwione tym hałasem niedźwiedzie zaprzęgowe, stojące na stajni, poczynały też ryczeć, a konie po stajniach wystraszone rwały się i rżały.

Ludzie śpiewali i śmiali się u ognisk, Cygan grał na drumli, kozaczek brzdąkał na teorbaniku, przywabiony ślepiec grał na lirze niestrojnej, zawodząc pieśń żyrowicką, słowem wśród nocy spokoju tu nie było nawet. Noc też była wyjątkowa, bo książę uparł się koniecznie, aby swoje szable sam spisał i zlustrował, nie dowierzając innym, aby nazajutrz pewniejszym być zwycięstwa. Szlachcie zgromadzonej i gromadzącej się do pałacowej sali największej na dole przysposabiano posiłek i ochłodę, bo przykazanie było, ażeby niczego nie brakło, i aby wszystko szło po radziwiłłowsku. Ludzie co chwila wychodzili i wchodzili, gnano posłańców, znoszono żelaziwo, a sprowadzony stary szlifierz, którego z kołem postawiono umyślnie naprzeciwko bramy, ostrzył szable, które stosami przy nim składano.

Dla większej manifestacyi raczej, niż z istotnej potrzeby, kto miał i kto mógł, chciał koniecznie na jutrzejszy dzień odziać się trochę w żelazo. A że zbroje, pancerze, kolczugi i wszelki tego rodzaju przybór wyszedł z używania i mało go gdzie widać już było, chyba od parady, trudno się nawet Radziwiłłowi przychodziło w blachy zaopatrzyć. Pożyczono ich z arsenału, po mieszczanach, w cekauzie, po ludziach, jak kto mógł. Co chwila w bramie ukazywał się albo wóz naładowany żelazem, albo człek niosący po kilka zbroi na głowie. Wszyst-

ko to pordzewiałe było, rzemienie pogniłe, sprzączki porwane, tak, że wstyd się w tem było ukazać, i w izbie na to przeznaczonej czeladź cegłą tartą, kredą, sadzą szorowała stare łomy, żeby na nowe wyglądały. Spędzono rymarzy do skór.

Przy tem wszystkiem śmiechu, i piwa, i zawodzenia a śpiewów było co niemiara, bo służba, tego na seryo nie biorąc, patrzała na przygotowania, jak na komedyę. Krzątanina też tu w pałacu Radziwiłłowskim i zbiegowisko ciekawych wywołała. Z ulicy wchodzono się przypatrywać kupami, to szlifierzowi, który szable ostrzył aż się skry sypały, to ogniskom i pieczeniom, a przeze drzwi gawiedzi wesołej, która zbroje pucowała i dopasowywała.

Stara Kuźmowa, zwana Poteruchą, która z rana z taką powagą sprzedawała placuszki na sali, nie wzgardziła wieczornym zarobkiem, jaki się nastręczał w dziedzińcu Radziwiłłowskim. Może też ją sama ciekawość tu przywiodła z koszykiem. Wszyscy ją znali, ten i ów zaczepiał, błądziła swobodnie wśród tych kup, między ogniskami, aż do klatek, w których pod bramą w głębi stał i miotał się dziki zwierz żywy. Postać też to była jakby stworzona do tego obrazu dziwacznego, pełnego świateł i cieni, najosobliwszych strojów i niewidzianych istot, wyrwanych puszczom litewskim. U ognisk słychać było obok pospolitej mowy, jak się odzywał Żemajtys kukutys do Litwina, a Białorusin do Poleszuka. Nie zbywało też na usłużnych Żydach, rzemieślnikach i niewiadomego powołania odartusach. Płeć niewieścia wcisnęła się w niejeden kątek, zdradzając się mimowolnie śmiechem nadto głośnym. Gdy psy a konie zbyt wrzawliwie się odzywały, klaskanie z batogów głuszyło je i uspokajało.

W oknach pałacu świeciło rzędem tak, że i jednego może ciemnego nie było. Książę nowo mianowany wojewodą, w ogromnem krześle skórą złoconą wybitem, w kołpaku na głowie, obie ręce położywszy na poręczach, otoczony dworem, sprawiał właśnie lustracyę sił swoich. Twarz miał wielce posępną, wąs mu się zwiesił zaniedbany na wargi, i czoło pofałdowało. Obok niego siedział z podgoloną głową pisarzyna, przed nim kałamarz duży rozpłaszczony, jak łapka na muchy, arkusz papieru, linia i piasek na skorupce. Szlachta przychodziła po kolei powoływana od stołów, obcierając wąsy po piwie i bigosie, i submitowała się panu wojewodzie, który do znajomszych przemawiał, innym głową trząsł, z niektórymi dłużej, jak pod humor, rozmawiał. Mówiono o Familii, szczególniej o księciu kanclerzu, iż szlachtę Rzeczypospolitej niemal całą, jej koligacye i ramifikacye znał i na pamięć umiał, toż samo powiedzieć było można o księciu Karolu, że na Litwie, szczególniej około Nieświeża, Mira, Słucka i dóbr jego, nie było dworku, o którymby coś nie wiedział i nie pamiętał. Z tych to rodzin składał się dwór liczny, służba, wojsko nadworne, oficyaliści, dzierżawcy, a niektóre z nich od wieków klientelą były połączone z domem Radziwiłłów i przechodziły z ojca na syna. Mało u kogo nie trzymano dziecka do chrztu, nie pisano się do intercyzy z datkiem, nie swatano, ba! i nie chowano, gdy był zasłużony.

Książę Karol od młodu był otoczony wybranymi z pomiędzy tej szlachty domownikami. Znał też doskonale większą część, a miał oko trafne, że się też wielu i po stroju mógł domyślić, bo choć to niby cały kraj tam nosił się jednakowo i makowe kapoty były jego cechą od Zygmuntów jeszcze, prowincyami szły czapki, kapuzy, pasy i krój nawet odzienia. Dosyć było rzucić okiem

na gromadę, aby trafne, wejrzenie Oszmiańczuków od Lidzian rozpoznało. Książę Karol zaś, z tych, którzy z nim przyjechali na sejm, bez mała każdego nietylko twarz, ale nazwisko i całe curriculum vitae pamiętał. Że w tej Warszawie pokus było co niemiara, a przeciwna partya bałamuciła i odciągała, często pojąc do upadłego, aby w porze ludzie stanąć nie mogli, książę już sam każdemu chciał w oczy zajrzeć, aby mores znali, i żeby się na jutro nikt absentować nie śmiał.

Nudziło go to niepomału, ale szło o honor radziwiłłowski, szła więc kolej jednego po drugim, a pan Łopott, który pióro trzymał, wszystkich kładł na regestrze.

Stanął najprzód srodze opalony szlachcic, z żywemi oczyma, błyszczącemi jak u kota, ruchawy, jak żywe srebro, opończa podpasana, wąs do góry, skłonił się do kolan.

— Pan Wareszczaka! — szepnął, zapisując, Łopott.

— Witam waszeci — rzekł książę — a wielu waćpanów jest?

— Nas? dwu, mości książę — rzekł przybyły — Andrzej i ja.

— Andrzej, panie kochanku, gdzie?

— Za mną stoi.

— A, prawda. Wiecie apel?

— Toć się wie!

— Nie chybicie, panie kochanku?

— Jakim sposobem? chybaby się żywym nie było.

— Pisz-że dwóch — rzekł książę.

Wereszczaka chciał odchodzić, wtem książę Karol coś sobie przypomniał.

— A dereszowaty jak się ma?

— Dziękuję W. Ks. Mości, krew mu puścili, odszedł.

Ledwie się ten usunął, nastąpił drugi, szlachetnych arystokratycznych rysów młodzian, z wielką butą, nawet się księciu wojewodzie mało co pokłonił.

— Dobry wieczór, panie Rudomina! Iluż was jest? bom dalipan zapomniał, panie kochanku.

— Pięciu!

— O, to dobry kontyngens! — rzekł książę — a każdy Rudomina stara krew, chłop w chłopa, stanie za dziesięciu śledzi warszawskich... Pisz, Łopott.

Książę się przypatrywał maleńkiej, sucherlawej figurce, która stała, trochę się w bok przekrzywiwszy.

— JMPana Bielaka... Czyś sam?

— Trzech, mości książę...

— Pisz, Łopott, trzech Bielaków, to także nie przelewki. Choć to niepozorne, ale dyamenty szczere...

Skłonił się Bielak i umknął co prędzej, a tuż sunął się człek blady, duży, kościsty, czegoś jakby nie swój, pochmurny, lecz z miny mu widać było, że z nim niema co żartować.

— Pan Dawid Budny! — podszepnął Łopott.

Ten się pokłonił.

— Nie byłoby rycerzy nad Budnych — odezwał się książę — gdyby się tylko śpiewać Godzinki nauczyli— zamruczał wojewoda i rozśmiał się.

— Co ma szabla do wiary? — posępnie odpowiedział zagadnięty i ramionami ruszył.

— A, przepraszam, panie kochanku — zawołał wojewoda. — Nie uwłaczam bynajmniej ani twej wierze, ani szabli, alebym wolał, żebyś mi, da Bóg doczekać, do Ś-go Piotra razem towarzyszył i dalej... a tak...

Zrobił minę ustami. Budny oczy spuścił i dla prędszego dokończenia rozmowy odezwał się:

— Jest nas na usługi W. Ks. Mości sześć szabli kalwińskich, ale za tyleż katolickich staną.

I odszedł.

Wnet, żeby czasu nie tracić, wcisnął się mały, łysy człowieczek z wąsami tak okrutnymi, jakby się nimi chciał nasztukować.

— Do nóżek się ścielę księcia wojewody! Korewów prowadzę niewielu, ale dobrych i wypróbowanych, niema jednego bez kresy.

— Pisz tam, panie Łopott, panie kochanku, Korewów się zna...

Mały się uśmiechnął.

— A, zmiłuj się, mój bohaterze, panie kochanku — dodał książę — wąsy sobie do pasa przymocuj, bo w tej ciżbie to ci gotowi sztukę spłatać familianci... obetną na perukę...

Śmiać się zaczęto.

— Ktoby się tknął moich wąsów, mości książę, głowy swej nie byłby pewien! — zawołał mały, schylił się do kolan, a że pisarz niecierpliwie dawał znaki, chciał odchodzić, aż książę mu rzekł:

— Umocz-że wąsy w piwie i posmaruj bigosem, aby na jutro sił nie brakło.

— Factum est! — rozśmiał się zagadnięty i raźno odszedł.

Zatem szły Narbutty, takiego samego herbu Trąby, jak i Radziwiłłowie, których z tego powodu szczególniej książę respektował, bo nawet starych Rustejków, których trąba nie była potrójną, miał za dalekich koligatów, po nich krewni też książęcy Rdułtowscy i Rajeccy. Ze wszystkimi książę mówił, śmiał się i szablun-

kował. Dalej następowali Jodkowie, Dowojny, Ilinicze, choć ubodzy, ale prawdziwi, Obuchowicze, Glinki, Judyccy, Zienkowicze, Tryznowie... Dla każdego znalazło się słowo, wspomnienie, żart lub komplement. Gwarnie to przychodziło, wprost od miski i kubka, i powracało nazad do sali, w której stoły i ławy ciągle na gości czekały. Przyszła kolej na niejakiego Kiełbsza, a było ich tam z pięciu tego rodu. Kiełbsz miał we łbie, stawił się, mnąc czuprynę zrazu, potem, pomiarkowawszy się, czapkę oburącz wziął i stanął jak należało przed dowódcą, bo do regimentu był wpisany.

— A, Kiełbsz? dobry wieczór, panie kochanku.

Skłonił się zlekka przywitany.

— Czybym nie mógł słówko powiedzieć! — rzekł, jąkając się.

— Aby prędko, panie kochanku.

— Bo proszę księcia jegomości, mam w sumieniu wątpliwość.

— To idź do księdza — odparł wojewoda, śmiejąc się.

Wzdrygnął się Kiełbsz.

— Jakże to może być — wrzucił — aby my z księciem Niemca forytowali? hę? Boć Brühl... szołdra.

— Hm! — głową kręcąc, rzekł książę, namyślając trochę — ot, jadłbyś kiełbasę a milczał — a król co??

Zmieszał się Kiełbsz... i wysunął.

Niektórzy poczęli z niego drwić.

— Dajcie-no pokój — po cichu odezwał się wojewoda — należy respekt jego zdaniu, choć się na polityce nie zna. Kto tam następuje? A, pan Puciata! a oto widzę za nim Skorobohatego? dobry wieczór! I Wigurów... Pisz, panie Łopott.

Wszystko to przedefilowało, ocierając wąsy. Nadszedł Jelec.

Stary to ród był, ale bardzo zubożały, na Jelcu widać to było...

— Mości książę — rzekł — w jego usługach się nie próżnowało, szabla mi się wszetecznie podarła.

Dobył ją z pochew, cienka była od szlifowania, jak scyzoryk.

— Jak przyjdzie jutro machnąć, byle który grubszy a twardszy miał kark, despekt będzie...

— Każ sobie dać inną — rzekł książę.

— Ba, oni mi to już tam swatali kilka, ale to gdzieś z kos porobione, czy co, której popróbowałem nagiąć, to się kurczy i nie odchodzi. Przytemby się zdał jaki kawałek blachy na piersi, bo się kryć za drugich i próżnować nie myśli.

Jelec widocznie chciał, korzystając z okoliczności, trochę się uzbroić; książę się począł śmiać i skinął do Wołodkowicza.

— Każ-że mu dać ze zbrojowni co poczciwego. Jelcowie przecie na herbie noszą mitrę, choć dziś jej nie używają, niech im choć szabel nie braknie.

Znaleźli się w orszaku książęcym i ubodzy Gedrojciowie, tak jak u wojewody kijowskiego Czetwertyńscy. Ale kogoż tam nie było? Jednego podejrzanego szlachectwa nie napytałby tam najsurowszy heraldyk, bo w procedencyę ściśle bardzo wglądano. Zdawało się już przebierać szabel, a Łopott, podsumowując, wcale piękną sumę miał na regestrze, gdy stary, siwy, otyły, o kiju, łysy, zjawił się szlachcic, wcale dziwnie wyglądający wśród tych rębaczów. Książę się za innymi stojącemu przypatrywał bacznie, nie mogąc poznać. Nie wiedział nawet, co on tu robił, bo do pocztu na jutro się gotu-

jącego widocznie należeć nie mógł. Zaintrygowany tą spokojnie oczekującą postacią, wojewoda zapytał z kolei przybocznych, i nie rychło mu snadź mógł kto objaśnić, kogo mieli przed sobą, bo się jedni drugich rozpytywali, nim nazwiska doszli.

Książę już potrosze ziewał nad tym regestrem. Kazał Łopottowi pokazać sobie listę i, znalazłszy ją dostateczną, a porę spóźnioną, nakazał silentium. W chwilę potem, jak mak siał, zrobiło się cicho, a z drugiej sali poczęli się cisnąć słuchacze, bo się domyślano, że książę przemówić chciał do swoich.

— Mości panowie a bracia — rzekł, wstawszy i zlekka skłoniwszy głowę, a zaraz napowrót siadając — dziś się sprawę pokpiło, panie kochanku. Kto kocha Radziwiłła, jutro ją naprawi. Ale że król J. Mość, pan nasz miłościwy, żałuje krwi szlacheckiej i nie radby ją widzieć przelaną, więc my winniśmy mu być posłuszni; pierwsi się nie porwiemy, to pewna, a zaczepieni, nauczymy mores. Zatem z flegmą, ale ostro, panie kochanku.

I ręką machnął. Czapki podrzucono w górę: — Wiwat książę wojewoda!

Książę Karol ze stopnia, na którym stało krzesło, zszedł i chciał ze swoimi do sypialni się usunąć, gdy mu stary szlachcic o kiju drogę zaszedł i do nóg się skłonił.

Przedstawiono go wojewodzie jako pana Godziembę, z Pińskiego.

Stary odchrząknął.

— W. Ks. Mość wybaczysz mi — rzekł — że go inkomoduję, i to jeszcze w takiej godzinie, a tylu ważniejszemi sprawami zajętego, ale do kogo się szlachcic uda, jeśli nie do Radziwiłła? Wzięliśmy to obyczajem od ojców.

Książę grzecznie coś mruczał, tak, że tylko „panie kochanku“ można było rozeznać.

— Interes osobisty, prywatny, protekcyi, W. Ks. Mość, szukam.

Że dużo osób stało dokoła, a Godziembie jakoś było nieraźno przy nich się tłómaczyć, książę go z sobą zabrał do gabinetu.

Tu także sprzęt i urządzenie były bardzo proste, bo w Warszawie książę się na występowanie nie sadził; ściany tylko, gdzieindziej biało tynkowane, od połowy pokrywały makaty jedwabne ze złotem.

— Gdybyś acińdziej krótkim mógł być, panie kochanku — rzekł, wszedłszy, gospodarz — byłbym mu obowiązanym, bo oto noc, a na jutro gorące się rzeczy gotują.

— Króciusieńko, mości książę — odezwał się Godziemba, jeszcze raz do kolan schyliwszy. — Pan Bóg mi dał po ojcach i z dorobku nieszpetną majętność w Mińskiem, ale syna poskąpił, jedną córkę mam. Dać to lada komu, a ojcowiznę w obcy ród, serce boli. Chciałbym sobie wyszukać Godziemby. Właśnie mi się tu jeden trafia, znam procedencyę, ród nasz, krew nasza, ale cóż? goły, jak bizun tatarski, woli u młodego Brühla służyć za dworzanina, niż ożenić się i na swojem gospodarzyć.

Książę nie spełna rozumiał.

— Ale, na Boga ukrzyżowanego, panie kochanku, a cóż ja na to mogę?

— A! któż?? W. Ks. Mość za Brühla stajesz. Gdybyś temu hrabiemu powiedział, aby dworzanina zreflektował, skonwinkował; bo to fiksat jest, człowiek głupi! Dziewka młoda, zdrowa, krew z mlekiem, wychowana jak nie może być lepiej, dobra, wesoła, pięć wiosek w dodatku — i jeszcze mu mało.

Wojewoda stał, patrzał i sam nie wiedział, co czynić; palcami kręcił.

— Widział-że on córkę waszą?

— A jakże, mości książę, a jakże — mówił stary Godziemba — zażyłem go z mańki. Córka tu ze mną i matką przybyła. Był u nas, konwersował, nam się podobał, miłym był, pokumaliśmy się, a jak przyszło do interesu ani ukąsić.

— Ani chybi, panie kochanku — rzekł książę — w tej Warszawie, gdzie kobiet tyle, musi mieć jakieś amory.

— Ale ja go z przeszłości spowiadać nie będę — rzekł Godziemba.

— Wiesz acindziej co? — odparł książę — dziś dalipan nie pora mówić o tem, zgłoś się do mnie później, a ja z Brühlem pogadam, aby go skonwinkował. Jedną tylko waści, panie kochanku, uwagę uczynię, że skóra ciągniona dobra, ale mąż na kaduka się nie zdał.

Godziemba przez uszanowanie zamilkł, skłonił się, coś tylko, polecając sprawę swą, dodał jeszcze i wyszedł powoli. Szczęściem czy nieszczęściem, lecz trafem osobliwym, gdy stary Godziemba, przechodząc salę jedną i drugą, w której książęcy towarzysze się zabawiali, ku wyjściu dążył, nieco pobłądziwszy, bo się nikogo nie chciał pytać o drogę, oko w oko nastręczył mu się ów wilk, pan Tadeusz Godziemba, o którym tylko co była mowa. Stary, zobaczywszy go, pochywcił za rękę, i aż mu się lice rozjaśniło.

— A wy tu co robicie? — zawołał.

— Ja — odparł dworzanin Brühla — na zwiady przyszedłem, gdzie i jak jutro zejść się mamy, aby razem ciągnąć na salę.

— Jużeś to sprawił poselstwo?

— Tak, prawie. A waćpan dobrodziej co tu porabiasz? — zapytał wesoło młody.

— E! ja, widzicie — szepnął, pod rękę go biorąc, Pińczuk — po staremu, chciałem się Radziwiłłowi submitować i przypomnieć. Skorzystałem więc z lustracyi i wcisnąłem się. Jeśli tu nie masz co robić — rzekł, zawahawszy się — toć to ja wasz krewniak... a stary, odprowadziłbyś mnie do domu?

— Z duszy, serca — rzekł Tadeusz — chociaż natychmiast muszę wracać do Młocin. Ale koń dobry, czas będzie na wszystko.

Stary stał we dworku przy Długiej, wyszli więc w podwórze najprzód, na którem dotąd życie i ruch nie ustawał, a dalej w ulicę, nie mniej prawie niż pałac ożywioną. Znać było z tej nocy już, czem być miał dzień następny, stolica nie spała. Kupki podweselonej szlachty przeciągały ulicami, a spotykając się, okrzykiwały hasła.

Przychodziło do odgróżek i wyzywań, często do śmiechu i na niczem się kończyły wielkie zamachy, ale dawano sobie apel do jutra.

— Spotkamy się, rozprawimy się...

Tadeusz, wziąwszy starego pod rękę, powiódł go, dobrze znając miasto, bokami tak, ażeby nieprzyjemnego zetknięcia uniknąć. Zdala tylko to tu, to owdzie dolatywały ich głosy podochoconych, i z wielu okien padało światło w ulicę, a na szybach migały cienie. Nikt nie spał, oprócz mieszczan może, a i z tych wielu, choć się nie mieszali do niczego, gorąco brało stronę jedną lub drugą.

Późna już była godzina, gdy do drzwi dworku drewnianego, w którym na dole stał Godziemba, zapukali. Lecz kobiety, snadź oczekując na niego, spać się

nie kładły, bo wnet ze światłem przyszła panna Agnieszka Godziembianka ojcu otworzyć. Chciał się pan Tadeusz zaraz cofnąć, suponując, że to do odwiedzin nie pora, bo się już panie i porozbierać musiały, ale dziwak stary zaklął go na wszystko najświętsze, aby choć na stołku przysiadł i lampkę wina z nim wypił; a tak to brał do serca, że, nie chcąc go gniewać, rad nie rad, powlókł się pan Tadeusz, po drodze przywitawszy kuzynkę, która się szeroką chustką otulała, bo w istocie strój miała nie od gości. Nie było jej z tem szpetnie, lecz się wstydziła okrutnie. Ojciec ją dobrze przed księciem odmalował: w istocie była to hoża dziewoja wiejska, z twarzą wesołą i figlarnemi oczyma, samo zdrowie i młodość.

Stary tak wierzył w jej urodę, iż miał za ślepego, komuby się nie podobała.

— Czego u dyabła można więcej chcieć? To kąsek choć dla króla. Pół korca pszenicy w jednej ręce podnieść dla niej fraszka, a łagodna, jak baranek... i pięć wsi...

W pokoiku, do którego weszli, również chustką otulona, pani Godziembina, starsza tylko, ale żywy obraz córki, rumiana, otyła, przyjęła gościa trochę namarszczona.

— Niech mi pani tego za złe nie ma, że wchodzę, aleć to przez posłuszeństwo.

Panna Agnieszka pośpieszyła do alkierza po gąsiorek i lampki, a tu się rozpoczęło gderanie za nocną włóczęgę.

— Dlategom prosił pana Tadeusza, aby mi towarzyszył — rzekł stary — interes mnie zmusił do późna zabawić, a o tej godzinie ulice już niepewne.

Stuknięto lampkami, bo się dworzanin do Młocin

wyrywał. Panna Agnieszka skryła swe wdzięki w cieniu pod piecem; jejmość nie ustąpiła. Stary się tem niepokoił, że się córce nie mógł przypatrzyć lepiej kawaler, bo właśnie rachował, że w negliżu mu się może prędzej podoba. Przywoływał więc ją co chwila i zmuszał skłopotaną wychodzić na światło. Pan Tadeusz nie bardzo się przypatrywał wiejskiej piękności; ale był w wyśmienitym humorze, jak każdy żwawy chłopak, gdy się w ogniu czuje. Podobał się więc matce, córce i w ojcu obudził nadzieję, że przy pomocy bożej i księcia Radziwiłła coś z tego przecież być może.

Rozstali się serdecznie, młody pocałował w rękę gospodynię, w ramię gospodarza, panna mu, chustką się wciąż okrywając, z pod pieca dygnęła, i chłopak przebudzony otworzył drzwi dworku, a Godziemba co tchu nazad po konia i do Młocin pośpieszył.

XI.

Po wczorajszej scenie na sejmie i u pana hetmana Familia oczekiwała napewno układów, ufając w to, iż zastraszyć musiała, nie pomnąc, że dumnego człowieka najboleśniej obraziła. Krzyżowali się neutralistowie i chcący pośredniczyć, z domu do domu przejeżdżając, szukając języka, a nie mogąc nic dokazać.

Stary Brühl zamknięty był, milczący, a o układach żadnych mówić sobie nie dawał. Bez niego się do króla dostać nie było sposobu.

Hetman Branicki zaraz po wyjściu Brühla, mimo respektu dla żony, ostro jej przymówił za wybuch, jakiego się dopuściła, a gdy wujowie się za nią ujęli,

wystąpił do nich z gorzkiemi prawdami, tak, że od słowa do słowa—rozeszli się bardzo kwaśno i jawnem już się dla nich stało, że na hetmana neutralność nawet nic rachować nie mogą. Brał jawnie i coraz goręcej stronę króla pozornie, w istocie Brühlów, Potockich i Radziwiłła.

Tak więc, co zbliżyć miało dwa obozy, przyśpieszyło tylko stanowcze zarysowanie się partyi i podział kraju. O pokoju ani było można myśleć.

Noc spłynęła na naradach i uzbrajaniu. Familia, jakkolwiek czuła, iż będzie miała do czynienia z nieprzyjacielem, który nie był do pogardzenia, miała rachuby pomocy obcej, na których się w przyszłości i ostateczności opierała.

Dzień nadchodzący znalazł miasto niemal całe na nogach. Głucha wieść chodziła już z rana, że Szymanowski, poseł ciechanowski, albo już podał do akt manifest, sejm zrywający, lub wystąpić z nim był gotów. Nie wątpiono bynajmniej, iż uczyni to z naprawy starego Brühla; wiedziano nawet, a przynajmniej głoszono, że dostał za to wójtostwo z pięćdziesięciu poddanymi i tysiąc dukatów na zagospodarowanie.

Zamek wyglądał, jakby się do obrony przeciwko nieprzyjacielowi gotowano. Ciągnęły doń nie spokojne gromady posłów i arbitrów, ale formalne hufce orężne. Większa część przybywała konno, w pancerzach na piersiach, z szablami nie dla zabawy, odostrzonemi, jak brzytwy, dworzanie też uzbrojeni, miny marsowe. Już się tu po wczorajszemu zabawiać i śmiać nie miał nikt ochoty, ani bardzo się kto odzywał, milczano posępnie, mówiono po cichu. A na czołach były gniewy i burze. Noc, co ukołysać miała, do najwyższego stopnia rozdrażnienie podniosła.

Od rana do południa gromadziło się na sali, wchodziło i wychodziło, ustawiało i szykowało szczególniej stronnictwo Familii, bo długo bardzo z radziwiłłowskich, którzy stanowili prawie sami obóz przeciwny, nikt się nie ukazywał. Domyślano się, że przybędą gromadnie i tak, aby odrazu całą objawić siłę. Nie zaczepiaj! wara!

Oprócz broni białej, bystrzejsze oko mogło za pazuchami kontuszów i po kieszeniach dostrzedz u niektórych pistoletów.

Już z południa było, gdy gwar się stał w sali, z okien ktoś napatrzył i karetę sześciokonną, tarantami ciągnioną księcia Radziwiłła, i cały oddział jego czarny, z kilkuset głów złożony, otaczający ją dokoła.

Na schodach stał się gwar, usłyszano stąpanie tłumne, i książę wszedł, pod rękę prowadząc bladego Brühla, z którego drugiej strony szedł Mokronowski.

Stolnik litewski, niemniej rozżarzony, jak wczoraj, upojony tą rolą, jaką raz pierwszy w życiu odgrywał, stał na tem samem miejscu co wczora, aby okazać, że się nie cofa i nie ustępuje. Więcej stokroć zaciętości i gniewu, niż wczora, było na twarzach wszystkich, rozgorączkowanie niebezpieczne. Nikt się już nie łudził, szable musiały znowu z pochew zabłysnąć.

Małachowski wśród głuchego szmeru laską uderzył i słabym głosem zagaił posiedzenie. Nie bardzo zrazu słychać go było, i nie słuchano zbyt pilnie. Mówił o „nadużyciu niesłychanem, jakie dnia wczorajszego się spełniło, że porządek i prawo przepisane dla sejmów naruszone zostało, że pogwałcono kardynalne ustawy, iż się spodziewa, że wszyscy posłowie dziś poddadzą się prawu i poszanują je“.

Domawiał tych wyrazów, gdy stolnik, nie dając się wyprzedzić nikomu, zawołał:

— Dopóki tu Brühla w izbie widzimy, niema na nic zgody!

— Niema zgody! — huknęli za nim wszyscy familianci. — Niema zgody!

Wtem, jakby dając znak, stolnik kapeluszem, który trzymał w ręku, nakrył głowę.

— Izba in passivitate!

W mgnieniu oka sto szabel błysnęło i zamieszanie w izbie stało się niewymowne. Zaledwie pierwsi, co stali za mówiącym, obnażyli oręż, radziwiłłowscy jak jeden szarpnęli szable i nikt nie mógłby był dostrzedz, kto pierwszy ich dobył.

Mokronowski, który stał wprost naprzeciw stolnika, nie tknął oręża. Ci, co się równie jak on wstrzymywali od wzięcia za broń, rzucili się ku niemu, skupiając przy nim. Poparty i czując się pewien siebie, Mokronowski z powagą postąpił kilka kroków naprzód, wcale się nie zdając lękać błyszczących ostrzów, które przeciwko niemu wymierzano.

— Panie stolniku — zawołał — pan jesteś sprawcą tego rozruchu; wzywam go, ażebyś swoich nakłonił do porządku.

Mówił jeszcze, gdy z boku stojącego Brühla, w tej chwili najmniej się tego spodziewającego (bo radziwiłłowscy tak nagłej napaści nie przewidywali), zaczęto otaczać i naciskać. Cześnik był zmuszony chwycić już za oręż, gdy Mokronowski rzucił się ku niemu, osłaniając go sobą i szable odgarniając rękami.

Kilkadziesiąt ich miał nad głową. Jedna z nich wyostrzona świeżo zraniła mu dłoń, co poczuwszy, Mokronowski przytomnie skrył ją, aby widokiem krwi nie

dać hasła i podniety do walki, zdającej się prawie nieuniknioną.

Krzyk rozpaczliwy niemal Mokronowskiego, któremu towarzyszyło bicie laską o podłogę i wysilony błagający głos starca Małachowskiego, opamiętały na chwilę. Tłum napastujący począł się cofać zmieszany i zawstydzony, stolnik zamilkł, widząc przeciwko sobie występującego człowieka, którego szanował i nawykł był uważać za przyjaznego sobie.

Wszczął się spór najgwałtowniejszy na słowa.

— Stolnik! stolnika wina! — krzyczano z jednej strony.

— Pierwsi Radziwiłłowie szabel dobyli.

— Któż wczoraj rozpoczął? — wołano.

Posypały się obelgi, a rozdrażnienie rosło. Brühl, jak wczoraj, otoczony, bezczynny, zmuszony stać, patrzeć, słuchać, ocierał z czoła pot i dręczył się niewymownie. Świadczyły o tem ścięte jego usta i twarz dziwnie wywrócona i zmieniona.

Wczorajsze szabel dobycie mogło się niemal tłómaczyć uniesieniem, dzisiejsze działo się rozmyślnie, znaczyło wypowiedzenie wojny. Obie strony sypały na siebie obelgami. Arbitrowie i kobiety na galeryach zakrywały oczy, łamały ręce, niektóre ratować musiano od omdlenia.

Stojący obok Brühla Radziwiłł niemniej od niego był blady. Od początku rozruchu cisnął w ręku rękojeść karabeli, tak, że gdyby nie była z jednej sztuki agatu, pewnieby poszła w kawałki, pot kroplisty spływał mu na czoło. Po kilkakroć już zwrócić się miał ku swoim i mrugnąć: Lubomirski i Mniszech szeptali, zaklinając go, aby odium tego porwania się zostawić Familii... Tymczasem Familia wygrywała, bo na języki była

bezsprzecznie silniejsza. Litwini do wykrzykiwania nie byli wprawni, u nich poczynało się od — stu tysięcy dyabłów, a kończyło na... na trzykroć stu tysiącach fur beczek tego samego. Wszyscy, jak w tęczę, oczy mieli wlepione w księcia, którego brwi im pokazywały to Mniszcha, to Lubomirskiego, to Mokronowskiego.

Narzekania i hałasy nie ustawały. Stary Małachowski z głową na ręku podpartą dumał. Nie było środka i sposobu: posiedzenie, zaledwie zagajone, znowu odroczonem być musiało. Dawano mu znaki, pokazywano rękami, to na stolnika i jego zastęp rozjadły i roznamiętniony, to na straszliwą jeszcze spokojność Radziwiłła, który stał jak posąg pewien siebie... ale groźny... Milczenie jego urągało się z tego dziecinnego wrzasku, któremu krzyki kobiet z galeryi odpowiadały.

Stolnik, który nie miał już czasu podnieść oczu do góry, nie widział też dziś jak wczora stojącej ponad sobą pani Sołłohubowej z rękami spuszczonemi i załamanemi, w posągowej postaci, z niewypowiedzianą wzgardą i dumą spoglądającej na niego, z litością i współczuciem na niemego Brühla, którego ręka drżała na szpadzie. Bohater ów siedmioletniej wojny, przyparty do muru, rozbrojony tem, co go otaczało, musiał cierpieć i milczeć.

Naostatek głucho znowu uderzyła laska marszałka i płaczliwy głos jego zwiastował odroczenie posiedzenia. Nie było się już czem łudzić: sejm taki nie mógł przyjść do skutku. Brühl ustąpić nie byłby się ważył tak daleko zaszedłszy, nie odbierając sobie całej powagi i nie uznając się pokonanym, Familia nie chciała ustąpić. Aż do ostatniej chwili spodziewała się zmusić do układów z sobą.

Lecz niczem było odroczenie — zażarci przeciwnicy

stali przeciwko sobie, nikt pierwszy do wyjścia ruszyć nie chciał. Łacno być mogło, gdyby jedno stronnictwo posunęło się pierwsze do odwrotu, że drugie, korzystając z tego, mogło mu siąść na karki.

Chwila więc długa upłynęła, nim się kto z miejsca śmiał poruszyć, stali wszyscy, jak wkuci. Niektórzy z arbitrów bliżsi drzwi zaledwie potrafili się wymknąć. Główne korpusy mierzyły się oczyma i nie stąpiły kroku. Nikt pierwszy nie chciał iść, aby go nie pomówiono o ucieczkę z placu.

Wieczór się zbliżał, gwar ucichał, wszyscy czuli się znużeni, lecz nikt nie ruszał się jeszcze.

Mokronowski postąpił do stolnika.

— Długoż to tego będzie? — zapytał.

Ten się zarumienił.

— Nie wiem — odparł.

— Przecież jakiś na to sposób wynaleźć potrzeba abyśmy wyszli?

— I ja tak sądzę.

— Ten od waćpana zależy.

Stolnik obejrzał się. Szable w znacznej części już do pochew popowracały, zaczęto zachęcać upartszych, aby je pochowali. Głód i zmęczenie przemawiało za tem. Litwini niektórzy także karabele spuścili.

— Jeżeli panu hrabiemu idzie o to, abyśmy koniecznie krwią tę salę i kartę historyi naszej splamili, rozumiem jego milczenie — rzekł Mokronowski—w przeciwnym razie, powinniśmy obaj skłonić naszych do wyjścia razem i w porządku. — Wyrazy te pochwycono jako rodzaj hasła i środek ukończenia sporu, który rozwiązanym inaczej być nie mógł, tylko wzajemnemi ustępstwy i odroczeniami ad futura.

— Razem w milczeniu i porządku! — zaczęto po-

wtarzać po szeregach, i tłum ten, przed chwilą jeszcze zażarty, stłumiwszy i powściągnąwszy gorączkę, skłonił się do wychodzenia, jak mu nakazano. Czapki ponakładano na głowy, ręce w kieszenie lub za pas, i z usty zaciętemi, ci, co najmocniej gardłowali, poczęli wysuwać się, nie patrząc, kogo obok siebie mieli, umyślnie oczy spuściwszy. Radziwiłłowie tylko, kupą otoczywszy znowu Brühla, wyprowadzili go z sali nie pierwszego, ani ostatniego, w poważnem milczeniu.

Gdy raz ten m o d u s e x e u n d i przyjęty został i poparty przykładem główniejszych przywódców, płynęły już dalej tłumy bez najmniejszego wypadku a nawet swaru i oprysku. Na sali pozostawało coraz mniej, i w końcu na ławach siedzieli już tylko ci, którzy woleli ściśle we drzwiach przeczekać, a za kratkami został sekretaryat sejmowy, wylękły i osłupiały.

— A co? a co? — zapytał podkomorzy Laskowski, który, spokojnie kazawszy sobie snującemu się pod koniec chłopcu z butelkami podać szklankę piwa, smoktał ją, postawiwszy na kolanie — a co? niema co mówić! dokazaliśmy sztuki, jakiej Rzeczpospolita od trzechset lat nie widziała!

Mówił to do starego przyjaciela Zagłoby, który stał naprzeciw niego z rękami w kieszeniach. — Z sejmu zrobiliśmy sejmiczek, i obyczaj rąbania się po prowincyach, zaprowadzony w stolicy. Wyraźny postęp, mosterdzieju!

Mówił to z boleścią wielką, chociaż ze spokojem. Zagłoba, który był niemym świadkiem obu posiedzeń, z rezygnacyą filozofa go słuchał, na pozór obojętny, w rzeczy głęboko upokorzony i przejęty, a jak śmierć smutny.

Uśmiechając się z boleścią, w oczy sobie patrzali.

— Niema co mówić — dodał Laskowski — żaden sejm jeszcze tak znakomicie nie stanął, jak ten. Nie sztuka zrywać, ale zrywając nasienie niezgody na długie lata skutecznie roli powierzyć—to mi się nazywa... rozum statysty!!

Zagłoba ramionami ruszył.

— Trzydzieści lat edukacyi dobrej coś znaczy — odezwał się ironicznie — nauczyliśmy się wiele i darmo chleba nie jedli... Dobrze tak! dobrze! Płazem uchodziło wiele, od Zygmunta III powtarzano, że nierządem stoimy... musi nieład przyjść do chaosu, aż się ludzie opamiętają. Wypijemy do dna, cośmy dwieście niemal lat warzyli — na to pono niema ratunku.

Gwarzyli tak, gdy Żudra, który swoich odkomenderowywał znowu na stół pański, zbliżył się do nich. Sapał biedaczysko i podbródki mu tańcowały, pot ocierał z czoła, pasa poprawiał, znużony był tak, że na ławę padł. Laskowski z przyjacielem spojrzeli nań, ale się do niego nie odezwali, choć się ich wyzywać zdawał. Podkomorzy popatrzał nań tylko i obaj zamilkli.

— No, rzeczy skończone! — zawołał Żudra — nauczyliśmy Niemców rozumu!

— Myślę, że i Polaków też! — rzekł krótko Zagłoba.

— Niech znają, co Familia może.

— A no, prawda, wszyscyśmy to poznali — dodał pierwszy — że mówi o zaprowadzeniu ładu w osobliwszy sposób pięknie, i to nową metodą, doprowadzając anarchię do kresu.

Żudra popatrzał pogardliwie.

— Jam tam nie polityk! — odezwał się — ja tam nie mędruję, ale my tu w domu u siebie szołdrom przewodzić nie damy.

— Słusznie — potwierdził Zagłoba — lepiej wszystko do góry nogami wywrócić. Z nazwiska sądząc, panie Żudra — dodał — myślałbym, żeś Rusin, i że mnie zrozumiesz. Coś mi się przypomina przysłowie: Ne kupyw bat'ko szapki, nechaj uszy merznut!

Żudra się skrzywił.

— A wy co mówicie, panie podkomorzy? — zapytał Laskowskiego.

— Waćpan mnie znasz — odparł spytany z powagą — nie taję się z myślami, jestem za domową zgodą pomiędzy braćmi, a tych, co do wojny i rozdziału prowadzą... mam... za...

Wstrzymał się, zżymnął i nie dokończył. Kto znał umiarkowanie Laskowskiego, mógł zrozumieć jak rozdrażnionym był, gdy się na tak energiczne zebrał wyrażenie.

Żudra wstał.

— Myśmy niewinni — zawołał — nam nóż przyłożyli do gardła. Poddać się samowoli Brühla i dać zjeść w kaszy — a niedoczekanie...

— Pewnie — dodał Zagłoba — niech nas raczej wszystkich razem dyabli wezmą...

Żudra, snadź nie pomiarkowawszy się, potwierdził:

— A pewnie!!

— No, i wezmą! — dokończył stary szlachcic — jak dwa a dwa cztery. Przyjdzie choćby anioł po Sasach rządzić, spadek tego nieładu odziedziczy... i rady nie da...

— E! mospaneńku! — rękę w górę podnosząc, zawołał Żudra — spadku tego nie weźmie kto inny, tylko Familia... a ona, przy pomocy bożej i czyjejś jeszcze... rady da! rady da! — powtórzył z naciskiem.

Laskowski, któremu rozmowa już ciężką się sta-

wać zaczynała, wstał i, czapkę nałożywszy, a Żudrze nawet nie skinąwszy głową, podał rękę przyjacielowi i z nim razem z sali opustoszałej się wyniósł.

Rozeszły się tedy obie strony w egzasperacyi wielkiej i nienawiści, która przez tych parę dni wyrosła, jak nigdy. Mówiono już, wychodząc, o zerwaniu sejmu, ale jeszcze Familia temu wierzyć nie chciała. Z zamku dochodziły wieści, że król pragnął połatać sprawę i pogodzić, że chciał księcia Radziwiłła wzywać i uprosić, aby krzesła dobrowolnie ustąpił. Lecz Brühl uznał to niepodobieństwem. Manifest Szymanowskiego już był podany.

Brühl, nie widząc się nawet z ojcem, odjechał z gwardyą swoją do Młocin, pewien, że rzeczy są skończone i że więcej stawić się pod tym pręgierzem nie będzie już obowiązany. Sam jeden, osłoniony płaszczem, zadumany, blady, kazał się zawieźć do domu; wróciwszy, zaledwie kilku grzecznemi słowy żonę przywitał, oświadczył, że potrzebuje spoczynku, i zamknął się w swem mieszkaniu. Doznawał tego uczucia, jakiem przejęty jest człowiek, który wyszedł z wielkiego niebezpieczeństwa i ma je za sobą. Oddychał swobodniej... poświęcił się dla ojca, teraz mógł zapomnieć o wszystkiem i trochę żyć dla siebie.

Rachuby jednak były mylne i zawód blizki; zaledwie usiadł w krześle, usiłując rozpędzić bolesne wspomnienia tego dnia i zapomnieć o wrzawie, która mu jeszcze w uszach tętniała, gdy już turkotało i głosy w przedpokoju słychać było.

Pobladł i załamał ręce. Wszedł Sołłohub. Ten przynajmniej najmniej mu ciężył, odetchnął więc znowu.

— Wiem — rzekł od progu — że nie będę ci pożądanym gościem, ale mnie twój ojciec przysyła. Nie widziałeś się z nim, jest niespokojny...

— Posłałem oznajmić, że jestem cały i że potrzebuję spoczynku — zawołał Brühl wesoło. — Chwała Bogu, że się jeszcze uścisnąć możemy, bo o niewiele chodziło, aby mnie rozsiekali, gdyby nie Mokronowski.

— Mokronowski w rękę ranny — szepnął Sołłohub — jest to tajemnica. Odpychając szablę, obciął sobie dłoń, ale przytomności umysłu jego dosyć wychwalić niepodobna.

— Myślę, że przecie na tem się skończy — dodał Brühl.

— Wcale na to nie wygląda — rzekł Sołłohub — jeśli wczorajsza noc była burzliwa, dzisiejsza straszniejsza jeszcze.

Już nie o kiereszowanie się na sejmie idzie, ale radziwiłłowscy szykują się do walki w ulicach. Nie mogą tego ścierpieć, że ich dziś powstrzymano, i chcą koniecznie pokazać na karkach Familii, że tchórzami nie są. Dlatego ojciec twój mnie tu przysyła, abyśmy razem jechali do księcia wojewody.

Brühl obu rękami strzepnął.

— Miejcież litość nade mną! nie mogę wszystkiego robić i za wszystkich... dajcie mi spocząć, wysilony jestem i mam tego dosyć.

— Jeszcze jeden krok i koniec, sejm się jutro kończy — rzekł Sołłohub.

— Ale ja na Radziwiłła nie wpłynę. Niech mu poślą kogo innego — zawołał rozpaczającym głosem cześnik. — Wysoce szacuję jego zamaszystą rycerskość i waleczność, między nim jednak a mną, wierzaj mi, nic niema, coby nas łączyło i zbliżało. Każdy z was lepiej i silniej do niego przemówić potrafi.

Sołłohub zamilkł smutnie, ale wzrokiem prosił ciągle.

Brühl, widząc, że nie potrafi się uwolnić, porwał niechętnie i milcząco za kapelusz.

— Jedźmy — zawołał — dziej się wola boża. Kielich należy wysączyć aż do mętów na dnie.

Konie Sołłohuba stały gotowe, eskorta, bez której ruszyć się nie było podobieństwem, bo wśród takiego roznamiętnienia łacno mógł Brühl w ulicy być napadniętym, stała też w pogotowiu. Cześnik, nie zachodząc nawet do żony, siadł do powozu, przeklinając czasy, w których żył, i okoliczności, w jakie go wplątano.

Zbliżając się do stolicy, można już było dostrzedz, że Sołłohub nie przesadzał, malując stan jej jako groźny. Ulice pełne były kup zbrojnych, hałaśliwie krzyczących i zdających się zbierać w pewnych oznaczonych stanowiskach. Właśnie wieczorny chleb, a przy nim piwo i wino też posiliło szlachtę i dodało jej animuszu. Śpiewano więc pieśni, wykrzykiwano przeciwko Sasom, odgrażano się i zdawano nie unikać, ale szukać walki. Dwa czy trzy razy na widok powozu, któremu saska gwardya towarzyszyła, posypały się odgróżki. Idący stanęli i złośliwym śmiechem salutowali karetę Brühla. Po winiarniach i gospodach tłum i hałasy były ogromne.

Puszczono już wieść o zerwaniu sejmu, która Familię do ostatniego gniewu przywiodła. Nie mówiono o niczem, tylko by się bić, siekać i mścić.

Zbliżając się do pałacu Radziwiłłowskiego, dostrzegli i tu czarnych gromad w gotowości, stojących, milczących wprawdzie, ale niemniej groźnych. W dwóch salach jeszcze książę sam honoracyorów u stołów przyjmował. Siedział z księciem Stanisławem na podwyższeniu, w krześle, podparty na rękach, chmurny jak noc, zły i zniecierpliwiony. Coraz to kielich wina połknął, wąsy pociągnął i wzdychał. Bliżej siedząca szlachta pa-

trzała nań milcząca, a ci, co dalej siedzieli, w miarę oddalenia od niego coraz byli gwarliwsi. Na przeciwnym końcu stołu warczało i burczało, jak we młynie. Litwa, powstrzymywana przez dwa dni, nie mogła połknąć tej nieczynności sromotnej. Właśnie, gdy Brühl z Sołłohubem wszedł, dwóch Korewów i nie wiem ilu Rudominów, razem z Illiniczami i Wereszczakami, układało projekt podkradnięcia się w pewne miejsce, w którem się familiantów znaleźć spodziewali, i puszczenia nieco krwi, aby też nie wracać do domu, szabel nie umoczywszy. Odbywała się narada po cichu i oczy pobłyskiwały.

Książę, jak tylko zobaczył młodego Brühla, wstał i z kielichem nalanym wystąpił naprzód z jego zdrowiem, które z okrzykiem ogromnym wypito.

Sołłohub mu coś szepnął na ucho, zabrali się tedy do gabinetu; ale nim poszli, wojewoda zawołał do siebie pana Lachowicza, który miał dowództwo zwierzchnie nad zebraną drużyną.

— Pułkowniku, panie kochanku, proszę wydać rozkaz, s u b p o e n a i n f a m i a e i wygnania, aby mi nikt na swoją rękę awantur nie robił. Widzę, panie kochanku, z min, że się piwo waży, niechże czekają komendy. Pójdź waćpan po stołach i powiedz, że Radziwiłł o to prosi, a gdy mało, każe.

Lachowicz się oddalił.

Dwaj Radziwiłłowie, Brühl i Sołłohub do gabinetu weszli. Generałowicz był tłómaczem i począł zaraz prosić, w imieniu ministra, a bardziej jeszcze w imieniu króla, aby zwady unikano. F a m i l i a szukała tylko pozoru do rozlewu krwi, aby winę potem zrzucić na partyę królewską.

Sołłohub mówił prędko, Brühl rzucanemi słowy krótkiemi potwierdzał. Książę słuchał, patrząc nie na nich, ale na ścianę. Zdawał się roztargniony.

— Siadaj, hrabio, panie kochanku — rzekł wreszcie, wzdychając, a przebacz z góry, że ja, Litwin szczery i nie polityk, powiem, co mam na sercu. Wytrzymać już nie mogę. Wszystko poszło źle, a czemu? oto dlatego, żeście mnie nie posłuchali i odrazu nie pozwolili ich trochę posiekać. Wszystkoby już było dziś w porządku, a sejm, panie kochanku, szedłby jak po maśle. Jego ekscelencya minister Brühl i wy, panie cześniku, znacie inne narody europejskie, ale nasz mało. Myśmy żołnierze: jak nam krew zakipi, żadne faenum graecum nie pomoże, póki jej sobie nie puścimy. Szast prast, i dopiero pokój, zgoda... przyjaźń, serdeczność największa, panie kochanku. To darmo. Niemca można ugadać i przekonać, Francuza rozśmieszyć i rozbroić, a nas, panie, nie inaczej, tylko przez łeb. U nas łby twarde, panie kochanku, i dlatego żadnego Polaka, a bodaj Litwina i Rusina, śmierć nie bierze inaczej, tylko za nogi, bo wie, że pałce radyby nie dała...

Gdy książę wykładał tę teoryę swoją z kompokcyą wielką i głębokiem przekonaniem, Sołłohub patrzał na ziemię, a Brühl, nie bardzo ją rozumiejąc, w sufit.

— Król JMość zaklina — dodał generałowicz — żeby krwi przelewu uniknąć.

Zżymnął się Radziwiłł.

— A któżby tam, panie kochanku, dobrowolnie chciał chrześcijankę przelewać — rzekł — a no! są necessitates. Proszę sobie wystawić moich biedaków, którzy z pod Nieświeża tu na kulbakach tłukli się po to, aby im, panie kochanku, z pozwoleniem, Familia pod nos smrodziła, a oni musieli, nawet nosów nie śmiejąc pozatykać, wąchać i dziękować. A no, i ja w tem położeniu!!

Książę ręce szeroko rozstawił.

Sołłohub go oczyma błagał.

— Bądź wasze spokojny, kuzynku — dodał książę — jak nie można, nie można, utrzymam moich choć na łańcuchu, ale to na tem koniec nie może być.

Książę podniósł się i przystąpił bliżej.

— Familii inaczej nie pokonamy, tylko krwi jej puściwszy. Bo to, panie kochanku, przez Sieniawskich w sadło porosło, rozwielmożniało, i buta straszna, a świeża, więc gorąca. Ja mam, panie kochanku, sześć — mogę postawić do dziesięciu tysięcy ludzi, zbiwszy do kupy pospolite ruszenie; pan wojewoda kijowski takżeby ze sześć postawił. Myślę, że hetman pójdzie z nami, więc, panie kochanku, krótka sprawa i najlepsza rzecz — w pole. Staniemy łeb na łeb, a ja już w tem, panie kochanku, że ich rozumu nauczymy, i będzie tak cicho i tak gładko...

Wpadł w tej chwili Lachowicz, donosząc, że, mimo najsurowszych rozkazów, o dwadzieścia kroków od pałacu kupka czarnych spotkała się z tymi, co mieli kokardy czerwono-zielono-białe, kolory Familii, i że parę łbów zostało pokiereszowanych, ale ich rozbrojono. Sołłohub ręce załamał, książę nie zmieszał się wcale.

— Ale to tam nic! — rzekł — bzdurstwo. Bez tego się żaden zjazd nie obchodzi.

I obracając się do Lachowicza:

— Zabito kogo, panie kochanku?

— Nie, ale poznaczono.

— To się wyliżą, byle pajęczyna i świeży chleb, najlepszy plaster, panie kochanku. A naszych?

— Para też dostała...

— Dać im naukę, panie kochanku, i niech młody Michaelis poopatruje, a ci, co pokiereszowani, żeby się na świat nie pokazywali.

Skończyła się tedy konferencya zapewnieniem księcia i pana Lachowicza, iż pokój zostanie zachowany, z warunkiem, byle go przeciwna strona nie naruszyła.

Brühl ścisnął rękę księciu milczący, wypito jeszcze raz zdrowie i wyszli.

W dzieddzińcu właśnie plejzerowani wrzeszczeli, odgrażając się, a szlachta do księcia zbierała się biedz prosić, aby pozwolił na odegraną. Brühl rwał się do domu, Sołłohub go musiał zawieźć do ojca. W Saskim pałacu pod bokiem króla właśnie zgromadzona była rada; ksiądz prymas, hetman, biskup Sołtyk i wielu innych, wezwani na nią, króla się starali uspokoić i zapobiedz dalszemu rozprzężeniu. Nie było jednak innej rady, nad ten sposób, którego przez lat wiele używano i nadużywano — sejm zerwać.

Brühl stał przy tem, uniewinniając się, iż był zmuszony.

Cześnik, który na radę ani mógł, ani chciał wchodzić, pozostał długo w gabinecie, oczekując na ojca. Zmęczony, zrazu zniecierpliwiony, odzyskiwał zwolna swą obojętność i potrosze już podżartowywał z siebie i drugich.

Gdy rada się skończyła, a senatorowie rozjechali, minister, któremu oznajmiono o synu, wpadł, jak zawsze, rzucając mu się na szyję i usiłując czułością wynagrodzić nielitościwe z nim obejście.

— Kochany Alojzy, wszystko skończone — rzekł. — Mężnie wytrwałeś do końca. Król i ja wdzięczni ci jesteśmy. Wszystko, czem mnie król najmiłościwiej w Polsce obdarzył, przekazuje tobie. Mam obietnice generalstwa artyleryi konnej, oddam ci je, bo wiem, że to lubisz, i że na tym stopniu użytecznym będziesz. Sejm zostanie zerwany, a szlachectwo i honor nasz ocalony.

To mówiąc, powtórnie, jakby z wybuchem czuło-

ści, rzucił mu się na szyję znowu. Pan Alojzy milczący wysłuchał, nie odpowiadając słowa. Minister wnet odwrócił się do Sołłohuba, który, dla wybawienia przyjaciela z przykrego położenia, począł o Radziwille opowiadać. Tak, trochę weselej i swobodniej zakończył się wieczór ten, a że pora już była spóźniona, cześnik zanocował w Saskim pałacu.

Nazajutrz rano książę wojewoda, posławszy na zwiady, gdzie ma Brühla szukać, przybył po niego do Saskiego pałacu i zabrał na posiedzenie z sobą.

Tego dnia sala inny obraz przedstawiała, lecz choć mniej na pozór groźny, straszniejszy może, niż dni poprzedzających. Namiętności zdawały się wewnątrz pochłonięte zapowiadać nieubłaganą walkę na przyszłość. Nie szło już o porwanie się na sali, czuli wszyscy, że się gdzieś w polu rozstrzygnąć musi współzawodnictwo i nasycić nienawiść. Więcej pomiarkowania i powagi było na twarzach, lecz z czół pochmurnych i oczu zaiskrzonych wiało pragnieniem odwetów. Stolnik, osłoniony, stanął nieco dalej, niemal zawstydzony tryumfem, który do niczego nie doprowadził, a jego samego więcej kosztował, niż był wart. Wychowanie i charakter osobisty czyniły mu wstrętliwem to, co dla Familii popełnić musiał.

Arbitrów nacisnęło się mnóstwo ciekawych, galerye były pełne, lecz wrzawa i gwar dawnych posiedzeń ustąpiły milczeniu posępnemu. Małachowskiemu rękę musiał podać Mokronowski, tak starzec szedł osłabły i smutny. Ręce mu drżały, gdy rozwinął papier, który niósł, i oznajmił o manifeście Szymanowskiego, posła ciechanowskiego.

Wymówienie imienia tego szmer wywołało, obejrzeli się wszyscy, szukano go oczyma. Naprózno... Wie-

dząc dobrze, na co się narażał, Szymanowski zniknął, nie było go na sali.

Rozkazano czytać manifest, którego izba słuchała w milczeniu.

Szymanowski obwiniał w nim nienawiść i ambicyę, które w niwecz najzbawienniejsze obróciły projekta, żalił się, że czas, przeznaczony na obrady, upływał na zamieszkach, wiodących kraj do ostatecznej zguby. Dlatego, przewidując, iż niesnaski rozbudzone rosnąć muszą i wzmagać się, widząc, że kraj nie ma swobody należnej, zajęty będąc przez wojska obce; gdy posłowie nie mają bezpieczeństwa osobistego, w tej świątyni praw zagrożonego do tego stopnia, że nie radzić musiano, lecz myśleć o obronie—sejm poczytuje za niemożliyw i t. d.

Głuche milczenie panowało po skończeniu czytania manifestu, nie odzywał się nikt, patrzali jedni na drugich, na twarzach partyi familijnej widać było tłumiony gniew i oburzenie.

Małachowski wniósł, aby trzech posłów wydelegować do Szymanowskiego i prosić o przywrócenie izbie —activitatem. Nikt się nie sprzeciwił temu. Naznaczono trzech z głównych prowincyi, i ci natychmiast wyszli.

Sejm w oczekiwaniu został in passivitate.

Godzina ta wydała się wiekiem wszystkim, po deputacyi mało się kto spodziewał. Była to raczej forma i pozór, niż krok, któryby skutek jakiś obiecywał. Stronnictwo Brühla wiedziało dobrze, iż Szymanowski, w obawie, aby go przy takiem rozdrażnieniu nie rozsiekano, rano wyjechał z Warszawy. Domyślali się tego i przeciwnicy.

Szeptano, spozierano, pomiędzy galeryami a salą dawano znaki. Upłynęło wreszcie dosyć czasu, póki posłowie nie wrócili, oznajmiając, że Szymanowskiego nigdzie znaleźć nie mogli.

Małachowski wstał cały drżący.

— Niech pomsta boża ściga tego niecnego obywatela, winowajcę, gorszego od ojcobójcy...

Przekleństwo to, które rozległo się wśród ciszy i od którego niejedne lica pobladły, dotykało nietylko posła ciechanowskiego; spadało ono po części na tych, co byli przyczyną zamieszania i waśni. Stolnik litewski uśmiechnął się wprawdzie, lecz widać było po nim, że uczuł i on winę swoją.

— Spełniliśmy — dodał stary — obowiązki nasze do końca; dotrwaliśmy na stanowisku, bo do ostatniego tchu winniśmy bronić Rzeczypospolitej...

To były ledwie dosłyszane ostatnie wyrazy, którymi sejm został zamknięty. Małachowski padł na krzesło, w milczeniu smutnem posłowie, jakby upokorzeni, płynąć zaczęli z sali, a narzekania i przekleństwa po chwili napełniły korytarze zamkowe.

U drzwi stała Poterucha z koszykiem, kiwając głową.

— Niema już tu co robić! — mruczała — a podobno na zamek drugi raz na sejm nie warto nóg fatygować.

I zwolna razem z innymi ze schodów schodzić poczęła.

Na wszystkich twarzach malował się smutek i zawód. Familianci tylko uśmiechali się, odgrażając na — poczekanie... „Na tem nie koniec... zobaczymy...“

Jeden cześnik może swobodniej odetchnął, wychodząc z sali, którą Radziwiłł opuszczał, mimo otrzymanego województwa, niemal upokorzony.

— Co to wszystko warto — rzekł na wychodnem do Lubomirskiego — wodę warzyć, woda będzie... Gdybyśmy im byli trochę krwi puścili na razie, ale acińdzieje wszyscy jesteście ciemięgi...

Najprzykrzejsze może było położenie stolnika, który, użyty jako narzędzie, choć się chwilowo odznaczył pewną odwagą, przedstawił się mało znanym współobywatelom w świetle fałszywem. Czuł to sam. W pierwszej chwili różne powody skłoniły go do podjęcia się tej roli, wybornej dla jakiegoś podrzędnego sejmikowicza, nie dla hrabiego Poniatowskiego, któremu ów Fornica wieszczo wielkie przepowiadał losy... Lecz trzeba było nadrabiać fantazyą, aby się nie przyznać do popełnionego błędu. Pan stolnik więc musiał twarz wesołą przybierać i swobodnym a szczęśliwym okazywać się w towarzystwie.

Chociaż hetman Branicki jawnie teraz był z dworem i Brühlem przeciw Familii, choć parę razy zdala krzywo spojrzał na szwagra, stolnik, dowiedziawszy się o blizkim wyjeździe jego, poszedł do siostry z pożegnaniem. Hetmanowa była mu najulubieńszą ze wszystkich, może dlatego, iż go najgoręcej kochała i najświetniejszą prorokowała mu przyszłość. Umyślnie, jak się zdaje, stolnik wybrał do pożegnania chwilę, gdy już dwór cały był w pogotowiu, a hetman na wsiadanem.

Siostra przyjęła go z okrzykiem, stary Branicki z grzecznością zimną i dumną. Bardziej, niż kiedy, obchodził się z nim, jak z młokosem, gdy stolnik do dojrzałości rościł sobie prawa.

Stało się tak, że pani hrabina Izabella zaprosiła brata: miał ją i hetmana przeprowadzić na Pragę. Branicki siadł razem z żoną, aby w jej towarzystwie przejechać stolicę, bo wyjazd, jak każdy krok hetmana, był uroczysty i reprezentacyjny. Szły jego straże przyboczne, janczarowie, konie powodne pod dywdykami, furgony, dworzanie, hajducy, cała ta świetna i liczna czereda, którą się otaczać lubił. Lud cisnął się, aby te parady

podziwiać. Poniatowski siedział na przodzie w karecie; rozmawiał z siostrą, która napół wesoła, wpół niby smutna, podrażnioną była i niespokojną. Długo się hetman do rozmowy nie mieszał wcale, siedział milczący, poglądając z góry na szwagra.

Gdy wreszcie hrabia zaczął mówić z nadrobionym zapałem o swojem znalezieniu się na sejmie, hetmanowi oczy błysły i twarz się zarumieniła.

— Kochany hrabio — rzekł nagle, rękę mu kładąc na ramieniu — przypomnij sobie mój wiek i swój — to mi daje prawo powiedzieć ci słowa prawdy...

Nie będę ci winszował twojego występu na świecie i rozpoczęcia obywatelskiej karyery... Zły to początek, dla prywaty podjąć się zerwania narad, do których kraj największą przywiązywał wagę. Trochę animuszu na to było potrzeba, a bardzo mało talentu, w czemby waćpana lada szlachetka zastąpił... Zapisać się w pamięci ludzkiej, jednając sobie naraz pół kraju nieprzyjaźni... nazwę błędem i smutną omyłką...

Z wielką żywością hetman w tej chwili domawiając nauki moralnej, która żonie jego rumieniec gniewu wywołała na twarz, zawołał na woźnicę, aby stanął.

— Nie fatyguj się dalej — rzekł do Poniatowskiego. — Żegnam go...

Nie wiedząc co odpowiedzieć, zmieszany, nadrabiając uśmiechem, hrabia się skłonił, pocałował siostrę w rękę i wysiadł szybko, przenosząc się do powozu, który szedł za karetą, aby powrócić do Warszawy; a hetman jechał do Białegostoku.

KONIEC TOMU II-GO.

